

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1983

**ROZMOWY
NIEKONTROLOWANE**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 382

ISBN 2-7168-0038-3

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1983

WPROWADZENIE

Życie w Polsce Ludowej można przyrównać do łuku huśtawki. Raz jest on mniejszy, innym razem większy. Na szczycie utrzymać się nie sposób, natomiast spadek dodaje często sił do powtórnego wyniesienia się w górę.

Przez 37 lat PRL zastanawialiśmy się wielokrotnie, od czego zależą te krótkie okresy szczytów, czym są w historycznym rachunku i czy ten huśtający się los pisany jest Polakom na zawsze.

Sierpień 1980 roku, Solidarność, to co zrobiliśmy i czego nie udało się zmienić w okresie 16 miesięcy, a wreszcie cios zadany całemu społeczeństwu przez komunistyczną władzę 13 grudnia 1981 roku, okazały się kolejnym łukiem na huśtawce.

Ogłoszenie stanu wojennego zredukowało nagle nasze życie we wszystkich wymiarach. Mocą dekretu internowano tysiące ludzi, wprowadzono godzinę milicyjną, zakazano poruszać się po kraju, rozwiązano wszystkie działające kluby i stowarzyszenia. Przez jakiś czas nie funkcjonowały urzędy, szkoły, wyższe uczelnie. Zmilitaryzowano telewizję, radio, transport kolejowy, lotniczy oraz ważniejsze gałęzie przemysłu. Patrole wojskowe, potem milicyjne ROMO i ZOMO, transporterki, druty kolczaste i zapory przeciwczołgowe miały chronić nie wiadomo dobrze kogo i przed kim.

Po 16 miesiącach gorączkowych zmagani wielotysięcznej rzeszy działaczy Solidarności w różnych dziedzinach życia społecznego, pierwsze tygodnie stanu wojennego wepchnęły jednych do więzień, innych w podziemie, jeszcze innych zwolniono z pracy na mocy bezprawnych „weryfikacji”. Zaskoczona dekretem ludność popadła w odrętwienie, które przerodziło się w powszechną apatię, przerywaną już tylko odruchami nierównej walki z władzą, podejmowanej przez część społeczeństwa.

Zwykło się uważać, że Polacy w sądach i reakcjach różnią się między sobą nieraz krańcowo. Tymczasem wojna wypowiedziana przez WRON narodowi z każdym kolejnym miesiącem stanu wojennego jednoczyła wszystkich lub prawie wszystkich obywateli naszego kraju w nienawiści i pogardzie dla władzy. Ludzie znów żyli chwilą, ale była to prawie zawsze chwila zrodzona z rozpaczki za zabitymi, uwięzionymi, internowanymi czy pobitymi. Czas obliczano od 13-go do 13-go albo według jakiejś innej daty związanej z epoką Solidarności. Odruch nienawiści do władzy był teraz równie silny, jak przed dwoma laty odruch nadziei. Społeczeństwo znów dostało się w tryby maszyny propagandowej i odreagowywało misternie przygotowywane przez władze akcje. Czy o tym wiedziało?

Właśnie, co społeczeństwo nasze w ogóle wiedziało? Teraz i dawniej? Jaki był i jaki jest stan świadomości spraw, w których uczestniczyliśmy i nadal uczestniczymy? Bo przecież, żeby powstało jakiegokolwiek działanie, musi zrodzić się myśl. Co więc myślą Polacy, skoro tak a nie inaczej postępują? Dlaczego stało się to, co się stało, czy istotnie tak się musiał zakończyć sierpniowy zryw i co dalej... Posługiwanie się nienawiścią w walce z przeciwnikiem obezwładnia i zaślepia. Co prócz nienawiści można przeciwstawić przemocy? To są pytania, na które ciągle szukam odpowiedzi.

Dla obiektywnej oceny tego, co nam się przydarzyło w Polsce od lata 1980 do końca roku 1982 ważne są na pewno fakty. Myślę jednak, że istotniejszy od faktów jest stan umysłów dzisiejszych Polaków oraz stopień ich świadomości. Wiele zakrętów naszej powojennej historii otoczono tajemniczą mgłą nie-domówień, wiele spraw — z jednej i z drugiej strony — zafałszowano i fałszuje się nadal w bezwzględny, cyniczny sposób, albo dla tak zwanego „dobra sprawy”. Brakuje nam przekazów myśli ludzi współcześnie żyjących, uczestniczących lub tylko świadków naszych licznych zrywów, albo nawet ich przeciwników. Może dlatego mamy ciągle opinię narodu, który umie bić się, ale nie umie myśleć. Czy istotnie Polacy nie myślą, czy też myślą tak jak działają — indywidualnie?

Pomysł książki-dokumentu, która byłaby odbiciem stanu świadomości naszej inteligencji, zrodził się od razu w pierwszych miesiącach tej dziwnej wojny. Początkowo miały to być wywiady, a osoby dobrane tak, by objęły najważniejsze ośrodki kulturalne kraju i prezentowały Czytelnikom możliwie szeroki wachlarz środowiskowy i zawodowy. Lista osób, których opinii byłam ciekawa i na których otwartość mogłam w tych niespo-

kojnych czasach liczyć powiększała się ciągle o nazwiska sugerowane przez przyjaciół i znajomych. Myślałam więc raczej o stawianiu wszystkim jednakowych pytań i przy różnych okazjach dokonywałam takiej próby wśród najbliższych. Muszę przyznać, że na postawione po raz piąty identycznie brzmiące pytanie otrzymałam odpowiedzi banalne i powierzchowne. Wiedząc, że nie ma głupich czy bezwartościowych odpowiedzi, są tylko nietrafione pytania, odstąpiłam od systemu ankietowego, bojąc się nudzić Czytelników taką formą skrótego myślenia. Doszłam do przekonania, że skoro moim głównym celem jest jak najgłębsze odkrycie się respondenta, to może temu służyć jedynie najzwyczajniejszy tok rozmowy na określony temat. I tak się stało.

Rozmowy — jak je określałam — „niekontrolowane” (przez 12 miesięcy stanu wojennego głos w słuchawce telefonicznej ostrzegał, że rozmowa jest „kontrolowana”) przeprowadzałam od maja do końca listopada 1982 roku. Myślę, że są one świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego przez dobranych przeze mnie przedstawicieli inteligencji. Mam też nadzieję, że oddają ówczesne nastroje, wzbudzają być może nawet wątpliwości, tym samym zmuszając chyba do refleksji. Czy są reprezentacją pełną? Z pewnością nie. Są jednak — moim zdaniem — reprezentatywne dla ważnej społecznie, bo twórczej intelektualnie części inteligencji polskiej. Jest ich szesnaście.

Moi rozmówcy nie otrzymywali przedtem pytań. Trudności w telefonicznym porozumiewaniu się sprawiały, że nawiązanie pierwszego kontaktu kończyło się często po prostu przeprowadzeniem rozmowy. Ta gotowość i zrozumienie sprawy, jakiej poświęcamy nasz wspólny czas, były dla mnie dodatkową zachętą i potwierdzały sens podjętej pracy. Anonimowość nie była warunkiem *sine qua non* każdej z tych rozmów. Zastosowałam ją jednak do całości, mając na uwadze bezpieczeństwo wszystkich. Litery alfabetu greckiego zastąpić muszą nazwiska moich rozmówców i moje, a wspólnie dokonane retusze szczegółów biograficznych pozostaną na razie tajemnicą przynajmniej dla niektórych. Mam jednak nadzieję, że zainteresowanych tematem nie zniechęci to do lektury.

Na koniec pragnę podziękować współautorom książki — moim rozmówcom — za okazane mi zaufanie, a także i tym wszystkim, którzy przyczynili się do opublikowania tego fragmentu myśli inteligencji polskiej.

ALFA

BETA

Alfa: — Umówmy się, że jedziemy pociągiem każdy w swoim, ściśle określonym celu. Nie znamy się, wysiadziemy na różnych stacjach ale — jak to zwykle Polacy — rozmawiamy. Rozmawiamy o sprawach, które są dla nas ważne. Bo tak jakoś bywa, że zawsze te najistotniejsze rozmowy odbywają się właśnie — gdzieś w przelocie. Co można by dziś powiedzieć o stanie naszej świadomości?

Beta: — Życie sprawiło, że zamiast opisywać stan świadomości jestem zmuszony do tego, żeby ten stan świadomości kształtować. Nigdy nie wiem, jaka jest granica między tym, co zastałam, a tym co w wyniku rozmaitych poczynań moich nagle w tej świadomości powstało. Patrząc na to co się dzieje, zawsze zwracam szczególną uwagę na osoby, które są dla mnie jakoś reprezentatywne. Czasem to są ludzie starsi, czasem to są ludzie młodzi. Pytam, co się w nich dzieje, jak reagują na aktualną sytuację, no i usiłuję opisywać typy, opisywać.

Bardzo wielu ludzi, z tych których znam, wróciło po prostu do swoich obowiązków. I to jest może najzdrowszy odruch, jaki można zaobserwować. Np. moi znajomi, którzy byli zaangażowani w Solidarności Wiejskiej. Tutaj powrót do obowiązków nie jest zbyt skomplikowany. Wiosna spowodowała, że trzeba kończyć te rozmaite, wielkie reformy świata, bo krowy ryczą, owce trzeba wypędzać na pastwiska, a ziemię zaorać. Potem stosunkowo najzdrowiej, najnormalniej zareagowały środowiska studentów szkół artystycznych — taka Akademia Sztuk Pięknych... Np. ten obraz, który Pani widzi. Nie jest to obraz, który nadawałby się do dekoracji pokoju, no, ale był odruchem chwili, prawda? Jest robotnik, no i, i, i, i. Jest to jakiś histo-

ryczny dokument czasów, w których żyliśmy. Może ludzie zapomną o wielu rzeczach, a ten obraz zostanie. A więc w tych środowiskach dochodzi do jakiejś twórczości. Ta twórczość jest na nowym poziomie, to znaczy nagle dramat narodowy owocuje na poziomie kultury. I wydaje mi się, że to jest niezmiernie cenne, niezmiernie ważne. Zawsze tak było, że polskie dramaty narodowe owocowały na terenie kultury, potwierdzając suwerenność Polski. Duchową suwerenność Polski. Jeżeli byśmy powiedzieli, że Polska to przede wszystkim kultura, nie tyle struktura pracy, tylko kultura — może to jest błędne przeciwstawienie, ale tak się umówmy — to można by powiedzieć, że klęska na poziomie struktury pracy, na poziomie ulepszenia struktury pracy nie oznacza klęski na poziomie twórczości czysto kulturowej, artystycznej, literackiej. Wręcz przeciwnie. Z takiej klęski może coś istotnego powstać.

A: — Co pozwoli po prostu przetrwać.

B: — Więcej niż przetrwać. Bo stworzy nową zupełnie jakość. Ja myślę, że po pięciu latach wymienią się garnitury w naszych władzach. Może się i wymienią garnitury wśród tych autorytetów społecznych, do których byliśmy dotąd przyzwyczajeni. One przeminą, a to co się stworzy istotnego na poziomie kultury, to pozostanie. O, choćby ten „Hiob” w Teatrze, który pozornie wydaje się z innego świata, z innej ziemi, a przecież także opowiada jakoś o polskich sprawach.

Myślę, że ta twórczość bardzo mi dodała otuchy i pierwszym moim odruchem było włączyć się jakoś w tę właśnie twórczość. Może jedno jeszcze trzeba by tutaj powiedzieć. Zastanawiałem się, co się właściwie stało 13 grudnia. Porównując ten zamach stanu, czy jak to nazwać, z innymi zamachami stanu na Zachodzie, w Ameryce Południowej czy na Wschodzie, można powiedzieć, że jego przebieg był stosunkowo łagodny. A przecież cios był niezwykle bolesny. Kilka razy nawet powiedziałem, że świadomość bólu jest większa, niż ból na to zasługuje. Zwłaszcza w środowiskach inteligenckich ta świadomość była bardzo duża. Ale trzeba to dobrze rozumieć, bo wydaje mi się, że ten cios polegał na upokorzeniu, i to na upokorzeniu, które miało posmak okrucieństwa. To, że dotknięci zostali intelektualiści, przedstawiciele elity kulturalnej, prawda? To było przerażające.

A: — Ale oprócz tego dotknięci zostali także robotnicy. Coraz więcej ludzi z tych kręgów jest aresztowanych za najmniejsze nawet wykroczenie przeciwko dekretowi o stanie wojennym.

B: — Tak, sprawa robotnicza była innego typu. Ja nie byłem wtedy na strajkach, ale tam rozgrywały się rzeczy niezwykłe, rzeczy straszne. Rozgrywały się sceny, które nie wymażą się z pamięci narodowej i te sceny są jedyne w naszej historii. To jest racja. Ale zostawmy na razie robotników na boku, bo nie wiem jak tam pójdzie dalej ta sprawa. Ja nie bardzo jestem blisko tego środowiska. Jestem raczej bliżej środowisk chłopskich i inteligenckich.

A: — Jeśli chodzi więc o chłopów, czy to upokorzenie odczuli także?

B: — Chłopa nie jest łatwo upokorzyć, bo nie jest mu łatwo odebrać poczucie własnej niezależności i własnej godności. Chłop jest trochę wolnym ptakiem, a po drugie reaguje na takie rzeczy trochę inaczej. Każdy człowiek ma jakąś barierę cierpliwości i jeżeli się dotknie tej bariery, to człowiek protestuje. Można powiedzieć, że inteligencja jest bardzo wrażliwa na naskórku. Natomiast chłop jest dopiero wrażliwy w okolicach rdzenia. Ale wtedy jak rąbnie pięścią w stół, to to jest mocne. Naprawdę. Nie za bardzo się przejmuję tym, co się koło naskórka dzieje. Jest natomiast faktem, że w środowiskach chłopskich odżyły wartości patriotyczne. To jest dziwna sprawa, ale sygnalizują mi z wielu stron to zjawisko, że młodzież wiejska nagle poczuła się polską. Np. jest ogromne zapotrzebowanie na literaturę. Jeden z moich znajomych mówił mi nawet, że w tej chwili zaczyna się na wsi mniej więcej taki proces, jaki po czerwcowych rozruchach miał miejsce w środowiskach robotniczych. Tak że dopiero teraz ta nowa świadomość wkracza na wieś.

Nawiązuje się — przynajmniej w tych środowiskach, które ja znam — głównie do tradycji witosowskich. Trzeba z drugiej strony powiedzieć, że wieś w Polsce miała według mego rozeznania szczególną sytuację. To znaczy hasła walki o demokrację na wsi nie były zbyt żywo przyjmowane. Nie dlatego, że się chłopom demokracja nie podobała, tylko dlatego, że przy tym stanie umaszynowania wsi chłop w Polsce po prostu nie ma czasu na demokrację. Parę miesięcy zimy może sobie coś demokratycznie poddecydować i pogadać, natomiast przez cały rok musi pilnować ziemi. Myślę, że dopóki się nie zmieni sytuacji pracy na wsi, to demokracja na wsi będzie pustym słowem. Tak że hasła sierpniowe, bardzo ważne dla wsi, jeżeli idzie o demokrację, odgrywały mniejszą rolę. O wiele większą odgrywała sprawa własności ziemi.

A: — I równości.

B: — I równości. Myślę, że tutaj to zaowocowało. Możemy śmiało powiedzieć, że sierpień przyniósł istotne zmiany dla chłopów, dla świadomości chłopskiej. 13 grudnia okazał się też później najmniej dla nich destrukcyjny. Na początku wieku XX mówiło się, że Polska jest przede wszystkim Polską chłopów, co się potem jakoś sprawdziło w 1920 roku; wydaje mi się, że w tej chwili dzieje się coś podobnego, że Polska na powrót jak gdyby staje się Polską chłopów. Jeżeli słuszne jest to, że środowiska robotnicze są rozbite, to środowiska chłopskie są, wydaje mi się, wbrew pozorom mniej rozbite. „Solidarności” wiejskich jest bardzo dużo, ale interes jest wspólny. Prawda? Nadbudowa może być rozmaita, natomiast interes jest wspólny. W tym widzę nową jakość. W gruncie rzeczy większość rozmaitych klęsk żywiołowych w Polsce w postaci Październików, Grudniów itd. zaczynała się od wsi. Wbrew pozorom robotnicy reagovali na klęski w rolnictwie. Brak żywności, bo chodziło o żywność, zaczął się od tego, że polityka rolna była kiepska. I można powiedzieć tak: jeżeli są jakieś błędne decyzje w polityce rolnej, to mniej więcej za rok lub dwa lata później mamy eksplozję albo tu, albo tu, albo tam. Chłopi oczywiście nie eksplodują, bo nie mogą, tylko nie dają świń, nie dają krów itd. Przywiązują dużą rolę do ruchów i do samoświadomości chłopskiej.

Oczywiście, jest także problem rozliczeń za przeszłość. Sytuacja jest niezręczna, bo nie powinno się krytykować pokonanych. A z drugiej strony przecież trzeba jakąś refleksję krytyczną snuć. Bo jednak przyszłość Polski będzie zależeć nie od tych, którzy dziś wygrali, ale od pokonanych. A siła tych pokonanych, moralna siła jest tak ogromna, że to jest tylko kwestią czasu, kiedy Solidarność wyjdzie na zewnątrz. Czy wyjdzie za rok, za pięć czy za dziesięć lat, to jest już obojętne, ale musi wyjść. Bo to jest mocniejsze.

A: — No, to nie jest tak zupełnie obojętne, ale tak można mówić.

B: — Tak można mówić. No bo powiedzmy idea powstań, która się przez dziewiętnasty wiek ciągnęła. Na czym rzecz polega? Przez dziewiętnasty wiek ciągnęły się idee powstań zbrojnych i owocowały raz po raz wybuchami. Solidarność wniosła ideę pokojowej walki, walki z czystymi rękami, walki o niepodległość pracy. Myślę, że siła tego ruchu jest o wiele większa niż siła wszystkich ruchów w Polsce w okresie dziewiętnastego wieku, a nawet i na Zachodzie. Wydaje mi się, że moralna siła i wydźwięk tego ruchu jest większy niż siła moralna Rewolucji Październikowej w Rosji. Bo jest to siła, która po raz pierwszy

w historii Europy stworzyła nową rzeczywistość społeczną bez odwoływania się do walki klas. Tylko do solidarności, do wspólnoty itd.

Oczywiście to dojrzeje jeszcze, to się wykrystalizuje. Ale nie wykrystalizuje się bez krytyki. Musi być krytyka. Nie może to być krytyka ludzi, musi to być krytyka koncepcji. I to jest zasadnicza sprawa.

A: — Bo ludzie są ułomni i przemijają, a koncepcja zostaje.

B: — Tak, prawda. Czy to był Traugutt czy Piłsudski czy ktoś inny, jest już sprawą drugorzędną, natomiast koncepcja wtedy była jasna.

A: — Jakich wobec tego błędów należałoby uniknąć, gdyby reaktywowano Solidarność? Czy można w ogóle liczyć się z taką ewentualnością?

B: — Ściśle mówiąc jestem psychicznie przygotowany na jedno i na drugie. Jest to taka paradoksalna sytuacja, że cokolwiek rząd zrobi, zrobi źle. Reaktywuje — źle, nie reaktywuje — źle. To znaczy, że sytuacja jest bardzo dobra.

A: — Im gorzej, tym lepiej?

B: — Nie, nie: przeciwnik nie ma wyjścia.

A: — Ale też związkowcy wyjścia nie mają.

B: — To pytanie. Początek naszej sytuacji widzę w 1968 roku. Ja trochę nie doceniałem roku 1968. Dlatego, że u nas on tak nie zaowocował jak właśnie w Warszawie. W owych czasach powstały na terenie socjalizmu polskiego — tak powiedzmy ogólnie — jak gdyby dwa ruchy. Jeden ruch reprezentował — mówiąc umownie, symbolicznie — Kuroń, a drugi był to ruch partyjnego dogmatyzmu. Reprezentanci się zmieniali w zależności od okoliczności. I były to dwa kierunki ze sobą sprzeczne. Ruch dogmatyzmu partyjnego akcentował potrzebę dyktatury proletariatu, sprawowanej przez dyktaturę partii. Kuroń reprezentował ideę samorządu robotniczego, czyli demokracji od strony robotników. Trzeba powiedzieć, że obydwa ruchy miały charakter polityczny. W okresie gierkowskim ich rola była znikoma, dlatego że Gierek poszedł w stronę pragmatyzmu, w stronę technokracji, brał pożyczki, gospodarka szła na innej zasadzie. W pewnym momencie zawalił się ten gierkowski środek. I wybuchła sprawa związków zawodowych. Ale czym mają być związki zawodowe w socjalizmie, tego nikt nie wiedział. To bardzo charakterystyczne. Na temat koncepcji partii w socjalizmie ukazywało się stosunkowo dużo prac i dużo książek. I ta koncepcja partii ewoluowała. Inna była rola partii w okresie tzw. demokracji ludowej, inna potem. W każdym razie

ten pierwotny, powiedzmy leninowski styl uległ rozmaitym modyfikacjom.

A: — Tak, a związki zawodowe były zawsze przedłużonym ramieniem partii.

B: — Niestety. Niestety, tutaj koncepcja nie drgnęła. I druga rzecz także ważna. Także i katolicy nie wiedzieli, co to właściwie są związki zawodowe i czym one mają być w socjalizmie. My w ogóle żyjemy w socjalizmie na zasadzie instynktu samozachowawczego. Bez koncepcji.

A: — Ale mieliśmy przecież księży robotników, niezliczonych wprawdzie, którzy będąc we Francji czy Belgii otarli się nawet dość blisko o te ruchy rozwijające się na Zachodzie.

B: — Ale ruch związków zawodowych na Zachodzie był zupełnie czymś innym niż socjalizm. Nie można było przeszczepiać tych wzorców tutaj, ale nie można było trwać przy starym wzorcu „pasa transmisyjnego”. Kiedy wybuchła Solidarność, z natury rzeczy musiała być podciągana do tych koncepcji, które już były. A były dwie, a w gruncie rzeczy jedna, to znaczy koncepcja Kuronia. Ogromną zasługą Kuronia jest to, że miał koncepcję. No i z natury rzeczy Solidarność szła w stronę samorządu, bo to była jedyna koncepcja alternatywna. Nikt właściwie innej nie dawał.

A: — Istniała jednak mała grupka reformistyczna wśród partyjnych, której reprezentantem był Lamentowicz.

B: — Racja, ja bym powiedział nawet więcej, że potem ujawniła się postać Gaszpara, tego węgierskiego przywódcy. Jego przemówienie na Kubie dość mnie zainteresowało, bo ono przełamywało inercję doktrynalną w socjalizmie w tej sprawie. Jednym słowem widzę, że teoretycznie nie byliśmy za dobrze przygotowani do ruchu zawodowego. Praktyka znowu poprzedziła teorię. Była ślizgawka. Póki lód niósł, to chłopcy na ślizgawce jechali. Lód się urwał, no to mokną. I tutaj znowu odkryłem Norwida, który napisał, że Polacy byli narodem, który nigdy nie walczył ideą, myślą. Sądzę, że myśmy też za mało walczyli ideą w tej sprawie. To jest wizja w pewnym sensie pesymistyczna, a w pewnym sensie optymistyczna; optymizm polega na tym, że jednak w wyniku ducha Solidarności sprawa związków zawodowych drgnęła po obu stronach. Drgnęła w tym skostniałym socjalizmie, i drgnęła po naszej stronie.

Wielu ludzi sądzi, że to mało. Są tacy co woleliby więcej. Ale weźmy przecież pod uwagę historię, najtrudniej zmienić jakąś kosteczkę w ideologii. Tak samo jak w wierze. Ież trzeba było czasu, żeby ludzie w wierze katolickiej przyzwyczaili

się do ewolucjonizmu. Ta sama mentalność jest i po drugiej stronie. Myślę, że już samo drgnięcie pewnych spraw ma ogromną wagę. W każdym razie nie jestem taki pewien, że socjalizm jest niereformowalny.

A: — Może taki zreformowany ustrój będzie po prostu czymś zupełnie innym?

B: — Może. Ale mniejsza o nazwę. Poza tym, ideałem moim jest jeszcze jedna sprawa, jeden mit, który czasem chciałem trochę zaatakować. Socjalistyczne wychowanie przekonało wielu ludzi, że tylko wtedy są naprawdę wartościowi, kiedy mają jakiś udział we władzy. Proszę zwrócić uwagę, że dążność do udziału we władzy jest w naszym społeczeństwie ogromna. Jest to wynik edukacji socjalistycznej. Powiedzmy idea samorządności, idea demokracji i takie rozmaite rzeczy. We wszystkich ruchach lewicy laickiej i prawicy laickiej, w ruchach inspirowanych przez socjalizm, jest pęd do uczestnictwa we władzy.

Myślę, że jest w tym trochę iluzji. Władza powinna być taka, żeby się można było przestać nią zajmować, a zająć się innymi sprawami, które człowiekowi bardziej leżą na sercu. W wyniku wprowadzenia stanu wojennego dokonuje się coś paradoksalnego. Społeczeństwo nie mając wpływu na bieg spraw szuka ucieczki w prywatność. I to nie jest złe. Niech każdy tę swoją działkę uprawia, byle dobrze. I w prywatności można dopracować się wielu znakomitych osiągnięć.

A: — Czy w prywatności można dorobić się wspólnej koncepcji, odpowiedniej dla większości? Jeden będzie uprawiał ogródek, drugi pisał wiersze — i co z tego...

B: — Po pierwsze myślę, że społeczeństwo Gierka się już nie powtórzy. To znaczy ta sytuacja bogacenia się. Po drugie proszę pamiętać, że z prywatności gierkowskiej powstało w sumie w dziedzinie kultury dosyć dużo. Nie przesadzajmy z tymi domkami, samochodami, bo cóż to za bogactwo. Normalna sprawa. Naprawdę wielkie przedsięwzięcia w kulturze zaczynały się od prywatnych spraw. Państwo w zasadzie nie zainspirowało nigdy, w żadnym kraju nowego ruchu kulturowego. Jeżeli go tolerowało, to już było bardzo dużo.

A: — Ale to odnosi się jedynie do garstki. Jak powiedział kiedyś Czesław Miłosz, są to może trzy wagony, które można załadować i wywieźć... A przecież nas Polaków jest bez mała 40 milionów.

B: — Myślę, że to też tak nie jest, bo jest oczywiście ta wysoka kultura, o której się wie. Ale poza tym jest Polska, są

miasta, miasteczka — i w takich miastach i miasteczkach też się jakaś kultura tworzy. Są tam rozmaite, mniej lub bardziej prywatne towarzystwa miłośników i tak dalej. To wszystko jest w Polsce dosyć bogate — te tradycje, te regionalizmy są bardzo mocne.

A: — A czy to już nie jest zbyt zbytnio zbiurokratyzowane?

B: — To pękło. Przynajmniej w tych regionach, które obserwuję, jest duża autentyczność. Jeszcze i to trzeba powiedzieć, że są jak gdyby takie trzy warstwy istnienia w tym kraju. Warstwa narodowo-religijna, warstwa państwowa i warstwa ideologiczno-partyjno-marksistowska. W wyniku tego co się stało, warstwa narodowo-religijna jak gdyby się zsubstancjonalizowała, stała się mocną substancją narodową. To jest niezwykła wprost sprawa. I dzięki Papieżowi, dzięki Solidarności, dzięki przeszłości. To jest nietknięte.

Stosunek do władzy państwowej nacechowany jest daleko posuniętym krytycyzmem. Państwo jest traktowane jako czynnik przeważnie przeszkadzający autentycznemu rozwojowi człowieka, ogromny krytycyzm, ale nie ma absolutnej negacji. Musimy sobie zdać z tego sprawę, że państwo nie jest odrzucające jako państwo. Przeważnie traktuje się obecne państwo jako punkt wyjścia do ulepszania go. Nie chce się go obalać, żeby zaczynać od zera, tylko bierze się je za punkt wyjścia. Zupełnie inaczej jest z partią i ideologią marksistowską. Tutaj formuła, którą gdzieś ktoś zapisał jest chyba trafna. Mianowicie: po co i komu to wszystko potrzebne? Po co jest potrzebny marksizm i komu, po co jest potrzebna partia i komu? Nie jest to jeszcze odrzucenie, nie jest to odpowiedź, że nikomu, ale pytanie: po co oni są potrzebni? To znaczy, że jesteśmy na etapie, o którym można by powiedzieć tak: kiedy chłop sobie kupuje traktor, to się pyta: po co potrzebny jest koń? Albo tak jak jakiś kapitan napoleoński pytał, po co w wojsku potrzebna jest orkiestra. Więc traktowanie partii jako orkiestry wojskowej. Jest potrzebna, bo przygrywa czasem. Ale jak się zaczyna coś naprawdę, to wtedy już tej orkiestry nie słyhać. I lepiej, żeby jej nie było słyhać. Chodzi mi o partię komunistyczną. Zresztą sytuacja w Polsce i w Europie jest dzisiaj nieco inna niż przed wojną. Wielość partii jest sensowna tam, gdzie w państwie istnieje wielość koncepcji politycznych. W Polsce jest raczej zapotrzebowanie na pluralizm związków zawodowych, przy akceptacji monopolu partii. Partia jako siła reprezentująca pewną koncepcję polityczną w ramach bloku i wielość związków zawodowych jako organizacji odpowiedzialnych za struktury pracy w pań-

stwie. Dla mnie idea związku zawodowego jako związku broniącego interesów pracownika to troszeczkę za mało. To znaczy w socjalizmie ona jest niewystarczająca. Bo główną chorobą socjalizmu jest brak postępu technicznego. I na tym się socjalizm wywraca, wywrócił się i będzie się wywracał. Dla socjalizmu jest rzeczą ogromnie trudną przekroczenie pierwszego lepszego wynalazku. Profesor Lipiński pisze, że socjalizm nie wynalazł ani jednego urządzenia, które by ułatwiło czy zaspokajało potrzeby ludzi. Ani pralki, ani telewizora. To jest choroba braku postępu. Dzisiejszy kryzys w Polsce i w Europie Wschodniej wynika z tego, że nie mogą przekroczyć informatyki. Szczególnie śmieszne, że pierwszą rzeczą, w jaką stan wojenny uderzył, była informatyka. To mnie ubawiło, ale z drugiej strony przeraziło, bo jeśli biją w informatykę, to znaczy, że struktura ludzkiej pracy cofa się nagle o kilkadziesiąt lat wstecz. Będą ją modernizować w kilka lat potem z ogromnymi trudnościami, odbudowując to co sami zniszczyli.

Gdyby tak stworzyć strukturę związku zawodowego, to związek zawodowy byłby odpowiedzialny nie tylko za bhp, ale także za proces unowocześnienia pracy. Tylko jak to zrobić, skoro w pewnych przypadkach związek działałby przeciwko samemu sobie. Wprowadzenie nowego wynalazku oznacza zwalnianie robotników albo skracanie dnia pracy. Myślę, że gdyby zminimalizować rolę związku zawodowego do tego, aby zajmował się tylko wprowadzaniem do Polski innowacji technicznych, to za pięć lat mieliśmy zupełnie nową strukturę.

A: — A co teraz robić?

B: — Każdy co innego, to oczywiście. Myślę, że pierwszym zadaniem jest, mimo wszystko, powrót do obowiązku. Czy można ocalić Polskę w godzinach nadliczbowych, czy też należy ją ocalać w godzinach obowiązkowych? Wydaje mi się, że należałoby powrócić do obowiązków, co nie znaczy powrotu do pracy w tym sensie, w jakim to władza w tej chwili mówi. Obowiązek to co innego niż praca. Czasem obowiązkiem jest właśnie to, żeby przestać pracować. Jeżeli praca jest bez sensu, to obowiązek polega na tym, żeby ją usensownić. Tym niemniej wydaje mi się, że „nauczyciele do szkół” to przegrane kiedyś hasło...

A: — A pisarze do piór? I tak dalej?

B: — Jak się to wtedy mówiło... Taka jest historia, że trzeba do tego obowiązku wrócić. No i po drugie wydaje mi się, że w tych prywatnych ogródkach działkowych jest idea ogólna. Tutaj, jak to Hegel mówi, duch obiektywny działa. W tej

chwili Duch Obiektywny jest w ogródkach działkowych, w obowiązku. No i do kościoła oczywiście też trzeba chodzić, no bo...

A: — Rozumiem, to jest także duch obowiązku... Ale mówiąc poważnie, fakty temu przeczą. Ponoć 3 miliony pracowników złożyło podania o przejście na emeryturę. Jest to ucieczka, ale od czego? Od pracy, czy od jej bezsensu?

B: — Myślę, że ten proces jest mimo wszystko jakoś usprawiedliwiony. Oni są przede wszystkim chyba niepotrzebni w pracy. Większość z nich podejmie pracę na tych ogródkach działkowych i pożytek będzie większy. Jest to niewątpliwie kłopot dla rządu, ale patrząc na sprawę z boku, nie jest to naródowa klęska żywiołowa. Jest to rządowa klęska żywiołowa. Oni będą musieli pewne sprawy dokręcić, pozmieniać.

A: — Wśród tych, którzy zdecydowali się na przejście „w stan spoczynku” są ludzie w pełni sił. Zostali po prostu do tego zmuszeni. Odchodzą więc nie tylko bezużyteczni. Śmiem nawet twierdzić, że jest odwrotnie. To samo zresztą dotyczy ludzi zwalnianych z pracy czy relegowanych z uczelni studentów. Władza internuje i aresztuje, a potem sądzi i wydaje wieloletnie wyroki nie na pijaków, pokątnych handlarzy czy malwersantów, lecz na protestujących przeciwko stanowi wojennemu działaczy związkowych, strajkujących robotników, młodzież studencką i ze szkół średnich. Zaczęło się od intelektualistów, a kończy na dziatwie szkolnej. Weryfikacją objęto właściwie całe społeczeństwo.

B: — To jest mechanizm tej władzy. Władza u nas wierzy, że rządzi poprzez tzw. środki wytwórcze. Mając w ręku środek wytwórczy — fabryki — rządzi robotnikami. O tym jeszcze nie mówiliśmy, o kryzysie pewnej koncepcji władzy, czego się u nas nie zauważa. Bo są w zasadzie dwie koncepcje władzy. Jedna to władza wynikająca z demokratycznego wyboru — ta nie ma nic wspólnego z własnością środków produkcji. I druga, która mówi, że rządzi naprawdę ten, kto jest właścicielem środków produkcji. I wtedy czy jest demokracja, czy nie ma demokracji, to już wszystko jedno. Może być, może nie być. Jak ja jestem właścicielem fabryki, to wiem co i jak. U nas lansowana jest oficjalnie ta druga koncepcja władzy. Natomiast władza nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest to koncepcja przegrana. Jest to neoneowolnietwo. Przy pewnych układach demokracja położy na łopatki władzę, która usiłuje rządzić przez środki produkcji. Przede wszystkim hamuje się wtedy postęp środków produkcji i ma się ten cały bałagan socja-

listeczny. I to też jest tutaj w stanie kryzysu. Bo koncepcja władzy się rozpadła. Koncepcja władzy nie rozpada się, gdy jest zaatakowana przez rewolucję. Nie, ona się rozkłada przez prywatność. To znaczy reaguje się na nią obojętnością. No, to sobie rządz! Ale już chłopami przestaje rządzić. Znam młodego człowieka, który powiada, że uniwersytety są głupie. I uczy się sam. Roznosząc mleko zarabia bardzo dużo, a potem chodzi jako wolny słuchacz na dowolne wykłady, czyta dowolne książki, jest jednym z najmądrzejszych studentów w okolicy, bo może sobie pozwolić na kupno każdej książki. A student nie. I na przeczytanie każdej, a student musi zaliczać jakieś tam cholera wie jakie egzaminy. Jest to znakomity chłopak, znakomity, i myślę, że on się w kulturze będzie liczył. Nawet maturoy nie ma. Jest to patologia, ale też papierek lakmusowy naszych czasów. Państwo może w pewnym momencie stanąć przed sytuacją, że jest władcą much. A prawdziwe życie uciekło, toczy się gdzie indziej. Czytałem jeszcze raz historię wieku XIX, czytałem dzieje rewolucji francuskiej, a przede wszystkim idealistów niemieckich, także Hegla. Mieli niesamowicie ostre widzenie tych spraw. A przede wszystkim to mnie fascynowało, że Hegel, ile razy jakaś siła dochodziła do zwycięstwa, dopatrywał się początków przegranej. I tutaj miał rację. Moment zwycięstwa jest początkiem przegranej.

A: — Czy zostaliście pokonani?

B: — Nie, nie.

A: — A czy są zwycięzcy?

B: — Nie, nie ma. Stan wojenny to sito, to cepy, które klepią po klepisku, ale nie po zbożu. Środki są nieproporcjonalne do rzeczywistości, która siadła. To coś takiego, jakby się sitem chciało hamować upływ rzeki. Sito trochę przeszkadza, ale rzeka i tak płynie.

A: — A jakie perspektywy przed nami? Myślę o najbliższej przyszłości.

B: — Nie wiem. Bardzo dobrze jest myśleć o tym, co było, wyjaśniać dlaczego stało się, jak się stało, ale przewidywać jest ogromnie trudno.

A: — No ale gdybym zapytała, jakich błędów nie należy popełnić w momencie uzyskania znów możliwości robienia tego wszystkiego co uważamy za ważne i potrzebne?

B: — Myślę, że główną sprawą jest wypracować koncepcję pracy. Rozkład dialogu pracy jest przyczyną klęski. Nie chodzi jedynie o motywację. To jest głębsza sprawa. Porównywałbym to do sytuacji, kiedy ludzie rozmawiają i znają sens słów, ale

nie mają wspólnej gramatyki. I w pracy tak było, że poszczególni ludzie wykonywali swoje zadania, poszczególne fabryki także, a z tego się nie składała całość.

A: — Wydaje mi się jednak, że jak Polska długa i szeroka, prawie wszyscy narzekali na złą pracę w urzędach, handlu czy usługach, a także w przemyśle. Czy jednak ci, którzy narzekali sami pracowali rzetelnie?

B: — Ja bym tutaj szczególnie winił warstwę urzędniczą. Myślę, że w całym kryzysie polskiej pracy główną winę ponosi warstwa urzędnicza. Nie wychowaliśmy urzędników. Chłopi pracują jak Pan Bóg przykazał, bo muszą. Górnicy pracują, bo muszą, hutnicy też. A wyżej, w administracji czyli komunikacji, sprawa jest zepsuta. A zepsuta jest przez czynnik polityczny, to znaczy przez to, że było za dużo pośredników. Każde stanowisko pracy musiało mieć zapośredniczenie ideologiczne. Drogą był za długi i pękł. Trzeba więc odbudować strukturę pracy. Jest rzeczą niemożliwą, przynajmniej w naszych warunkach, odbudowanie struktury globalnej, bo ona jest w ręku władzy. Natomiast będą się tworzyć i odbudowywać struktury mniejsze, kręgi mniejsze. I pośrednie. Powiedzmy takie struktury jak jeden chłop, drugi chłop i zakład, który naprawia traktory. Tego rodzaju komunikacja będzie się tworzyć i ona będzie niezależna od tego wielkiego systemu państwowego. To znaczy mała gospodarka będzie funkcjonować niezależnie od wielkiej gospodarki. I w tym widzę, jeśli idzie o pracę, pewien ratunek.

A: — Więc przede wszystkim odbudowa drobnej wytwórczości?

B: — Tak, ale zwłaszcza związanej z rolnictwem, gdy idzie o Polskę. Włosi np. mają wielki przemysł, Fiata i inne tego typu rzeczy, i mają drobną wytwórczość na obsługę turystyki. I kryzys w wielkim przemyśle nie bije Włochów aż do końca po głowie, bo mają jeszcze ten mały przemysł. Myślę, że to jest możliwe w Polsce.

A: — Na to musi być zgoda partii rządzącej, bo ona chce mieć kontrolę nad wszystkimi ogniwami gospodarki. Byłoby to zatem ustępstwo ze strony partii?

B: — Pewne ustępstwa są mimo wszystko robione. Np. już w tej chwili bank ma tak ogromne możliwości sterowania, że gdyby obowiązujące w tej chwili przepisy utrzymały się, to mogą za dwa, trzy lata bardzo dobrze zaowocować. Zmienia one strukturę gospodarczą, bo odpadną przedsiębiorstwa, które trzeba dofinansowywać. Ale najważniejsze jest to, że znika wtedy

monopol partii. Przy czym na prowincji nie znika on na tej zasadzie, że dyrektorzy są nagle bezpartyjni. Nie o to chodzi. On znika, bo kryterium partyjności nie służy jako kryterium gospodarowania. On może być dalej partyjny, ale on się już w fabryce, PGR-ze czy zakładzie innymi kryteriami posługuje. W tym sensie można mówić o wydatnym ograniczeniu władzy partii. Partia trzyma się zaciekle środków masowego przekazu, bo jest to jedyna dziedzina, na którą ma jeszcze władzę. Natomiast już na dole naprawdę to zaczyna znikać. Jest to proces powolny i nieodwracalny, proces, który też z psychologicznego punktu widzenia trzeba zrozumieć. Są to ludzie wychowani w latach pięćdziesiątych na uniwersytetach. Dla nich przewrócić sobie coś w głowie to nie jest takie łatwe. Ale wyobraźmy sobie, że dojdą do stanowisk kierowniczych w partii ludzie kończący studia w latach sześćdziesiątych. Będzie zupełnie inaczej. O ile jeszcze będą mieli do czego dojść. Ale myślę, że i partia zmieni się z natury rzeczy. Poza tym jest ta koncepcja, że wojsko trzyma i nadaje pewność, że to się nie rozleci. Demoludy się nie boją, bo wojsko trzyma, no a partia będzie jakoś rany leczyć.

A: — A czy nas to tak bardzo powinno obchodzić?

B: — Wydawało mi się dawniej, że nie. Bardzo się cieszyłem, jak Kołakowski pisał na partię i z niej odchodził itd. A dzisiaj sobie tak myślę, że gdyby ktoś z tej partii, choćby Kołakowski, zrobił dobrą teorię związków zawodowych... Kto wie, czy nie byłoby trochę pożytku z takiej teorii! To jest dziwna sprawa, dlaczego w Polsce nikt właściwie nie interesuje się filozofią pracy. Podczas kiedy naprawdę wielką filozofią pracy jest marksizm. Był taki marginalny kierunek, który to w Polsce robił, ale ludzie którzy to robili byli rozmaicie powikłani politycznie i nie znaleźli uznania. Natomiast sama idea jest dosyć ciekawa. Ale wtedy zostali uznani albo za dogmatyków, albo za rewizjonistów. Natomiast uznanie władzy zyskali ci, którzy głosili potrzebę dyktatury proletariatu. Mam na biurku, jeszcze nie zacząłem czytać, historię wprowadzania maszyn w pracę w wieku XVIII i XIX. Trzeba pamiętać o tym, że każdy system totalitarny bardzo się boi postępu maszynowego. Wynałazcą śruby okrętowej był mieszkaniec Triestu, który wtedy należał do monarchii habsburskiej. Za wynalazek ten wsadzono go na siedem lat do więzienia!

A: — Gdzie więc tylko tknąć — brak konsekwencji. Z jednej strony system boi się postępu, z drugiej zaś słowo to w propagandzie całego 37-lecia nie schodziło ze szpalt codziennej prasy.

B: — Oczywiście, tutaj system iluzji jest niesłychany. I to też jest zadanie intelektualisty: demaskować to wszystko.

A: — Pamiętam ile śmiechu wzbudzały np. tematy prac doktorskich. Czyż nie?

B: — O grze w palanta... Natomiast jestem optymistą, gdy idzie o humanistykę. Tutaj w Polsce tego typu ograniczeń nie ma, ona jest z natury rzeczy dziełem indywidualnym. Tradycje są znakomite i myślę, że humanistyka w Polsce będzie owocować, bo jest to konieczność, czy potrzeba, pewnej prawdy. Humanistyka, to jest ta dziedzina, która wymyśla nazwy i w tych nazwach zawiera część prawdy o epoce. I tutaj humanistyka polska jest suwerenna. Po Sierpniu okazało się, że jest ona suwerenna i tej suwerenności nikt humanistycy nie odbierze.

A: — Byle by nie publikowała tego co myśli...

B: — Tak, ale to jest tylko kwestia czasu. Za pięć, za dwa lata, za rok. Pewnie że już w drugim numerze *Tygodnika Powszechnego* pełno kropek... Ale też proszę zwrócić uwagę, co oni tam kropkują: rzeczy śmiechu warte. Natomiast rzeczy naprawdę ważnych nie rozumieją i nie wiedzą, co się tam pisze. Kiedy mówię humanistyka, to jako wzorzec mam wiek dziewiętnasty, kiedy była eksplozja talentów. A gdyby tak dzisiaj sobie pomyśleć, że w *Tygodniku Powszechnym* publikują Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Norwid? Do tego dochodzą jeszcze i Liebelt, Trentowski, Hoene-Wroński i potem Kamiński itd. To jest niesamowity ładunek!

A: — Czerpać będą z tego pokolenia następne, tak jak my dziś zagębiały się w Mickiewicu, Słowackim czy Norwidzie. Ale co należy robić dla czytelnika żyjącego dziś, jak mu pomóc? Ludzie są rozbici tym, co się stało. Szukają powodów, krytykują. Uważają, że stała się rzecz straszna i krzywdząca, że trzeba się z tym rozprawić.

B: — Są rozbici. Tak, tak, jest to ciężka rzecz. Dlatego ciężka, że to są jeszcze ludzie poranieni.

A: — Bywają poranieni do końca życia.

B: — Trzeba tych ludzi stawiać na nogi i prostować, co się da wyprostować. A potem dopiero, jak się podleczą, postawić to drugie pytanie. Jeszcze jesteśmy na etapie — przynajmniej ja to tak traktuję — prostowania. Ale już się ten etap prostowania kończy. I teraz już trzeba przestać ich traktować jak pacjentów, tylko jak dojrzałych ludzi. I coś im zaoferować. Jeśli więc chodzi o humanistykę, to abstrahując od tego co się pisze, trzeba pamiętać na jakim poziomie się pisze. Otóż wiek XIX ustalił pewien poziom pisarstwa. To znaczy widzenie

Polski w wielkich horyzontach. Wschód-Zachód, przeszłość-przyszłość, kultura europejska-człowiek. Nie chodzi o to, żeby opisywać ogonki czy inne dolegliwości codzienne.

A: — Myślę, że takie całościowe potraktowanie narodu jest społeczeństwu ogromnie potrzebne. Po raz chyba pierwszy właśnie w Sierpniu nabrało ono pewności, że jest wartością w Europie. Że nie jest przyległością Wschodu czy Zachodu.

B: — Tak, tak. Kiedyś parafrazując powiedzenie Hegla powiedziałem, że Polska jest dzisiaj jak księga szyfrem pisana. Kto umie jej zadać rozumne pytanie, temu też potrafi ona rozumnie odpowiedzieć. W tym ogromnym bałaganie jest pewien rozum. Trzeba tylko rozumnie pytać, a odpowiedzi przyjdą.

A: — Bo mamy chyba takie przekonanie, że to co się w Polsce stało wnosi jakiś nowy element w ustaloną strukturę europejską.

B: — W każdym razie ktokolwiek i gdziekolwiek będzie wypowiadał słowo Solidarność, będzie myślał o Polsce.

A: — Bo nazwaliśmy pewien zestaw prawd tym właśnie słowem i dlatego chyba nie przegraliśmy.

B: — Jeżeli naprawdę dzieje są dziejami słów, a kultura jest zamknięta w słowach, to nie tylkośmy nie przegrali, ale nawet ta „przegrana” jest świadectwem wartości ukrytych pod tym słowem. To że są internowani, że są aresztowani świadczy, że to ma sens. I tutaj rzeczywiście jesteśmy w sercu Europy.

GAMMA

Alfa: — Józef Tischner napisał jakoś tak, że społeczne życie człowieka jest ciągiem wydarzeń i świadomością ciągu wydarzeń. Jest faktem i wiedzą o fakcie. Chciałabym, by było to motto naszej dzisiejszej rozmowy. Chodzi mi bowiem o świadomość tego, co przeżywaliśmy od sierpnia i potem w ciągu 16 miesięcy 1980-1981 roku aż po pamiętną noc z 12 na 13 grudnia. Co myślał Pan o Solidarności, a co myśli Pan obecnie?

Gamma: — Może wpierw powiem, jaki był mój ówczesny stosunek do Solidarności. Był on, jak mi się zdaje, dwoisty. To znaczy od chwili jej powstania bardzo pozytywny, wynikający z mojego przekonania, że jest to siła antyreżimowa, antykomunistyczna. Wszystkie moje uczucia były w to zaangażowane, ponieważ wiedziałem, że powstaje coś, co może doprowadzić do zmiany władzy, a przynajmniej do zmiany kształtu tego reżimu. Tak myślałem aż do grudnia. Popierałem najbardziej radykalne akcje. Popierałem duchowo, to znaczy akceptowałem wszystkie najbardziej radykalne akcje Solidarności wiedząc, że jest to jakieś mocowanie się i że trzeba pchać się naprzód. Znając zasady funkcjonowania tego reżimu wiedziałem, że jeśli ta siła nie pójdzie naprzód i nie będzie reżimu wypierała, sam się zaczniesz pchać do przodu, bo jego natura jest taka, że albo sam jest siłą, albo przed siłą się ugnie.

A: — Ale Solidarność początkowo była związkiem zawodowym, a potem...?

G: — Ja tego tak nie odczuwałem, nie. Rozumiałem, że są tam jakieś koncepcje związkowe, ale dla mnie one nie były nigdy specjalnie ważne, ponieważ nigdy nie miałem żadnego zainteresowania dla ruchów syndykalnych. Uważałem, że jest

to bardzo dobrze wymyślone, że jest to jakby sposób na ten reżim. Nowa forma syndykalizmu tutaj wymyślona była jedynym sposobem, który mógł doprowadzić do zalegalizowania siły antyreżimowej i do tego, żeby ona aktywnie działała. Natomiast była tego jakaś druga strona, ale ona już wynika z cech mojego charakteru. Wszystko akceptując, bardzo ostro widziałem słabości, a nawet wszystkie nędze tego, jak i każdego ruchu społecznego. Ale, jak powiadam, może jest to moja osobista nieufność do wszelkich ruchów społecznych. Widziałem jak się tam wypychają okropni ludzie, jak załatwiają przy okazji swoje niezbyt ładne interesy, usiłują coś na tym wygrać ze szkodą dla tego ruchu, a z korzyścią dla siebie. Tak to jest, to leży w naturze ludzkiej i w naturze życia społecznego, że wszystkie ruchy społeczne są penetrowane przez ludzi żądnych władzy, nadmiernie ambitnych, żądnych pieniędzy i pozycji społecznej i że po prostu inaczej być nie może. Dlatego byłbym nieufny wobec każdego ruchu społecznego, nawet najszlachetniejszego. To są — tak dzisiaj uważam — koszty własne każdego ruchu. Z dzisiejszej perspektywy, już pogrudniowej, wydaje mi się to nieważne. Moja nieufność wobec Solidarności nie zmieniała dla mnie zasadniczego sensu tego ruchu, który akceptowałem bez zastrzeżeń.

A: — Dlaczego Solidarność stała się tak masową organizacją?

G: — Nie wiem dlaczego ludzie szli do Solidarności. Czy rzeczywiście chcieli związku? Prawdopodobnie niektórzy chcieli. Myślę, że nie mamy wystarczającego rozeznania nastrojów robotniczych czy chłopskich. W moim przekonaniu ludzie szli do ruchu, bo chcieli mieć może w zakładach jakiś aktywnie działający związek, lecz przede wszystkim nie chcieli dłużej w Polsce tak żyć. Był to protest przeciwko takiemu życiu. Dostyc tego! Ponieważ to odczuwali prawie wszyscy w Polsce, więc też i prawie wszyscy znaleźli się w Solidarności. Ja myślę, że poszli nie dlatego, że chcieli tylko związku. Ludzie na górze w Solidarności mieli dość wyraźną koncepcję. Tam pewnie było kilka koncepcji, koncepcji może ścierających się, ale w sumie chodziło o to, żeby zmienić. Czy to ma być związek, czy to jest partia polityczna, która udaje związek, czy to jest związek, który się przechyla w stronę partii politycznej, to wszystko zostało narzucone przez reżim, który usiłował przy pomocy działań propagandowych Solidarność rozbić. Natomiast koncepcja ogólna była właśnie taka, żeby przy pomocy tej siły społecznej zmienić warunki i strukturę życia polskiego. Co do tego, wy-

daje mi się, była w całym związku zgoda. Różnice polegały na tym, jak tę koncepcję realizować. W sferze działania popełniono niesamowitą ilość błędów taktycznych od sierpnia do grudnia. Można by te błędy wyliczać, tylko że jest to zadanie jałowe, bo bez względu na to, czy popełniono by więcej błędów, czy nie popełniono żadnego błędu, skończyłoby się tak samo jak się skończyło. Bo reżimowi nie szkodziły błędy, tylko nie mógł przeżyć w ogóle istnienia takiej siły społecznej. Gdyby ta siła społeczna, będąc taką potęgą, ograniczyła się wyłącznie do celów związkowych, to dla reżimu byłoby to też nie do strawienia i też musiałyby ją zniszczyć i też zniszczyć siłą. Reżim sam zepchnąłby związek na pozycje polityczne, bo łatwiej byłoby mu się z nim załatwić. A załatwić by się musiał tak i tak, bo to zagrażało przecież podstawom jego istnienia i życiu z establishmentu. Błędy są nieważne z tej perspektywy.

A: — Czy świadomość, że istnienie Solidarności było właściwie niemożliwe w ustroju, w jakim przyszło nam żyć, ma Pan dopiero teraz, czy wiedział Pan o tym już wcześniej, a jeśli tak to kiedy?

G: — Myślę, że w tym jestem dość typowy. Nie wynika to chyba z moich indywidualnych cech. Tak to odczuwało wielu ludzi, zwłaszcza w moim wieku, to znaczy tych, którzy prawie całe życie przeżyli w Polsce Ludowej. Tu znów moje myślenie było dwoiste. Z jednej strony całe moje życie, doświadczenie mojego życia, mówiło mi, że komuniści to zniszczą, ponieważ inaczej działać nie potrafią, nie mogą, bo z ich istoty komunistycznej wynika to, że nie mogą znieść obok siebie żadnej konkurencji. Więc wiedziałem, że to jest skazane na zniszczenie. Ale była to wiedza czysto teoretyczna, albo może zawarta w jednej z warstw mojej świadomości. Dawałem się ponosić, jak wielu ludzi, nadziejom, że nastąpi finlandyzacja, że Rosjanie z istnieniem tego się zgodzą. Było to naiwne, dziecinne, ale to wynika chyba z charakteru ludzkiego, że człowiek daje się ponieść pragnieniom, że nie może żyć bez nadziei.

A: — A jaki jest dziś Pana stosunek do Solidarności?

G: — O, znacznie lepszy. Bo po pierwsze zostali w tej organizacji ludzie najlepsi, zdecydowani coś zaryzykować. A poza tym już widzę to jako niezwykle ważne zjawisko w historii Polski. Widzę wszystkie korzyści jakie wyniknęły, wynikają i jeszcze będą wynikać z tego, że Solidarność istniała i w jakichś formach nadal istnieje. Natomiast nie widzę żadnych — jakby to powiedzieć — strat, jakie z powodu istnienia Solidarności ten naród poniósł czy mógłby ponieść. Przeciwnie, wszystko

co jest związane z Solidarnością jest dla tego narodu korzystne. I wszystko co było związane z Solidarnością, w perspektywie historycznej, okaże się korzystne. Chociaż wiem, że Solidarność istnieć nie będzie, że te formy opozycyjne albo przerodzą się w coś innego, albo zanikną, albo odrodzą się w jakimś innym kształcie, albo zostaną zniszczone przy pomocy terroru. Ale to, że ta siła społeczna dzisiaj istnieje, wydaje mi się niezwykle korzystne dla duchowego stanu narodu, dla naszego ducha.

A: — Jakie miejsce przeznaczyłby Pan Sierpniowi w historii; czy jest to jeszcze jedno powstanie, czy jakaś historyczna cezura?

G: — Od jesieni 1980 roku byłem głęboko przekonany, że dzieje się coś takiego, co swoim wymiarem historycznym dorównuje czy to Konfederacji Barskiej, czy Powstaniu Listopadowemu; że jest tak samo ważne dla dziejów tego narodu, dziejów ducha narodowego. Gdyby nie powstania dziewiętnastowieczne, to Polski w ogóle by nie było i nastąpiłaby rusefikacja ducha polskiego. Taki był wymiar Powstania Listopadowego. W dwudziestym wieku taki sam wymiar był tego co się stało od Sierpnia 1980 do grudnia następnego roku. Te wypadki zapobiegły sowietyzacji narodu czy całkowitemu rozkładowi moralnemu i duchowemu, ku któremu społeczeństwo niewątpliwie zmierzało. Przed Sierpniem wielokrotnie mówiliśmy, że następuje coraz większa sowietyzacja, że ulica warszawska jest coraz bardziej sowiecka, że polska literatura oficjalna staje się coraz bardziej sowiecka, że wszystkie przejawy życia duchowego są niepostrzeżenie infiltrowane przez ducha rosyjskiego, który występuje w sowieckim przebraniu. Otóż Sierpniowy wybuch przerwał proces sowietyzacji. Odwrócił go, cofnął i przywrócił społeczeństwo polskie chyba do stanu z roku 1945. Oczywiście, nie jest to identyczne, bo jest to inne społeczeństwo, o innej strukturze klasowej, inaczej myślące. Ale rodzaj oporu, nastawienia do władzy rządzącej z polecenia rosyjskiego jest w tej chwili taki sam, jaki był w latach 1944-1945 do władzy, która wtedy z Rosji przychodziła. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, i gdzieś do połowy lat siedemdziesiątych dokonywał się tu proces „legalizacji” władzy komunistycznej. Naród, a przynajmniej pewne jego bardzo znaczące warstwy, zdawały się z tą władzą godzić i uznawać, że ze względu na to co przynajmniej temu narodowi ma prawo nim rządzić. Wydawało się chwilami, że protestujący od lat intelektualści są osamotnieni i że ze swym myśleniem znaleźli się na marginesie narodu. Sierpień doprowadził świadomość całego narodu, świadomość robotników

przede wszystkim, do świadomości tych grupek opozycyjnych, które istniały tutaj od sześćdziesiątych lat. A po cichu przecież takie nielegalne grupki inteligenckie istniały zawsze.

Na sierpień złożyło się znikczemnienie życia polskiego nie do wytrzymania dla 20-to i 30-tolatków. Nie mam więc poczucia, że na Sierpniu zaważyły marzec 1968 roku, grudzień 1970 czy czerwiec 1975. Może, choć nie jestem tego pewien, bo wykonało to już inne pokolenie. Ludzie z tamtych protestów byli, co prawda, aktywni po Sierpniu w strukturach Solidarności... Natomiast o tym, że w ogóle Sierpień się odbył zdecydowała postawa 20-to, 30-latków, i nie inteligentów. Ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z oporem przeciwko tej władzy, nagle przestali się godzić z tym, że są poniżani — poniżani w każdy sposób. W pracy, na ulicy, w sklepie.

Ale chcę wrócić jeszcze do znaczenia historycznego tych 16 miesięcy, to znaczy do historycznego znaczenia Solidarności. Świadomość, że to jest coś bardzo ważnego, coś w rodzaju Powstania Listopadowego czy Konfederacji Barskiej miałem bardzo wcześnie. Natomiast teraz wydaje mi się, że jest jeszcze ważniejsze, że to jest jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski ze względu na swój ogólnonarodowy charakter. Powstanie Listopadowe było wykonywane przez elitę i przez grupę wojskowych. Zaczęło się przecież od grupy chłopców. Potem cały naród ich poparł, ale... ale przecież szerokie sfery społeczeństwa były nieczynne, nie mówiąc o chłopach. I mieszczaństwo było też miernie czynne. Tłum chwilami wychodził na ulicę, jak 15 sierpnia w okresie rozruchów, natomiast taki ruch, w którym wzięłoby udział powiedzmy 80% narodu, czy 70% społeczeństwa, nawet w sensie duchowego poparcia, a nie czynnego działania, to taki ruch w ogóle w dziejach się nie zdarzył. Być może wydarzyło się coś, co dorównuje takiemu wydarzeniu, jakim był Chrzest Polski. Dzięki Papieżowi, dzięki splotowi stosunków międzynarodowych, a w dużej mierze chyba dzięki temu, co ruch Solidarności zdołał zrobić dla zmiany świadomości Polaków, nastąpiła na przykład wyczuwalna zmiana w stosunkach polsko-niemieckich. Po raz pierwszy od czasów Ottona, a więc po raz drugi w dziejach Polski, została Polakom dana szansa przyjaznego ułożenia stosunków z Niemcami. Jest to zupełnie niebywałe. Po raz drugi w dziejach Polski mamy tylko jednego wroga, a nie dwóch wrogów. Duża część Polaków już sobie z tego zdaje sprawę. Oczywiście to się nie wiąże wprost z działalnością Solidarności, lecz oczywiście ze stosunkiem Niemców i z działalnością Niemców, a więc z całą sytuacją między-

narodową. Ale niewątpliwie Solidarność przerwała tę straszliwą kampanię antyniemiecką, to judzenie komunistyczne, które teraz wraca. I to jest wydarzenie w dziejach Polski zupełnie niebywałe także przez swoje trwanie w czasie — to trwało wprawdzie krócej niż Konfederacja Barska, ale ona gdzieś tam się odbywała, gdzie indziej jej już nie było — natomiast to trwało na terenie całej Polski. I dłużej niż Powstanie Listopadowe. Znacznie bardziej było też masowe niż wszystkie dotychczasowe powstania narodowe... Czasem mi się wydaje, że dane było mi przeżyć jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski i ogromną radością napełnia mnie myśl, że mogłem w tym uczestniczyć i że dalej w tym uczestniczę bez względu na to, jak to się okropnie wszystko skończyło. Bo mam takie przecucie, że się skończyło.

A: — A co nam z tego zostało?

G: — Co z tego zostało? Niezliczona ilość rzeczy. Zaczniemy od tego co jest najważniejsze i zasadnicze dla istnienia naszego i dla istnienia przyszłych pokoleń. Została Polska. Polska jako pewna wartość duchowa, wartość niezniszczalna, została jeszcze raz potwierdzona przez Solidarność. Można powiedzieć nawet, że — pamiętając o czym przedtem mówiliśmy, o tej sowietyzacji życia polskiego — że Polska została ocalona przez Solidarność. I to jest oczywiście najważniejsze. Jeśli została Polska i duch Polski wzmógł się, odrodził, odnowił, rozszerzył, spotężniał, utrwalił się w swoim byciu metafizycznym, to oczywiście spotęgowane, odnowione zostało wszystko, co ten duch zawiera. Powstały jeszcze dla nas niejasne (o tym można będzie mówić za kilka, a może nawet za kilkanaście lat), nowe formy życia polskiego. Jakieś nowe formy związków między ludźmi, ale powiadam, to jest niejasne. Ocalając Polskę, te miesiące jednocześnie coś jakby zmieniły w charakterze polskości. To co dla mnie jest niesłychanie ważne: w pewnym sensie literatura polska została ocalona przez fakt tego zrywu narodowego. Ona oczywiście i przedtem była niepodległa w pewnych swoich przejawach, ale się umocniła, uzyskała oddech, uzyskała jakieś rezerwy, z których będzie przez następane dziesięciolecia czerpać. Ta podległość, to powolne dominowanie ducha sowieckiego, którego świadkami byliśmy tutaj w minionych latach zostało powstrzymane i już prawdopodobnie nigdy, a przynajmniej w najbliższych latach nie uda się narzucić przejawom duchowym życia polskiego tego stopnia zniewolenia, jaki był mu narzucany. Co jeszcze zostanie po Solidarności? Nieskończona ilość rzeczy w świadomości ludzkiej, to znaczy w poczuciu ludzi.

Wzmocniła się дума narodowa, także дума jednostkowa. Ludzie uzyskali poczucie swoich praw. Bardzo trudno będzie ich teraz pozbawić tego poczucia i bardzo trudno będzie im nie przyznawać tych praw. Bo będą wspominać te miesiące i mówić, że mieli takie prawa i teraz chcą je mieć dalej. I przez dziesięciolecia będą się do tego odwoływać. Bez względu na to co będzie dalej, jakkolwiek byłoby źle, istnienie Solidarności ograniczyło możliwości diabelskich manewrów władzy. Będzie musiała się odtąd liczyć z tym, że coś takiego było i może wrócić; będzie musiała wiele rzeczy ludziom przyznawać, z samego strachu, żeby to nie wróciło. A ludzie będą żądali coraz więcej, wspominając czym się stali przez tych kilkanaście miesięcy.

A: — Czy jest Pan za reaktywowaniem Solidarności?

G: — Nie ma chyba odpowiedzi na to pytanie. Mogę odpowiedzieć: owszem, jestem za reaktywowaniem Solidarności, tylko co to znaczy, kto by ją miał reaktywować i w jakiej formie. Nie mam żadnej gotowej myśli na ten temat. Jestem chyba przeciwny reaktywowaniu jej w jakichś formach szczątkowych i zdominowanych przez władzę. Choć też nie jestem pewien tego, czy nie należałoby podjąć takiej szansy, gdyby się wyłoniła.

A: — A dalej? Co należy robić?

G: — Nie wiem. Z tego co dotychczas powiedziałem jasno chyba wynika, że to, co było, uważam za ogromne zwycięstwo, którego ta porażka grudniowa nie przekreśla, bo jest to zwycięstwo jak gdyby w innej sferze, nie w sferze materialnej, tylko w sferze ducha i wobec tego cokolwiek by się dalej działo, naród jest zwycięzcą. Jednocześnie wiem, że na jakies spektakularne zwycięstwa teraz nie można liczyć. Mógłbym raczej powiedzieć, co chciałbym żeby było. Ale to nie miałoby nic wspólnego z rzeczywistością.

A: — Trzeba przecież przyjąć jakąś postawę, jakiś sposób życia w stanie wojennym. Co zaproponowałby Pan sobie i co doradziłby Pan tym, którzy by Pana o takie wskazówki prosili?

G: — Dla siebie oczywiście mam taką postawę wymyśloną i wiem co mam robić, ale mnie to nie przychodzi trudno, ponieważ ja przed Sierpniem i w czasie tych kilkunastu miesięcy mniej więcej myślałem tak samo, robiłem to samo i dalej będę robił swoje. Ale to nie jest recepta dla kogokolwiek. Trzeba robić swoje w sferze ducha, w sferze kultury. Trzeba korzystać z tego zwycięstwa, które zostało odniesione, i trzeba je utrwaląć. Dla mnie jest zupełnie jasne, że trzeba kontynuować szansę tamtych miesięcy zachowywania się jak ludzie wolni. Trzeba się dalej czuć człowiekiem wolnym. Ale jest to recepta psycholo-

giczna. Wiele wskazuje, iż ludzie dalej czują się wolni pod przykrywką stanu wojennego. Natomiast jak miałyby zachowywać się Komisja Krajowa Solidarności czy Komisja Koordynacyjna tego nie wiem, naprawdę nie nadają się na doradcę tego związku.

A: Nie o taką czy inną Komisję mi chodzi. Chodzi mi o nas wszystkich. Są ludzie, którzy muszą wybierać i to dotyczy wielu dziedzin życia, także zresztą i kultury. Pytam więc, jak ma się zachowywać społeczeństwo, które w większości składa się z wytwórców drobnych rzeczy codziennego użytku?

G: — Pyta mnie Pani, czy należy zawrzeć kompromis z diabłem. Pewno należy — w jakichś sprawach. Trzeba iść po bułki, trzeba iść do pracy, trzeba coś robić w pewnych sferach. Jednocześnie, ponieważ okazało się, że opór się temu społeczeństwu opłaca, i to jest właśnie lekcja Sierpnia, trzeba dalej stawiać opór. Nie należy iść na rękę diabłu, nie należy więc niszczyć, bo takim wielkim psujem jest właśnie diabeł, więc niczego nie należy niszczyć, wręcz przeciwnie: to powinien być opór, który by wzbogacał społeczeństwo. Trzeba nadal dążyć do wytwarzania i kontynuowania nowych form życia, trzeba tworzyć samorządne życie, bo opór w sensie wyjścia na ulicę czy powstania jest jawnie bez sensu. Wobec tego nie należy tego chyba robić, choć czasem i to jest potrzebne. Bywa, że demonstracja jest po prostu ludziom duchowo potrzebna. Wtedy należy się na to godzić, należy iść na demonstrowanie, licząc się nawet ze stratami i z prowokacją. To jest ludziom potrzebne do życia. Ale nie należy dać się zniszczyć i trzeba to robić rozsądnie.

A: — Czy koszty ludzkie jakie ponieśliśmy w ciągu sześciu miesięcy stanu wojennego uważa Pan za duże?

G: — Nie, historycznie są to koszty minimalne. Porównując to z represjami dziewiętnastowiecznymi są to koszty zupełnie minimalne. Nie wiem, o czym to świadczy. Czy o rozsądku tego społeczeństwa? Bardzo być może, Nie bardzo wiem, z jakim społeczeństwem mamy do czynienia. Być może to jest jednak jakieś trochę nowe społeczeństwo, które tu się ukształtowało. Jego rozsądek bywa zaskakujący

A: — W rozsądek władzy Pan nie wierzy?

G: — Nie jestem pewien właśnie, czy te minimalne koszty nie są powodowane rozsądnymi działaniami ludzi u władzy, ale za mało mamy elementów, za mało informacji, żeby cokolwiek wiedzieć na ten temat i oceniać. W każdym razie są to koszty minimalne i przy takich kosztach warto kontynuować to, co się dzisiaj robi. Trzeba więc dalej ryzykować, bo Sierpień też był wielkim ryzykiem dla całego narodu i te kilka-

naście miesięcy także. Trzeba więc czerpać z tego — jak już powiedziałem — zwycięstwa, ale trzeba je — mówiąc banalnie — twórczo kontynuować. Powstanie, jak sądzę, niezmiernie duża ilość dzieł historycznych, już na pewno powstają, które opisując co było, jednocześnie przeniosą to jakby w wyższe regiony, pokażą jakiego typu doświadczenie narodowe to było i co z tego doświadczenia dla narodu wynika. Oczywiście część takich prze-myśleń stanie się własnością całego społeczeństwa.

A: — Czy jest Pan optymistą, czy pesymistą na najbliższe miesiące?

G: — Tak jak i po Sierpniu mam dwoistą świadomość. Znajomość tego diabła każe mi być pesymistą, ponieważ jego siła jest absolutna, bezwzględna i nie ogląda się na nic. Ale jednocześnie, te kilkanaście miesięcy pokazało wielką mądrość i rozwagę narodu. Podświadomą mądrość niewyartykułowaną. Naród sam o sobie nie wie, że jest rozważny, że jest mądry, ale zachowywał się niebywale mądrze, chwilami niebywale rozważnie. Tak jak wiedza o diable każe mi być pesymistą, tak przecucie zasobów duchowych narodu każe mi być optymistą. Naród powinien sobie z tym dać radę. Wreszcie i mniejsze narody dawały sobie radę. W sferze użyteczności życiowej, tego co będzie, to jestem raczej pesymistą. W sferze geopolityki także jestem pesymistą, zdecydowanym. Nie widzę możliwości żadnych zmian w najbliższym czasie. Rozsądek mi mówi, że żadne zmiany nie powinny nastąpić, ale historia potrafi nas zaskakiwać i nie wiadomo, czy za dwa tygodnie nie stanie się coś takiego, że dzieje świata potoczą się zupełnie inaczej. Jeśli chodzi o sferę geopolityki uważam, że skoro jedyną możliwością totalnego zwycięstwa tego narodu jest zmiana jego sytuacji geopolitycznej, konieczne jest przeorientowanie myślenia polskiego w duchu dziewiętnastowiecznym. O ile przez lata, pod wpływem intensywnej propagandy, uważaliśmy, że pokój jest wartością bezcenną dziś, trzeba wrócić do mickiewiczowskiego „o wojnę powszechną ludów modlimy się Panie”. To przeorientowanie myślenia nie może dać żadnych skutków praktycznych dla naszej sytuacji geopolitycznej, bo wywołanie wojny powszechnej nie leży w naszych możliwościach. Chodzi o zdrowie psychiczne narodu. Romantycy modląc się o wojnę powszechną wiedzieli o tym i sprawdziło im się, że tylko wojna światowa mogła dać Polsce wolność. Oni zdrowiej myśleli: chcemy niepodległości Polski, to chcemy wojny.

A: — Ale II wojna światowa nie przyniosła Polsce niepodległości... Więc po cóż wojna?

G: — Druga wojna światowa niczego nie załatwiła, to prawda. Dla przyszłych pokoleń okaże się ona czymś innym niż była dla nas. Lata 1939-1945 będą zupełnie innymi datami. Myślę, że wreszcie jednak zwycięży przekonanie, że w 1939 roku dokonano następnego rozbioru Polski i że rok 1945 nie był taki ważny dla losu Polaków, ponieważ kontynuował ten rozbiór, tylko w innej formie. Była to wojna prusko-rosyjska, która skończyła się tym, że zabór niemiecki przeszedł w ręce Rosjan i połączył się z zaborem rosyjskim. Co Rosjanie planowali jeszcze w dziewiętnastym wieku: że zabiorą wszystko Prusakom i Austriakom i zrobią jedno Królestwo Polskie pod swoim berłem.

DELTA

Alfa: — Czym szczególnie wyróżnił się Sierpień od przeżywanego przez nas krótszych lub dłuższych okresów sprzeciwu?

Delta: — Ruch społeczny, który zrodził się w Sierpniu w istocie miał źródła głębsze, dawniejsze, w narastającym kryzysie ekonomicznym i w narastającym równolegle kryzysie politycznym. Ruch sierpniowy był przede wszystkim kontynuacją strajków grudniowych 1970 roku. Nie mówię o zdarzeniach dawniejszych. Nie mówię o Październiku, nie mówię o roku 1968, bo tamte zdarzenia dotyczyły innej generacji. Natomiast pamięć wydarzeń grudniowych roku 1970 była w sierpniu 1980 niezmiernie żywa. Można powiedzieć, że pod wieloma względami ruch sierpniowy był odpowiedzią na tamten Grudzień i na rozwiązania pogrudniowe. Był rewanżem za te rozwiązania. Robotnicy Wybrzeża, robotnicy Gdańska i Szczecina pamiętali swoje błędy z Grudnia. Wiedzieli, że nie wolno im wychodzić na ulicę. Wiedzieli, że cały strajk musi się rozegrać wewnątrz zakładu. Musieli na ten temat bardzo wiele rozmawiać przez te dziesięć lat, które upłynęły od Grudnia. Pamięć ofiar poniesionych w Grudniu 1970 roku była niezmiernie żywa, a poza tym, i to jest najważniejsze, ludzie którzy zdecydowali się na strajk w Sierpniu 1980 roku byli tymi samymi ludźmi, którzy podjęli strajk w roku 1970. Wałęsa był zaangażowany w strajk roku siedemdziesiątego i mówił w Sierpniu, że cięży na nim krew ofiar grudniowych. Sam słyszałem opowiadanie Wądołowskiego o tym, jak wychodził z bramy obłożonej stoczni i szedł w kierunku posterunków wojskowych z podniesionymi rękami, nie wiedząc, czy będą do niego strzelać, czy nie. Słyszałem jak mó-

wił: powiedziałem sobie wtedy, że nigdy więcej nie dopuszczę do takiej masakry, jaka się zdarzyła. Tak mówiło bardzo wielu ludzi. Więc lato roku osiemdziesiątego było nawiązaniem do wydarzeń roku siedemdziesiątego, było ich drugą falą. O tym trzeba pamiętać. Druga fala społecznego ruchu zawsze jest silniejsza, ponieważ zawiera w sobie nie tylko reakcje na wydarzenia aktualne, lecz także reminiscencje i uraz wyniesiony z wydarzeń dawniejszych. Robotnicy Wybrzeża poczuli się oszukani przez Gierka. Zaangażowali się w Gierka: to przecież ich właśnie cała Polska oglądała na ekranach telewizorów rozmawiających z Gierkiem przez wiele godzin. I to ich okrzyk „pomożemy” był hasłem całego gierkowskiego reżimu. Oni w Gierka rzeczywiście uwierzyli, uwierzyli także w system, który on reprezentował. A zatem do pamięci o krwi, która pozostała z Grudnia siedemdziesiątego roku, do świadomości błędu taktycznego, jakim było wyjście ze stoczni i narażenie się na konfrontację z milicją i wojskiem doszedł także uraz polityczny, poczucie, że za wcześnie dali się spacyfikować, że dali się wziąć na obietnice, że zaangażowali się w system, który nie miał przyszłości. Tyle o robotniczym składniku tego ruchu. Był i drugi, był też składnik inteligencki. Ruch sierpniowy, ruch Wybrzeża — bo w końcu mówimy o źródłach, z których ruch Solidarności się zrodził, a tym źródłem były stocznie, zwłaszcza stocznia gdańska — otóż niezwykłość tego ruchu polegała na spotkaniu, na zespoleniu robotniczego buntu z opozycją intelektualną. Nie byłoby takiej organizacji tego ruchu i wszystkich jego elementów politycznych, gdyby nie działania opozycji politycznej lat siedemdziesiątych. Tej opozycji, która powstała, która się zarysowała, która się skryształizowała w postaci najróżniejszych organizacji, najrozmaitszych grup z KOR-em na czele po 76 roku. Nastąpiło spotkanie tych dwóch elementów: elementu robotniczego i elementu intelektualnego, czyli elementu politycznego z elementem społecznym. A ten ruch intelektualny narastał już od roku 1976, a nawet wcześniej. Analiza jego wszystkich źródeł zaprowadziłaby nas zbyt daleko. Dosyć na tym, że te dwa elementy, te dwa wątki ze sobą się zetknęły, dając w rezultacie ruch, który był nie tylko spontaniczną reakcją robotników na warunki życia, nie tylko akcją strajkową, ale który natychmiast wyraził się w postulatach politycznych, wyraził się w niesłychanie silnej emocjonalnie atmosferze i wyraził się w strukturze organizacyjnej, której na imię Solidarność. Do tego doszedł jeszcze jeden element — mianowicie Kościół. Nagle w tym wszystkim pojawił się Kościół jako nadrzędna

struktura emocjonalna całego ruchu. Poprzez udział Kościoła, udział księży, poprzez te wspólne msze i oczywiście poprzez kult Papieża cały ruch nabrał niesłychanie zdecydowanej formy. Wyraził się w symbolice, w rytuale, w modlitewnym i szalenie wzniosłym, sugestywnym stylu — stylu, który odpowiadał polskiej większości. I tę polską większość, w tym także wiejską, w tym także urzędniczą, mieszczańską przyciągnął do siebie. Gdyby ruch strajkowy wyraził się na przykład retoryką lewicową, rewolucyjną, gdyby się znów wyraził czerwonymi sztandarami, nawiązaniem do rewolucyjnej tradycji Wielkiego Proletariatu czy nawet PPS-u, nie zdobyłby takiego społecznego rezonansu jak przez to, że się wyraził symboliką katolicką, rytuałem katolickim i aurą katolicką. Gdyby na bramach stoczni zawisły portrety nawet Ignacego Daszyńskiego, czy choćby Józefa Piłsudskiego, to jeszcze nie ściągnęłyby do tych bram takie tłumy i nie otoczyły ich modlitewnym zachwytem jak wtedy, kiedy na tych bramach zawisły obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Papieża Jana Pawła II. Do tego trzeba dodać jeszcze tę niesłychaną mobilizację uczuciową Polaków, jaka się dokonała w czasie wizyty Papieża w lecie 1979 roku, zaledwie na rok przed strajkami na Wybrzeżu. Wtedy Polacy przeżyli generalną próbę solidarności, samoorganizacji, łączenia się, spotykania się, wypowiedania swoich uczuć i swoich dezyderatów. Otóż te wszystkie czynniki: urazy z roku siedemdziesiątego — pamięć krwi, a krew jest posiewem historycznym bodaj najżyźniejszym — opozycja intelektualna lat siedemdziesiątych, która pozwoliła werbalizować i układać programy oraz zawiązać się organizacjom, wreszcie ten element religijny, który w Polsce zaznaczył się po wyborze Papieża, a zwłaszcza po jego wizycie i sama wizyta Papieża, wszystko to razem połączyło się w bardzo trwałe i mocno osadzone w polskiej kulturze wątki. Wątek społeczny, wątek religijny i wątek narodowy. I to dało taką błyskawiczną syntezę, spowodowało krystalizację polską, której niewiele momentów było w naszej historii.

A: — Jakie wobec tego miejsce wyznaczyłby Pan Sierpniowi w historii PRL ?

D: — Historia tego ustroju, tej formacji politycznej, którą nazywamy w skrócie PRL — skończyła się w Sierpniu 1980 roku. Skończyła się. To nie znaczy, że ustrój przestał istnieć, on istnieje. Nie znaczy to też, że państwo przestało istnieć, ono istnieje. Istnieją wszystkie tworzące je elementy, ale istnieją już w formie szcątkowej. To państwo zostało od Sierpnia osiemdziesiątego roku skazane na poszukiwanie rozwiązań nowych,

które się dotychczas w jego formule ustrojowej nie mieściły. Takim nowym rozwiązaniem ustrojowym, takim nowym rozwiązaniem politycznym jest stan wojenny i władza wojskowa w ustroju, który tego typu władzy nie toleruje i przed którą się bronił od samego początku, od Rewolucji Październikowej. Dla wszystkich komunistycznych ekip politycznych od roku 1917 władza wojskowa była największym zagrożeniem. Starcia partii z aparatem wojskowym były prawdziwie zabójcze dla aparatu wojskowego. Ofiarą takiej konfrontacji padł Tuchaczewski, ofiarą takiej konfrontacji padł cały sztab Armii Czerwonej w czystkach lat trzydziestych, ofiarą takiej konfrontacji padł marszałek Żukow po wojnie. Partia broniła się przed dopuszczeniem wojska do współwładzy. Na skutek sierpniowego ruchu i całej sytuacji, jaka tutaj powstała, także na skutek ekonomicznego kryzysu, partia władzę wojsku oddać musiała. To znaczy, że nastąpiła tu albo istotna strukturalna zmiana ustroju, który do swojego pierwotnego łożyska już wrócić nie potrafi, albo tak wielki błąd w jego funkcjonowaniu, że musi zostać naprawiony ostrymi środkami przeciwko aparatowi władzy, jaki się ukształtował w stanie wojennym. Czyli następna konfrontacja, jaka się powinna w tym ustroju rozegrać, to między partią a wojskiem, a nie między aparatem władzy a społeczeństwem. To jest ta konfrontacja, która przyniesie albo rekonstrukcję ustroju w jego pierwotnej formie i być może będziemy mieli do czynienia z czymś, co nazwałbym PRL II, albo z zupełnie nową sytuacją polityczną, która nie może pozostać bez śladu dla innych demokracji ludowych związanych, jak naczynia połączone, między sobą.

A: — Czy może się taka konfrontacja odbyć bez udziału społeczeństwa — taka gabinetowa konfrontacja między sztabem a KC?

D: — Społeczeństwo będzie zapewne prowokowane przez jedną i drugą stronę, ale to jest inny problem. Myślę, że to jest rzeczywiście problem przyszłości politycznej tego państwa. Masy ludowe nie zmieniają biegu historii, nie zmieniają ustrojów. Masy ludowe odgrywają rolę żywiołowych kataklizmów, które ludzi odpowiedzialnych za państwo, odpowiedzialnych za władzę zmuszają do podejmowania decyzji, wpuszczają ich jak gdyby w nowe kanały. Gdyby władza była jednolita, gdyby funkcjonowała tak sprawnie, jak w latach pięćdziesiątych, to nawet z tak ogromnym kryzysem społecznym i ekonomicznym dałaby sobie radę. Dysponowała wtedy ogromnymi rezerwami i bardzo szerokim repertuarem środków represyjnych. Społeczeństwo

polskie w latach 1945, 1947, a nawet jeszcze w roku 1948 było znacznie bardziej przeciwne władzy komunistycznej; funkcjonowały wtedy organizacje po-akowskie i inne, była partyzantka po lasach, pełno broni wszędzie, i granice płynne, więc warunki do oporu były znacznie lepsze, a jednak sobie władza świetnie z tym poradziła, bo była w fazie wstępującej, w fazie organizowania się, a przede wszystkim dlatego, że miała za sobą młodzież. Młodzież opowiedziała się wyraźnie — po krótkim kryzysie. Gdy tylko nastąpiła zmiana pokolenia i weszło pokolenie już nie akowskie, to które nie zdążyło wziąć czynnego udziału w wojnie, równowaga moralna w nowym pokoleniu młodzieży wchodzącej w życie czynne, czy to szkolne czy to już pracowniczne, przesunęła się wyraźnie na stronę nowego reżimu. W tej chwili ta równowaga, mająca oparcie w ruchu demograficznym, także wygląda zupełnie inaczej.

I dlatego, mówiąc o tym, że dzieje PRL skończyły się na Sierpniu 1980 roku, nie chcę przez to powiedzieć, że ten ruch był tak strasznie mocny, ale że zrodził się w momencie, w którym rezerwy polityczne tego systemu po prostu się wyczerpały, w momencie, w którym rysuje się bardzo wyraźny konflikt między poszczególnymi elementami tego ustroju, mianowicie między partią, wojskiem a policją-bezpieczeństwem.

A: — Czy nie sądzi Pan, że młodzi lat osiemdziesiątych weszli w Solidarność z równym zapamiętaniem, jak my w konspirację akowską?

D: — To nie jest nawet pytanie, to jest twierdzenie, z którym się zgadzam. Powiedziałbym nawet więcej może. Nam, którzyśmy zaczęli właściwie czynne życie po wojnie w warunkach określonych tym ustrojem, który nazywamy PRL, wydaje się, że bardzo wiele lat upłynęło od jego początku, bo to jest właściwie całe nasze życie. A w ogóle poczuliśmy się teraz, po tym wszystkim, jakby bardzo starzy, przedwcześnie starzy, może dlatego, że widzieliśmy już kilka podobnych faz i ta ich powtarzalność jakby posunęła nas w czasie. Ale naprawdę jest to bardzo krótki okres. Naprawdę jest to bardzo niewiele. W historii narodowej czterdzieści lat bez wojen, które z kolei znowu przedłużają historię niezmiernie przez to, że ją ładują zdarzeniami, treściami, otóż czterdzieści lat bez większych zdarzeń — to bardzo niewiele. I jeżeli mówimy o strajkach sierpniowych, że były jakby drugą falą po grudniu siedemdziesiątego roku, że były wielkim rewanżem robotników Wybrzeża, to coś podobnego można powiedzieć o całym społeczeństwie, które organizując się w Solidarność przypomniało sobie klęskę AK. Wzięło za nią,

czy też chciało wziąć za nią i chce nadal wziąć za nią rewanż. To się wyraża w wielu rozmaitych formach: wejście do akcji politycznej w tej chwili ludzi tamtej generacji; nawiązywanie do tradycji AK w całej nielegalnej publicystyce lat siedemdziesiątych, a bardzo silne nawiązanie już jawne po roku 1980 do legendy AK, przypomnę tutaj taki fakt, jak wydobyć z zapomnienia postaci Grota-Roweckiego czy generała Okulickiego, ostatniego jej komendanta; cześć wszelkiego rodzaju rocznic akowskich w tym także Powstania Warszawskiego; przejście symboli akowskich, które się także objawiły teraz po wprowadzeniu stanu wojennego w postaci kotwicy; nawiązanie do romantyki podziemia zarówno w latach siedemdziesiątych, kiedy rzeczywiście ten ruch polityczny był w podziemiu, jak i z niesłychaną mocą po ogłoszeniu stanu wojennego, kiedy młodzież wręcz się przebiera w kostium Szarych Szeregów i AK, ażeby prowadzić akcje czy to malowania haseł czy rozrzucania ulotek, nie mówiąc już o wielkich demonstracjach patriotycznych. Wszystko na to wskazuje, że społeczeństwo pamięta o swoim upokorzeniu z roku 1945, o upokorzeniu polegającym na wpuśdzeniu w obcy, niechciany kanał historyczny. I stara się ten rewanż teraz właśnie wziąć, nawiązując zarówno do tradycji AK i w ogóle do wszystkich ruchów niepodległościowych.

Zastanawiając się nad elementami ruchu sierpniowego, i ten trzeba przypomnieć. Odżyły wszystkie wątki niepodległościowe, wszystkie tradycje niepodległościowe. Odżyły w tych organizacjach początkowo tajnych, jak dynamiczny ROPCiO, później KPN; w organizowaniu mszy i pochodów początkowo jeszcze nielegalnych, upamiętniających zakazane wtedy rocznice 3 Maja, 11 Listopada i 15 sierpnia; w dekorowaniu grobów, w odkrywaniu miejsc historycznych itd., itd. Dalej, powoływanie się na tradycję Piłsudskiego, Legionów, a zatem na tradycje niepodległego państwa. Dzisiaj się mówi: cóż takiego w tym Piłsudskim widziano, Piłsudski nie jest wzorem demokracji... Oczywiście, że nie jest wzorem demokracji, ale jest wzorem państwa-ojczyzny. Jest wzorem państwa niepodległego i o jedno nie był nigdy podejrzany — o zależność. Wątek niepodległościowy był niesłychanie silny w ruchu sierpniowym i jest silny nadal.

A: — Czy wprowadzenie stanu wojennego było dla społeczeństwa tylko szokiem, czy poraziło je na bardzo długo?

D: — To się jeszcze okaże. Jeszcze nie wszystkie skutki stanu wojennego się ujawniły, bo władze, które ten stan wojenny ogłosiły, wydają się skrepowane w swoich działaniach. Nie

wiem jakie są przyczyny tego skrępowania, czy skłócenie wewnętrzne, czy wzgląd na zadłużenia zagraniczne i nacisk państw zachodnich — państw wierzycieli. Czy też jakieś inne względy, może związane z sytuacją w Moskwie. Dość na tym, że pomimo wszystkich brutalności tego stanu wojennego, pomimo bardzo spektakularnych i bardzo bolesnych akcji sił bezpieczeństwa wyczuwam ogromny zapas w środkach represyjnych i w środkach politycznych, jakie ten system ma i jakich by mógł użyć. Więc wydaje mi się, że przeżywamy okres prowizoryczny, że to jest taki okres, w którym społeczeństwu bardzo łatwo było złapać drugi oddech. I ono ten oddech złapało, odnosi się do stanu wojennego z mieszaniną pogardy i humoru, reaguje na to bardzo dynamicznie rozmaitymi demonstracjami, które oczywiście mają charakter bardziej symboliczny niż rzeczowy, ale w każdym razie społeczeństwo ma w tej chwili poczucie zespolenia, solidarności i jedności oraz podziału, jaki zarysował się między nim a władzą. Ten podział jak gdyby społeczeństwu sprawił ulgę. Zniknęła strefa pośrednia. Zniknęło omotanie przez system. Ludzie wiedzieli, że cokolwiek o tym systemie myślą, i cokolwiek myślą o władzy i o ludziach ją sprawujących, to i tak są od niej zależni, bo zależna jest od nich wszelka kariera, wszelka przyszłość, bo zależny jest stan majątkowy, zależna swoboda poruszania się w kraju i za jego granicami. W tej chwili po prostu nic nie ma. Nie ma żadnej przyszłości, nie ma żadnej kariery, nie ma żadnych szans, żadnych nadziei. Jest prowizorium bardzo przypominające prowizorium okupacji niemieckiej. Myśmy wszyscy byli w czasie okupacji niemieckiej czysci, ponieważ nie nam nie proponowano i niczego od władzy okupacyjnej nie mogliśmy oczekiwać. Coś podobnego jest teraz. Jak niezdarne są jej wysiłki w celu osiągnięcia tzw. normalizacji. My wiemy, że sama władza nie jest władna to zrobić, że ludzie, którzy dzisiaj normalizują, obiecują, jutro znikną w ogóle ze sceny politycznej, i że władza nie ma środków na spełnienie obietnic. Najbardziej zależni są od władzy młodzi, którzy chcą zdobyć wykształcenie, czy to średnie, zawodowe, czy wyższe, a razem z nimi zależni są rodzice, którym na tym zależy. To jest ogromna zależność od władzy, która w ubiegłych latach coraz bardziej się wzmagała w miarę jak brakowało miejsc w szkołach, i w miarę jak rósł pęd do nauki — no, nie do „nauki”, tylko do zdobywania dyplomów i wszystkich korzyści z nimi związanych. W tej chwili ten pęd prawdopodobnie osłabł, ponieważ młodzież wcale nie ma powodów, żeby się tak do wykształcenia pchać, raczej myśli, żeby z tego kraju wywiać

i zdobywać zarówno wykształcenie jak i pracę gdzie indziej. Ta władza nie potrafi już dotrzymać podstawowego warunku, na jakim założone zostało jej współzycie ze społeczeństwem. Władza zobowiązała się do jednej jedynej rzeczy: do dania wszystkim pracy, zobowiązała się do utrzymywania wszystkich na średnim poziomie. I dotychczas tego warunku dotrzymywała. Wszystkie inne zostały złamane. Demokracja miała być w Polsce utrzymana, ale nie została utrzymana itd. Natomiast ten jeden warunek dotychczas został dotrzymany aż do absurdu wyrażającego się w rymowance „czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy” (dzisiaj chyba pięciokrotnie więcej, bo przecież inflacja...). Na to czekałem i powtarzałem sobie zawsze, wierząc mocno, że ekonomia jest czymś w rodzaju natury, przyrody ludzkiej otaczającej społeczeństwo. Wierzyłem, że tak jak przyroda w swych wielkich cyklach decyduje o naszym zachowaniu historycznym, tak w małych cyklach historycznych, które możemy obserwować, decydują prawa ekonomiczne. Wydawało mi się niemożliwe, ażeby w świecie ulegającym przemianom koniunkturalnym została zachowana w nienaruszonym stanie enklawa państw socjalistycznych bezpieczna od wszelkiej zmiany koniunktur. Ta zmiana koniunktury przyszła i przyszedł moment, w którym władza nie może zapewnić wszystkim utrzymania na średnim poziomie. I to jest moment wyzwolenia narodu, wyzwolenia jak gdyby automatycznego. Gdyby tego nie było, to naturalnie i stan wojenny funkcjonowałby inaczej, może w ogóle nie byłby potrzebny i kryzys zostałby opanowany inaczej, pewnie tak jak w Czechosłowacji w 1968, czy tak jak w Niemczech w 1953 roku. Proszę sobie przypomnieć: w 1953 roku Niemcy byli na ulicach, Niemcy byli bliscy obalenia reżimu w NRD. To się nie stało, bo system w skali całego obozu socjalistycznego był na tyle jeszcze mocny, żeby Niemcom zapewnić maksymalny standard życiowy. Może nawet im dano wyższy standard życiowy niż mogli go zdobyć Niemcy w Niemczech Zachodnich, bo wtedy daleko było jeszcze do cudu ekonomicznego Erhardta. Dzisiaj ten system nie jest w stanie tego cudu ekonomicznego sprawić i przy pomocy składek z Rumunii, z Węgier, ze Związku Sowieckiego i bóg wie skąd postawić Polskę na poziomie zachodnioeuropejskim, do którego aspiruje... Nie wszystkie skutki stanu wojennego już się ujawniły — nie wszystkie jego rezerwy i nie wszystkie słabości. Może się okazać, że władza nie dysponuje już żadnymi środkami represyjnymi i że nie ma innego wyjścia jak powrót do ugody społecznej. Myślę, że to nastąpi w końcu, ale poprzedzone będzie

fazą zaostrzonego reżimu — nie terroru. Myślę, że władze wycofają się z terroru bezpośredniego, ze środków nacisku bezpośredniego, jak się mówi w języku milicyjnym, że te wszystkie głupie patrole znikną, godzina policyjna zostanie zniesiona, wszyscy internowani wypuszczeni, że nastąpi natomiast okres zaostrzenia reżimu politycznego, zaostrzonej propagandy, zaostrzonej presji cywilnej, zaostrzonych środków prawnych — już wyselekcjonowanych. Skończy się terror masowy, który w tej chwili — można powiedzieć — szaleje w Polsce, a wprowadzony zostanie terror selektywny. Dopiero potem, gdy te środki się wyczerpią, można będzie mówić o przejściu do następnej fazy, do fazy jakiejś nowej ugody społecznej, prawdopodobnie w zupełnie nowych warunkach politycznych.

A: — Czy można powiedzieć już dzisiaj, co zostało z Sierpnia?

D: — Na to społeczeństwo da odpowiedź.

A: — A czy społeczeństwo zdaje sobie sprawę z tego, co się właściwie stało?

D: — Bardzo trudne pytanie choćby dlatego, że nie jestem społeczeństwem tylko sobą, mogę mówić za siebie i dysponuję bardzo niewielkim polem doświadczenia. Co powinno społeczeństwo wiedzieć? Powinno chyba powrócić do rzeczy niewątpliwych. Do podstaw naszej powojennej egzystencji politycznej. Do tych podstaw, które w posierpniowej euforii zniknęły nam z pola widzenia. Trzeba sobie powiedzieć, że poprawa naszej sytuacji zależy od całkowitej zmiany ustroju. Ustrój jest do wyrzucenia, dokładnie do wyrzucenia. Tu się nie sprawdza i proszę mi nie mówić, że jednak... socjalizm jest dobrą rzeczą. Nie ma żadnego socjalizmu. To było po prostu biurokratyczne, scentralizowane przedsiębiorstwo przemysłowo-handlowe zorganizowane na szczeblu państwa. Co trzeba zrobić, żeby to w ogóle zaczęło funkcjonować, też wiadomo. Przede wszystkim trzeba wprowadzić uniwersalną walutę. Trzeba wyjść z tego zamkniętego kręgu sowieckiego obiegu pieniądza, który nie daje, ponieważ jest to obieg pieniądza w kręgu państw ubogich, niedorozwiniętych. Łącznie z mocarstwem, które temu patronuje. Jest ono rozwinięte militarnie, ale niedorozwinięte pod każdym innym względem. Nie jest tragedią, że Polska jest od kogoś zależna. Zawsze będzie zależna, bo jest niedużym państwem. Tragedia polega na tym, że jest zależna od mocarstwa, które wszystko bierze, niczego nie daje i niczego nie może dać. Do wyrzucenia jest ten ustrój, do wyrzucenia są wszystkie te związki gospodarcze, które Polskę utrzymują. Trzeba wprowadzić

dzieć uniwersalną walutę, trzeba znieść ograniczenia inwestycyjne, które hamują dopływ kapitału uniwersalnego, dolarowego krótko mówiąc — bo to jest uniwersalna waluta — a razem z nią technologii i organizacji. Nie można dzisiaj wyprodukować i zorganizować w warunkach autarkii, w warunkach gospodarki wydzielonej. Nie można wynaleźć zegarka. Zegarek został wynaleziony. Wszystko dzisiaj funkcjonuje na całym świecie na zasadzie pewnych uniwersalnych zasad, marketingu, obiegu pieniądza, organizacji pracy itd. Stąd odkrycia Polaków, którzy jadą do Zairu i widzą przedsiębiorstwa funkcjonujące tam lepiej niż w Polsce albo autostradę lepiej zbudowaną niż w Polsce. To nie dlatego, że Murzyni są zdolniejsi od Polaków, tylko dlatego, że działają wedle uniwersalnych zasad funkcjonujących w uniwersalnych przedsiębiorstwach. Trzeba Polskę wprowadzić w światowy obieg pieniądza i myśli technologicznej, organizacji pracy i marketingu. Ale tego zrobić się nie da, ponieważ ustroj Polski — aż do szczegółów — i gospodarka Polski są wewnętrzną sprawą Związku Sowieckiego. I będą tak długo, jak długo Niemcy będą podzielone. Czyli tak długo, jak długo Związek Sowiecki będzie się znajdował nie tylko na wschód i północ, ale i na zachód od Polski. Polska jest w środku Związku Sowieckiego, czy chce, czy nie chce. Czy ma orła na sztandarze, czy nie ma, czy grają „Jeszcze Polska nie zginęła”, czy nie grają. Jest w środku Związku Sowieckiego. Tak długo będzie w środku Związku Sowieckiego, jak długo Związek Sowiecki będzie mocarstwem światowym pretendującym do podziału świata, jak długo ten podział świata będzie gwarantowany przez stronę przeciwną. Czy Polacy to wiedzą? Wiedzą i nie wiedzą. Czasem wiedzą, czasem nie wiedzą, czasem tracą tego świadomość. Czy to dobrze? Tak, dobrze. Bo gdyby cały czas mieli to na uwadze, to by dawno po prostu już ulegli. Dawno byliby już połknięci, jak Gruzini, jak Ormianie czy Tatarzy, i kto tam już przepadł w tym całym sowieckim oceanie. Niemniej trzeba do tej podstawowej prawdy wrócić i powiedzieć ją sobie brutalnie w tej chwili właśnie, kiedy się to naocznie sprawdza i wyraża. Wyraża nie tylko w tym, że Związek Sowiecki tak czy inaczej interweniuje, bezpośrednio lub przez podstawione siły czy osoby, ale wyraża się to także w reakcjach Zachodu. Mocarstwa zachodnie gwarantują ten podział. Czy Polacy to wiedzą? Wiedzą i nie wiedzą. Gdyby to wiedzieli przez cały czas, to by nie mieli zaufania do nikogo na świecie. Ale z kolei muszą sobie to od czasu do czasu przypomnieć. Dziś jest moment, kiedy trzeba sobie to powiedzieć z całą brutalnością. Właśnie stan wojenny powinien Polakom to przede wszy-

stkim uprzytomnić. Jest to ważne także dla ich ustosunkowania się do władzy w kraju. Obawiam się, że społeczeństwo, a zwłaszcza młodzież reaguje trochę naiwnie. Całą swoją furię obraca przeciwko generałowi Jaruzelskiemu. Młodzież widzi w polskiej władzy stanu wojennego jedyne sprawcę sytuacji, w jakiej znalazł się cały nasz kraj. Do czego bym ludzi namawiał, gdybym mógł namawiać, to do bardziej historiozoficznego spojrzenia na tę sytuację, do uprzytomnienia sobie, że jest to moment w historii, w całej naszej historii, a nie epizod w rozgrywce z naszą PRL. My nie idziemy do kolejnego miesiąca, w którym się coś tam rozegra, ktoś ustąpi, coś się załatwi. Nie, to jest bardzo gorący moment w całej naszej tysiącletniej historii, a zwłaszcza całej naszej dwuchsetletniej historii stosunków i związków z Rosją. To jest jedno, co bym dzisiaj chciał ludziom powiedzieć, do czego bym namawiał i co bym chciał ujrzyć, rozpoznać jako składnik zbiorowej świadomości i co bym robił, gdybym mógł tak czy inaczej do ludzi docierać. Druga zaś sprawa, jaka mnie tutaj zastanawia i chyba najbardziej ze wszystkiego niepokoi: do czego my jako naród jesteśmy jeszcze zdolni, a do czego już nie jesteśmy zdolni. Jakie mianowicie trwałe efekty sprawiła nasza już wielowiekowa zależność. Bo nasza niepodległość należy już do legendy. My, pokolenie pamiętające Polskę międzywojenną, mamy skrzywioną perspektywę, ponieważ mieliśmy dwadzieścia lat oddechu. Ale tylko dwadzieścia. Był to jedyny moment, w którym Rosja była pokonana, pokonana zresztą na skutek własnej, wewnętrznej rewolucji. Jedyny moment, w którym Rosja się cofnęła. Ale przecież historia naszej zależności ma już ponad dwieście lat. Ponad dwieście lat rządzą tutaj ambasadorzy i gubernatorzy rosyjscy. Od roku 1945 sytuacja nasza jest o tyle gorsza, że Rosja jest wyłącznym dysponentem naszego kraju — bez rywali, bez współników, jakimi były Austria i Prusy umiejące wygrywać rozmaite błędy w polityce Rosji wobec Polaków, i umiejące odgrywać świetnie role tych niby lepszych partnerów w podziale Polski; ilekroć Rosja zanadto się zaangażowała w politykę represyjną, tylekroć tę słabość Rosji wygrywały. Bo nie tylko Austria była w stosunku do Polaków liberalna, ale bywały nimi także i Prusy. W tej chwili, co najdziwniejsze, rolę tego drugiego zaborecy odgrywa Zachód, ponieważ jest współgwarantem naszej sytuacji, naszego ustroju. Dziś Zachód to jest ten drugi zabór, gdzie można zwać i w jakimś Paryżu, jakimś Nowym Jorku założyć jakąś gazetę, tak jak kiedyś zakła-

dało się w Krakowie czy w Poznaniu. Jaki to ma trwały wpływ na nasze postępowanie polityczne, na nasze postępowanie społeczne? Oczywiście, że umiemy się świetnie organizować, mamy doskonałą praktykę konspiracji, doskonałą praktykę ruchu oporu z czasów rozbiorowych i z czasu okupacji. Oczywiście, mamy na szczęście nasze Dwudziestolecie, która się okazuje wciąż skarbem, mamy w pamięci żywe wzory polskiej niepodległej państwowości. Tak jak w XIX wieku w czasach rozbiorów żywymi wzorami były czy to pamięć Konstytucji 3 Maja, czy o Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym, czy to pamięć o innych momentach krótkotrwałej wolności, krótkotrwałych zrywów. Ale naprawdę jest to ciągła historia zależności i historia państwa kalekiego. Otóż zadaję sobie pytanie, czy jesteśmy zdolni do tego, ażeby w momencie właściwym, w momencie wyzwolenia stworzyć harmonijną całość państwową. Harmonijną, to znaczy taką, w której nastąpiłaby racjonalna dystrybucja władzy, majątku i odpowiedzialności. Jeśli przyjąć 16 miesięcy Solidarności jako próbę niepodległości, to wypadła ona dla nas — no, słabo. Do stateczny stopień bym za to dał. Za mało liczymy się ze skutkami, jakie ten system już sprawił w nas wszystkich. Sprawił je nie tylko na swoim aparacie władzy. Na każdym z nas. Trzeba zastanowić się nad naszym stanem moralnym, nad tym jak wychowujemy nasze dzieci, jak organizujemy nasze rodziny, jakie wartości naprawdę kultywujemy — nie w słowach, nie w obrazkach, nie w emblematkach i medalionach, ale jaki jest nasz stosunek do obowiązków, do pracy, do drugiego człowieka. Przecież w tym się kryje żywa tradycja narodowa, przecież w tym się kryją żywe wartości społeczne, a nie w retoryce patriotycznej i nie w obchodzeniu rocznic. Zaczynam mówić z wzrastającym skrzepowaniem, bo nie chcę występować w roli moralisty. Ale jeśli mam powiedzieć szczerze, to powiem szczerze: Polacy robią się antypatyczni. Antypatyczni na co dzień. Antypatyczni na ulicy, w zakładzie pracy, w szpitalu, w pociągu — wszędzie. Wstrętni dla siebie nawzajem. Histeryczni w swoich zbiorowych emocjach, niezdiscyplinowani, zazdrośni, zawistni. Obawiam się, że Polacy nabrali trwałych cech niewolników. To jest to, co mnie naprawdę przeraża, a mówić mi o tym niezręcznie. Co mam opowiadać: znowu o pijaństwie, awanturnictwie, brudzie, niechlujstwie przerastającym wszystkie normy? Oczywiście, organizacja państwa to narzuca, ale mimo wszystko my się do tego przyzwyczailiśmy coraz bardziej. Ciągle więc myślę o tym, że Polacy wymagają ruchu na rzecz moralnej odnowy w

skali takiej, w jakiej podjęło go pokolenie epoki stanisławowskiej. Oni istotnie mieli świadomość wychodzenia z głębokiego dna, z głębokiego unicestwienia moralnego i potrafili podnieść się na niesłychanie wysoki poziom intelektualny i moralny. Nie zdołali życia społecznego zreformować w ciągu paru lat, ale stworzyli modele, dzięki czemu Polacy przez cały XIX wiek mieli się do czego odwołać. Odwoływali się do pokolenia 3-majowego jako do wzorcowego, modelowego.

A: — No, ale życie idzie naprzód, lata biegną i do jakiego pokolenia można byłoby się odwołać dzisiaj?

D: — To trzeba stworzyć dzisiaj. Ludzie 3-majowego pokolenia mówiąc o swoich słabościach i o swoich wadach, stworzyli bardzo wysoki standard moralny. Sami sobie go wyznaczyli. Patrzymy na nich nie jak na tych, którzy byli już oczyszczeni. Nawet twórcy Konstytucji 3 Maja byli ludźmi interesownymi, chwiejnymi, intrygantami, krętaczami, jak Kołłątaj i tylu innych. To nie o to chodzi, żeby być wzorem, ale trzeba stworzyć standardy moralne. I zareagować tak, jak oni reagovali już na pierwszy rozbiór Polski, kiedy odrodzenie nastąpiło, jak to Korzon napisał, „w upadku”, gdy prestiż państwa polskiego i jego organizacja były na dnie. Dzisiaj to dno osiągnęliśmy. Trzeba się odeń odbić. Zanim się PRL odbije od dna gospodarczego, my się musimy odbić od dna moralnego. Tymczasem tutaj powstało fałszywe wyobrażenie o nas samych. Po wyborze Papieża, w okresie wizyty Papieża, w okresie Solidarności powstało nagle fałszywe wyobrażenie o nas samych jako o społeczeństwie cudownym, zespolonym, zjednoczonym, rozkosznym nieomal. No, było bardzo rozkosznie. Rzeczywiście. Jak się stoi na placu, coś się śpiewa, to oczywiście jest rozkosznie. Ale jak przychodzi do tego, żeby coś nagle razem zrobić, wychodzi i prywatnie, i zawiść, i zwyczajna głupota. Nie chcę tutaj wchodzić w słownictwo WRONy i opowiadać o anarchii i awanturnictwie, ale tak przecież było, i tak jest.

A: — Ale to są chyba normalne koszty, jakie płaci społeczeństwo, które chce wyjść z takiego właśnie błota?

D: Nic innego nie chcę powiedzieć. Ale pyta mnie Pani o to, co społeczeństwo o sobie wie. Chcę wiedzieć, czy społeczeństwo wie, w jakim cyklu historycznym bierze udział. Że to, co przeżywa dzisiaj to nie jest tylko rozgrywka z PRL, z WRONą, tylko że jest to część długiego cyklu historycznego. Po drugie, czy społeczeństwo ma świadomość, jakie jest, czym jest dzisiaj w wyniku tak długiego procesu unicestwiania, zniewalania i degradacji. O to mi chodzi.

A: — A jeśli o tym nie wie, bo trudno założyć, że tak wysublimowaną świadomość posiada cały naród, to co robić, żeby nie być jeszcze jedną republiką sowiecką, tyle że z polskim językiem wykładowym i urzędowym?

D: — Co robić? Trzeba podtrzymywać wszelkie formy oporu, choćby dlatego, że Polacy odnajdują się w takim „ethosie oporu”. Trzeba wywierać stałą presję na władzę, nie pozwalając na odtworzenie się jej zmurszałych komórek. Nie powinno się dopuścić do odtworzenia systemu politycznego. W tej chwili system polityczny nie istnieje; to co jest, jest systemem represyjnym. System represyjny jest moralnie zdrowszy. Natomiast odtworzenie się tutaj reżimu politycznego z całym jego mechanizmem indoktrynacji i propagandy mogłoby oznaczać uśpienie kraju na długie lata. Formy oporu powinny być bardziej moralne niż fizyczne. Niemniej muszą i te drugie istnieć. Nie wolno współpracować z władzą w wojnie przeciwko narodowi, przeciwko żywotnym jego interesom, przeciwko żywotnym interesom swojej grupy zawodowej i swojego środowiska, czy przeciwko cenionym wspólnie wartościom. Trzeba ażeby ludzie chwiejni wiedzieli o istnieniu instytucjonalnych form takiego oporu. Musi istnieć niezależna opinia i wszelkie jej formy należy utrzymywać. Wydawnictwa, książki, gazetki — to musi istnieć. Jako pewnego rodzaju sankeja moralna, jako system odniesienia.

Całą energię wychowawczą, energię wszystkich instytucji tworzących opinię, instytucji jawnych, obrócić na skrytalizowanie świadomości historycznej i na skrytalizowanie świadomości moralnej. Całą energię na to obrócić. Poza tym chłodzić nastroje. Wyprowadzić Polaków z przekonania, że są najwspanialszym narodem na świecie, że wszelkie zło jakie przeżywają pochodzi tylko z zewnątrz. Wyprowadzić ich z błędnego przekonania, że cały świat gotów jest podpalić się dla ich ocalenia i gotów jest ich utrzymywać i że wszystko to jest tylko na chwilę. Wprowadzić do myślenia zbiorowego element sceptycyzmu, czy nawet pesymizmu. Zwłaszcza młodzieży wybić z głowy przekonanie, że lada chwila WRONa skona. Historia PRL się skończyła, ale jej relikty mogą trwać bardzo długo. Mogą się okazać w skutkach swoich jeszcze groźniejsze, jeszcze szkodliwsze, jak zwykle bywa życie w atmosferze gnilnej. Ustroje gniją bardzo długo. Dłużej nieraz gniją, niż istnieją. A to ma bardzo złe skutki dla społeczeństwa. Więc trzeba w ten bardzo niebezpieczny okres, w zły okres, w paskudny okres, wkroczyć z bardzo usilną wolą uzdrowienia samych siebie. I w tym wy-

siłku oderwać się od władzy, aby nie żyć w ciągłym sprężeniu z władzą i nie tracić energii na utarczki z nią. Nie tracić energii na pyskówki polityczne. Natomiast całą energię zużytkować na uzdrowienie naszego życia rodzinnego i naszego życia społecznego w małych grupach związanych czy to z miejscem zamieszkania, czy to z miejscem pracy. Są tu rzeczy wykonalne i są tu rzeczy prawie niewykonalne. Mało prawdopodobne, żeby szkoła mogła odegrać taką rolę. Jest tak sterowana przez władzę, a wszyscy nauczyciele są tak wyselekcjonowani w sensie negatywnym, że nie wierzą w to, ażeby w szkole, zwłaszcza w podstawowej i w średniej, naprawdę mogły powstać instytucje, które odegrałyby taką rolę jak szkoły w Galicji w okresie działalności towarzystwa Macierzy Szkolnej. Bardzo w to wątpię. Prędzej wierzę w uniwersytety, bo im wyżej tym troszkę lepiej. Uniwersytety potrafiły nawet w latach stalinowskich zachować coś tam ze swojej przyrodzonej atmosfery i roli, więc może i teraz zachowają, tym bardziej, że nie ma tam drastycznych czystek i znacznie trudniej sterroryzować pracowników naukowych, niż oświatowych.

Tym ważniejsza jest też rola wszelkich pozapaństwowych sposobów oddziaływania na młodzież. Oczywiście, duszpasterstwa akademickie. Ale to jest w ogóle osobny rozdział, to znaczy rola wychowawcza Kościoła w Polsce. Słaba, naprawdę słaba. Kościół zużywa ogromną energię na to, żeby w ogóle do siebie ludzi przyciągnąć, a zwłaszcza młodzież. Przyciągając ją do siebie, schlebia jej. To wynika z fazy, jaką Kościół przeżywa w tej chwili, z fazy otwierania się na świat, wchodzenia w świat. Mamy do czynienia z pierwszym pokoleniem księży, którzy mają jakiś kontakt z życiem. Dotąd byli to ludzie chowani przed światem w seminariach i klasztorach, umiejący mówić tylko językiem teologii i liturgii. Zostali nagle wciągnięci w problemy społeczne i polityczne. To ich olśniewa, ale nie mają na to własnego języka, więc czerpią go skądinąd. Więcej zużywają energii na przystosowanie się do tego świata niż na to, by temu światu narzucić swą własną, katolicką wizję. A spada na nich olbrzymie zadanie. Zadanie, do którego żaden z księży z osobna nie dorósł i nie dorósł do tego Kościół jako instytucja. Każdy kapłan i każdy biskup to wie i przyzna. Kościół jest na dobrej drodze do stania się rzeczywiście instytucją narodową, to znaczy skupiającą wokół siebie ludzi świeckich, nie związanych instytucjonalnie z sobą a odgrywających, czy chcących odgrywać rolę wychowawczą.

Ta rola wychowawcza nie zaznaczyła się tak silnie w innych

środowiskach, np. w środowiskach humanistycznych. Np. powiedzieć dzisiaj pisarzowi, że ma odgrywać rolę wychowawczą to znaczy obrazić go, bo on zaraz sobie wyobraża, że się go spycha w drugorzędność. Proszę sobie przypomnieć, że literatura polska uważała za swoje główne zadanie wydobyć się z prowincjonalizmu i wejść w obieg światowy. Każdy pisarz tylko myślał o tym, żeby jak najszybciej uzyskać tłumaczenia i znaleźć się na rynku amerykańskim czy francuskim, dobić się jakiejś nagrody i sprawić to, żeby Polacy piszący byli tak znani na świecie, jak Francuzi czy Niemcy. W tej chwili trzeba pisarzom polskim powiedzieć coś zupełnie odwrotnego: jeśli chcecie jakąś rolę odgrywać i jakieś miejsce po sobie zostawić, to musicie z powrotem zająć się tym, czym zajmowali się nasi dziadkowie w XIX wieku, to znaczy stanem społeczeństwa i położenia ludzi, wśród których żyjecie. I stanem własnym. Pracować na tak zwanej niwie. Naturalnie powiedzieć to dzisiaj głośno to narazić się na szyderstwa, ale to trzeba powiedzieć, albo trzeba to robić same-mu. Myślę, że będą do takiego działania możliwości nawet oficjalne. Przecież nie wszystko będzie zamknięte, nie wszystko będzie zlikwidowane. A jeśli ich nie będzie, to właśnie połączyć swoje wysiłki z wysiłkami Kościoła i wesprzeć intelektualnie jego działalność. Coś takiego już było, ale fałszywie pomyślane. Jak wiadomo działało Towarzystwo Kursów Naukowych, które było próbą stworzenia paralelnej instytucji kształcącej. Właśnie: kształcącej, a nie wychowawczej. Ale okazało się, że nie ma takich wielkich rewelacji kształcących. Interesujące było dla młodzieży opowiadanie historii PRL, i pewnie że ścigało wielu słuchaczy, gdy robili to Bartoszewski czy Michnik. Ale myślę, że każdy kto chciał, już się z tym zapoznał i mało kto może powiedzieć, że nie słyszał o Mikołajczyku, o Sikorskim czy o Piłsudskim. Tak już nie jest. Rychło się okazało, że na uniwersytetach oficjalnych lepiej uczą niż w TKN-ie. I nie tak bardzo znowu kłamią na tematy historyczne czy literackie. Natomiast nigdzie naprawdę nie ma instytucji wychowującej, mówiącej o stosunkach międzyludzkich. Kiedyś rolę tę spełniała szkoła. Każdy z nas pamięta lepiej podstawowe zasady współżycia, które nam wpajano, niż to, co mu tam wbito do głowy w rozmaitych przedmiotach nauki.

Więc potraktować ten okres, jaki nas czeka, jako czas opamiętania i refleksji. Jak długo to potrwa, tego oczywiście nikt nie wie. I powinno się nawet zakazać takich spekulacji. Może trwać pięćdziesiąt lat, sto lat, sto pięćdziesiąt lat albo miesiąc. Nic nie wiadomo. To też trzeba sobie powiedzieć. Lata powo-

jenne były latami prawie bez zdarzeń. Jeśli porównać dziesięciolecia: 1938-1948, 1948-1958, a potem dwa następne, i porównać tempo zdarzeń, widać jak się ich rytm coraz bardziej wydłużał. Jakby czas zwalniał bieg. Myślę, że w tej chwili musi przyjść gwałtowne przyspieszenie. To nie metafizyka; przygotowuje się zmiana pokoleniowa w aparatach władzy, zwłaszcza w aparatach władzy Związku Sowieckiego i chyba Stanów Zjednoczonych. I to jest chyba bardzo ważne dla biegu wypadków.

A: — A gdyby jednak ten moment ogólnego kryzysu trwał krócej, gdyby nagle otworzyła się możliwość podjęcia działalności w reaktywowanym związku Solidarności, jakich błędów należałoby się wystrzegać, jeśli je popełniono?

D: — Nie wszystkie błędy popełnione przez Solidarność były jej własnymi błędami. Były to błędy na niej wymuszone. Błędem wymuszonym przez władzę było między innymi to, że stała się ona siłą opozycyjną. Było jasne, że w tym stanie państwa, w tym stanie jego funkcjonowania opozycja musi się wypowiedzieć. Mogła się wypowiedzieć albo w bardzo silnej kampanii publicystycznej, prasowej i telewizyjnej, co zostało uniemożliwione, ponieważ środki masowego przekazu zostały obłożone natychmiast bardzo ostrą cenzurą, albo mogła się wypowiedzieć poprzez opozycyjne partie polityczne, czyli przez zmianę modelu władzy. Rząd do tego nie dopuścił. Prawdopodobnie nie mógł dopuścić, nawet gdyby chciał. Wobec tego cały ciężar opozycji politycznej wzięły na siebie związki zawodowe, co jest absurdem. Bo w jakiej formie, w jakim stylu może się ta myśl opozycyjna wypowiedzieć wtedy, kiedy staje się ona argumentem wielomilionowej organizacji tak heterogenicznej, tak wielośrodowiskowej, jaką była Solidarność. Heterogeniczna, a centralistyczna jednocześnie. Oczywiście w formie krzykliwej, w formie spektakularnej, w formie manifestacyjnej, a nie rzeczowej. Więc ten błąd, który się Solidarności przypisuje, że stała się quasi-partią polityczną, nie jest jej błędem. To rząd jej narzucił tę rolę, nie chcąc dopuścić do powstania partii prawdziwej. Lepiej dla rządu było, że Solidarność stała się nieudolną partią polityczną, która się tej roli oficjalnie wyrzekła, niż mieć do czynienia z autentyczną partią polityczną, reprezentującą większość społeczną. Było to działanie niemądre, bo bez opozycji na dłuższą metę w ogóle rządzić nie można, i rząd mądry, rząd planujący, biorący odpowiedzialność za życie całego narodu nie rzuca opozycji na kolana i zmusza obywateli, ażeby się opozycji wyrzekali, tylko przeciwnie — zabiega o jej powstanie. Opozycja istnieje w każdym społeczeństwie, tylko się rozmaicie

wyraża. W Związku Sowieckim też jest opozycja. Wyraża się w złodziejstwie, w pijaństwie, w korupcji i w ogólnym chaosie. Taka opozycja była też u nas. Opozycja jest albo destrukcyjna, albo konstruktywna. Rząd powinien zabiegać o stworzenie opozycji konstruktywnej, z którą może władzę podzielić, a może nawet władzy ustąpić. Tak się tworzy równowaga, harmonia, rytm polityczny. Więc cóż powiedzieć, że Solidarność powinna unikać polityki? To nonsens. Gdyby się znalazła w takiej samej sytuacji po raz wtóry, znalazłaby się w takiej samej roli. Jeśli sytuacja się powtórzy, to i błędy się powtórzą. Dlatego mówię o błędach władzy, o błędach systemu, a nie o błędach Solidarności. Wszystkie inne błędy były błędami pochodnymi, bo oczywiście Solidarność zablokowana w swoich działaniach musiała wypowiadać się w działaniach pozornych czy nieistotnych. Wówczas powstały te wszystkie rozdzźwięki czy to między ekspertami a komisjami, czy to między komisjami regionalnymi a Komisją Krajową, a na tle niewyjaśnienia roli Solidarności, tego czym ona jest, powstał ten — moim zdaniem — niefortunny system centralistyczny. Związki zawodowe działające w branżach są znacznie bardziej autentyczne, znacznie bardziej zakorzenione w środowiskach. Ale tylko wtedy, kiedy są to naprawdę tylko związki zawodowe. A Solidarność nie chciała i nie mogła być tylko związkiem zawodowym, bo wtedy straciłaby posłuch społeczny i tę rolę, jaką jej okoliczności wyznaczyły, to znaczy przyjęcia na siebie głosów całej dotychczas milczącej większości polskiej.

Więc czegoż tu można uniknąć? Albo działać w zmienionych warunkach, albo działać zupełnie inaczej. Mnie się zdawało, że całą siłą polskiego ruchu robotniczego jest jego ekonomizm. Ekonomizm to jest jedno z „odchyleń” w repertuarze partii komunistycznych. Partiom socjaldemokratycznym i ich związkom zawodowym komuniści zarzucali „ekonomizm”, to znaczy koncentrowanie się na sprawach płacowych i socjalnych. Komuniści zawsze uważali, że prawdziwą rolą związków zawodowych jest organizowanie klasy robotniczej do walki o władzę. Dokładnie tak samo postąpili nasi działacze Solidarności. Mnie się wydaje, że potęga strajków robotniczych w grudniu 1970, w czerwcu 1967 roku i w lipcu 1980 roku polegała na tym, że się koncentrowały na sprawach ekonomicznych. Były nie do podważenia. I władza szybko ustępowała. Wydawało mi się, że powstanie wówczas nowej struktury związkowej opartej na komitetach strajkowych działających permanentnie zmieniłoby diametralnie sytuację robotników w Polsce. Stanowiłoby prawdziwy, realny

wyłom w funkcjonowaniu tego ustroju bez nazywania tego po imieniu. Co by było, gdyby nie wybuchnął strajk polityczny w Stoczni Lenina, który rozpętał się po zwolnieniu Anny Walentynowicz? Co by było dzisiaj? Byłyby rzeczywiste, brązowe związki zawodowe, opanowane przez komitety strajkowe. Związki zawodowe, z którymi władza musiałaby się naprawdę liczyć. Więc ja uważam upolitycznienie strajku za błąd. Za wielki błąd. Za wielki błąd uważałem postulaty polityczne, dołączenie na przykład do postulatów robotniczych sprawy cenzury czy więźniów politycznych, wyborów, partii politycznych itd. To jest strawa dla propagandowej i represyjnej maszyny tego ustroju. To jest to, co ta maszyna potrafi zeżreć. I zeżarła. Mówi się, że nastroje wtedy były rozhuśtane, że niepodobna było utrzymać załogi w żądaniach społeczno-płacowych. Ja w to nie bardzo wierzę. Moje doświadczenie ze Szczecina, moje rozmowy tamtejsze wskazywały na zupełnie co innego. Ludzie mówili mi tam, że chcą tylko związku zawodowego i uporządkowania stosunków wewnątrz fabryk. A resztę przyjmowali na wiarę. No, teraz w ogóle za późno o tym mówić, bo to się już stało.

A: — A gdyby wypuszczono Wałęsę, całą Komisję Krajową i wszystkich działaczy Solidarności i reaktywowano związek, co wtedy?

D: — Radziłbym cofnąć się do etapu sprzed drugiego strajku gdańskiego. Cofnąć się do doświadczeń z lipca osiemdziesiątego roku, zwłaszcza do doświadczeń lubelskich, siedleckich, do doświadczeń kolejarzy i WSK w Świdniku. Przebadać bliżej, co tam się stało, jak to było organizowane, jak oni rozmawiali i co uzyskali. Ale czy ja się znam na tym? Nie wiem — mówię, bo tak myślałem wtedy i tak myślę teraz.

EPSILON

Alfa: — Ma Pan ogromne doświadczenie w konfliktach, jakie rodzą się na styku obywatel-władza. Towarzyszył Pan Solidarności od samych jej początków. Czy mógłby mi Pan powiedzieć dlaczego stało się to, co się stało?

Epsilon: — Pyta Pani, co się właściwie stało. Dlaczego nie spełniły się nasze zamiary, nasze marzenia, bo ja wiem, jak to nazwać. Najpierw chciałbym, żebyśmy się zastanowili nad tym, czy myśmy istotnie tak dokładnie wiedzieli, do czego dążymy. I tutaj jest dla mnie pierwszy problem, problem ciężki, nie ukrywam, bo z tytułu funkcji, którą pełniłem w Solidarności czuję się do pewnej odpowiedzialności niejako osobistej za przebieg wydarzeń i za rezultaty. Myślę, że przed wszystkimi stoi konieczność zrobienia pewnego rachunku sumienia. Dlatego, że w jakiś sposób na nas, inteligentach, którzy byli w samym ruchu czy blisko ruchu, na tej intelektualnej jego czołówce spoczywał obowiązek opracowania koncepcji, szukanie możliwości opracowania planu operacyjnego, by temu ruchowi społecznemu, który się nazywał Solidarność, umożliwić sukces. Otóż boję się, żeśmy temu zadaniu nie sprościli. W tej chwili mam tę pewność. I pytanie dlaczego?

A: — My, to znaczy kto?

E: — Mówię my, to znaczy to środowisko inteligencji, która przez wiele lat była środowiskiem opozycji wobec władzy, wobec systemu totalitarnego i która z tego tytułu uzyskała pewien autorytet społeczny, autorytet społeczny szczególnie szeroki i możliwy do wykorzystania w okresie działania Solidarności. Myśmy chyba wszyscy weszli w tę epokę z poczuciem zaskoczenia. To znaczy zdawaliśmy sobie od wielu lat sprawę,

że zbliża się kryzys, niemal czekaliśmy na niego. Natomiast w momencie kiedy ten kryzys nastąpił to zastał nas — jak się okazało — w gruncie rzeczy psychicznie, intelektualnie, mogą także chyba powiedzieć moralnie nieprzygotowanych. Myślę, że przede wszystkim dlatego okazało się, że nie sprostaliśmy zadaniu. Było bardzo trudno, nawet jeszcze powiedzmy w 1978, 1979 roku, kiedy już było wiadomo, że to musi trzasnąć, że kryzys stoi za progiem, że coś się musi takiego stać, że system się zacznie walić, że wtedy trzeba będzie szukać czegoś nowego, jakichś dróg wyjścia. Było bardzo trudno wtedy przewidzieć konkretną formę tego kryzysu, tej katastrofy systemu. Ale było wiadomo, że ona nastąpi. I chyba za mało czyniliśmy wysiłków, żeby się do tego momentu przygotować. Żeby mieć jakieś wyobrażenie na tę sytuację, co wówczas należy robić, do czego zmierzać, co jest realne, do osiągnięcia w danych warunkach, a z czego na tym etapie trzeba będzie rezygnować.

Należało po prostu mieć pewien plan operacyjnego działania na wypadek kryzysu, o którym wiedzieliśmy, że ma nastąpić, że musi nastąpić i co więcej działaliśmy w kierunku jego wywołania i przyspieszenia. Natomiast wtedy, kiedy nastąpił, właściwie poza entuzjazmem, który w nadmiarze przelewał się w całym środowisku, poza poczuciem euforii, która opanowała w znacznej mierze społeczeństwo, nie była przecież tylko naszym udziałem, ale właśnie ta euforia zakłóciła jednak troszeczkę to, co było naszym obowiązkiem, to znaczy konieczność robienia zimnego rachunku możliwości. Tego się wymaga od każdego sztabu, a my byliśmy, powinniśmy byli być sztabem tego ruchu. No i okazało się, że jak zwykle nie dysponujemy w gruncie rzeczy ani wystarczającą wiedzą, ani odpowiednimi narzędziami intelektualnej analizy, natomiast istnieje ogromna skłonność, to jest tradycyjne, w wielu pokoleniach inteligentów polskich to występuje, ta skłonność widzenia rzeczywistości w kategoriach własnych marzeń. Wydawało się, że skoro system tak łatwo ustąpił, a władza która do tej pory trzymała wszystko w rękę okazała się nagle jakby zupełnie bezsilna, wydawało się więc, że istnieją wszystkie możliwości, że do osiągnięcia jest wszystko i natychmiast. Nie mówię tego, powiedzmy w tym sensie, że był to stan ducha, który wyznawali wszyscy. Ale wszyscy w mniejszym lub większym stopniu ulegali temu odruchowi entuzjazmu, który produkowało w masowym nakładzie całe społeczeństwo. Co więcej, nastąpił proces, który nazwałbym procesem pewnego samooszustwa. Przez wiele lat dla naszego środowiska pojęcie klasy robotniczej było pojęciem właściwie slo-

ganowym. Co więcej, tak nadużyтым i zużyтым, że właściwie nie wywołującym żadnych rzeczowych skojarzeń. Równocześnie po roku 1970, 1976 wszyscy mieliśmy przekonanie, że robotnicy są tą siłą, z którą należy nawiązać kontakt. I w momencie, kiedy nasze wyobrażenia przyniosły tak wspaniałe rezultaty Sierpnia 1980 roku, kiedy to się całkowicie sprawdziło, wtedy powstał w naszym środowisku mit, że właściwie wszystko, co należy robić wiedzą najlepiej robotnicy i trzeba zawierzyć instynktowi mas. Eksperci są po to, żeby nadawali jakąś powiedzmy werbalną formę, programową formę temu, czego chcą masy. A czego chcą masy? No, to już wynika z tego, co idzie z dołu, co my słyszymy, co ludzie mówią. I każdy z nas miał na ten temat jakieś swoje wyobrażenie, wyobrażenie zresztą w zasadzie słuszne. Ludzie tutaj, prawdę powiedziawszy, chcieli jednego. To znaczy, generalnie biorąc — zmiany systemu. Tylko to, że ludzie zmiany systemu chcieli wcale nie znaczyło, że oni uważają swoje chęci i pragnienia za realne. Tak zwany szary człowiek z ulicy ma to do siebie, że on myśli znacznie bardziej konkretnie, niż tak zwany intelektualista. Sytuację ocenia on w związku z tym bardziej rzeczowo, niż to jest naszym udziałem. I w pewnym momencie myśmy ulegli po prostu pewnej frazeologii, myśmy werbalizowali pewne nastroje społeczne, nadawaliśmy im pewną formę wyrazu w programie, w działaniach, w publikacjach związku, nie dostrzegając, że tworzymy właściwie program, który jest programem nierealnym, który wprawdzie tym ludziom bardzo by się podobał, ale w którego obronę oni się do końca nie zaangażują, ponieważ po prostu w jakimś momencie, przynajmniej podświadomie dość powszechnie zaczęto sobie zdawać sprawę z jego nierealności.

Może spróbuję wykazać to na pewnym konkretnym przykładzie. W pewnym momencie takim szturmowym hasłem Solidarności stała się samorządność pracownicza, oparcie reformy gospodarczej na samorządnym przedsiębiorstwie. Co więcej, na całym systemie samorządu, który miał niejako stworzyć strukturę równoległą i niezależną od struktury państwowej. Jak gdyby drugi, odrębny, społeczny układ w Polsce. I to się brało niewątpliwie gdzieś tam u samych fundamentów z jakichś autentycznych dążeń, może lepiej powiedzieć z jakichś autentycznych marzeń. Tylko że w naszych konkretnych warunkach kryzysu ekonomicznego, w konkretnych warunkach gospodarki roku 1981, ludzie zdawali sobie sprawę, patrząc na to, co się dzieje w zakładach pracy, że to jest nierealizowalne. I w pewnym momencie okazało się, że myśmy z tego zrobili szturmowy sztandar pro-

gramu związkowego a ludzie nie bardzo to popierają i nie bardzo nawet rozumieją dlaczego my właściwie z tego zrobiliśmy naczelną problem, dlaczego właśnie o to ma być ta generalna konfrontacja z władzą. I myślę, że tego rodzaju problemów mógłbym wyliczyć i znaleźć więcej. I dlatego muszę się przyznać, że dla mnie to, co się stało w grudniu 1981 roku nie było zaskoczeniem. Zaskoczeniem może była inna sprawa. Zaskoczeniem było to, że stało się to tak szybko. Byłem przekonany, że jeżeli nie zmienimy czegoś w zasadach kierowania związkiem, to nas to czeka nieuchronnie w pewnej perspektywie. Natomiast nie sądziłem, że to już się stało, że to już jest za progiem. Jaki był mechanizm tej zmiany. Otóż chciałbym tutaj zwrócić uwagę na pewne zjawisko, które uchodzi uwadze ludzi, którzy dokonują tych wstępnych, bo w tej chwili tylko takie są możliwe, analiz historii 16 miesięcy Solidarności. Solidarność, w momencie kiedy powstawała, była ruchem, odruchem właściwie, grup robotniczych. Oczywiście do tego się natychmiast włączyła inteligencja, do tego natychmiast dołączyły się inne grupy społeczne, ale w samej genezie początkowej, równocześnie powiedzmy w układzie tych sił napędowych całego ruchu, zasadniczą rolę odgrywały grupy robotnicze, przede wszystkim załogi tych 200, 300 największych zakładów pracy. One decydowały o naszym sierpniowym zwycięstwie. I pierwszy okres Solidarności to jest okres, w którym nagle, po raz pierwszy — ja w każdym razie w tej skali nigdy w ciągu 30-tu paru lat historii tzw. Polskiej Ludowej tego zjawiska nie obserwowałem, chociaż przez te 30-ci parę lat, przy wszystkich przełomach, jakoś w mniejszym czy większym zakresie byłem blisko dziejących się wtedy rzeczy, nigdy nie obserwowałem, powiedzmy, takiej autentycznej robotniczej aktywności, wyłonienia przez to środowisko bardzo dużych grup prawdziwych środowiskowych przywódców. To byli często ludzie przedtem zupełnie nieznanymi. Nie mogli być znani, bo jeśli by byli, to musieliby być albo działaczami partii albo dawnymi związkami zawodowymi, a to oczywiście dyskwalifikowało do roli przywódczej w tym ruchu. Z reguły byli to poza tym ludzie bardzo młodzi, było to pokolenie między 20-tym a 30-tym rokiem życia. Co więcej było to pokolenie różniące się na ogół od poprzednich dosyć wysokim stopniem wykształcenia. Ale byli to jednak autentyczni przedstawiciele grup robotniczych. No takie nazwiska, jak Bujak, Janas, nie mówiąc już o samym Wałęsie, Lisie, to tutaj mogą być symboliczne. Ale to są nazwiska tych, którzy pozostali do końca i byli na samej górze, a ten ruch wyłonił tysiące takich ludzi i to było właściwie zjawisko,

które dla mnie stanowiło najbardziej optymistyczny akcent i wiązało się w jakiś sposób z przekonaniem o rzeczywistej sile i trwałości ruchu. Otóż gdzieś między styczniem 1981 roku a początkami jesieni, gdzieś między rozpoczęciem procesu wyborczego do władz Solidarności a jego zakończeniem w postaci zjazdu oliwskiego odbył się proces, który przyznam się szczerze uchwyciłem dopiero w końcowej jego fazie, pewien proces, który dla mnie jest do dzisiaj jakby niezupełnie jasny. Okazało się, że w tym procesie, no powiedzmy demokratyzowania związku, bo wyłonienie pierwszych władz związkowych 10-milionowego związku w autentycznych, demokratycznych wyborach to był eksperyment społeczny w ciągu 30-tu paru lat historii Polski Ludowej pierwszy — nigdy to społeczeństwo w takiej skali nie uczestniczyło w rzeczywistym, demokratycznym procesie wyłaniania swego przywództwa — otóż w tym procesie tak się stało, że znakomita większość autentycznych przedstawicieli środowiska robotniczego gdzieś odeszła, nie przebiła się, nie wyszła ponad poziom władz zakładowych, ponad komisje zakładowe. W komisjach zakładowych fabryk, przedsiębiorstw rzeczywiście ci ludzie byli, natomiast już wyżej władze Solidarności zostały prawie całkowicie zmonopolizowane przez przedstawicieli różnych grup inteligencji, zresztą przeważnie inteligencji technicznej. Przez środowisko, które ja nazywam inżyniersko-biurowym. Bo zdajemy sobie chyba sprawę, że u nas inteligencja techniczna to w znacznej mierze jednak urzędnicy biurowi. Otóż w jakimś momencie okazało się, że ten mechanizm wyłaniania reprezentację społeczną, która nie jest tożsama z podstawową bazą społeczną.

A: — A czy nie był to błąd ordynacji wyborczej?

E: — Szczerze powiedziawszy, do dzisiaj nie wiem. Do końca nie jestem w stanie powiedzieć, gdzie w mechanizmie niewątpliwie w pełni demokratycznej ordynacji tkwiła tego przyczyna. Myślę, że przede wszystkim w jednej rzeczy, mianowicie w tym, że były to pierwsze demokratyczne wybory związku, którego cała historia, wtedy kiedy one się zaczęły, trwała niespełna pół roku. Gdzie w istocie rzeczy ludzie nie mogli się znać, nie mogli zdobyć pewnego rozeznanie i przygotowania do świadomego aktu dokonania takiego wyboru, po prostu dlatego, że był to okres za krótki, że przy wybieraniu przywódców powyżej pewnego szczebla musiały grać rolę elementy zupełnie przypadkowe, ponieważ byli to ludzie po prostu w ogromnej masie zupełnie nieznanymi. Każdy z nich był znany swojemu najbliższemu środowisku w zakładzie pracy. Ponieważ wybierało 10 milionów

członków Solidarności, no może to nie było 10 milionów, władze dzisiaj twierdzą, że było tylko 8,5 miliona. Niech będzie, możemy w tym zakresie ustąpić. Ale jest pewne, że niewątpliwie robotniczy trzon związku, to co było jego bazą i siłą, ta wielkoprzemysłowa grupa robotnicza, to mogły być 3 miliony ludzi. Otóż przedstawiciele tej grupy z reguły jakby powiedzmy tracili na tych wyższych szczeblach i odpadali. Być może dlatego, że byli majoryzowani przez przedstawicieli innych środowisk, gdzie liczą się bardziej dla inteligenta, czy raczej myśląc o masie półinteligenta polskiego, bo tak by raczej należało określić pewną grupę społeczną, cechy takie jak pewna płynność operowania frazesem, pewna skłonność do używania wielkich słów, demonstrowania swego zaangażowania. To są rzeczy, które u ludzi ze środowiska robotniczego, przeważnie dość rzeczowych, rzadziej występują. Tam talenty krasomówcze typu Goździka z 1956 roku są zjawiskiem niezmiernie rzadkim. To nie jest cechą przywódców tej grupy. Wałęsa, który ma pewien dar kontaktu z własnym środowiskiem robotniczym, też nie jest mówcą w rozumieniu takim, jakie dla polskiego inteligenta ma to słowo. Myślę, że dlatego to środowisko przegrywało i w pewnym momencie nastąpiła we władzach związku jakby zmiana jego społecznej bazy. I to chyba zaważyło na utraceniu bezpośredniego psychicznego kontaktu z bazą. To znaczy myśmy wszyscy, mówię „wszyscy”, mówię „my” w takim rozumieniu, jak kiedyś Leon Schiller mówił: „Myśmy znacjonalizowali przemysł, myśmy przeprowadzili reformę rolną, myśmy mnie usunęli z dyrekcji”. No więc pewna część ludzi dostrzegą ten proces. Ale ja mówię w tej chwili o dominujących w naszym środowisku nastrojach. Wydawało nam się, że to ciągle jeszcze jest głos bazy, a to był już głos zupełnie innego środowiska. Wydaje mi się, że tutaj rozeszły się nie tylko wyobrażenia, nie tylko postawy życiowe, to znaczy pewna skłonność do działania mniej rzeczowego niż to jest przyjęte w środowisku robotniczym, ale chyba także pewne interesy. W którymś momencie problematyka związku przesunęła się wyłącznie na płaszczyznę polityczną; związek przestał reagować na problemy o charakterze doraźnym, życiowym, ekonomicznym, zajmować się tym, co dla człowieka pracy było jego codziennością, codziennością niesłychanie dolegliwą. W pewnym momencie grupa przywódcza związku jakby zaczęła od tej problematyki uciekać, szukając formuły na generalne rozwiązanie wszystkich problemów w jakiejś akcji jednorazowej konfrontacji z władzą, która doprowadzi do ostatecznego zwycięstwa, ułożenia wreszcie stosunków,

ustabilizuje związek, umożliwi natychmiastowe dokonanie reformy, usunie w bardzo krótkim czasie wszystkie trudności i znajdziemy się nagle w Eldorado. Gdyby tak zacząć przyciskać każdego z działaczy związkowych, którzy składali się na grupę kierowniczą wyłonioną przez zjazd oliwski, to by się okazało, że właściwie zdajemy sobie sprawę z tego, że jest to nierealne, ale jednak na to liczymy. No, coś takiego się tutaj stanie, władza nam ustąpi, zostanie zawarte generalne, narodowe porozumienie. Zachód da na to pieniądze, Rosjanie będą się musieli z tym pogodzić i będzie w ogóle wszystko fajnie. Natomiast nad realiami tej wspaniałej wizji mało kto się zastanawiał.

A: Nie zastanawiali się nad tym nawet eksperci Solidarności? Ludzie niejednokrotnie o bogatym doświadczeniu politycznym, naturalnie na miarę PRL. Czy może zabrakło im odwagi powiedzenia tego wszystkiego ludziom młodym, niedoświadczonym?

E: — Nie, to nie był brak odwagi. W poszczególnych wypadkach może, ale nie była to dominująca przyczyna. Mnie się zdaje, że był to pewien proces samoułudy, to znaczy przekonanie, że robotnicy tego chcą. Robotnicy chcą konfrontacji, a robotnicy właściwie dokonali tutaj wszystkiego. Więc jeśli oni tego chcą, to nie można się im przeciwstawić.

A: — Czy rzeczywiście robotnicy domagali się tej konfrontacji?

E: — Takie przekonanie ukształtowało się na górze związku, na zasadzie kontaktu, który miał on ze swoim bezpośrednim zapleczem, to znaczy z aparatem związkowym, z tym aktywem, który miał być przecież demokratycznie wyłonioną reprezentacją mas związkowych. Natomiast nad tym jak naprawdę się do tego odnoszą masy nie dość się chyba zastanawiano. Skądinąd muszę powiedzieć, że sondaże socjologiczne opinii związkowej — w Warszawie były one robione przez Ośrodek Badań Społecznych Mazowsza dość nawet przyzwoicie — sygnalizowały, że nie jest tak dobrze. Sygnalizowały, że ludzie nie chcą strajków, że boją się strajku generalnego, że jest przekonanie, iż zbliżająca się zima to nie jest czas na konfrontację, tylko po prostu to jakby nie dotarło do ścisłego, kierowniczego gremium. W każdym razie nie tyle nie zostało dostrzeżone, bo wyniki te były rozpowszechniane i dostarczane, tylko po prostu nie wyciągnięto z tego wniosków. Wydaje mi się, że strona przeciwna, w przeciwieństwie do nas, oceniała tę sprawę znacznie bystrzej. Potrafiła dostrzec tę różnicującą się postawę bazy związku i jego władz i rozumiała, że to da jej jakieś szanse. Inna sprawa, czy do

rozprawy ze związkiem wybrała sobie najlepszą metodę. Zdaje się, że i po drugiej stronie nie wszystko było tak, jak często sobie wyobrażamy, że tam był ten sztab, który z szatańską inteligencją układał plan, czekał na moment, potrafił go wybrać, bezbłędnie zorganizować, uderzyć. Proces w znacznej mierze przebiegał żywiołowo i w znacznie większej mierze był oparty na emocjach, niż nam się dzisiaj wydaje. Było w nim znacznie więcej przypadkowości, niż to z zewnątrz widać. Ale faktem jest, że moment wybrany był przez drugą stronę nieporównanie lepiej. No i skutki oczywiście znamy.

A: — Czy coś z Sierpnia zostało, a jeśli tak, to co należałoby zrobić z tym jeszcze jednym doświadczeniem narodowym?

E: — Patrząc wstecz Sierpień nie wydaje mi się takim całkowitym ewenementem. Bo w końcu, jakże by wyglądały w roku 1947 wybory? Popatrzeć na to od strony społeczeństwa, to społeczeństwo w 80% czy nawet 90% było przeciw. Jeśli patrzeć na to z punktu widzenia roku 1956, to pomijam już to, że oczywiście wszystko się działo na zasadzie uznania autorytetu Gomułki, w związku z tym także przyjęcie, że będzie się to działo w ramach systemu, w którym partia stoi na czele odnowy. Ale przecież jeżeli przyjmiemy samą tylko opcję za systemem stalinowskim czy przeciw, to 95% lub nawet 99% ludzi było w tym jednolitym froncie.

A: — Ale skąd pewność?

E: — Bo ta powszechność demonstracji występowała w równie masowej skali — twierdzą — w latach 1946, 1947, w roku 1956 jak w roku 1980 i 1981. Różnicy nie widzę. Przynajmniej w skali ilościowej. W 1956 roku — mogę powiedzieć — byłem blisko tych rzeczy. Widziałem jak to się działo. Jak ta władza z dnia na dzień dosłownie przestawała istnieć, jak się nagle rozpadały komitety, znikwały urzędy bezpieczeństwa. To wszystko działo się w tempie bardziej przyspieszonym niż w 1980 czy 1981 roku. Ale jednak mimo wszystko była między tymi powiedzmy kolejnymi erupcjami nastrojów pewna jakościowa różnica. Ona się w moim przekonaniu bierze stąd, że w roku 1980 po raz pierwszy w tej skali jako samodzielna społeczna siła wystąpili robotnicy. Ta siła się nie akcentowała w latach 1945-47, w latach 1956-57 w stopniu bardzo niewielkim, w każdym razie — nieporównywalnym. Prawdę powiedziawszy to w skali kraju mógłbym chyba policzyć i wymienić zakłady pracy o aktywnym i wyodrębniającym się ruchu robotniczym. Powiedzmy w Warszawie Żerań, Warszawska Fabryka Motocykli, już z Hutą Warszawa było wtedy tak trochę dziwnie.

Nie bardzo wiadomo, co to jest. Czy to jest ruch troszeczkę podrabiany. To naprawdę była kwestia kilkunastu zakładów, gdzie zresztą ten ruch był, ale też nie był samodzielny. Był majoryzowany jakoś przez działaczy autentycznie zresztą robotniczych, ale właściwie związanych, często powiedzmy partyjnych. On uznawał pewną frazeologię obowiązującą, on czytał frazeologię i zupełnie inaczej ją rozumiał, znacznie bardziej dosłownie, szczerze i autentycznie. Ale to była frazeologia partii, frazeologia socjalizmu.

A: — No a 1976 rok — Radom?

E: — Proszę Pani, 1976 rok — Radom, to był krótki, spontaniczny, jednorazowy akt, z którego nie można było wyciągnąć żadnych wniosków. Zresztą z Wybrzeża 1970 roku też nie bardzo. Dlatego, że była to skala tylko jednego regionu, a po drugie dlatego, że szybko został jak gdyby wessany przez system. Oczywiście już rok 1970 był sygnałem, że w pewnych sytuacjach pewne przynajmniej grupy robotnicze są zdolne występować samodzielnie, bez tej czapki partyjnej, bez kurateli oficjalnej, że Stocznia Gdańska czy Stocznia Szczecińska potrafiły się zorganizować same, że organizację mieli niesłychanie sprawną, ale jednocześnie możliwość wessania tego przez system była bardzo wielka. Dowodziło to tego, że są to fakty jednostkowe, że to nie jest zjawisko w skali masowej. Rok 1975 mógł być pewnego rodzaju sygnałem, ale ten sygnał był zbyt krótkotrwały. Władza natychmiast ustąpiła — nie wykluczam, że już rok 1975 zadokumentowałyby to zjawisko w odpowiedniej skali, gdyby nie to, że — co trzeba przyznać Gierkowi czy Jaroszewiczowi — oni natychmiast ustąpili, nie dopuścili do jakiegokolwiek rozwoju tego ruchu. Z tym, że istotnie tych wystąpień czynnych poza Radomiem, Ursusem i Płockiem w zasadzie nie było. Natomiast fakt, że w kraju dosłownie jednego dnia strajk ogarnął właściwie 80% zakładów w takiej lub innej formie, co wynikało choćby z danych obiektywnych, nie da się niczym umniejszyć. Istnieje prowadzona codziennie kontrola dyspozycji mocy dla przewozu, która 25 czerwca w południe wykazywała prawie żaden pobór mocy. Tak więc proces został natychmiast przerwany przez ustępstwa władzy. Stąd wystąpił on jakby z opóźnionym zapalnikiem, ale za to rzeczywiście po raz pierwszy w bardzo wyartykułowanej skali. Okazało się bowiem, że to jest już środowisko, które osiągnęło wysoki stopień organizacji, wysoki stopień samoświadomości i wysoki stopień możliwości. Potrafiło we własnym zakresie, bez pomocy z zewnątrz, bez kurateli — czy to oficjalnej kurateli partii, czy nieoficjalnej

kurateli środowisk inteligenckich — wyakcentować własną postawę, własne dążenia, nawet w jakimś zakresie własny program. Choć można powiedzieć, że ten program znajdował wyraz nie w dokumentach pisanych, tylko w wyrażanych postawach. I to jest fakt w moim przekonaniu nieodwracalny. Nie można już w tej chwili tej warstwy społecznej z powrotem zdegradować do poziomu z lat 1945, 1950, 1956 czy 1960. To jest już nieodwracalny proces. I to jest grupa na tyle społecznie znacząca, że skoro raz wystąpiła czynnie, to każda władza w tym kraju, jakakolwiek by nie była, choćby to nawet była w pewnym momencie władza okupacyjna, będzie się musiała z nią liczyć. A tym bardziej oczywiście każda władza, która jest tutejsza, choćby też czerpała swój mandat z zewnątrz. I dlatego uważam, że doświadczenie lat 1980-81 to już nie jest tylko historia, która coś zamyka, tak jak zamykało coś Powstanie Warszawskie, jak zamykało coś Powstanie Styczniowe. Gdybym miał tutaj szukać porównań historycznych, to bym to porównał może raczej z rokiem 1905. To jest sygnał czegoś, co się raczej zaczyna, niż tego, co się w jakiś sposób zamyka czy kończy. A jaki będzie dalszy ciąg, no tutaj wchodzimy w prognozowanie..., którego nie lubię.

A: — Jaka jest Pańskim zdaniem cena takiego ruchu społecznego, jakim była Solidarność w państwie totalitarnym?

E: — To może zależy od jednej rzeczy, która znowu w tej chwili jest dla nas samych niewygodna. Mianowicie zależy od tego, na jakim etapie, trudno powiedzieć rozwoju, bo nie jest to już etap rozwoju, raczej historycznej degradacji, na jakim etapie degradacji tego systemu ten ruch powstał i rozwija się. Można powiedzieć, że w momencie, kiedy system totalitarny jest systemem stojącym u szczytu swych możliwości taki ruch w ogóle nie może powstać, bo nie ma do tego warunków. Że on w ogóle jest produktem tylko degradacji systemu. Ale u nas sprawa się komplikuje dlatego, że siłę systemu totalitarnego trzeba oceniać oczywiście nie na podstawie stopnia jego rozkładu w kraju, tylko jego sprawności w skali całego obozu, a tego — boję się — nie potrafimy w tej chwili w sposób rozsądny określić. Otóż myślę, że w związku z tym ta cena może się okazać bardzo opłaczalna historycznie, z drugiej strony może się okazać tragiczna. To jeszcze ciągle jest nierozstrzygnięte. Dlatego, że Solidarność tylko do pewnego stopnia jest historią. Problem jeszcze ciągle trwa, problem jeszcze ciągle istnieje. Ten problem ciągle jeszcze jest nierozstrzygnięty.

A: — A jakie są rozmiary zastosowanych represji?

E: — Jesteśmy przy tym problemie, którego stan wojenny oczywiście nie rozwiązał i którego rozwiązać nie może. Związek oczywiście poniósł bardzo ciężką klęskę. Tym niemniej zachował to, co było jego podstawową siłą, to znaczy zachował swój wpływ — przynajmniej potencjalnie — w załogach robotniczych. Z tego, co można się zorientować wszystkie sondaże robione po cichu przez oficjalne instytucje — Ośrodek Badań Opinii Publicznej, różne instytuty naukowe — mają jednoznaczne wyniki. 90% załóg trwa przy idei Solidarności. Oni chcą mieć związek zawodowy, taki związek zawodowy, ten związek. I to jest pewien fakt społeczny, którego nie może przeszkodzić żadna władza ani żadna grupa polityczna w Polsce. Z drugiej strony wydaje się, że jest to z punktu widzenia głównej siły naszego obozu, z punktu widzenia Związku Sowieckiego, z punktu widzenia naszych sojuszników z Paktu Warszawskiego problem, którego oni nie przyjmują do wiadomości. Nawet jeśli zdają sobie sprawę, że problem jeszcze trwa, to mogą to przyjmować do wiadomości tylko w tym sensie, że trzeba to doprowadzić do ostatecznej likwidacji. Właśnie dlatego powiadam, że cena, którą za to zapłacimy jeszcze nie jest znana.

A: — Ale ściślej, jak można określić rozmiar zastosowanych przez WRONę represji...?

E: — Jest to wojna, która ma charakter pewnego rodzaju, no — trudno powiedzieć operetki, skoro trupy są autentyczne, choćby ich było bardzo niewiele. Ale powiedzmy sobie szczerze, jest to jednak mimo wszystko coś takiego, co robi na mnie wrażenie nieco umowne. Jedni udają, że już chwycili wszystko za twarz, wprowadzają dyktaturę i panują nad sytuacją, a stro- na przeciwna udaje, że to się rzeczywiście stało. Jest to w gruncie rzeczy pewnego rodzaju gra pozorów po obydwu stronach. Zakres zastosowanych represji — może to się wydać szokujące, jak się czyta prasę, jak się odbiera stanowisko wielu środowisk społecznych — uważam za co najmniej umiarkowany. W żadnym systemie, który byłby systemem chociażby pozorującym autentyczny terror nie jest możliwa sytuacja taka jak tutaj, w której praktycznie biorąc 80%, jeśli nie 90% czynnych konspiratorów jest władzy doskonale znanych. Władza oczywiście nie wie, co oni konkretnie robią, ale nie ma żadnych złudzeń, że to są ludzie tkwiący w konspiracji i oni to mogą spokojnie robić, mimo że władza wprowadziła specjalne środki, które pozwalają jej wszystkich tych ludzi natychmiast skutecznie izolować. Tylko, że wtedy musiałyby zamknąć nie dwa tysiące, ale, nie wiem, może 40 tysięcy. Musiałyby dać im jeść, gdzieś ich

pomieścić... Ale dla systemu prawdziwego terroru nie jest to taki problem, co najwyżej pewna ilość tych ludzi by się powiedzmy, no krótko mówiąc, rotacja byłaby bardzo przyspieszona. To skądinąd znamy. Myślę, że ilość więźniów w okresie stalinowskim, więźniów politycznych, w jakimś okresie sięgnęła kilkudziesięciu tysięcy, a w pewnym okresie przekroczyła sto tysięcy czy nawet więcej. Były to bardzo krótkie okresy, ale były. Technicznie jest to więc możliwe, można to sobie wyobrazić. Czy jest to możliwe społecznie w tym momencie, to jest pytanie. Bo system ten nie opanuje sytuacji przy pomocy wyodrębnionego, zawodowego aparatu terroru, albowiem aparat jest zbyt szczupły. Aparat tzw. zwyczajnej milicji nie jest w zasadzie aparatem terroru. Jest to aparat, który był szkolony i nastawiony na utrzymywanie pewnego specyficznego porządku. Oczywiście był to aparat, który kształcono w trzymaniu się ściśle dyrektyw, wykonywaniu wszystkiego, co władza każe, ale równocześnie był to aparat, który przez szereg lat doskonale wiedział, że rozporządzenia z góry są przeważnie niewykonalne w dole, że trzeba udawać, że się je wykonuje, ale tak do końca to wiadomo, że zrobić nic nie można, bo to jest po prostu nie-realizowalne, że jest to, przy tym wszystkim, pewne źródło dodatkowych zarobków. Jak się złapie złodziei, to trzech trzeba oczywiście postawić przed sądem, a od siedmiu wziąć łapówkę i puścić, bo dziesięciu i tak się nie posadzi, bo więzienia tego nie wytrzymają. Tak że ludzie, którzy zostali przyzwyczajeni do tego rodzaju systemu nie nadają się do tego, żeby stanowili aparat terroru na serio.

A: — Czy władza tego terroru wprowadzić nie chce, czy tylko nie może sobie na to pozwolić?

E: — Nie może. Ona zresztą, moim zdaniem, także nie chce, bo sobie zdaje sprawę, że nie może. Chcą uniknąć ostateczności, ponieważ ta ostateczność będzie wymagała zaangażowania sił z zewnątrz. A zaangażowanie sił z zewnątrz dla nich samych nie jest rzeczą, która obędzie się bez przykrych konsekwencji. Stąd istnieje — powiedziałbym — przy całej przepaści jaka dzieli społeczeństwo i tę izolowaną kompletnie od wszelkich grup społecznych elitę władzy, pewien minimalny wspólny interes. To znaczy utrzymanie jednak tej gry. Dlatego mówię, że w pewnym zakresie jest to gra pozorów, polegająca na nieprzekraczaniu pewnych granic po jednej i po drugiej stronie.

A: — Dobrze, wobec tego jakie jest dopuszczalne ryzyko?

E: — To ryzyko jest w moim przekonaniu bardzo trudne

do wyliczenia. Nie można chyba zrobić takiego rachunku w sposób, który byłby całkowicie jasny. Jest dla mnie pewne, że władza nie może w tym momencie przyjąć założenia, że zaostry postępowanie do granic, które jej umożliwią odbudowę systemu powiedzmy na zasadzie pozorów, systemu który istniał przed Sierpniem 1980 roku. Po stronie Solidarności jest oczywiste, że nie można tak jak było do grudnia 1981 przyjąć zasady, że przeprowadzimy tę jednorazową masową konfrontację. Otóż to jest rzecz nierealna. Związek może tym nawet grozić, chociaż ja uważam, że używanie gróźb, o których wszyscy wiedzą, że są nierealne, nie jest dobrą taktyką. W każdym razie związek nie jest w stanie tego zrobić. Tutaj w moim przekonaniu po obydwu stronach istnieje jakaś wyznaczalna granica, której w zasadzie nie można przekroczyć, chociaż po obydwu stronach są radykalne grupy, które chętnie by tę granicę przekroczyły. Po jednej stronie, to znaczy po naszej, są to grupy ludzi młodych, bardzo zapalonych, działających często w bardzo dobrej wierze, ale bardzo niemądrych, po drugiej stronie, przeciwniej, jest jakby zupełnie odwrotnie. Są to przeważnie starzy emeryci, którzy oczywiście doskonale wiedzą czego chcą i do czego zmierzają, którzy oczywiście nie mają może wystarczającej dynamiki, żeby to przeprowadzić, natomiast wiedzą, jakie można mieć z tego realne korzyści. To znaczy, krótko mówiąc, że jest to jedyny sposób uchronienia na dłuższą metę tego systemu władzy, w którym wyrosli, który im przyniósł kariery, który im zapewnił ten poziom życia, jaki w tej chwili mają i bez którego już nie wyobrażają sobie, żeby mogli tu prosperować. Oni wiedzą, że jest to możliwe tylko wtedy, jeśli po raz drugi, tak jak przy genezie tego systemu, wkroczy wreszcie ta sama siła, która ich tutaj, że tak powiem, usadowiła.

A: — Wobec tego co robić dalej w tym stanie wojennym, który przecież może trwać i trwać?

E: — Tak, on w różnych postaciach może trwać, chociaż to jest bardzo niedobre dla kraju. Sądzę jednak, że ulegnie stosunkowo szybko pewnej metamorfozie. Mianowicie przesunie się — przyjmuję to jako alternatywę optymistyczną, chociaż nie podjąłbym się wyliczenia w procentach jej szans — w kierunku zmiany systemu stanu wojennego na system pełnomocnictw szczególnych rządu, który na okres wyprowadzenia Kraju z kryzysu dysponuje takimi czy innymi, dodatkowymi, pozakonstytucyjnymi uprawnieniami. Sądzę, że w ramach tego systemu, jak się zwał tak się zwał, chodzi o pewną istotę, my będziemy musieli prosperować przez dwa, trzy lata, a może nawet dłużej,

z tym że to wcale nie oznacza przecież zamrożenia pewnych procesów społecznych. Procesy będą postępować, bo nie da się ich zatrzymać. W moim przekonaniu klucz do powodzenia całej sprawy nie tkwi ani w problemie formalnych uprawnień władzy, ani w problemie statusu Solidarności, chociaż to niezmiernie ważna sprawa. On tkwi w niedocenianym przez większość społeczeństwa, w szczególności przez środowiska inteligenckie, problemie wyjścia z kryzysu gospodarczego, przebudowy procesu gospodarki. To jest rzecz, która jakby stwarza pewną kwadraturę koła, ale my tę kwadraturę koła musimy rozwiązać pod groźbą, no zupełnej katastrofy narodowej. I dlatego, wbrew temu, co się mówi o Polakach, że są samobójcami, marzycielami, ja mam duże zaufanie do instynktu samozachowawczego, który występuje w każdym narodzie. On występuje i u nas i odgrywa dosyć dużą rolę. Mam zaufanie, że mimo wszystko potrafimy z tej bardzo ciężkiej sytuacji, w której się znaleźliśmy jakoś wyjść, a być może kryzys, który w końcu musi się przenieść także na sąsiadujące struktury, nam to wyjście z kwadratury koła w jakimś momencie ułatwi. Tutaj jedno jeszcze zastrzeżenie. Ja tego naszego kryzysu nie uważam za specyfikę tylko polską. Specyfiką jest może tylko to, że tutaj wystąpił najwcześniej. Sądzę, że to jest pewna prawidłowość całego systemu, który powyżej pewnego poziomu rozwoju ekonomicznego, rozwoju techniki produkcji po prostu nie może sobie z tym poradzić. On tego nie jest w stanie wchłonąć. Ile by w okresie gierkowskim nie zmarnowano pożyczek, ile by nie ukradziono dolarów, to jednak za wiele miliardów prawdziwych pieniędzy wpompowano nowoczesnej techniki w ten kraj. Otóż okazało się, że tej techniki system nie jest w stanie absorbować. To była podstawowa przesłanka kryzysu, podstawowy powód załamania. To samo musi się powtórzyć w skali znacznie szerszej. Nie widzę, dlaczego to, co się nie udało w Polsce, musiałyby się udać gdzie indziej.

A: — Ale udało się ponoć na Węgrzech?

E: — To jest właśnie pytanie, w jakim zakresie udało się na Węgrzech. Chyba dlatego, że w ogóle jest to pewien margines systemu, pewien margines obozu, który od wielu lat działał na specjalnych nieco warunkach. Niedawno człowiek — cokolwiek byśmy nie mówili o jego późniejszych politycznych perypetiach, ale ma on solidne wykształcenie ekonomiczne i na pewno zna Węgry, mówię o Jędrzychowskim — ekonomista z prawdziwego zdarzenia i wieloletni ambasador na Węgrzech, określił różnicę między naszą gospodarką a węgierską w ten sposób, że Węgrzy

jeszcze muszą płacić długi, a co do nas już nikt nie ma złudzeń, że je zapłacimy. Natomiast stan rzeczywisty gospodarki — poza pozorami — nie odbiega od tego, co się dzieje w Polsce. Pełne sklepy, o których opowiadają przyjeżdżający z Węgier o niczym nie świadczą. Załamanie może następować z bardzo wysokiego pułapu, a przebiegać tak gwałtownie, że bardzo szybko dojdzie do tego samego poziomu, na którym my jesteśmy. To tylko może oznaczać, że tamci spadną z nieco wyższego konia.

A: — Czy sądzi Pan, że możliwe jest wyjście z kryzysu, jeśli nie zostaną spełnione podstawowe żądania społeczne, to znaczy zniesienie stanu wojennego, reaktywowanie Solidarności i naturalnie zwolnienie internowanych z jednoczesną amnestią dla skazanych w okresie trwania stanu wojennego?

E: — Nie jest możliwe. Dlatego sądzę, że to musi pójść w kierunku uwzględniania przez system, przez reżim pewnych postulatów społecznych. Z tym, że musi to być rozgrywane na zasadzie pewnej stopniowości wzajemnych posunięć, obydwu tych sił, które wobec siebie zajmują zdecydowanie wrogie stanowisko, ale jednocześnie mają przekonanie, że obie nie mogą przekroczyć jakiejś granicy i że mają pewien wspólny interes w podtrzymywaniu gry. Krótko mówiąc, sądzę, że władza będzie musiała przyjąć kurs na stopniowe ustępstwa, że coś takiego chyba nawet w tym momencie się dzieje, może 22 lipiec...

A: — A może wizyta Papieża?

E: — Oni się tej wizyty boją, nie sądzę, żeby była ona realna w sierpniu. Czy będzie realna w terminie październikowym, który Kościół w tej chwili wysuwa, to jest kwestia dyskusji. W moim przekonaniu ona najprawdopodobniej dojdzie do skutku i będzie jakimś istotnym elementem zmiany. Zmiany, pewnego przełomu psychicznego w obecnym nastawieniu, które zresztą też jest układem, którego nie możemy utrzymywać w nieskończoność. Mówię w tej chwili o środowisku inteligentnym przede wszystkim. Np. bojkot aktorski, bardzo dotkliwy dla władzy, nie może jednak trwać latami. Bo to po prostu oznacza, że jakieś środowisko, jakaś suma ludzi reprezentujących autentyczne talenty popełnia pewnego rodzaju samobójstwo. Nie tylko osobiste, ale wyrządzające jakąś szkodę kulturze narodowej. Wiadomo, że tego w nieskończoność nie można kontynuować. Z drugiej strony też nie można nagle powiedzieć, no 5 miesięcy, 6 miesięcy, 8 miesięcy, rok to dosyć, ale od dzisiaj przestajemy. To się musi rozegrać także na zasadzie dwustronnie rozgrywanej gry, w której władza w jakimś momencie poczyni tak ewidentne ustępstwa, po których można powiedzieć:

my to uznajemy i w pewnym zakresie nasze występowanie jest możliwe. Nie występujemy powiedzmy w spektaklach pióra pana Przymanowskiego, natomiast nie prowadzimy totalnego bojkotu, liberalizujemy formę bojkotu w zamian za liberalizację systemu. Uważam, że stoi przed nami zadanie opracowania systemu przechodzenia z bojkotu totalnego na bojkot selektywny, na stworzenie taktyki odpowiadania na kolejne gesty strony drugiej.

A: — Czy to będzie uczciwa gra?

E: — Zakładam, mam taką nadzieję. Może się myłę. Zakładam to minimum wspólnego interesu. To minimum, które obydwu stronom pozwala przetrwać. Myślę, że to jest gra, którą władza musi przyjąć. I przyjmie, chyba że jest zdecydowana przyłączyć się do swoich skrajnych elementów i stanie na stanowisku „im szybciej przyjdzie tu Armia Czerwona, tym lepiej, tym prędzej się ten koszmar wyjaśni”.

A: — A gdyby tak się stało? Co oznacza dla nas — Pańskim zdaniem — wejście wojsk sowieckich?

E: — Bałbym się, proszę Pani, że nas jako naród załatwią na jedno pokolenie, co najmniej na jedno, a kto wie czy nie na dłużej. Dlatego uważam, że jest to perspektywa katastrofy, do której za żadną cenę nie wolno dopuścić. I z tego punktu widzenia jest dla mnie rzeczą niekiedy przerażającą stopień lekko-myślnej brawury, jaką demonstruje część środowisk, także inteligencji, także nawet intelektualnych, gdzie hasło stan wojenny to jest okupacja własnymi rękami, to jest coś znacznie gorszego, niż gdyby tu weszli Rosjanie, bo wtedy sytuacja byłaby jasna. To dowodzi, że mamy jednak tendencje samobójcze. Mamy może skłonność nie tylko do tendencji samobójczych, ile do popisywania się. Są takie osoby, które mają skłonność do nieszkodliwego podcinania sobie żył przy pomocy żyłki albo łykania pewnej ilości proszków, chociaż wykluczają przy tym ostateczną konsekwencję. Mnie takie wypowiedzi trochę przypominają tego rodzaju postępowanie. To znaczy my uważamy, że byłoby dobrze tak coś zademonstrować, chociaż w gruncie rzeczy nikt się nie chce zgodzić na koszta, które ta demonstracja za sobą pociągnie. W moim przekonaniu, gdyby do tego doszło, to nasza sytuacja po prostu zostaje zdegradowana do kolejnej republiki Związku Sowieckiego. Polska na przeciąg wielu lat stałaby się taką dużą Litwą. Jak z tego potem wyjść? Boję się, że będzie to troska już nie naszego pokolenia. Ale na pewno nie zostawimy wtedy po sobie dobrego wspomnienia u naszych następców.

A: — Czy ta gra pozorów nie będzie w efekcie totalnym ustępstwem? Władza oszukiwała ten naród przez blisko 40 lat, pokazując jak dzieciom kolejną zabawkę.

E: — Ja myślę, że to władza będzie musiała z wielu rzeczy ustąpić. Myślę, że jedna rzecz jest tutaj niewątpliwa i o tym już powiedziałem. Tu nie można w gruncie rzeczy rządzić z zupełnym zlekceważeniem w tej chwili stanowiska robotników. Postulat, że oni chcą mieć własną, niezależną, zawodową reprezentację musi być w jakiejś formie w końcu przyjęty i w jakimś zakresie rozsądnym przez władzę respektowany. Inaczej się ona na dłuższą metę nie utrzyma. Gra może być prowadzona powiedzmy stopniowymi, wzajemnymi posunięciami, ale jeżeli dążenie robotników zostanie trwale zablokowane, będzie to oznaczało po prostu upadek całego systemu i konieczność wprowadzenia tutaj przy pomocy sił wewnętrznych pacyfikacji na skalę, nie wiem, przypominającą rok 1939-40 na ziemiach wschodnich, czy, żeby zastosować analogię odwrotną, to oczywiście innymi metodami, bo ten system nie działa tak jak system hitlerowski, metody pacyfikacji jakie stosowali Niemcy w tzw. Generalnej Guberni.

A: — Pan uważa, że środowisko robotnicze jest skonsolidowane i chce powrotu Solidarności jako całość?

E: — Ono chce w tej chwili mieć swoją własną reprezentację i wiąże ją z Solidarnością. Solidarność i Wałęsa to jest to, co nadaje w tej chwili autentyczność takiemu związkowi. Bez tych rzeczy związku nie ma. Cały stan wojenny zrobiono po to, żeby przeciąć tę sprawę. Oni teraz są pod kolosalnym naciskiem zarówno własnego zaplecza, jak również zewnętrznym, by nie dopuścić do odzycia tego problemu. Tym niemniej oni ten problem rozwiązać będą musieli. Rozumiem, że nie mogą powiedzieć przy okazji 22 lipca, moi kochani, nie udało nam się, dziękujemy, proszę bardzo, wracamy do koszar. To jest rzecz, która nie może się zdarzyć po tamtej stronie, nie możemy tego oczekiwać, bo byłoby to żądanie nierealne. Ale po prostu musi to być rozegrane na zasadzie szeregu stopniowych kroków, które w ostatecznym rezultacie włączą trzeci człon do tego i tak już dwuczłonowego układu. Bo obok władzy, zdajemy sobie z tego sprawę, istnieje niezależny całkowicie układ obejmujący właściwie całe życie społeczne plus Kościół, otóż w tym momencie dalsza ewolucja systemu musi biec nieuchronnie w kierunku wmontowania weń tego trzeciego członu — związku, w taki sposób, żeby to było do strawienia dla naszych opiekunów, z zachowaniem pewnego zespołu pozorów, z uprawianiem tej gry.

A: — Czy Pan ich nie przecenia? Czy oni chcą uprawiać tę grę pozorów?

E: — Muszą. Czy my chcemy? My też nie chcemy. My najchętniej proklamowalibyśmy tutaj wolne wybory, ale musimy. To jest pewien układ obiektywny. W tym układzie działa całe społeczeństwo, ale działa także i władza. To jest pewien proces uprawiania oszustwa na zewnątrz, które zresztą, no co tu dużo mówić, może być nawet bardzo dolegliwe dla naszej ambicji, dla dość naturalnych chęci powiedzenia naprawdę tego, co my o tym wszystkim sądzimy, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że jest ono konieczne. W pewnym okresie takim sztandarowym hasłem naszej opozycji była finlandyzacja Polski. Ja oczywiście w realność takiego hasła w Polsce nie wierzę, tu może się stworzy system nawet bardziej liberalny niż ma Finlandia, ale zawsze jednak inny. Ale jeśli się przyjrzeć z bliska temu upragnionemu finlandzkiemu systemowi, to społeczeństwo tam żyje na zasadzie pewnej umownej gry. Pewnych rzeczy tam się nie mówi — w kraju, gdzie nie ma cenzury. Ale pewnych rzeczy, które tu się mówiło i pisało w każdej gazetce związkowej na przestrzeni iluś tam miesięcy, w Finlandii na przestrzeni 35 lat nikt nigdy nie napisał i nie napisze. Więc to wymaga przyjęcia pewnej gry i pewnej w tej grze samodyscypliny. Ale tego musimy się nauczyć.

A: — Oby, dziękuję.

ZETA

Alfa: — Jak żyć w stanie wojennym?

Zeta: — Córka zdawała teraz historię gospodarczą Polski. Te wszystkie rzeczy, które miała do zdawania są już nieaktualne, nawet z punktu widzenia oficjalnego. Ale zdała prawie na piątkę. Egzaminowany i egzaminator mówili o czymś, co w ogóle nie istnieje, ale można się tego nauczyć. Można pewnie i wykładać. Tylko pisać nie można. Przynajmniej ja nie mogę.

A: — Dlaczego?

Z: — Nie jesteśmy chyba w stanie myśleć w tym momencie o sobie, a myślenie twórcze jest myśleniem właśnie o sobie. Jest to przecież, delikatnie mówiąc, nietakt. Mamy do czynienia z realiami.

A: — Angażował się Pan od wielu lat w coraz to silniej powtarzające się ruchy społeczne. Czym się ten 16-miesięczny zryw wyróżnia w Pana doświadczeniu?

Z: — Ruch Solidarności był autentycznie społeczny i autentycznie spontaniczny. Po raz pierwszy. Tak się składa, że w tym samym mieście przeżyłem październik 1956 roku. Po paru latach zdałem sobie sprawę z tego, że cały rok 1956 był nieautentyczny. Zapamiętałem nawet dzień, kiedy to zrozumiałem: było to w 1961 roku. Wtedy zrozumiałem, że był to właściwie ruch polityczny, a więc jak to zwykle przy takich ruchach bywa, ruch manipulowany. Prawda, że ziarno padło na podatny grunt społeczny, ale nasze nadzieje pogrzebało kolejne plenium właśnie w 1961 roku, które dotyczyło spraw kultury. (Ja już wtedy zajmowałem się kulturą...). Wtedy to „pryncypialnie” określono granice kultury, czyli granice wypowiedzania się, co oczywiście jest absurdem samym w sobie. Bo jak wiadomo, te

granice nie dają się nigdy określić, a jak się je określa, to właściwie przestaje istnieć sztuka, przestaje istnieć kultura. Wszystkie inne ruchy powstające później miały zawsze charakter szczątkowy. Kiedy w 1968 roku popieraliśmy żądania studentów, robotnicy zapytywali „co wy tam, pisarze, znowu chcecie?” Robotnicy bardzo życzliwi, nieskorumpowani, ciężko pracujący, ale dla których pewne rzeczy były niezrozumiałe. Wtedy byłem zdania, że dopiero sfera materialnych dotkliwości czy ograniczeń może poruszyć środowisko robotnicze. I tak było w roku 1970, bo na dobrą sprawę świadomość robotników ograniczała się do rozmów na temat cen. Jeżeli obniżą ceny, albo jak dadzą lepsze normy, to pójdziemy do roboty. Co prawda, już przy stole strajkowym zaczęły się kształtować postulaty polityczne i na końcu, jak się człowiek przyjrzał tym jedenastu postulatom, to tylko dwa okazały się ekonomiczne. Słowo ma tę straszną nośność i siłę, że nagle przebijają się idee, a z „papu” zostaje niewiele. Żądanie zdjęcia I sekretarza nie jest żądaniem kromki chleba, jest to postulat polityczny. Sprawa wolności słowa też tam już wyniknęła. Hasło „prasa kłamie” przeniosło się jakby z 1968 roku. Ale po paru latach już było wiadomo, że władza w grudniu też wiedziała, co robi. A spontaniczność wydarzeń grudniowych 70-go roku została przytłumiona z jednej strony brutalnością, z drugiej zaś bardzo zręcznymi posunięciami, które po sześciu latach, w 1976 roku zostały w sposób apodyktyczny znowu cofnięte. Słowa, którymi się określa posunięcia władzy już nie chcą człowiekowi przejść przez gardło, bo tak się zdewałuowały. Demokracja, wolność, samorząd robotniczy, rady robotnicze. Gdzie to wszystko pozostało, gdzie to wszystko było? Po 1956 roku jakiś tam samorząd, potem KSR, wszystko to koślawe, hybrydalne, właściwie nie wiadomo, co to. Cała ta społeczność robotniczo-mieszczańska, włączając też ten poziom miejsko-fabryczny jawiła się nam dosyć smutno. No, trzeba przyznać, że przy pewnej liberalizacji cenzury wiedzieliśmy, dlaczego mamy pisać książki, dlaczego mamy napisać wiersz, dlaczego mamy nakręcić film, dlaczego trzeba namalować obraz. Bo trzeba tę bezkształtną masę uformować poprzez dotarcie do wyobraźni, obalić pewne mity, np. złego Niemca, ciągle nam w polityce zagranicznej wsączone, przełamywać stereotypy, powiem wręcz, nawet rasowe. Albo — historia i jej zakłamania! Obracaliśmy się w całym tym anturazie władzy — radio, telewizja tworzyły taką otoczkę coraz bardziej zastygającą, którą należało rozbić, a pokazać wartości autentyczne, idee artystyczne. Dlaczego ludzie kupowali „Kuchnię polską”? Było to marzenie człowieka, który żył w paskudnym osie-

dlu, ciasnym mieszkaniu i miał daleko do pracy, która nie przynosiła mu najczęściej zadowolenia, i marzył o jakiejś sztuce, o czymś własnym...

No i tak doszliśmy do Sierpnia, do Sierpnia, w którym widziałem triumf polskiego intelektualisty. Mówię zupełnie szczerze. Nie przeceniam oczywiście politycznej sprawy uświadamiającej, jak to starają się niektórzy wmówić, twierdząc, że jest to zasługa organizacji KOR i innych ugrupowań. Uważam, że na to złożyło się wiele czasopism, wiele tygodników, na to się złożyła taka czy inna audycja, na to ucziwie, bardzo ucziwie i świadomie zapracował polski twórca, polski intelektualista. Odrzucam to określenie Wałęsy jako porucznika, bo uważam je za uwłaczające dla jednej i drugiej strony. Chciałbym natomiast zacytować powiedzenie Wałęsy na spotkaniu z Miłozsem. Kiedy go Miłosz objął i coś tam per „pan doktor” mu powiedział, to Wałęsa odparł mu na to: — Przecież pański wkład w dzieło Sierpnia jest olbrzymi. — Przychodzi natychmiast refleksja: no, dobrze, ale kto w Polsce przed Sierpniem czytał wiersze Miłosza. Wałęsa sam dał odpowiedź mówiąc: — ja roznosiłem pańskie wiersze. — Tak to było. Ten kontakt robotnika i nie tylko robotnika, ale obywatela Polski, który trafiał do książek bardzo nieraz różnymi drogami, ten kontakt umożliwiał kolporter, który za czasów Gierka, jeśli go złapano, to sobie posiedział w 48-godzinny areszt. I to jest właściwie spełnienie tego wszystkiego, o czym twórca polski może marzyć. Takich Miłoszów w Polsce — myślę o poetach, nie o ich skali, o idei — było sporo i drukowano tych wierszy także sporo. Naprawdę sporo w obiegu normalnym. Oceniam to ostatnie dziesięciolecie z naszego punktu widzenia, z punktu widzenia intelektualistów, jako zwycięstwo, którego efektem był właśnie Sierpień. Może następne dziesięciolecie byłoby inne. Tak sądząc, utożsamiam się z tym okresem. Uważam, że kilka moich wierszy, które mogłem wydać, a udało mi się wydrukować je w ograniczonym obiegu, to nie było tylko ezopowe pisanie. Docierałem do czytelnika. Kiedy byłem w Zakopanem w Miejskim Klubie Książki i Prasy, natrafiłem na wycięte wiersze moje i kolegi z jednego miesięcznika, w którym były wydrukowane. To nie była cenzura, po prostu ktoś je wyciął. Bardzo się z tego ucieszyłem, bo były to wiersze, tak mi się wtedy wydawało, w 1974 roku, wiersze ważne, wiersze społeczne i obywatelskie.

Nic więc dziwnego, że utożsamiamy się z Sierpniem, aczkolwiek nasz wpływ na porozumienie i na dalsze życie związkowe był właściwie... Byliśmy, jeśli można użyć tego słowa, akuszerami. Natomiast później wychowawcy tego dziecka już nie pytali o ra-

dę. Matka i ojciec nie pytają akuszerki, czy dziecko ma jeść czerwoną kaszkę czy białą kaszkę, czy chleb z masłem czy tylko z kiełbasą. Matka chowa dziecko, opierając się na własnym doświadczeniu. Najwyżej prowadzi dziecko do lekarza. Czy 13 grudnia był, jak niektórzy chcieli, tym lekarzem, tą chirurgią — wątpię. Ja znam tę matkę, która myślała o tym dziecku. Matką tą była Polska. I jak to zawsze z matką bywa: robi błędy, jak wszystkie inne kobiety świata. Matce się wiele wybacza i wydaje mi się, że matkę się kocha właśnie dlatego, że jest matką. Walce plakatywnej przyglądałem się nie zawsze z sympatią. Ale pamiętam, jak w Olsztynie ukazały się plakaty oficjalnej propagandy z dzieckiem i zapałkami. Napis głosił: „To dziecko bawi się zapałkami”. Odnosiło się to do zjazdu Solidarności. Plakatów w Olsztynie nie zdzierano, tylko naklemano na nich wąski pasek z napisem: „Pożaru nie będzie, to są polskie zapałki”. W tym tkwi kpina, że polskie zapałki się nie zapalają, ale i coś w tym rzetelnego, że wszyscy przecież myślimy o tej samej Polsce. Nie należę do ludzi, których łatwo rozrzewnić, ale zrozumiałem, że są pewne sprawy nadrzędne. Wierzę w polską rację stanu. Istnieje coś takiego. Tylko wydaje mi się rzeczą najważniejszą, żeby władza myślała kategoriami polskimi. A myśleć kategoriami polskimi oznacza myśleć kategoriami polskiej racji stanu, a nie obcej racji stanu. Myśleć kategoriami polskimi oznacza myśleć kategoriami narodu, myśleć tak, jak myśli większość tego narodu. Nie może być inaczej. Być może nawet jest lepiej, żeby polska władza narażała ten naród na niebezpieczeństwo, aniżeli wmaśniała mu, że... Bo mogę sobie wyobrazić, że wśród ludzi, którzy mieli podjąć tę decyzję 13 grudnia istniała też jakaś szczerza wola, według najlepszego swego rozeznania i własnego strachu, wyboru mniejszego zła. Niekiedy jednak tak zwane mniejsze zło rozciągnięte na lata może się okazać dla narodu złem śmiertelnym. To jest zresztą przykład znany z historii innych narodów.

A: — Co wobec tego należy robić. Co dalej?

Z: — Mógłbym się wykręcić od tego pytania i powiedzieć, że należy być porządnym człowiekiem. Ale odpowiem. Istnieje pewna rzecz, która mnie niepokoi. Czy w Polsce wiemy, czego chcą sprzymierzeni? Czy to wiadomo? Co więcej, czy wiemy, czego chcą narody państw z nami sprzymierzonych? To jest sprawa istotna. Jeżeli nie wiemy, to mamy do czynienia z dezinformacją lub brakiem informacji. Konflikt między naszą władzą a naszym społeczeństwem może polegać na tym, że nasza władza składa się z oportunistów, którzy uważają, że należy rzecz przeczekać. Doszedłem do tego, że głoszę pochwałę Gierka. Nasza wła-

dza nie spadła z nieba, nasza władza jest z nas samych. Jeden z moich przyjaciół mówi, że jest to centryfuga. Nie wierzę, że ta władza jest tylko głupia, tępa i okrutna. Sądzę, że jest uwikłana w sprzeczności własne i sprzeczności obce. W związku z tym jestem za obustronnym kompromisem. Jest to dosyć ważna sprawa. Jak do tej pory, władza w tych kilkunastu miesiącach pokazywała z jednej strony dobrą wolę, z drugiej strony złą wolę i z trzeciej, najgorszą moim zdaniem rzecz, w ogóle nie pokazywała. Był taki okres, to był listopad, grudzień 1980, potem styczeń, luty 1981, tej złej woli, tej bydgoskiej, która już była bardzo złą wolą. Kto wie, czy nie należało wtedy rzeczywiście wstrząsnąć kraju strajkiem generalnym. Władza przecież po Bydgoszczy przeszła do zdecydowanych kroków. W sytuacji jaka jest oczywiście opowiadam się za porozumieniem, które musi być obopólnym kompromisem. Posłużę się cytatem z Rakowskiego, który w roku 1978 albo 1979 odwiedził nasze miasto. Indagowany o Katyń powiedział wtedy w ten sposób: — już w listopadzie nasze władze złożyły tam wieniec. — Od razu nasuwa się pytanie: przepraszam bardzo, dlaczego właściwie narodowi tego się nie powiedziało? Dlaczego pewne rzeczy się ukrywa? Jutro okaże się, że stanie tam w Katyniu wielki krzyż. Pytanie, dlaczego nie mógł stać 10, 20, 30 lat temu. To samo dotyczy AK czy Zamku Królewskiego przezwanego Warszawskim. Wydaje mi się, że władza musi przede wszystkim szanować idee głęboko zakorzenione w tym narodzie. Znamy różne oblicza Piłsudskiego. Ja się wychowałem w rodzinie antypiłsudczykowskiej, więc się musiałem buntować. No, ale dlaczego nie polemizowano z tym tylko, jakby złośliwie puszczano wszystko na żywioł? Nawet stocznia nazwana została jego imieniem, choć mamy w tym względzie nie takie zaległości. Mogła być jakaś ulica w jakimś mieście, jeśli tego życzyliby sobie dawni legionści, ale oczywiście w takiej ocenie postaci powinno być wszystko, to co złe i to co dobre. Drugą przemilczaną sprawą jest sprawa naszej miłości do Czechosłowacji. Popatrzmy na naród nasz także z tej strony. Sierpień 1938 i Sierpień 1968 — tak się nam jakoś dziwnie składają te daty z Czechami. My mamy pretensje do Czechów, ale pytam dlaczego? Skąd się bierze ta ksenofobia do Czechów? Bo oni są inni. Tak, są inni. Żydzi są inni, Francuzi są inni. Bo Żydzi są Żydami, Francuzi Francuzami, Cyganie są Cyganami, Niemcy są Niemcami, a Polacy mają być Polakami. Żeby Polska była Polską, tak to ma być.

Pytanie więc, czy ta władza znajdzie w sobie dość sił. Wydaje mi się, że brakuje ciągle tej siły, bo to nie jest siła lecz

słabość. Dla mnie policja, internowania, więzienia są słabością. Silnym człowiekiem był Jagielski. To był negocjator, silny negocjator. O dziwo, robotnik to wyczuł. Nie upokarzał go. On wołał o sprawiedliwość, wypominał grzechy, może o swoich grzeszkach nie mówił, ale po tych negocjacjach zyskał dla siebie podziw. Była to demonstracja władzy silnej. Prawda, że za nim stało jeszcze wojsko, to wszystko się zgadza, ale to znaczy, że wcale nie chcemy mieć władzy, która będzie powalona na kolana. Jeden z ekspertów na propozycję przeprowadzenia strajku generalnego powiedział, że jeżeli chcemy z władzą negocjować, to musimy ją jak boksera doprowadzić do stanu używalności. Jeżeli ta władza szczerze chce porozumienia, to musi okazać swą siłę, a siłę okazać, to znaczy odrzucić wszelkie fobie i lęk przed społeczeństwem. Oznacza to także odrzucić wszystkie złe narośla w swoim własnym gronie, bez tego nic się nie uda. Tą siłą nie musi być jeden człowiek, nie musi być dyktator. Może to być zespół ludzi, ale w każdym razie muszą powiedzieć sobie, że tego narodu siłą pokonać nie można. Nie znam takiego przykładu, żeby władza mogła sobie zbudować autorytet poprzez siłę fizyczną. Może na jakiś czas ten naród ogłuszyć, ale zniewolić się go nie da. Nie jest ważne, czy ktoś siedzi w Strzebielinku czy w Białogórze, czy w jednym są „luksusowe” warunki, a w drugim potworne przepełnienie. Ważne jest to, jak społeczeństwo, które jest poza Strzebielinkiem czy Białogórą na to patrzy. Bo to społeczeństwo przeżyło już i Berezę Kartuską, a w Berezie Kartuskiej, o ile sobie dobrze przypominam, siedzieli także komuniści. Historia Polski była bogata, miała rządy pułkowników, miała Berezę Kartuską, ale naród jakoś wyszedł z tego godnie. Choćby Marian Buczek, biedak, nigdy nie może się doczekać w Warszawie pomnika. A przecież był to ten komunista, który siedział, a potem walczył za Polskę. I jakoś dla niego nie znajduje się miejsca, znajdują się dla innych komunistów. Jest tam pomnik innego komunisty polskiego, nawet plac... Prawda? Wydaje mi się więc, że sprawa wszelkich taktyk i strategii bierze się z tego. Wierzę, że władza — nie, ja nie wierzę, ale jestem przekonany, że władza musi być moralna. Nie może być tak, że władza dzisiaj podpisze umowę, byle był spokój, a potem znów będzie ją „renegocjować”. Są wojny, no tak, ale wojny się wygrywa lub przegrywa. Car, jak pamiętam, miał olbrzymie wojska, a jakoś później przegrał tę wojnę, bo morale żołnierza było żadne. Nie wiem czy żołnierzom rosyjskim śniła się akurat Rewolucja Październikowa, ale na pewno śniło im się zupełnie inne życie...

...We władzy odrzucali mnie cynicy, hochsztaplerzy. Poszukiwałem tzw. konstruktywnych stron, to znaczy ludzi mądrych, rozsądnych — rozsądnych! A teraz, na ten czas, tą siłą powinna być chęć odszukiwania przez władzę tych wartości, które w narodzie tkwią. No, jest i druga strona, o której nie powinniśmy zapomnieć. Ja oczywiście mówię, że Solidarność jest to ruch społeczny, ruch patriotyczny, ruch polski, bez którego nie wyobrażam sobie też dalszej Polski. Ale mówiąc o ruchu, myślę o tej powszechnej świadomości, która nas organizowała. Natomiast musimy też powiedzieć o NSZZ Solidarność, czyli o organizacji, i to jest już zupełnie co innego. Jeden z zarzutów, które się stawia temu ruchowi, jest na pewno słuszny. Stawiają go robotnicy. Jest to zarzut zupełnego niekonsultowania się w pewnych poczynaniach z masami członkowskimi. Np.: Solidarność żądała referendum wtedy, kiedy dotyczyło to spraw władzy, natomiast nigdy sama nie przeprowadziła referendum. Nie było ani jednego — no może tam gdzieś w szczątkowych formach. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, był zjazd. Sprawa zjazdu to jeszcze co innego. Zjazdem można manipulować również od zewnątrz, nie tylko od wewnątrz, prawda? Nie możemy się uwolnić od wrażenia, że zjazd nasz był manipulowany z różnych stron, a władza w gruncie rzeczy się kształciła na tym zjeździe. Pamiętam tego znakomitego Geremka, jak go tam tarmosili. W tym egalitarnym koszyku decydowały bardzo śmiesznie i pociesznie małe grupki z Ustrzyk, Opola, z Zielonej Góry; nie obrażając tych ośrodków, przecież nie one decydują jednak o gospodarce tego kraju. Przypominało to rzeczywiście sejmiki. Mówię o tym między innymi dlatego, że ludzie, którzy zostali wybrani nie powinni się czuć pomazańcami bożymi, że oni właśnie są tymi, którzy muszą dalej decydować. Nie kto inny jak Bogdan Lis 6 razy był wybierany, zanim uzyskał jeden czy dwa głosy. No więc... A teraz chciałbym powiedzieć, jak ja sobie wyobrażam te ustępstwa, które nie ruch, Solidarność, ale niektórzy ludzie powinni zrobić. Uważam, że pewni ludzie, pewne osoby powinny myśleć o tym ruchu autentycznie polskim i zrezygnować ze swoich ambicji. Nie przywódczych, w ogóle ze swoich ambicji. To oznaczałoby np. być może zrezygnowanie ze stanowiska, mimo, że został ten ktoś rzeczywiście wybrany. Bo jest sytuacja taka, która się sama może narzuca. Oczywiście, ja nie mówię o przewodniczącym Wałęsie, ja nie mówię o takim czy innym człowieku, ja mówię tylko o pewnym człowieku. Myślę o gotowości ludzi i zastanawiam się, czy ta gotowość będzie istniała. Czy będzie tylko istniało zaciętrzewienie, bo takie

zacierzwienie było. Znam takich ludzi, u których zacierzwienie graniczyło niekiedy z psychopatią. W końcu już było jasne, że on nie walczy z władzą, tylko z salą. Mieliśmy takie wypowiedzi na zjeździe. Człowiek walczył z całą salą, obrażał całą salę, wypowiadał się przeciw sali, wypowiadał się często w sposób agresywny. Wydaje mi się, że w kraju takim jak nasz, znajdującym się w określonej sytuacji, rozmowy, porozumienia, konflikty, kompromisy ciągle będą i nie bardziej nie szkodzi jak właśnie tacy zacierzwieni ludzie. Dzisiaj ci ludzie siedzą zresztą razem — a przewodniczący Wałęsa siedzi w gorszych warunkach, bo siedzi samotnie — otóż ci ludzie zarzucają mu, że zdradził związek. Wtedy, w tej bydgoskiej sprawie. Dziś po doświadczeniu wielu miesięcy wiemy, że był to pierwszy zmasowany atak władzy, i że przecież w Komisji Krajowej to zostało przegłosowane. Nie ma więc o czym gadać, bo chodzi tylko o pretensje. Kto miał nas wtedy uzbroić: iksiński, zetowicz? Bo on wtedy żądał. A przepraszam: na jakiej podstawie on wtedy żądał? Żadnych przesłanek racjonalnych nie miał poza negacją... Albo sprawa zerwanych rozmów. Pamiętam telefonogram. Z jednej strony oczywiście rozkapryszona władza, ale z drugiej strony słowa Wałęsy, który mówi „naszym chłopakom puściły nerwy”. Co to oznaczało? To oznaczało, że jesteśmy też winni. Dlatego sędzę, że rachunek sumienia powinna zrobić także Komisja Krajowa. I ludzie niektórzy powinni powiedzieć: ja oddaję siebie do dyspozycji np. przewodniczącego. Jeśli mam stać na przeszkodzie, to się usuwam. Tak zresztą robi każdy polityk, to jest normalna sprawa, a często też konieczność. Jeżeli to jest ruch spontaniczny, jeżeli to jest ruch, który wyrósł z naszych trzewi, z naszego serca, to nie jest to ruch, na którego czele stoją pomazańcy. Grzech ciężki leży po stronie władzy i oczywiście społeczeństwo w swojej masie jest skłonne przypisać wszelkie zło władzy. Ale trzeba uderzyć się w piersi i zrobić też samemu rachunek sumienia. Przecież jak się przesłuchuje te radomskie taśmy, to przerażenie człowieka ogarnia i wydaje się, że rzeczywiście, jak powiedział Wałęsa, blekotu się najedli (nie powiedział blekotu, ale czegoś się najedli) w ten obiad. Dwie rzeczy powinniśmy widzieć: że ten ruch jest autentycznie ruchem polskim, społecznym, patriotycznym, który może rzeczywiście Polskę wynieść, ja akurat nie marzę o Japonii, jak to mówił Wałęsa, ale mógł nas prowadzić do Polski sprawiedliwej i w miarę dostatniej... a nie bogatej. Pod warunkiem, że nie będzie uzurpacji, tylko zespołowy wysiłek. A kto stanie na czele, od tego są już mechanizmy. Demokracja jest rzeczywiście rzeczą trud-

ną. Przez dziesiątki ostatnich lat robiono wszystko, byśmy ztra-
cili potrzebną w demokracji kulturę polityczną. Nie mamy tej
kultury, rzeczywiście. Krzyczymy, wrzeszczymy czasami na sie-
bie i dookoła. A co robią w tej chwili gazety, co robi radio,
czego oni uczą — kultury politycznej? I to władza musi pamię-
tać, to jest jej świętym obowiązkiem. Pamiętać musi o tym, że
oni wychowują swoich przyszłych negocjatorów. Bo przecież
się na tej jednej Solidarności nie skończy. Jeśli ona by się miała
rozmydlić, jeśli by się miała nawet rozmyć, to Polak jest tak
skonstruowany, że gdzieś tam za 10, za 20 lat siądą te dzisiejsze
30-to, 20-tolatki, które teraz wysłuchują tego jadu nienawiści,
czytają gazety, a w nich te bzdury i źle po polsku napisane
felietony, i jak z nimi będą wtedy rozmawiać, i o czym?

ETA

Alfa: — 16 miesięcy Solidarności było dla większości Polaków okresem euforii. Dla Pana był to po prostu okres bardzo ciężkich, może nieraz ponad siły, trudnych obowiązków. To co się stało w nocy z 12 na 13 grudnia było szokiem dla wszystkich, dla Pana na pewno także. Przypuszczam, że refleksje, jakie nasuwają się wszystkim Polakom na temat tego cośmy przeżyli przez te 16 miesięcy nie ominęły Pana. Co Pana w tym wszystkim najbardziej dręczy?

Eta: — Jeśli chodzi o 12 czy tam 13 grudnia, to był szok dla nas wszystkich. Ale patrząc wstecz rozumiem, że coś wydarzyć się musiało, ponieważ sytuacja była dramatyczna, „patowa”. Ktoś tę inicjatywę mógł i powinien był przejąć. Kwestia kto... i jak... Wydaje mi się, że Jaruzelski przegrał wówczas bardzo istotną sprawę. Gdyby wprowadzając stan wojenny wystąpił jednocześnie z jakimś pozytywnym programem, wskazującym możliwość porozumienia narodowego, byłoby to posunięcie godne męża stanu. Mogłoby się nie powieść, mogłoby nie zostać przyjęte, ale byłoby. A tak — skończyło się na zamachu wojskowym, który właściwie niczego nie rozstrzygnął. Sytuacja patowa trwa. Podobnie jak ja chyba wiele osób w Polsce oczekuje tego, co nastąpi dalej. Ta połowa grudnia, to jest pewna cezura czasowa, ale nie rozstrzygnięcie. Moim zdaniem muszą nastąpić jakieś dalsze wydarzenia, które nie zależą od nas, czy też nie w Polsce zostaną zapoczątkowane. Wszyscy mający jaką taką świadomość historyczną wiemy bardzo dobrze, że świat obfituje w najrozmaitsze możliwości. Nikt z nas nie przewidywał przed konklawe papieskim, że papieżem zostanie Polak. I radość nasza nie była spowodowana tylko dumą narodową,

ale podświadomą nadzieją, że wybór ten wniesie bardzo istotny element w najnowsze dzieje Polski. Powtarzam więc, nic nie zostało rozstrzygnięte i oczekuję wydarzeń.

A: — Wspominając tamte miesiące, do czego Pan wraca najczęściej?

E: — Ma Pani na myśli okres Solidarności, tak? Najchętniej wracam do działań nad tworzeniem tzw. środków przekazu. W naszych warunkach była to jedynie prasa, bo ani radio ani telewizja nie chciały nam użyczyć anten. Do tego wracam najczęściej i najchętniej dlatego, że jest tam mój osobisty wkład, którego efekt pozostaje w świadomości społecznej. Nie tylko jako dokument. W ogóle uważam, że wszystko, co się wydarzyło od sierpniowych dni 1980 roku ma rangę powstania narodowego ery atomowej. Było to powstanie bez broni, dokonano się bez rozlewu krwi, pomijając oczywiście jakieś wydarzenia lokalne. Ma tę wartość, że wstrząsnęło opinią, świadomością społeczną i dokonało w tempie gwałtownym edukacji narodowej, która objęła zwłaszcza młode pokolenie. Jemu ta edukacja była najbardziej potrzebna.

A: — Od pierwszych dni sierpnia, a nawet chyba wcześniej był Pan ekspertem Solidarności i uczestniczył Pan w rozmowach z rządem. Czy mógłby Pan coś na ten temat powiedzieć więcej?

E: — Zacząłem tę funkcję w charakterze parlamentariusza ze strony Solidarności, a odpowiednikiem moim po stronie komisji rządowej był ówczesny wojewoda gdański prof. Jerzy Kołodziejski. Ustalaliśmy miejsce i czas rozpoczęcia rozmów. Miałem ścisłą instrukcję i oczywiście przestrzegałem jej w pełni, że rozmowy można prowadzić tylko na terenie stoczni gdańskiej. Nie wymaga objaśnień, dlaczego właśnie tam, a nie gdzieś na mieście, jak początkowo proponowała strona rządowa. Rozmowy były i długie i dosyć krótkie, jeżeli się weźmie zakres rokowań, który obejmował właściwie wszystko, bo sferę gospodarczą, społeczną, polityczną, kulturalną, nawet oświatową. Fakt, iż strajkujący zażądali tego rodzaju właśnie gwarancji w postaci doprowadzenia do umowy i mniej czy bardziej uroczystego jej podpisania wskazywał na zmianę świadomości robotniczej w stosunku do lat 1956 i 1970. Nie był to przejaw dziecięcej naiwności z naszej strony. Wielokrotnie oświadczałem publicznie, że jeszcze nie wyschnie atrament naszych podpisów na tym dokumencie, a władza będzie robić wszystko, ażeby to porozumienie i jego znaczenie sprowadzić w okolice zera. Niemal dosłownie w ten sposób to określałem. Byłem tego całkowicie świadom, ale co moż-

na było zrobić innego. Natomiast trzeba pamiętać, że został w ten sposób stworzony pewien ważny fakt historyczny, również fakt społeczny, precedensowy, nie tylko w skali polskiej. Na oktrojowanej władzy został wymuszony proces porozumiewania się ze społeczeństwem, co oczywiście, logicznie biorąc, jest *contradictio in adiecto*, bo władza powinna być przedstawicielem tego społeczeństwa.

A: — Większość członków Solidarności wstępowała do tego związku licząc się z tym, że w kraju coś się zmieniło, względnie będzie się zmieniać. Pan był pozbawiony tych złudzeń. Czy jednak nie czuje się Pan oszukany?

E: — Oszukany się nie czuję. Uważam nawet, że nie wszystko zostało stracone, bo nie można mówić o tych sprawach w wymiarach roku, dwóch czy pięciu lat, mając świadomość tysiącletniej historii narodu. Moim zdaniem dokonał się pewien przełom w społeczeństwie i w dobrym, i w niedobrym rozumieniu tego słowa. Nie czuję się także oszukany, z racji mojej funkcji pełnionej wówczas w tych gorących dniach strajkowych, funkcji rzecznika prasowego. Miałem stały kontakt z prasą, niejednokrotnie przez dzień i noc. Również z prasą zagraniczną. Dziennikarze zagraniczni na ogół to dosyć życzliwi nam ludzie, ze zdumieniem i trwogą podtykali mi doniesienia agencyjne i swoją prasę, która do nich docierała z wiadomościami, ile to już dywizji jest naokoło zgromadzonych i co nam grozi. Również i to, że kraje zachodnie wyrażają nam tylko pełną sympatię, i nic więcej, i żebyśmy o tym pamiętali, żebyśmy o tym nie zapomnieli, że bym to przypominał innym stale itd., itd. Oczywiście musieliśmy o tym pamiętać. Nie wszyscy o tym pamiętali, to jest jasne. Nie wszyscy sobie z tego zdawali sprawę. W takim ruchu, który powstał spontanicznie, w którym ludzie się po prostu nie znali (mogli się znać tylko na terenie poszczególnych zakładów pracy) znalazło się wielu ludzi przypadkowych. Weszli także tacy, którzy chcieli załatwić jakieś swoje sprawy i załatwiali je lepiej lub gorzej. Byli także demagodzy. Musimy to sobie powiedzieć, jeżeli mamy mówić nie propagandowo, ale próbować jakiejś uczciwej analizy. Postępowali jak pijane dzieci we mgle, nawet nie cofając się przed prowokacją, względnie dając się wciągać w ewidentną prowokację. Chciała Pani, że bym powiedział coś na temat samych rokowań. Głównym rozmówcą był ówczesny wicepremier pan Mieczysław Jagielski i właściwie on był jedynym rozmówcą, choć zespół osób po stronie rządowej był duży. To zresztą dość charakterystycznie różniło ich od drugiej strony stołu, gdzie Wałęsa był wprawdzie

przewodniczącym, ale równie swobodnie zabierali głos inni. Nawet w tym względzie powiało czymś nowym i wniosło pewne elementy odmienne od dotychczasowej praktyki. Więc pan Jagielski był głównym rozmówcą, z tym, że jak można się było zorientować, zakres jego tzw. pełnomocnictw był dość ograniczony, bo co rusz musiał się komunikować z Biurem Politycznym i latał do tej Warszawy tam i z powrotem.

A: — Przed chwilą powiedział Pan, że zakres postulatów był bardzo szeroki. Od samego początku, czy też się rozszerzał w miarę trwania strajku?

E: — Przystąpiliśmy do rokowań z pełnym zestawem w ilości 21 postulatów. Jest nawet taki wiersz: „Dwudziesty drugi postulat”. Natomiast oczywiście zaczynało się od najbardziej prozaicznych spraw, od spraw bytowych, bo przecież chodziło o podwyżkę. Ale bardzo szybko mała lista żądań została poszerzona już o to wszystko, co w niej potem występowało.

A: — Z czyjej inicjatywy?

E: — Nie ma się co oszukiwać, że prosty człowiek postulował np. wolność słowa, wolność prasy. To były postulaty, których konieczność trzeba było uprzytomnić wszystkim uczestnikom, dowieść, że od tego zależy powodzenie naszego przedsięwzięcia i jego trwałość. Postulaty rodziły się w ogromnym pośpiechu przy ciągłym uzupełnianiu poszczególnych punktów, tak że niektóre punkty choć trochę inaczej ujęte, właściwie się powtarzają. Dlatego treść porozumienia jest formułowana w kilku wypadkach łącznie dla kilku punktów. Np. prawo do strajku. Jeżeli się postulowało wolne, niezależne związki zawodowe, to już *ex definitione* wynika, że punkt ten obejmuje prawo do strajku. Ale komuś przyszło do głowy, że to trzeba wyraźnie zaakcentować. To samo było przy wolności wyznań, wolności sumień. Punkt poszerzono o audycje religijne w radio. Było to moim zdaniem robione sensownie dlatego, że trzeba się było liczyć ze złą wolą drugiej strony, która mogła interpretować ściśle według zapisu. Tak właśnie została wprowadzona do postulatów ta jedna niedzielna msza św. radiowa, którą mimo stanu wojennego jeszcze mamy.

A: — Co zdaniem Pana dał Sierpień, skoro już po 6 miesiącach stanu wojennego pozostało z niego tak mało?

E: — Fala protestu nie zaczęła się od Sierpnia. Ona narażała od końca II wojny światowej przez blisko czterdzieści lat. A właściwie można liczyć także i wojnę, bo przecież Polacy byli ubezwłasnowolnieni. Naród, który przez blisko pół wieku nie ma sposobności swobodnie się wypowiedzieć, nie ma możliwości

kształcenia kultury politycznej, ma jakoś wmontowane w swój organizm umiłowanie wolności. I to wcale nie jest anarchizm, ani umiłowanie samowoli, ale po prostu wolności. Nie zapatruję się na stan obecny pesymistycznie. Przede wszystkim nie można oczekiwać od ludzi, od normalnych ludzi, żeby przez ileś lat żyli w stanie nieustającego podniecenia. Będą się kochać, będą się żenić, nienawidzić, chować dzieci, umierać itd., itd. To jest życie. Muszą zjeść, muszą się ubrać. Zresztą w każdym społeczeństwie, nawet w tych najwyżej rozwiniętych społeczeństwach pod względem świadomości obywatelskiej, ludzi dokonujących świadomie wyboru jest może 10%, może 15%, które pociągają za sobą resztę. Ta ogromna reszta nie interesuje się na co dzień sprawami ideologii, polityki. Natomiast myśmy mieli za dużo do odrobienia w czasie śmiesznie za krótkim. Choćby postulowane wówczas w Sierpniu 1980 roku odkłamanie historii, co dotyczyło nie wyłącznie, ale głównie tzw. dziejów najnowszych. Takie odkłamanie historii nie jest do załatwienia w ciągu miesiąca czy nawet 16 miesięcy. Bo to jest sprawa podręczników szkolnych, map, wykładowców, kursów, jakie przechodzą nauczyciele wszystkich szczebli kształcenia. Taki problem wymaga o wiele więcej czasu. Nie mogliśmy się zmieścić, i nikt by się w tym czasie nie zmieścił. Zrobiliśmy bardzo dużo. W literaturze, jaka powstała w ciągu tamtych kilkunastu miesięcy jest oczywiście sporo śmiecia — może źle się wyraziłem; powiedzmy: rzeczy mało wartościowych, demagogicznych. Będą one potem świadczyły już tylko o pewnych nastrojach i choć może nie wniosą żadnych własnych wartości, potwierdzą przynajmniej w pełni uświadomioną krytykę władzy. Uświadomienie sobie przez społeczeństwo, że w tym ustroju władza nie jest nieomylna, że można ją i trzeba kontrolować, że trzeba ją zmieniać, wytykać jej błędy itd., jest zjawiskiem rewolucyjnym. I myślę, że coś z tego pozostało. Uważam nawet, że pozostało dużo.

A: — A w praktyce co zostało?

E: — W świadomości ludzi pozostała pamięć swobody wypowiedzenia się, swobody słowa. Tej prasy jaka była, tych zgromadzeń. To jedno. Drugie, powstał tzw. drugi, czy nawet trzeci obieg literatury. Mam na myśli przede wszystkim literaturę polityczną w o wiele większym stopniu niż tzw. beletrystykę, chociaż to również się liczy. „Rok 1984” to właściwie literatura polityczna, choć zbeletryzowana. A więc pozostały ponadto przemówienia i dyskusje polityczne. To, co się stało w tych paru dniach maja tego roku, to była dodatkowa edukacja polityczna mło-

dego pokolenia. Starsze pokolenie już ma nauczkę, wie, że na ulicy się nie wygra. Prymas Polski mówiąc najogólniej bardzo niezręcznie się wyraził, że kamień nie jest argumentem. Bo tak samo nie jest nim pałka.

A: — Ale później to dopowiedział.

E: — On to potem dopowiedział, kiedy się zerwał huragan protestów. I to był bardzo poważny z jego strony błąd, że od razu nie postawił tego na równej płaszczyźnie, jeżeli już tak chciał. I tu jest dowód na to, że ta świadomość społeczna funkcjonuje. Nie spotkałem się przedtem z tak szeroko zakrojonym słuchaniem rozgłośni zagranicznych mówiących po polsku. Zwiększyło się zainteresowanie! Oczywiście, że warunki się gwałtownie pogorszyły. Już pomijam to, co jest odczuwalne tylko dla małego grona osób np. zagraniczne wyjazdy, dostępność prasy i literatury zagranicznej. Ale także pogorszyły się codzienne warunki życia. Sam system kartkowy, wystawianie w kolejkach, to ewidentne pogorszenie warunków bytu narodowego. Gwałtowny spadek wartości pieniądza, nieopłacalność oszczędzania. Jednakże towarzyszy temu w znacznie szerszym niż poprzednio stopniu świadomość tych zjawisk. Zawsze miałem bliskie kontakty z młodzieżą, bardzo chętnie się z nią komunikowałem i widzę, że właśnie młodzież, która jeszcze niedawno była nastawiona na utylitarną stronę życia, w nieporównywalnie większym stopniu niż poprzednia generacja interesuje się życiem publicznym. Teraz przechodzi tę edukację, którą powinna była otrzymać w normalnej szkole. Jak np. edukację geopolityczną. Władza ciągle mówi „geopolityka”, „geopolityka”, ale nigdy nie wyjaśni na czym to polega, co z tego ma wyniknąć. To jest jakieś hasło, zakłęcie, ale jakie mogą być praktyczne tego skutki? To zostało wreszcie dopowiedziane, ludzie teraz wiedzą o co chodzi. W sumie oceniam ten okres pozytywnie przy wszystkich ciężarach, jakie na nas spadły. I to nie tylko na nas. Nasze wnuki wypłacać się jeszcze będą z tych zadłużeń, które nie maleją, lecz rosną, a których nikt nam przecież nie podaruje. No, chyba żeby wybuchł kataklizm światowy, nowa wojna. Uważam więc, że kondycja psychiczna społeczeństwa wbrew pozorom jest lepsza niż była. Pani mówi, że już jakby wszystko normalnie. Nie ma czołgów, nie ma wozów pancernych. Tak, bardzo dobrze. Bardzo się cieszę, że młodzież nie naraża siebie niepotrzebnie. Byłem przeciwny wystąpieniom majowym — może słusznie, może nie. Uważam, że są już zbędne. Ale stało się. Te korepetycje dodatkowe zostały jeszcze udzielone. Młodzież ma już też zakodowane, jaki to jest dialog, jaka to jest

rozmowa polityczna z władzą w tym systemie. No, i tak nam starczy na dłuższy czas. Oczywiście to nas nie zwalnia od obowiązku dalszego czuwania nad biegiem wydarzeń i tutaj jest ogromna odpowiedzialność środowisk inteligenckich, a ściślej mówiąc intelektualnych, więc przede wszystkim środowisk twórczych. Ja nie mam żadnego bzika na punkcie środowisk twórczych, ale dwa razy dwa jest cztery. Ich postawa kształtuje świadomość nie w perspektywie miesiąca, roku czy dwóch lat, ale na długim oddechu, i tutaj nasza odpowiedzialność jest bardzo duża. Właśnie, żeby nie postępować w sposób szalony, nie nawoływać do ofiar, które byłyby nadmierne, lub w ogóle niepotrzebne, ale też nie unikać samemu niebezpieczeństw i brać na siebie odpowiedzialność za własne przekonania. Ponieważ tak trudno jest o to u nas, uważam, że pewna grupa osób powinna w dalszym ciągu w Polsce występować jawnie, nie pod pseudonimami, tylko firmując imieniem i nazwiskiem swoje poglądy, nie robiąc z nich tajemnicy, rozpowszechniając je na tyle, na ile to jest możliwe w tych warunkach. Uważam, że to jest nasza odpowiedzialność.

A: — Powiedział Pan, że należy uniknąć strat. Czy za wszelką cenę? Jeśli nie, to jaka cena wydaje się Panu za wysoka?

E: — Na pewno nie można znaleźć takiego równania algebraicznego, które określałoby wartość tego X. Zresztą wartość tego X może być i na pewno jest zmienna, zależnie od okoliczności. Mam po prostu na myśli, że tego co było w kopalni „Wujek” uniknąć się nie dało. To było pierwsze starcie i choć wielka szkoda tych ludzi, którzy stracili życie, uważam, że bez tego obyć się nie mogło, bo to ujawniło w jaki sposób postępuje druga strona, niezależnie od tego, co ma do powiedzenia na swoją obronę. Natomiast jestem przeciwny takim działaniom, zwłaszcza ze strony młodych ludzi, które nie dają efektu zamierzonego, a grożą bardzo poważnymi konsekwencjami. Np. coraz to gdzieś odbywają się procesy, przeważnie młodych, nawet niemal wyłącznie młodych, którzy wykonują ulotki metodą ręczną i tam gdzieś je rozrzucają albo rozlepiają. A potem wyroki są po 3, po 6 lat; uważam, że to jest zupełnie nieopłacalna forma działania. Nawet licząc na to, że może nie odsiedzą całego wyroku, to jest jednak kolosalna strata nie tylko dla tych ludzi, ale dla społeczeństwa w stosunku do efektu, jaki się uzyskuje. Rozumiem tę intencję, by utrzymywać świadomość społeczną i również pokazywać drugiej stronie, że społeczeństwo nie jest ujarzmione, że zachowało zdolność do walki. Ale ta cena jest

o wiele za wysoka. Poza tym był taki pomysł — moim zdaniem poroniony — ażeby 13 każdego miesiąca manifestować. Gdyby to się powiodło, straty byłyby kolosalne od samego początku, a potem i tak by to stłamszono. Choć nie przypisuję sobie specjalnych uzdolnień politycznych, byłem jednak całkowicie pewny, że akcja taka po prostu nie chwyci. Ludzie nie mogą żyć w nieustającym napięciu od jednego 13 do drugiego 13. Ostatnio te pomysły zarzucono, bo jak to chętnie mówią nasi profesorowie polityczni — życie nauczyło, życie dowiodło! A nauka idzie szybko i będzie szła jeszcze szybciej. Powinna się ona opierać na zasadniczej przesłance, że co innego jest regularna wojna międzynarodowa, a co innego stan wojenny wewnętrzny. Kiedy Polska była okupowana przez Niemców, to były *pacta clara*, sytuacja zupełnie jasna: po jednej stronie Polacy, po drugiej Niemcy. Tutaj niestety nie ma takiej jasnej sytuacji. Jeden z młodych ludzi powiedział tak: no dobrze, bojkotujecie prasę, radio, telewizję, ale nie przestajecie wydawać książek, powinniście także nie wydawać książek. I to jest logiczne rozumowanie. Niedawno oddałem dużą książkę, na którą umowę podpisałem parę lat temu, a ukaże się ona w najlepszym razie za dwa lata czy za półtora roku, jeśli się w ogóle ukaże. To jest różnica, oczywiście. Ale uwaga o tyle mnie zastanowiła, że jednak wiele osób orientuje się według naszego postępowania i że musimy to uwzględniać, musimy się z tym liczyć!

A: — Jakiej rady udzieliliby Pan młodemu człowiekowi, który chce właśnie dziś debiutować, rozpocząć pracę naukową, albo kończy szkołę aktorską?

E: — Okropna sprawa, okropna sytuacja i okropnie jest cokolwiek doradzać. To samo dotyczy młodych literatów. Oni mogą powiedzieć i mówią: wam to dobrze, wy macie już wydanych kilka czy kilkanaście książek, ale my chcemy też. I teraz tłumacz mu: chłopie, poczekaj rok, dwa, to się zmieni! Będziesz i ty mógł wydawać. A czy się zmieni, czekaj tatka latka. Zmieni się, albo się nie zmieni. To samo dotyczy nauki, zwłaszcza w dziedzinach humanitarnych. W naukach ścisłych jest trochę inaczej, chyba że dojdziemy do wniosku, iż budowanie mostu kolejowego również służy temu ustrojowi. Ale wówczas nikt też nie mógłby używać np. światła albo innych rzeczy, bo one przynoszą dochód wytwórcy, a więc w naszych warunkach państwu. Dlatego właśnie granica współpracy z WRONą jest bardzo nieprecyzyjna i zależna od sytuacji poszczególnego człowieka. Miałem tutaj np. takiego młodego poetę. Taki sobie. Nie jest to geniusz, nie będzie to Słowacki ani

Mickiewicz, ale nie jest też grafoman i być może coś z niego wyrośnie. I on mnie właśnie o to zapytał. A sprawy wyglądają tak: o wydaniu książki, zbioru swojej poezji nie ma on co marzyć. Może za trzy, może za cztery lata. Publikować, no gdzie? W *Tygodniku Powszechnym*, ale ile wierszy może tam się przebić? Prócz tego pismo to ma określony światopogląd, więc daje jakieś pierwszeństwo, i słusznie, tematyce katolickiej, chyba że drukuje Słonimskiego. Ale to są inne powody. Pytał więc, czy go potępię, jeżeli zamieści coś w prasie miejscowej. Licho wie, co na to odpowiedzieć. Bo zupełnie proste jest stanowisko wobec tych paru literatów, członków Związku, którzy piszą paskudztwa w gazetach miejscowych. Ale na szczęście to nie tyle kolaboranci, co grafomani. Gorsza sprawa, jeżeli mamy do czynienia z talentem, albo z zapowiedzią poważnego talentu. I wtedy można usłyszeć, że w czasach Mickiewicza czy Słowackiego nie było takiego odbioru, jaki jest dzisiaj i wieszczowie nasi funkcjonowali w swoich *cercles* towarzyskich i salonach. Nie mogli sięgnąć pod strzechy, ale kto wtedy pod strzechę sięgnął.

A: — Nie pytam Pana, czy szewc ma szyć buty, a lodziarz produkować lody. Obydwaj będą to wykonywać, jeśli dostaną koncesję. Pytam o tych, którzy mają być tkanką, na której jak na grzybni odrodzić się będzie mógł posiew tego ogólnonarodowego odruchu.

E: — Tak, tak, przypiera mnie Pani do muru i ma Pani zupełną rację, ale ja w dalszym ciągu niezręcznie uchylam się od jasnej odpowiedzi i raczej ją indywidualizuję. Jeżeli ktoś rokuje poważne nadzieje, to wolę, żeby tego nie robił. Tym, którzy prezentują jakąś wyższą wartość, odradzam. Odradzam, bo jednak to trochę brudzi palce, sprowadza na pobocze, na przydroże, z którego się można ześliznąć. Jeżeli chodzi oczywiście o literatów z dorobkiem i nazwiskiem, to nie mam żadnej wątpliwości, że należy się powstrzymać od współpracy, bo jestem optymistą, i myślę, że ten stan nie będzie długo trwał.

A: — Jeśli więc stan wojenny nie będzie trwał długo, to jaką rokuje nam Pan przyszłość? Co może się stać? W Sierpniu i potem przez 16 miesięcy mogło się wydawać, że władzy już nie ma, że nie ma partii, że nie ma PRL i nagle wszystko to znów jest...

E: — Tu się z Panią nie zgadzam. Nas dotyczą w dalszym ciągu ustalenia Jałty. Co do tego nie miałem wątpliwości, uważałem że pole manewru jest ograniczone i że możemy je tylko poszerzyć, co zresztą nie jest obojętne. Nie jestem totalistą i sądzę, że nie można być totalistą w dziedzinach socjologicznych,

bo jest za dużo uwarunkowań. Nie ma kolorów białych i czarnych, jest za to cała gama pośrednia.

A: — Czy uważa Pan, że Solidarność będzie reaktywowana?

E: — Hm, hm, musiałbym mieć karty pod ręką.

A: — To może inaczej: czy jest możliwe, by unormować życie w kraju bez Solidarności?

E: — To nie jest całkowicie wykluczone. Założmy, że zwolnią tych ludzi, to i tak wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby odrodziła się Solidarność, jaka była — mam na myśli organizację. Może coś innego powstać w to miejsce, ale nie sądzę, żeby to tak wyglądało. A poza tym mogłoby się to zakończyć katastrofą dlatego, że gdyby tam rzeczywiście doszły do władzy, do decyzji tak zwane elementy skrajne, to musiałyby się zakończyć jakimś *show down*, jakąś próbą sił. I wtedy na dwoje babka wróżyła, z tym, że raczej nam wróżyłaby źle. *Rebus sic stantibus*.

A: — Czego więc życzyłyby Pan członkom zawieszonych związków?

E: — Realistycznie patrząc na sprawę, życzyć można powstania autentycznego związku zawodowego — kropka, koniec. To niby to o czym mówi władza, tylko że władza używając tego samego słownictwa co ja ma co innego na myśli. Mówiąc o autentycznym związku zawodowym nie angażując się w sprawy polityczne zapomina, że ochrona zawodowa pracownika obejmuje również całą sferę socjalną, a ta już jest zagadnieniem polityki socjalnej, a polityka socjalna jest elementem polityki w ogóle. Ale uważam, że gdyby powstał związek nawet *sensu stricto* zawodowy, tyle że autentyczny, to później stworzy on platformę działania znacznie wykraczającego poza same sprawy związkowe, chociażby na zasadzie poznawania się ludzi i wdrażania w pracę społeczną.

A: — Czy według Pana struktura tego związku mogłaby być identyczna ze strukturą Solidarności, czy powinna być inna?

E: — Struktura związku Solidarność została podyktowana zupełnie konkretnymi przyczynami. Chodziło o regionalizację, o to czego władza okropnie nie lubi. Władza by chciała ubranżowienia związku.

A: — A czy Pan jest za ubranżowaniem związków?

E: — W warunkach normalnej, autentycznej demokracji związki są branżowe, z tym że się później stykają na szczeblach jakichś tam kongresów, organizacji łączących. Ale mają one

strukturę branżową. Trzeba by się zgodzić na tę branżowość statutową, z tym, żeby dążyć do tworzenia jakichś komisji porozumiewawczych na szczeblu regionalnym. Ale zastrzegam się, ja nie jestem związkowcem, ani z wykształcenia, ani z upodobania.

A: — Choć był Pan przy narodzinach tego jedyne go w swoim rodzaju związku, jakim była Solidarność...

E: — Dla nas wszystkich był to nie tyle związek, co substytut życia narodowego. Nawet może źle powiedziałem substytut: raczej jedyna możliwa platforma. I to też była jedna z przyczyn, która powodowała, że nawet gdyby Solidarność nie została trzaśnięta przez władzę i miała hipotetyczne możliwości normalnego funkcjonowania, to myślę, że by się rozpadła czy podzieliła.

A: — Uważa Pan, że stan wojenny uratował Solidarność?

E: — W pewnym sensie tak. Jak również, co też wielokrotnie mówiłem, że to władzę należy pocałować w rękę za to, że dużo wcześniej nie doszło w Solidarności do rozłamu. Bo władza prowadziła politykę absurdalną. Nie powinna była robić żadnych trudności. Chcecie rejestracji — ależ proszę bardzo. Chcecie mieć pomnik — ależ proszę bardzo. Ile chcecie pomników, budujcie, tylko sami, bo państwo nie ma na to pieniędzy, ani materiału. Doszłoby bardzo prędko do poważnych kłopotów, chociażby z powodu wybujałych indywidualności. Ludzi tych dość dobrze poznałem i czasem mnie brało obrzydzenie. Wałęsa w tym gronie był unikatem. Człowiek prosty, ale czysty. Reagował żywiołowo, instynktownie, rozumiał, co się mówiło i wbrew temu co mówił o sobie, słuchał doradców. Na tym polegała jego mądrość. Jego zachowanie w Radomiu czy w Gdańsku w przeddzień zamachu wojskowego to wcale nie była zmiana frontu z jego strony, pójdzie na wojnę. On był po prostu zagrożony od wewnątrz. I w tej licytacji demagogicznej nie mógł dać się przelicytować. Trzeba było naprawdę geniusza wspartego jeszcze wyjątkowo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, żeby wymanewrować w tej sytuacji. Jak kameleon, którego posadzono na szkockiej kratce. Pękł, bo nie dał rady przystosować się do wszystkich kolorów. Wałęsa też nie mógł, ale wszystko rozumiał, myślał realistycznie, natomiast nie zawsze umiał się jasno wyrazić. Jego demagogia była pozorna. Ale inni? Pamiętam jak w toku obrad Komisji Krajowej zastanawialiśmy się z Bronisławem Geremkiem, do czego ci ludzie dążą, czego chcą, na co liczą. Geremek występował chyba jako pierwszy mówca drugiego dnia. Komisja postanowiła, że najpierw mają

mówić doradcy, a potem zapisani do głosu członkowie Komisji Krajowej. Mówili Geremek, Mazowiecki, Siła-Nowicki. Może jeszcze Chrzanowski, ale tych trzech dobrze zapamiętałem. Otóż Geremek powiedział mniej więcej tak: do konfrontacji z władzą zapewne dojdzie, bo sprawy szły tak daleko. Solidarność z inicjatywą takiej konfrontacji nie wystąpi, bo nie ma struktur zastępczych, ażeby obalić struktury istniejące i natychmiast wmontować w to miejsce struktury własne, co jest *conditio sine qua non* takiego działania, zwłaszcza w naszych warunkach i w ogóle w społeczeństwie średnio rozwiniętym. Natomiast władza ma środki, ma możliwości i przystąpi do konfrontacji w momencie dla niej wygodnym, tylko że my nie wiemy jaki moment uzna dla siebie za najdogodniejszy. No, ani on nie wiedział, ani nikt na sali, że to miało nastąpić za kilka godzin. Mazowiecki mówił dosyć podobnie, Siła-Nowicki trochę dogmatycznie, bo to adwokat, procesowiec sławny, więc brał salę pod włos. Zachwycał się Komisją Krajową i mówił: słuchajcie, wyście już tyle osiągnęli, to zdumiewające, to zachwycające, to wspaniałe. Teraz trzeba troszeczkę poczekać, troszeczkę odpocząć, ustabilizować kraj, umocnić swoje pozycje tak jak na wojnie. Po doradcach mówili członkowie Komisji Krajowej. Jakie oni lanie dali temu Geremkowi, temu Siła-Nowickiemu, Mazowieckiemu! Wręcz oskarżali o kapitulancstwo, odczuć można było w wypowiedziach nawet element pewnej pogardy, że to niby wiadomo... inteligencji, białe rączki, załatwiają w rękawiczkach...

A: — Ale ci w Komisji Krajowej też już mieli białe ręce?

E: — Tam byli różni ludzie. Był np. taki pan Jan Łużny. Chyba z Dolnego Śląska, nie pamiętam dokładnie. Mówił tak absurdalnie, jakby żył zupełnie na innym świecie. W czasie przerwy w obradach wyszliśmy do hallu przed dużą salą bhp i zobaczyłem, jak Łużny boksuje się z jakimś drugim delegatem. Oczywiście, nie poważnie, nie w złości. Potem przeszli na zapasy. Wie Pani, ich rozpierało. Dajcie mu tutaj tego, to go rozszarpie... Co tam dla niego jeden Jaruzelski, armię rozszarpie, rozerwie czołg, nie ma o czym gadać. Niestety potrzeba było czasu, ażeby takich ludzi poodsuwać, czy to środkami perswazji czy nawet manipulacji. Tacy ludzie bowiem mieli przywilej wyborczy. Starsi, ostrożniejsi nie bardzo się pchali. To był ruch — jak wiadomo — młodych, przede wszystkim młodych. Ja tam byłem zdecydowanym seniorem, właściwie do końca, dlatego że ci inni panowie, którzy, przyjechali z Warszawy — z wyjątkiem Siły-Nowickiego — też byli ode mnie sporo młodszy. Ci starsi byli więc ostrożniejsi, a młodzi szli na całego. A poza

tym, jak to się popularnie mówi, „mieli gadane”. Ten żądał podwyżki 500, a tamten już 1.000 złotych, damy więc kreskę temu drugiemu. Żaden z nich nie pomyślał, czy to jest realne, tylko chciał być lepszy. No więc właśnie tacy mieli przewagę. Te zgromadzenia nie premiowały ludzi prowadzących realistyczną politykę, ale jak się wystąpiło tak, wie Pani, energicznie...

A: — Czy można takie właśnie postępowanie zapisać jedynie na karb młodości?

E: — Nie tylko młodości, jakkolwiek to jest bardzo ważny czynnik, ale również na karb zmęczenia wszystkich, w czym do tej pory żyli. Oni chcieli z tym zerwać radykalnie. To zresztą wyszło w sposób wręcz humorystyczny na obydwu zjazdach, które obserwowałem. Przestrzeganie za wszelką cenę demokratycznych reguł doprowadziło do tego, że głosowano, czy w jakiejś sprawie zastosować głosowanie. Oczywiście temu wszystkiemu przyświecały najlepsze intencje, jak zwykle bywa w takich sytuacjach. Ludzie się nie znali, zjechali się z całej Polski, więc wszyscy kandydaci do Komisji Krajowej i do innych władz centralnych, jak np. do komisji rewizyjnej, przedstawiali się. I tych paruset ludzi musiało się przedstawić, przy czym każdy miał na to 5 minut. Co można w ciągu 5 minut powiedzieć ludziom, którzy patrzą na człowieka po raz pierwszy i nie o nim nie wiedzą. Więc krótki życiorys, poglądy i plan działania, za czym będzie adwokatował, do czego dążył. Ale mało kto się tych 5 minut trzymał. Większość więc wychodziła z sali, nie słuchano tego; owszem, słuchali bardzo uważnie pierwszych dziesięciu, czy pierwszych piętnastu, a potem już wysiadali...

A: — Ale wróćmy do posiedzenia ostatniej Komisji Krajowej. Mówił Pan o przemówieniach ekspertów i replice tych panów z Komisji i o nastroju...

E: — No właśnie, mówiłem o tym, że doradcy występowali w sposób w pełni odpowiedzialny. Dlatego tak strasznie mnie oburzyły napaści w prasie zwłaszcza na Geremka, którego wysoko cenię na podstawie kilkunastomiesięcznej znajomości, w okresie, który nie szczędził nam sytuacji trudnych, wymagających, ale i ujawniających ludzkie charaktery. Były to kłamstwa, demagogia typowa dla przedstawicieli tego systemu politycznego, który wmawia masom, że mają rację, natomiast inteligenci, którzy organizują lub przewodzą, albo popełniają błędy, albo są na usługach obcych agentur. Dlatego chcę zaświadczyć, że eksperci działali z poczuciem ogromnej odpowiedzialności. Naturalnie, oni reprezentowali pewien światopogląd, pewne stanowisko, światopogląd zresztą niejednolity, bo Mazo-

wiecki to środowisko katolickie, Geremek raczej lewicujące. W tym sensie jestem raczej bliżej Geremka niż Mazowieckiego, ale to absolutnie nie odgrywało żadnej roli jeżeli chodzi o naszą współpracę, no i przede wszystkim te podstawy myślenia, które określają granicę, której niezależnie od poglądów nie możemy przekroczyć. Dlatego też byłem przeciwny wprowadzeniu Kurońa do prezydium regionu jako doradcy. Po czym on już tam pozostał. Głosowałem przeciw temu z paru innymi członkami, nalegałem na Wałęsę w bezpośredniej rozmowie, ale Wałęsa uległ pewnej presji, pewnemu naciskowi. Mówię uczciwie, że do Kurońa nie mam zaufania politycznego. Może to bardzo porządny człowiek. Nie wiem, nie znam go od tej strony, tylko obserwuję jego polityczną działalność i z nią się nie identyfikuję. Uważam, że jest niezbyt spójna i że ma elementy, elementy nieodpowiedzialności. Mam wielki szacunek dla działalności KOR-u, przynajmniej z tego, co wiem o KOR-ze, bo może być coś, czego nie wiem. Zapoczątkował to wszystko, poruszył tę stojącą wodę. *Chapeau bas*. Ale to był pewien etap i znaczny w nim udział Kurońa, oczywiście nie wyłączny. Natomiast uważałem, że tutaj Kuroń nie był powinien odgrywać roli.

A: — Dlaczego?

E: — Kiedy był w KOR-ze, w środowisku przeważnie intelektualnym, to był w jakiś sposób kontrowany przez innych. Natomiast tutaj ustawił się już w pozycji przywódcy ruchu. Powiedział przecież, że Wałęsa jest porucznikiem w okopach, a domyślać się pozwolił, że wodzem naczelnym jest on, ze sztabem, który prowadzi. Coś z tego tam pewnie i było, ale to oczywiście olbrzymie i w sumie nieprawdziwe uproszczenie. Poza tym nie mam zaufania do tego, co Anglicy nazywają *personal integrity* — jakiejś jednolitości wewnętrznej. Ja mogę być pełen rozterek, ale określa mnie platforma tych rozterek. To nie jest żaden hamletyzm, natomiast jest jakaś spójnia, są jakieś wytyczne moralne, które kierują, i zapala się to światełko czerwone. Tam, gdzie już wiem, że nie... I pod tym względem nie mam do niego zaufania. Nie o to, że tam — jak piszę, czy mówię — kontakty zagraniczne, jakieś pieniądze — to jest śmieszne. Nie ma ruchu na świecie, który by nie utrzymywał kontaktów z zagranicą i nie korzystał z pieniędzy. Piłsudski też brał pieniądze, jeżeli tylko mu ktoś chciał dać, i komuniści pieniądze brali, i Lenin korzystał z Niemiec cesarskich, żeby go przetrzasnęli ze Szwajcarii do Finlandii. Uważam, że Kuroń do tego ruchu nie pasował, że wnosił dysonans w to środowisko. Raziła także jego powierzchowność, szalona pewność siebie i pewnego

rodzaju nachalność. Nachalność może za ostro powiedziane, ale takie narzucanie swojego zdania, natychmiastowa gotowość do wygłaszania tyrad na każdy temat z natychmiastowym podawaniem recept. Tak się te recepty same nie rodzą, ani nikt nie jest tak przygotowany, żeby na wrywki, od razu mógł się z pełną odpowiedzialnością ustosunkowywać do rozmaitych problemów. On tutaj w związku miał frakcję, bardziej czy mniej zintegrowaną, o którą się opierał również wewnątrz samego prezydium. To oczywiście był Gwiazda, była pani Gwiazdowa, Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz, tak. To ciekawe studium charakterologiczne, taka rodząca się Solidarność... Bo Anna Walentynowicz to osoba niesłychanie ujmująca sylwetką, prostotą, ciepłem. Ale to wszystko nieprawda, jak to jej rozmodlenie uzyskane na poczekaniu dla jednej z ekip telewizyjnych. Czyste aktorstwo. Bo trzeba wiedzieć, że ruch kontestacyjny przyciąga bardzo różnych ludzi, również ludzi nieprzystosowanych, takich, którzy zawsze będą negatywnie ustosunkowani. Przecież ten tak zwany „gwiazdozbiór”, tj. Gwiazda, Gwiazdowa *et consortes*, jak tylko się wyłoniła jakaś zwierzchność Solidarności, zaraz byli przeciw. Gdyby został szefem nie Wałęsa a Gwiazda, to już pomijając kosmiczny bałagan jaki by powstał, pogryzliby się między sobą. A Gwiazda to człowiek po prostu nieodpowiedzialny. Bez poczucia czasu, umawia się, nie przychodzi. Wałęsie też pod tym względem sporo brakowało, ale to z innego powodu, bo on był głodny aplauzu tłumu. Jak tam gdzieś tłum go zatrzymał i rozpoznał, robił mu owację, a on chociaż się śpieszył np. na ważną konferencję na umówioną godzinę, to się tam zatrzymywał, zbierał oklaski, kłaniał, przemawiał i spóźniał się godzinę czy półtorej.

A: — Czy Pan sądzi, że te małe nieporozumienia w łonie samej Komisji Krajowej miały jakiś rezonans i mogły się odbić na poszczególnych regionach?

E: — Nie wiem czy one się odbijały na regionach, czy może odwrotnie — czy różnice między regionami odbijały się w Komisji Krajowej. Trudno mi określić kierunek tego uzależnienia. Z całą pewnością różnice występowały.

A: — A czy spór był między reprezentantami, czy indywidualnościami?

E: — Moim zdaniem to drugie. Może takim najbardziej integralnym pod względem poglądów, takim *intransigent* był Karol Modzelewski. Kiedyś powiedziałem, że ja bym się go bardzo bał jako ważnej, wybitnej, a tym bardziej najwybitniejszej postaci politycznej. Bo to dla mnie był taki trochę chasyd —

człowiek, którego się słucha. Jego przemówienia są wspaniałe. Budowa, logika tego jest znakomita, nie do odparcia. Ale takie okropnie zimne. Takie zimne! A w życiu społecznym ta matematyka jednak nie funkcjonuje. W życiu społecznym dwa i dwa to nie musi być zawsze cztery. A w tego typu umysłowości jak Karol Modzelewski istnieje przeświadczenie, że skoro rachunek wykazuje, to nie ma o czym gadać. To tak jak na wojnie, że z jednej strony jest tyle dywizji, a z drugiej tyle, tu jest przewaga 30% czy 50%, więc ta strona musi wygrać. Nie musi, może wygrać, może i przegrać. Wchodzi bowiem w grę duch żołnierza, umiejętność dowódców i zbiegi okoliczności, i pogoda, i służby zaopatrzeniowe, które się zawsze lekceważy i o których z pogardą mówił de Gaulle: „*l'intendanture*”... Więc jest tyle elementów, że ta żelazna logika jest doskonała w matematyce, chemii, naukach ścisłych, ale nie w socjologii. Tym niemniej Karol Modzelewski — moim zdaniem — był bardzo potrzebny w tym towarzystwie, bo wnosił element logicznego myślenia — o ile też nie był wielkim aktorem. Za mało go znałem i przysiąc nie mogę. Ogromną rolę odgrywały indywidualności, ambicje. Nie chcę przez to nic im ujmować, jakoś ich deprecjonować, bo są to przecież najzwyczajniejsze ludzkie potrzeby. I gdyby się one przez te trzydzieści parę lat, czy nawet czterdzieści parę — licząc i lata wojny — mogły normalnie ujawniać i normalnie znajdować sobie miejsce w różnych dziedzinach, w zależności od uzdolnień i kwalifikacji, to by tego problemu nie było. A tak nagle ludzie chwyтали tę okazję, która przyszła dla wygłodniałych okropnie spóźniona. Trochę mi to przypominało szewców i krawców ze „Snu nocy letniej”, którzy nagle przeistaczali się w księżęta, w patrycjusza i odgrywali swe role na wyimaginowanym dworze ateńskim.

A: — A jaki jest dzisiaj stan umysłów robotników Wybrzeża? Myślę w pierwszym rzędzie o stoczniovcach.

E: — To są różni ludzie. W stoczni Gdańskiej jest w dalszym ciągu silna fluktuacja kadr, wynikająca nie tyle z płynności elementu ludzkiego, ile z rugów, które z kolei powodują konieczność angażowania nowych ludzi. Wydaje mi się, że został osiągnięty jeden bardzo ważny efekt. Właściwie dwa. Po pierwsze, ludzie poczuli swoją siłę — oczywiście nie do walki ulicznej — ale siłę swojej organizacji. Po wtóre zrozumieli potrzebę współpracy z inteligencją. I to nie tylko ze swoją inteligencją techniczną, lecz także z inteligencją humanistyczną. Naturalnie, chodzi o tych myślących, którzy patrzą dalej niż koniec własnego nosa. W Stoczni Gdańskiej wytworzyła się już począwszy od

roku 70-tego pewnego rodzaju duma. Ten pomnik, to zresztą jest ogromny ich sukces. Wykazali to, co Anglicy określają *foresight*, umiejętność przewidywania. Oni się zakłękli, że będą pracować dzień i noc, a na tę rocznicę grudniową pomnik musi być gotowy. Bo mówili do mnie tak: „Tu nigdy nie wiadomo, proszę pana. Jeszcze kilka miesięcy to na pewno będzie tak, a potem, no, chyba tak będzie jak jest, ale to nigdy nie wiadomo”. No i widzi Pani, zrobili. A Stocznia Gdyńska już się na to nie zdobyła. Zrobili tylko płytę przy przystanku kolejowym Gdynia-Stocznia, gdzie były największe ofiary w 1970 roku, gdzie się krew lała obficie. Natomiast na placu przed urzędem miejskim, gdzie się rozgrywał dalszy ciąg wydarzeń postawiono tylko krzyż drewniany w miejscu, gdzie ma stanąć pomnik...

A: — Widać z tego, że robotnicy umieją szybko stawiać pomniki. To może dobrze, bo gdyby się ociągali dłużej, mogłoby go po prostu nie być. Ale co jeszcze poza pomnikami umieją, to co mogą zrobić dalej robotnicy?

E: — To się dopiero przekonamy. Jestem dobrej myśli, jeśli chodzi o poziom uświadomienia i o to, że nie dają sobie wciskać kitu. Te czasy minęły. Uważam że w większości jest to środowisko scalone. Mimo rugów, jakie tam się dokonują.

A: — Czy solidaryzują się z wyrzuconymi?

E: — O ile mi wiadomo, to funkcjonuje pomoc finansowa. Na pewno nie obejmuje wszystkich, bo nie daliby rady, zresztą nie wszyscy się ubiegają, część zresztą znajduje zajęcie gdzie indziej. I to już jest owoc tych kilkunastu miesięcy. Ludzie sobie pomagają i ta prawdziwa solidarność będzie rosła, bo wspomnienia negatywne bledną, kiedy łączą się z pozytywnymi, które z kolei nabierają jeszcze soczystszych barw. To, co się stało w ciągu tych kilkunastu miesięcy odegrało bardzo integrującą rolę. Władza tę sprawę przegrała. Wyrazem takiej wypracowanej solidarności w Stoczni było to, że dyrektor Stoczni Klemens Gniech polecał razem z wszystkimi przywódcami związkowymi, bo odmówił zwolnień i to po wprowadzeniu stanu wojennego. Przeciwstawił się władzy. I to jest zwycięstwo robotników. A przedtem nie robił wrażenia bohatera, ten Klemens Gniech. Ja go zresztą znam. To jest Kaszeba z Wejherowa. Znałem też jego ojca. Nie jest to żaden *leader* ani wielki wódz, ale w czasie Sierpnia był w stoczni, dzień i noc. Nikt go stamtąd nie ruszał, w ogóle nie było takiej kwestii, żeby dyrektora usunąć ze stoczni. I po wszystkim — przeciwstawił się represjom. Dla mnie samego było to bardzo przyjemnym zaskoczeniem, że znalazł się taki reżimowy dyrektor. Nawiasem mówiąc nie wiem, co on robi obecnie.

A: — Proszę Pana, przeżył Pan już parę dziesiątków lat i gdyby robił Pan krótki rachunek, nie sumienia, lecz własnej drogi życiowej, jaki okres uważałby Pan za najpełniejszy?

E: — No, to by trzeba trochę precyzować, z tym, że precyzja bardzo trudna. Oczywiście bardzo intensywnym, nie wiem czy pełnym, najpełniejszym, ale bardzo intensywnym był okres mojej młodości, ze względów historycznych. Miałem osiemnaście lat, kiedy zdałem maturę i poszedłem do podchorążówki rezerwy, bo taki wtedy był obowiązek. Dopiero potem miałem iść na studia. Ukończyłem szkołę podchorążych, to była jesień 1939. To było w Brodnicy nad Drwęcą, na Pomorzu, a przydział miałem do pułku piechoty w Toruniu. Miałem iść na studia do Warszawy, na wydział prawa, ale interweniowała historia. To był na pewno okres niesłychanie intensywnego życia. Nie było nic do gadania, człowiek nie miał wyboru, musiał robić tak, jak mógł najlepiej. Więc oczywiście był to bardzo intensywny okres, zwłaszcza że brałem udział w wojnie na różnych frontach, poznałem wielu ludzi na Zachodzie a potem służyłem w jednostkach specjalnych już pod koniec wojny. Mam zaliczonych kilka lotów na Polskę. W sumie to było bardzo interesujące, zwłaszcza, że jednostki specjalne miały też i szkolenie specjalne, polityczne, ale zupełnie innego typu niż się obecnie rozumie pod słowem „polityczne”. To nie było szkolenie typu indoktrynacyjnego tylko informacyjnego! I bardzo surowe z tego zakresu egzaminy. Np. organizacja państwa niemieckiego III Rzeszy albo organizacja Związku Sowieckiego, Stanów Zjednoczonych czy Anglii, problemy społeczne, partie itd. Oczywiście także potencjał gospodarczy. To była znakomita szkoła praktyczna, która musiała mi zastąpić wtedy uniwersytet. A drugi okres, to właśnie zaliczyłbym do niego dopiero Sierpień. Bo nie październik 1956 roku. Październik zakończył się dla mnie wielkim rozczarowaniem. Miałem wtedy 36 lat, to był taki pierwszy wybuch. Wszyscyśmy byli pełni nadziei i tak nas fatalnie oszukano. Miałem łązy w oczach, kiedy przemawiał Gomułka na plenum KC, mówię o tej sławnej mowie z października 1956 roku. Znakomita mowa. Ja to przemówienie obficie cytowałem na posiedzeniu plenarnym naszej komisji z rządową. On mówił, że prawda, jeżeli się ją ukrywa, to się wścieka, wybucha, wreszcie wychodzi w formie rewolucyjnej. Nie wiem, co się potem stało z tym człowiekiem. Oszalał, zakłamał się sam? Nie zakłamałem się wtedy, ale poczułem się okropnie oszukany i dlatego już w Sierpniu takich wielkich, wybujałych nadziei nie żywiłem. Więc ten okres uważam za najpełniejszy, chociaż nie w

moim zawdzie, ale w moich życiowych i niespełnionych aspiracjach. Zawsze chciałem się zajmować polityką, a literaturą zająłem się z konieczności. I może właśnie Sierpień był dla mnie taką namiastką polityki. Czułem się w tym dobrze, bo czy mnie słuchano czy nie słuchano jak innych doradców, to w każdym razie mogłem mówić i jakiś efekt tego pozostawał, a może jeszcze się ujawni, bo jest to proces ciągły, który się rozwija, rozwija przez dziesiątki lat. Coś z tego zostaje i uważam, że zająłem miejsce po właściwej stronie. Decyzja co do tego była natychmiastowa i oczywista. Tylko początkowo wahałem się, bo nie byłem pewny czy strajk w Stoczni Gdańskiej się utrzyma. Do Stoczni więc poszedłem, rozmawiałem z ludźmi, z przywódcami, z Borusewiczem, z panią Walentynowicz i z innymi ludźmi, no i wróciłem przekonany. Przystąpiliśmy wtedy do opracowania stanowiska pewnego grona literatów i 21 sierpnia, z dość liczną grupą członków związku oraz koła młodych poszedłem do Stoczni Gdańskiej. Kiedy weszliśmy już na salę, Wałęsa przerwał obrady i powiedział: „przyszli nasi literaci, żeby nam coś ważnego powiedzieć. Wtedy odczytałem naszą deklarację, która wywołała szalony entuzjazm. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ale koledzy mieli łzy w oczach, ja też, bo to był okres bardzo ciężki. Władze próbowały prowadzić rozmowy z poszczególnymi zakładami, obiecywały złote góry, byle by złamać solidarność. I myśmy na to właśnie kładli nacisk w tej deklaracji, że solidarność jest nową i zasadniczą wartością wniesioną przez nich w nasze życie społeczne. Przy tym napięciu, przy tym ogromnym oczekiwaniu, co z tego wszystkiego wyniknie, bo to mówiono o desancie z powietrza lub z wody, o gazach usypiających, których Amerykanie używali w Wietnamie, a których się używa do buntów w więzieniach. Nic dziwnego, że ludzie czekali z zacziśniętymi zębami na to, co będzie. I myśleli, że jeżeli nawet tutaj się utrzyma strajk, a gdzie indziej strajki solidarnościowe puszczą, to zostaną sami. I co wówczas, jak to będzie? Wtedy oni też w końcu padną. No i nagle przychodzi pomoc. Nie jest to oczywiście pomoc wojskowa, ale była to dla nich bardzo ważna pomoc moralna i propagandowa. Dziennikarze polscy mogli przyjechać dopiero, jak się zaczęły rozmowy, wcześniej nie zezwalano. Natomiast były liczne grupy dziennikarzy zagranicznych. Zjechały wszystkie czołowe agencje łącznie z japońską, nawet była chińska Sinhua. Natomiast nie było oczywiście Tassa. Była jakaś jugosłowiańska, ale nie było żadnej z Demokracji Ludowych i oczywiście też nie było PAP-a. Ci ludzie nie grzeszą czytaniem książek, wyobrażali więc sobie,

że to pewnie przyszedł do nich kwiat literatury polskiej, a my wszyscy tacy sobie oracze, jak kto umie, tak pisze. I Wałęsa zaproponował, ażeby do prezydium MKZ powołać literata tu podpisanego. I tak się to zaczęło...

THETA

Alfa: — Co najmniej przez ostatnie cztery lata obserwowaliśmy postępujący rozkład systemu politycznego, w którym przyszło nam żyć. Przez 16 miesięcy skłonni byliśmy już grać marsza żałobnego dla PRL. I nagle noc z 12 na 13 grudnia zmieniła wszystko. Czy zmieniła, czy wtłoczyła nas w to samo koryto? Czy PRL jeszcze istnieje, czy jest to coś innego?

Theta: — Myślę, że w sensie struktur społecznych istnieje pełna ciągłość między tym, co było, a tym, co jest. Ja bym kryzys tej całej państwowości wiązał z wcześniejszymi datami. To jest mniej więcej rok 1974, 1975, kiedy okazało się, że pomysły ekspansji gospodarczej w ogóle się nie mieszczą w starych strukturach administracyjno-państwowych. Państwo się rozleciało z całą swoją strukturą administracyjno-decyzyjną. Zmiotła je praktycznie fala wielkich pieniędzy, jaka napłynęła do kraju. W tym momencie nastąpił rozłam. Ten porządek funkcjonował jeszcze jako tako w warunkach gospodarki stagnacyjnej, kiedy można było właściwie jednego dnia oblecieć wszystkie wielkie inwestycje, kiedy Gomułka trzymał łapę na wszystkim tak, że nie można było podjąć jakiegokolwiek decyzji na większą skalę, która by się wymknęła spod jego kontroli. Otóż ten cały porządek, który wtedy jeszcze był jakim takim porządkiem, potem się całkowicie rozleciał. Aparat władzy ukierunkował się znowu na dorobkiewiczowstwo po swoistej przerwie gomułkowskiej, chociaż to się już zaczęło pod koniec rządów Gomułki, w fazie jaszczukowskiej. Mówię znowu, bo była już niesłychanie gwałtowna fala dorobkiewiczowska okresu stalinowskiego, kiedy aparat władzy nachalnie rzucał się do wszelkich możliwych pieniędzy, jakie były na horyzoncie i sta-

rał się zapewnić sobie możliwie wysoki status materialny. Wtedy nie było tak wiele do rozszarpania, potem jednak napłynęły te pieniądze i te pieniądze rozwały wszystko. Rozwały morale klasy panującej, rozwały struktury itd. Tak więc rozkład zaczął się znacznie wcześniej, a to, co myśmy obserwowali, to już były widome, zewnętrzne objawy krachu. Już ten cały parowóz jechał na jałowym biegu, właściwie nie jechał w ogóle po szynach. Myśmy wtedy, w 1978 roku opowiadali taki dowcip, że jest to pociąg który jedzie po podkładach. Tory się dawno skończyły, a pociąg jedzie.

Natomiast warstwa panująca, aparat władzy, przeszedł dosyć istotną metamorfozę mniej więcej od IX Zjazdu. Na ten aparat władzy w przygniatającym procencie składali się ludzie związani z aparatem partyjnym plus inne partyjne sfery oddziaływania, ale także ZSL, SD i cały krąg osób żyjących przy władzy i z władzą. Procentowo udział ich był znacznie skromniejszy, niemniej, obok tych 85-90% aparatu władzy o partyjnej przynależności, było jakieś 15% reszty, która była listkiem figowym dla większości partyjnej, ale czuła się spójna z układem, bo — też korzystała... To była ta „filia filii”, jak to kiedyś mówił Urban, ale żyła nienajgorzej. Poprzednio brakowało tej warstwie jednej rzeczy: nie miała wspólnej identyfikacji. Był to ustrój klasycznie feudalny w tym sensie, że na każdym pułapie władzy byli wyżej jacyś „oni”, o których się mówiło, odcinając się od identyfikacji z nimi. Nawet ministrowie w rządzie mówili „oni”, ponieważ istniało jeszcze Biuro Polityczne i doskonale wiedzieli, że jeśli chodzi o ich sprawy gospodarcze, wszystko i tak załatwiał Jaroszewicz.

Były też rywalizacje między różnymi pionami władzy. Otóż aparat partyjny, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, nie identyfikował się np. z aparatem gospodarczym, wojsko czy bezpieczeństwo z aparatem partyjnym i administracją państwową. Każdy miał olbrzymie ambicje, każdy próbował sięgać możliwie wyżej, ale jedności między nimi nie było. Nawet między poszczególnymi pionami powstawały różnorakie rywalizacje. Do dzisiejszego dnia nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, co spowodowało, że w dwa lub trzy miesiące po IX Zjeździe naraz cała ta warstwa panująca poczuła się w pełni zagrożona. Dopiero w tym momencie. Może wpłynął na to zbliżający się zjazd Solidarności. Bo nie sam IX Zjazd partii, to się zaczęło potem. Warstwa rządząca dokonała wspólnej identyfikacji, nabrała poczucia tożsamości. Tego nie było przedtem.

A: — A czy partia w rzeczywistości istniała przed IX Zjazdem? Po powstaniu Solidarności?

T: — IX Zjazd był łąbędzimi śpiewem liberałów. Zostały rozbite struktury poziome i cały ruch dołów partyjnych został zarżnięty. Doły partyjne nie doprowadziły do przebudowania partii. Był w nich olbrzymi procent członków Solidarności, dlatego też właśnie doły partyjne chciały doprowadzić do zmiany identyfikacji partii. Oczywiście to się nie udało. Przegrały z aparatem. Różnica w stosunku do poprzedniego stanu jest tylko w tym, że ludzie aparatu władzy nabrali poczucia pełnego swego wyodrębnienia. Ono przedtem było faktyczne, a dzisiaj to, co było w sferze faktu, przeszło do sfery świadomości. W zasadzie struktura się tutaj nie zmieniła. To, że użyto innych środków w postaci wojska, w jakiś sposób jest kontynuacją tego samego. Tak że ta PRL, która była, jest nadal.

A: — Ale PRL jeszcze piętnaście lat temu, czy dziesięć lat temu funkcjonowała, a teraz nie funkcjonuje.

T: — Tak, w sensie państwowym nie funkcjonuje, ale w tej chwili nie nie funkcjonuje. Rozkład zaczął się wcześniej, a teraz zaczęło się po prostu rozlatywać.

A: — Jakie Pan wiązał nadzieje z powstaniem Solidarności?

T: — Przez cały okres mojej działalności myślałem o przywróceniu życiu politycznemu w Polsce autentycznego charakteru. Sądziłem, że powstanie Solidarności będzie pierwszym krokiem do takiego uregulowania struktur władzy i stosunków społecznych w Polsce, oczywiście uwzględniając możliwości ograniczone naszym sąsiedztwem. To było sprawą podstawową i niezależny związek zawodowy miał być po prostu jednym z fundamentów tego nowego układu stosunków w naszym kraju. Nie udało się, ponieważ ludzie aparatu władzy wykazali maksymalną krótkowzroczność. Nadal jestem zdania, że tak jak w Hiszpanii, ludzie naszego aparatu władzy mogli podjąć kroki w kierunku reform. Byłyby to kroki także we własnym ich interesie. Innymi słowy należało, patrząc z ich punktu widzenia, podjąć takie działania, które uchroniłyby ich przed zniszczeniem, poprzez zgodę na upodmiotowienie społeczeństwa, na zatrzymanie takiego a nie innego pakietu kontrolnego władzy. Dałoby to aparatowi autentyczny udział we władzy, bez wszystkich kosztów np. odbudowy kraju, które naród musiałby wziąć na siebie. Był to więc pierwszy wielki krok, ale okazał się, przynajmniej na razie, krokiem tylko w sferze nadziei, a nie w sferze faktów, czy w sferze realiów. Wszystko to jest jednak

początkiem pewnego procesu. Nawet gwałtowne zahamowanie poprzez stan wojenny nie oznacza żadnego definitywnego zawrócenia tej tendencji historycznej, która już zaczęła działać i działa.

A — Dlaczego nie doszło do porozumienia między liberalnym skrzydłem partii a Solidarnością? I czyja to była wina, jeśli o winie w ogóle można mówić?

T: — Po pierwsze liberalnego skrzydła partii we władzach nie było. Liberałowie w partii byli wyłącznie na dole. Sam do nich w jakimś sensie należałem. Wpływy liberałów kończyły się praktycznie na komitetach zakładowych.

A: — Ale Fiszbach to nie były doły...

T: — Fiszbach nie był pozycją wewnątrz partii. Fiszbach miał bardzo dobre imię w środowisku robotniczym i był dobrze przyjmowany przez robotników Solidarności, natomiast nie miał żadnych wpływów w partii, do tego stopnia, że aparat uporał się z nim jeszcze przed IX Zjazdem, kiedy go zdołano wymanewrować z kandydowania i praktycznie doprowadzono do tego, że nie wszedł nawet do KC. A był to okres otwartej walki politycznej. Wszystkie siły mogły się zmierzyć i okazało się, że skrzydło liberalne jest nieprawdopodobnie słabe. Przeprowadziło do KC zaledwie dziesięć osób. Około 10% członków KC to byli ludzie reprezentujący poglądy, żeby tak powiedzieć liberalne, np. Malanowski, prof. Kamecki w jakimś stopniu, Hieronim Kubiak, który kiedyś był kimś innym, niż po wprowadzeniu stanu wojennego. W zasadzie odpowiedzialność ponosi centrum. Za brak wyobraźni. Myślę nie tylko o Kani, ale o Jaruzelskim i całej reszcie, która bojąc się posądzenia o liberalizm, w rezultacie stopniowo przejmowała cały program skrzydła konserwatywnego. Charakterystyczne jest to, że im dalej w las, tym bardziej stawali się zakładnikami konserwy, naturalnie nie bez nacisków sowieckich. I tu leży właściwie przyczyna klęski tej partii, bo oczywiście partia politycznie dzisiaj nie istnieje, jest tylko partią ludzi aparatu władzy, partią konfidentów i drobnej grupki ludzi, którzy zatrzymali legitymację partyjną, żeby poprzez to starać się nie dopuścić do jakiegoś ostatecznego dramatu. W zasadzie nie mają z tą partią nic wspólnego. Jeszcze trochę takich zostało.

A: — Uważa więc Pan, że porozumienie było niemożliwe?

T: — Porozumiewać się mogą siły, a siły nie było. Liberalnej siły. Z kolei przez cały okres szczucia przeciwko Solidarności w niej samej z natury rzeczy musieli dochodzić do głosu ci działacze, którzy w okresie burzy i naporu artykułowali potrzeby i uczucia swoich mas członkowskich. W związku z

tym na czele utrzymywali się nadal mówcy i gestykulatorzy, a nie organizatorzy, którzy dochodzą do głosu w fazie stabilizacji. Nigdy nie doszło do fazy stabilizacji. Bo przez cały czas nacisków, ataków ze strony władzy mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której podtrzymywani byli ludzie o bardzo niskich kwalifikacjach politycznych, czasem mało rozumni, często o niewielkim doświadczeniu społecznym. Charakterystyczne było to, że Wałęsa z jesieni 80-go roku, kiedy był autentycznym wielkim przywódcą, zamienił się z przymusu w gracza politycznego, który musiał między swoimi rozgrywać skomplikowane partie, aby pogodzić ze sobą poszczególne grupy i utrzymać jedność. Okres nacisku doprowadził do swoistej degrengolady tego ruchu, który zaczął znacznie lepiej niż potem funkcjonować. Bardzo zaważył na Solidarności okres walki o wpływy na Wałęsę, gdzie były dwie różne tendencje. Z jednej strony grupa Jacka Kuronia, z drugiej — grupa katolicka. Może zaważyły trochę i osobowości obu panów. To znaczy Kuronia i Mazowieckiego. Znam jednego i drugiego. Są to ludzie niesłuchanie wartościowi, bardzo osobiście uczciwi, ale obaj pozbawieni zdolności współpracy z innymi: Kuroń z nieodpartym wewnętrznym imperatywem wodza, a Mazowiecki ze swoją nieufnością i nieumiejętnością nawiązywania kontaktu z ludźmi. W okresie, kiedy Mazowiecki prowadził *Tygodnik Solidarność* przez całe miesiące nie było kolegium. Nie dlatego, że się bał. Przez całe lata w swoim getcie, jakie tworzył krąg katolików świeckich nie nabrał zdolności otwierania się. A trzeba było szybko doprowadzić do współpracy, żeby Wałęsa mógł wystąpić jesienią 80-go roku z tymczasowym programem Solidarności, który dzięki autorytetowi Wałęsy byłby czymś oczywistym i zostałby przyjęty w ogóle bez dyskusji, w pierwszym *a vista* odruchu akceptacji. Przecież było dosyć ludzi, którzy chętnie by wzięli udział w opracowaniu takiego programu, absolutnie *con amore*, bez jakichkolwiek dla siebie profitów. Zamiast tego rozegrała się walka o wpływy na Solidarność, a potem przyszedł okres destabilizowania Solidarności z kolei przez nacisk władz, no i cały proces rozkładu, który później obserwowaliśmy. Tak że trochę po Sierpniu było takiego zmarnowania szans, ale od tak wielkiego ruchu rewolucyjnego jakim była Solidarność trudno spodziewać się perfekcji organizacyjnej i — jak powiadam — nie była to wina Solidarności. Szanse zostały zmarnowane nie przez Solidarność, która była wielkim, żywołowym ruchem.

A: — Powiedział Pan, że „oni”, tzn. władza, nie zrozu-

mieli ruchu, jakim była Solidarność, bo inaczej we własnym interesie powinni byli ten ruch uznać i zaakceptować.

T: — Nie tylko, powinni byli z tego skorzystać i przejść od monarchii absolutnej do monarchii konstytucyjnej.

A: — Dlaczego więc zostali pozbawieni instynktu samozachowawczego?

T: — Tu jest drugie zjawisko. O ile powiedzieliśmy o tym, że ci wszyscy młodzi ludzie, którzy kierowali Solidarnością czy też stanowili o tej Solidarności nie mieli kiedy nabrać doświadczenia społecznego, a i tak dawali sobie radę nadzwyczaj dobrze, to z kolei ludzie aparatu władzy w ogóle zostali oduczani uprawiania i rozumienia polityki. Ich horyzonty były nieprawdopodobnie ciasne. Nie byli przygotowani ani na kryzys, ani na pojawienie się problemów po kryzysie, ani na eksplozję społeczną. Charakterystyczne było to, że przecież pierwszy raport DIP-u opisywał wszystko, co się później stało. Między innymi tam właśnie napisano, że aparat władzy jest całkowicie nieprzygotowany psychologicznie i intelektualnie zarówno do kryzysu gospodarczego, jak do eksplozji, która po nim nastąpi. „Oni” w ogóle nie mieli wyobrażenia o tym, co się właściwie dzieje i o co w tym wszystkim chodzi. Jedyne czego doznawali to poczucia zagrożenia. Może z wyjątkiem kilku czy kilkunastu ludzi, ale na cały gmach KC, w którym siedzi ich kilkuset to bardzo mało. Byli więc i tacy, którzy sobie uświadamiali, że to nie jest tylko jakieś chwilowe trzęsienie ziemi, że ustroj generalnie wymaga wielkiego programu reform. Instynktownie to jakoś wyczuwał Kania; Kania był bardzo konserwatywny i nie chciał niczego darmo oddawać, wszystko trzeba było wymuszać. Ale Kania przy całym swoim konserwatyzmie miał odrobinę instynktu, który mu wskazywał, że już tak dalej nie można, że trzeba generalnie coś zmienić, bo to wszystko nie działa. Takim człowiekiem na pewno był Barcikowski, był Klasa, był Wójcik, był też Werblan. Ale, jeżeli można ich tak nazwiskami wymienić, to łatwo chyba stwierdzić, że nie były to masy. Może jeszcze byli jacyś ich bezpośredni współpracownicy, ale to już i tak rysuje skalę impotencji. Innymi słowy, aparat władzy nie był zdolny do podjęcia żadnych dalekowszocznych decyzji, do głębokiego przemyślenia swoich własnych interesów, a przede wszystkim, co jest charakterystyczne, do zrozumienia kraju. Ten aparat władzy jest nie tylko wyizolowany ze społeczeństwa, ale konstytuuje się w warstwę, która ma swoją własną kulturkę, swój własny sposób myślenia, oceniania i nazywania świata.

Tak wyizolowani tracą zdolność rozumienia własnego społeczeństwa.

A: — Obserwujemy od lat odpływ z partii ludzi rozezarowanych. Jak w kalejdoskopie zmieniają się nazwiska sekretarzy, członków czy zastępców członków KC, ministrów i wice-ministrów w rządzącej ekipie. Z tych najgorszych, jak mawiano, odchodzą najlepsi. Czy ci ludzie nie stanowią żadnej siły?

T: — Faktem jest, że ten aparat zawsze odsiewał ludzi inaczej myślących. Większość przegrywających w zasadzie została wykreślona z gry. Mieli pewien sposób widzenia rzeczywistości, to znaczy musieli znaleźć się za burtą. Kompleks dotyczący tych wszystkich ludzi za burtą paraliżował ich w sensie psychologicznym, paraliżował wolę. Jeśli gracza pozbawi się woli zwycięstwa, choćby był największym technikiem piłki nożnej, nic z niego już się nie wykrzesze. Otóż tam coś takiego zachodziło.

A: — Ale polityk się nie obraża?

T: — Nie, ale śmieszność polegała na tym, że ci, którzy odchodzili to byli właśnie ci, którzy mieli jakiś zespół kryteriów moralnych, oczywiście dosyć względnych, ale jak na polityków... Mieli pewien zespół ideałów. Czegoś chcieli. I każde ich odejście oznaczało niesłychanie głębokie rozczarowanie. Było to po prostu coś takiego, jak u ludzi wierzących utrata wiary. Wychodzili poza swój kościół. Proszę sobie wyobrazić biskupa, który traci wiarę. Nie nadaje się już do walki o zmianę stosunków w Kościele. Każdy z tych przegrywających tracił jednocześnie wiarę w możliwość zrobienia czegokolwiek i załamywała się, a nawet zamierała w nim całkowicie wola walki o obraz swojego Kościoła. Np. Jerzy Morawski. Facet niegłupi. I nie ulega wątpliwości, że bardzo dużo rozumiejący. Albo Szlachcic, z zupełnie inną już biografią, bo nie polityczną, lecz BCh-owsko-ZMW-owską, a potem policyjną. No, ale przez swoje przyjaźnie, choćby z prof. Janem Szczepańskim, ugrunтоваł sobie jakiś komplet wyobrażeń o tym, jakby to mogło być. I ten człowiek zostaje odsunięty, zostaje wykopany przez swojego przyjaciela i, obawiam się, już nie jest zdolny wrócić do gry. Już patrzy jako *outsider* i ma Pani absolutną rację, że jest to spora grupa ludzi. Ale to są ludzie, którzy mają kompleks odrzuconych.

A: — A może to po prostu wygoda. Pozostawiono im komfortowe mieszkania czy nawet wille, przeszli na wysokie emerytury w wieku często nie wyższym niż czterdzieści kilka lat. Osiągnęli cel — dobrobyt. Gdyby ich tego wszystkiego pozb-

wiono, może wówczas wzięłaby górę idea, dla której, jak Pan mówi, kiedyś znaleźli się w partii?

T: — A moim zdaniem właśnie taka sytuacja pewnego komfortu jest wspaniałą odskocznią do rozwijania działalności. Jakby mieli odrobinę impetu i ambicji, to akurat zapewniony komfort jest jak wiadomo na całym świecie wspaniałą odskocznią do uprawiania polityki. Tylko najzwyczajniej w świecie ci ludzie potracili już wewnętrzny impet. Nabrali przekonania, że w gruncie rzeczy już się nie da nic zrobić, że jest beznadziejnie, bo brak jakiegokolwiek alternatywy. Żadnemu z nich nie przyszło nigdy do głowy, żeby myśleć o jakiejś innej partii.

A: — Zastanawia mnie, dlaczego właśnie ci ludzie nie udzielili poparcia ruchowi Solidarność?

T: — Klasycznym tego przykładem jest „czerwona kanapa”. Z tej „czerwonej kanapy” związał się z ruchem Solidarności tylko Szymon Jakubowicz. Ale nie jest to były polityk, lecz dziennikarz uczestniczący w kręgach najwyższych struktur aparatu władzy. Związał się więc tylko on jeden, bo paradoks polega na tym, że jak ich pokonywano, oni dodawali do tego jeszcze swoje rozczarowanie i to poddanie psychiczne. To dotyczyło dosłownie wszystkich. Nie było jednego przypadku człowieka, który przegrywając wraz ze swymi liberalnymi koncepcjami i ideałami, zachowywałby wewnętrzny ładunek i impet do działania na rzecz swoich ideałów. Na każdego przychodziło załamanie, każdy wycofywał się z gry.

A: — Wątpliwa wydaje mi się ta ideowość. Nie chce mi się wierzyć, by można było tak nagle rezygnować z czegoś, co było drogowskazem przez dziesiątki lat dojrzałego życia.

T: — No nie, oni po pierwsze nie tak szybko rezygnowali, ale każdy z nich ponosił już klęskę — sam. Problem polega na tym, że kiedy w normalnych stosunkach politycznych przychodzi klęska, to ponosi ją jakaś grupa, jakaś dążność. W takich jak u nas systemach feudalnych ponosi się klęskę samemu, ponieważ wszyscy adherenci natychmiast odpływają, przesu- wają się do innych, i ten, który przegrywa, pozostaje sam. Nie przegrywa tendencja i ludzie z nią związani, tylko przegrywa facet, który tę tendencję upostaciował. Traci wszelkie poparcie, jakby nigdy nie było żadnej grupy za nim. I to poczucie osamotnienia powiększa, jak sędzę, poczucie porażki i niemożności. Bo człowiek, wokół którego naraz robi się całkowita pustka...

A: — Ale tych samotnych jest już w tej chwili bardzo dużo...

T: — Nigdy ich nie było zbyt wielu. Morawski, Matwin, Motyka, Szlachcic, Barcikowski, Tejhma. No właśnie, Tejhma, klasyczny przypadek całkowitej degradacji psychicznej. Przecież ten dzisiejszy Tejhma ze świadomością swojego błędnostwa... Lepiej nie mówić. A to jest, to był wybitnie inteligentny, dalekowzroczny kandydat na wielkiego polityka.

A — To chyba przesada?

T: — A tak, to był naprawdę spokojny, taki sobie chłopski trochę filozof, ale z bardzo dużym sensem, z cechą niesłychanie korzystną u polityków, z pewną dozą wrodzonej dobrotliwości, bez złości do ludzi, co jest jednak u polityków bardzo częste, bo ładunek sprężających ambicji powoduje u każdego, że natychmiast odpycha innych. Ten miał ogromny talent zdobywania sobie ludzi. Słyszałem parę jego przemówień, które sam sobie pisał, świadczyły o polityku wysokiej klasy, który rozumie sytuację i jej ograniczenia. Otóż ten człowiek po zniszczeniu go przez Babiucha już się nigdy nie podniósł. Jeszcze miał okres pewnego zrywu tuż po Sierpniu, przez pierwsze trzy miesiące. Kania chciał go wziąć do KC i do Biura, i nagle okazało się, że Tejhma już nie chce. Już nie chciał! To nie było tak, że oni nie chcieli, on nie chciał.

A: — To świadczy o jego mądrości. Już wiedział, że to nie byłoby na długo.

T: — No dobrze, ale w tym momencie otwierała się jakaś szansa zmiany charakteru tej partii, jedyna, ostatnia szansa pogodzenia jej z narodem, nadania jej jakiegoś charakteru. Zostałby zawarty jakiś układ społeczny z władzą tej partii, tej monarchii. I Tejhma miał tego świadomość. Ale ma także świadomość swego upokorzenia jako ministra. Ktoś opowiadał mi, że był u Rakowskiego i słuchał jego rozmowy z Tejhumą. w trakcie której Tejhma powiedział Rakowskiemu: „przecież sam wiesz, jaki ja tam minister”. Otóż to jest właśnie dzisiejszy Tejhma.

A: — Tejhma zrezygnował z ministra kultury, bo nie chce. Zrezygnował także Hieronim Kubiak. Czy w jego rezygnację także Pan wierzy?

T: — Nie. Oczywiście, Kubiaka zmusili do rezygnacji. Kto wie, czy nie pod naciskami sowieckimi. Ktoś tam z kolegów będzie wiedział i na pewno niedługo się dowiemy, jaki był mechanizm tej rezygnacji. Może to cięcie po skrzydłach. Trochę tu, trochę tam. Ale to oczywiście nic nie oznacza. Ciągłe wracam z uporem maniaka do tego stwierdzenia, że to wszystko jest jednak początkiem długofalowego procesu zmian, w każdym

razie u nas. Oczywiście zmiany będą zachodziły i w Związku Sowieckim, choć zupełnie inne.

A: — Czy rokuje Pan szanse porozumieniu i jaką widzi Pan w tym rolę młodej generacji partyjnej?

T: — Nie, ta partia zaczęła umierać w momencie, kiedy rozprawiła się ze swoimi dołami partyjnymi. Bo nie tylko społeczeństwo straciło nadzieję, że z tą partią można się dogadać, ale jej własne doły partyjne straciły także tę nadzieję. Jeżeli ludzie nie składają legitymacji, to tylko dlatego, że boją się związanych z tym represji. Obecność tylu ludzi w partii jest wyłącznie podyktowana obawą, lub w wielu przypadkach naciskiem kolegów, którzy mówią: „nie odchodź, bo jak z partii wystąpisz, to ci zabiorą stanowisko, dadzą kogoś innego, na pewno gorszego”. Wiem o tym, bo takie decyzje podejmowaliśmy sami i koledzy musieli zachować legitymacje partyjne. Nie ma żadnej nadziei, bo dzisiaj przychodzą do partii najgorsi. Choć młodzi już są wyizolowani i stanowią zupełny margines swojej generacji. Są skłóceni z nią, nielubiani i — nie chciałbym, żeby to zabrzmiało obraźliwie, ale sądzę, że są to albo potencjalni, albo już funkcjonujący konfidenci. Kolejna fala płatnych członków partii. Niestety z tym nie można wiązać żadnych nadziei społecznych. Dzisiaj o porozumieniu w ogóle nie można mówić. Gdyby Solidarność w tej chwili chciała podpisać jakiegokolwiek porozumienie z władzą, to by straciła poparcie społeczeństwa z bardzo prostego względu: społeczeństwo nie wierzy władzy! Każdy kto będzie w tej chwili wchodził w pakowanie z władzą w sensie porozumienia będzie traktowany jak dureń, który daje się nabierać. Bo jak można podpisywać cokolwiek z kimś takim.

A z drugiej strony wiadomo, że ugoda jest potrzebna. Szczególnie wymyślono pojęcie ugody społecznej, która może stworzyć warunki dla porozumienia. Ale przepaść nienawiści między młodą generacją a władzą jest nie do zasypania. Co więcej, proces ten będzie się pogłębiał w miarę wzrastających wpływów doktryny społecznej Kościoła, która praktycznie wchłonęła ideały socjalistyczne. Ta „trzecia droga” Jana Pawła II, droga społecznej doktryny Kościoła, musi naturalnie się rozwinąć, ale za parę lat 99% robotników polskich będzie wyznawcami tej doktryny społecznej. Więcej nawet ich będzie wśród robotników, niż wśród tych młodych inteligentów KPN-owskich, którzy odrzucają w ogóle takie czy inne ideały socjalistyczne. I wtedy pojawią się nowe problemy. Będzie inna identyfikacja polityczna. Kościół stanie wobec ogromnego problemu, bo ci ludzie

będą szukać jakiegoś organizacyjnego wyrazu dla swojej identyfikacji politycznej. Tak, że to się wszystko dopiero zaczyna i przypomina żywo procesy, jakim podlegało Movimiento (Falanga) w Hiszpanii. Przecież Falanga przechodziła wieloletnią agonię. Istniała instytucjonalnie, ale przestała istnieć moralnie. Przestała reprezentować jakiegokolwiek wartości, kogokolwiek poza tymi, którzy chcieli być u żłobu.

A: — Tak, ustrój gnić może długo, ale ludzie będą musieli jakoś w nim żyć. Wyjadą przecież tylko nieliczni.

T: — Będą się organizowali w ten czy inny sposób, ale ten kanał został zablokowany.

A: — Czy uważa Pan, że istnieje możliwość zorganizowania się poza partią w naszych warunkach geopolitycznych?

T: — Jest to partia namiestnikowska w stosunku do władzy wyższej, jaką jest władza w Związku Sowieckim. To przypomina układ zaborczy i to z najgorszego okresu, to znaczy wtedy, kiedy społeczeństwo polskie nie miało żadnych praw samoorganizowania się, wyrażania swoich ambicji, aspiracji politycznych i społecznych. Czy to tak może być bardzo długo? No, czasem bywało. W końcu stan wojenny trwał od roku 1861 do 1887, jeśli się nie mylę. Więc można go bardzo długo utrzymywać. Sądzę jednak, że na dłuższą metę nie sposób temu społeczeństwu odmawiać praw podmiotowych. To się przebije, tak czy inaczej. Jestem zdania, że proces reform jest nieuchronny i nawet to zahamowanie, jakie się dokonało w wyniku stanu wojennego jest chwilowe i że jest tylko pewną fazą tego procesu.

Nie sądzą, by to miało trwać i trwać, bo system wytworzony przez stan wojenny jest chory w sensie strukturalnym. Nie ma zdolności funkcjonowania, bo, jak widać, gospodarka nie idzie, nie praktycznie nie idzie. Zostały zablokowane nawet te minimalne kanały społecznego komunikowania się, budowania jakiegokolwiek współpracy. Wszystko zostało zniszczone. Mam więc taką wizję: ten system sam siebie wysadzi. Nie sądzą, żeby jakikolwiek gwałtowny zryw Solidarności podważył ten system. Nie, system stanu wojennego sam się wysadzi w powietrze. Poza tym musimy pamiętać, że ta władza ma przedziwną zdolność popełniania kardynalnych głupstw. Każda z tych ekip dochodzi do takiego momentu popełniania kardynalnych głupstw, ponieważ kieruje się wyłącznie własnym obrazem rzeczywistości. Ekipa Jaruzelskiego jest już w takiej fazie. Palną coś takiego, czego nawet nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć.

A: — Kiedy można się tego spodziewać?

T: — Moim zdaniem za półtora do dwóch lat, albo nawet późną jesienią tego roku. Bo może nastąpić wtórny wzrost napięcia i system zacznie się sam załamywać. Nie rokuję mu zbyt długiego życia. To po prostu nie idzie. A nie dość, że nie idzie, to oni palną coś takiego, że...

A: — No dobrze, oni palną coś, co ich może zmiecie z powierzchni, ale co będzie z nami?

T: — Tu niestety nie jestem optymistą. Może to być sytuacja, która będzie kosztowała wiele krwi.

A: — Myśli Pan o tak ostrej konfrontacji?

T: — Jeśli doprowadzą do sytuacji, w której wyjdą protestować kobiety... Rozwścieczonych kobiet się nie powstrzyma.

A: — Kobiety wyjdą dopiero wtedy, kiedy nie będzie co jeść...

T: — To może nastąpić, a nienawiść jest niewyobrażalna, aż do granic śmieszności. Jedna z moich znajomych, starsza pani, gorliwie praktykująca katoliczka, powiedziała mi z zawstyżeniem, że ostatnio nie przystępuje do komunii św., bo ile razy popatrzy na którąś z tych twarzy w telewizorze, to zaciska pięści i mówi: „żebyś zdechł”. Potem jeszcze dodała: „niestety, ja to mówię szczerze i dlatego nie mogę iść do komunii”.

A: — Czy sądzi pan, że w charakterze Polaków leży jakaś niepohamowana żądza zemsty?

T: — Nie, i to jest w ogóle jakaś wielka szansa i nadzieja tego narodu.

A: — A w dodatku jeszcze kobiety, matki, które drżą o dzieci, bo im się marzą butelki z benzyną. Oni też chcą mieć swoje AK.

T: — Wie Pani, że właśnie dlatego nie sprzedaje się benzyny do kanistrów.

A: — Nie sądzę więc, żeby kobiety, nawet w bardzo trudnej sytuacji żywnościowej wyszły na ulicę z uwagi na to, że wiedzą, jak są rozpalone uczucia młodych.

T: — Jeżeli nie będzie co jeść... Może to nie nastąpi w Warszawie, ale choćby w Łodzi, gdzie jest mało sklepów i kiepskie zaopatrzenie. Jeżeli nie będzie przez pięć dni chleba, to nie wyjdą?

A: — I co wtedy? Do głodnych z pistoletami, z gazem łzawiącym? Jak Pan sobie to wyobraża?

T: — Proszę pamiętać o jednej rzeczy: to wojsko, czyli generalicja tego wojska myśli po rosyjsku, nawet o tym często nie wiedząc. To nie są polscy generałowie. To są rosyjscy gene-

rałowicie mówiący po polsku. Nie znam wśród nich nikogo, kto by myślał inaczej. Może trochę Jaruzelski, może Kiszczyk jeszcze. W niższych rangach, wśród pułkowników jest pół na pół. Natomiast już poniżej majora rośnie liczba ludzi myślących po polsku. Nie możemy wykluczyć, że jakaś grupa podchorążych, tak jak grupa Wysockiego w roku 1830, podejmie desperackie, może zupełnie szaleńcze działania. Ta armia też przestaje być pewna... Poszło do wojska mnóstwo członków i działaczy Solidarności. To nie znaczy, że w wojsku można nie wykonywać rozkazów. Na pewno nie, ale można się zbuntować. Bunt w wojsku jest rzeczą możliwą. Ta armia przestaje być układem stabilnym, chociaż generałowie jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. Rosjanie byli przekonani, tak samo jak i WRON, że wystarczy wyselekcjonować i zamknąć pięć tysięcy, a zwycięży zdrowy instynkt klasy robotniczej. Taki był obraz polskiego świata w oczach elity władzy. Był to jeden z decydujących elementów tej katastrofy. Kania był przekonany, że grupa radykalnych macherów ekstremistycznych kręci tymi poczciwymi ludźmi. Jak mówiłem, że sytuacja jest odwrotna, że im niżej, im młodszy, tym radykalniejsi i że najbardziej radykalni są młodzi robotnicy w zakładach pracy, to nie chciał wierzyć. Bo oni wierzyli w mit klasy robotniczej, która jest przy nich.

A: — Gomułka także nie chciał uwierzyć w robotnicze protesty, ale to było kilkanaście lat temu.

T: — Kania jeździł do zakładów pracy, rozmawiał z ludźmi i nic go nie przekonywało. Uważał, że się ich podjudza, podszczuwa.

A: — W okresie rządów Gierka Rosjanie podwoili liczebność swoich służb dyplomatycznych w Polsce, nie mówiąc już o szczególnej infiltracji w dziedzinach takich, jak komunikacja, lotnictwo, chemia, wojsko, przemysł zbrojeniowy. Czy można uwierzyć, że nie wiedzieli co się w naszym kraju dzieje, czy też wiedzieli dobrze i dlatego stało się to, co się stało?

T: — Nie, śmieszne może, ale nie. Tak samo było w Czechosłowacji, dokładnie. Też nie wiedzieli. Nie umieją wiedzieć. Proszę pamiętać o jednej rzeczy, że oni nie potrafią zrozumieć odrębności kulturowej tego narodu, ani w ogóle żadnego z tych demoludów! Ich dyplomaci rozumieją Amerykę i Zachód rozumieją. Świetnie potrafią nimi manipulować. Dyplomacją potrafili nadrabiać szalone słabości swojej polityki. Ta wspaniała kadra zawodowych dyplomatów umie wychwytywać wszystkie słabości polityki zachodniej, zwłaszcza ich nie-doświadczenie, wygrywając mnóstwo sytuacji absolutnie dla

siebie przegranych. Natomiast tutaj nie ma dyplomatów. Tu przyjeżdżają namiestnicy. Zaden z nich nie idzie potem do Paryża, Madrytu czy Waszyngtonu. Aparat, który tutaj Rosjanie przysyłają to też nie jest ten prawdziwy aparat. I charakterystyczne jest to, że do dzisiejszego dnia podstawową część informacji o Polsce czerpią od najtępszej naszej konserwy. Właśnie ta najtępsza konserwa ukazuje im obraz naszego kraju. Ponieważ mówi do nich ich językiem, więc formułuje swoje oceny wedle ich kryteriów. To tak jakby ruchy planet opisywać systemem ptolemejskim, a więc w sposób strasznie pokrętny, zamiast prostym systemem kopernikańskim. Mając zupełnie inny opis, inne kryteria, słownictwo, rozumieją tylko tych, którzy przekazują im informacje w ich partyjnym języku. Otóż prawdziwy dyplomata sowiecki który jedzie na Zachód, uczy się tamtejszego języka, funkcjonowania tamtejszych instytucji i układów. Dzięki temu potrafi tam znakomicie pracować. Tu przyjeżdżają ludzie, którzy oczekują informacji i ocen formułowanych w języku dla nich zrozumiałym, czyli w ich języku. I stąd wypływa niezdolność do zrozumienia tego, co się u nas dzieje: odrębności rolnictwa indywidualnego, Kościoła itp. Za każdym razem tłumaczy się im wszystko od nowa.

A: — Może nie chcą, bo chyba nie powie Pan, że nie są w stanie tego zrozumieć. Mają u siebie problemy bardzo podobne, choćby działki przyzagrodowe kołchoźników, które żywią więcej niż połowę ludności ZSSR. Oni tą informacją nie chwalać się w prasie, ale przecież zdają sobie z tego sprawę.

T: — Ale oni tego nie widzą i nie będą widzieć. Umówili się, że u nich to nie istnieje, a u nas to jest zupełnie co innego. Nasze rolnictwo jest kapitalistyczne. Problem polega na tym, że oni decydują o tym, co w ich języku jak się nazywa. I jeśli w ZSSR zreprzywatyżują ziemię w jakimś tam stopniu, to będzie to coś zupełnie innego niż reprzywatyżacja u nas. To, co u nas jest złe, wraże, kapitalistyczne, u nich będzie socjalistyczne. Bo oni to nazwą inaczej i będzie to dla nich co innego. Nie ma, nie ma równoległości.

A: — Co Pan wobec tego sądzi o koncepcji Kisielewskiego, który namawia nas do układania się bezpośrednio ze Związkiem Sowieckim, upatrując w tym jedyny nasz ratunek?

T: — Generalny problem leży w tym, że to porozumienie jest niesłychanie trudne, ponieważ najpierw trzeba wykonać wielką pracę nad tym, żeby Rosjanie spróbowali cokolwiek zrozumieć z Polski. Ale ja podejrzewam, że mechanizm tego uczenia będzie zupełnie inny. My nie przekonamy ich do

tego, żeby się nas uczyli, bo musieliby uznać, że jesteśmy inni od nich, a to jest dla nich nie do przyjęcia. Oni wiedzą, że Polacy są trudni, ale nie doszli jeszcze do tego, że są inni, że są odrębni. Oni polskiej odrębności nie chcą przyjąć. Dla nich Polacy to są też Rosjanie, tylko że mówią po polsku i są bardzo nieznośni. Coś podobnego do tezy Karamzina, który zalicza Litwę do Rosji, powołując się na to, że jej władcy mówili po rusku i język Rusinów był na Litwie językiem urzędowym. Myślę więc, że Rosjanie będą szukać sposobu ustabilizowania tej strefy, przez co będą zmuszeni do pewnych ustępstw i staną przed perspektywą podpisania jakiejś formy pokoju brzeskiego... Wymienię powody: kolejne załamanie rolnictwa, straszliwa klęska sowieckiego sprzętu wojennego w Libanie, sprawa tego rurociągu i zablokowanie kredytów. Nie mają pieniędzy, nie mają sprzętu, nie mają materiałów itd. Będą musieli podjąć jakieś zasadnicze kroki.

A: — Ale kroki można podjąć ugodowe lub wojownicze...

T: — Nie, nie można wojowniczych.

A: — Nie może być drugiej wojny ojezyźnianej?

T: — Nie, nie może być, bo nie ma czym. Jeżeli w najlepsze czołgi wchodzi pociski przeciwnika, jak w tekturę, no to co? W tej chwili nastąpił straszliwy wojskowy blamaż sowiecki, straszliwy. Ale śmieszność polega na tym, że oni sami nie chcieli wierzyć w to, że są tacy słabi.

A: — A co o tym myślą nasi wojskowi, nasza WRON?

T: — Nasza WRON wie doskonale, że do żadnej wojny nie dojdzie. Zdolność wojenna tej armii jest żadna. Ta armia miała znakomitą jedną formację, to znaczy dywizję spadochronowe. Co byli warci, to wiemy mniej więcej po Zbyszku Bujaku i Janasie, bo byli komandosami. Przypuszczam więc, że nadal jest to jedyna formacja, która wojskowo coś znaczy. Ale oczywiście dzisiejszych wojen nie wygrywa się formacjami komandosów. Panował przez długie lata mit wyższości sowieckiej w broniach konwencjonalnych. I wojskowi nie chcieli słyszeć, że nowoczesna elektronika zmieniła radykalnie stosunek sił, także w tej dziedzinie. Aż naraz się okazało, że eskadra samolotów nadlatuje na cel i wcale nie rzuca. Przelatuje, uzyskuje obraz tego, co jest na ziemi, po czym zawraca i w wyznaczone uprzednio cele rakiety z układami samosterującymi, samonaprowadzającymi się kierują pociski z dokładnością do 1 metra, a nawet 30 centymetrów. To przerażające.

A: — Co mamy robić dalej?

T: — Sądzę, że trzeba przygotowywać przyszłość. Okres posierpniowy wykazał, że wśród naszych ekonomistów jest wielu ludzi wybitnie zdolnych, z bardzo dobrymi pomysłami i koncepcjami, cóż jednak z tego, skoro są to ludzie o całkowitej nieznajomości instytucji życia gospodarczego, prawa gospodarczego, form funkcjonowania gospodarki, struktur itd. W efekcie odgrzebuje i wraca się do rzeczy, które kiedyś były oczywiste. Można było jesienią 80-go roku sformułować dla Wałęsy dobry program polityczno-społeczny, ale już jeśli chodzi o sprawy reformy gospodarczej to w tym względzie impotencja naszych środowisk intelektualnych była przerażająca. Bez ich winy. Po prostu byli to ludzie kształceni w większości wypadków w epoce, w której nie mogli już się zapoznać z pewnymi instytucjami. Przeciętny polski ekonomista nie ma pojęcia o prawie wekslowym, czekowym. Nawet nie wiem, czy odróżnia weksel od czeku, czy wie na czym polega instytucja zaprotestowania czeku, czy w ogóle jak to jest z bankami, na czym polega organizacja banków. Innymi słowy, większość normalnych instytucji życia gospodarczego jest naszym ludziom o najciekawszych mózgach całkowicie nieznaną. Stare podręczniki są nieznane. Np. „Podręcznik polityki agrarnej” Ludkiewicza zawierał szczegółowy opis wszystkich instytucji życia gospodarczego i społecznego wsi, ich funkcjonowania od kredytu poprzez reformę rolną, prawo wodne, wszystko ze szczegółami, jakie instytucje, jakie uprawnienia, kto, co, jak się czego pilnowało, kto co kiedy egzekwował. Podręcznik naładowany szczegółową i praktyczną wiedzą, ale nikt tego nie zna, nawet ludzie zajmujący się zawodowo ekonomiką rolną. Więc proszę sobie wyobrazić, jakie mamy straszliwe luki.

A: — Przecież w bibliotekach są dostępne te książki, o których Pan wspomina. Trzeba tylko tam zajrzeć.

T: — Tak, tylko trzeba o tym wiedzieć, że należy zajrzeć. Jeżeli docent SGPIS-u, chłopak naprawdę bardzo zdolny, dopiero ode mnie dowiaduje się, że wyszła w Polsce w 1947 roku książka pt. „Przedsiębiorstwo państwowe” i że jest cała literatura na temat komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych...

A: — Wybacz Pan, ale docent o twórczej umysłowości — jak Pan go określa — zajmujący się ekonomią profesjonalnie ma obowiązek dowiedzieć się, jak wyglądała struktura gospodarcza Polski w latach 1945-1947. Bankowość była jedną z lepiej rozwiniętych w kraju struktur.

T: — Jak najbardziej, mało tego: jeszcze w tym czasie

były także wydawane podręczniki. Otóż to wszystko jest nieznane, po prostu nieznanne.

A: — Bo ludzie nie zdobywali wiedzy, tylko tytuły!

T: — Otóż to, ale nie tylko to. Ludzie, którzy uczyli, odcinali ich od wiedzy z poprzednich epok i najzwyczajniej w świecie trzeba było mnóstwo rzeczy zaczynać po prostu od A. I dzisiaj jeszcze tak jest. Dlatego ja mówię o tej pracy dla przyszłości, bo w niektórych dziedzinach trzeba się wziąć do nauki, trzeba się poduczyć. Ludzie nie wiedzą, co to jest spółdzielnia, są zrażeni do istniejącej spółdzielczości, bo ruch spółdzielczy został u nas kompletnie zniszczony. A inna dziedzina — prawo. Przecież myśmy mieli jedno z najlepiej rozwiniętych prawodawstw gospodarczych.

A: — Czy można to robić w stanie wojennym?

T: — Tak, bo myśleć można w każdym stanie.

A: — Myśleć tak, ale jak przekazywać te myśli, czy jak zachęcić do głębszej analizy tego, co kiedyś sprawnie funkcjonowało?

T: — Przygotowywać społeczeństwo do praktycznej umiejętności demokracji. Jest to też uczenie, rozpowszechnianie pewnego zasobu wiedzy i informacji. Wyobraźnia polityczna społeczeństwa została zatruta przez sekciarstwo. Polska miała, jak wiadomo, nadmierną skłonność do pluralizmu politycznego, ale niekoniecznie wiązało się to z wzajemną nienawiścią i nietolerancyjnością. Daszyński wyklóciwszy się ze swoimi przeciwnikami politycznymi na sali sejmu galicyjskiego, szedł potem z nimi na obiad czy na kawę w kuluarach. A u nas, dzisiaj, nie trawią kogoś, kto się choć trochę od nich różni. W tym ruchu odnowy było także mnóstwo dzikich sporów do granic furii i nienawiści, tylko dlatego, że ja myślałem tak, a ten pan myślał trochę inaczej. W związku z tym podejrzewało się go, że albo jest agentem, albo się mu przypinało wszelkie możliwe łatki, albo się go zwalczało jakimiś różnymi demagogicznymi chwytami. Kultura demokracji zaczyna się już od umiejętności organizowania zebrań. Nie wiem czy Pani wie, dlaczego Jacek Kuroń był tak ważny w pierwszym okresie funkcjonowania KK. Ponieważ KK nie potrafiła po prostu przeprowadzić żadnego zebrania. Gdyby nie Kuroń, który tam siedział na miejscu, przygotowywał im zebrania, a praktycznie je organizował, to rzeczywiście byłoby niesłychanie trudno. Wobec tego Kuroń uważał się za człowieka, który może zastąpić KK, ale to już inna sprawa.

A: — Ludzie przez 37 lat właściwie nic nie robili, tylko organizowali zebrania i przemawiali. Coś to więc chyba nie tak?

T: — Tak, ale tamte zebrania nie były organizowane po to, żeby załatwiać jakiś problem, uzgodnić jakiś program, rozwiązać coś. Były tylko manifestacjami.

A: — Ale organizacyjnie były przeprowadzane bez zarzutu. Jeśli więc miała je wypełnić prawdziwa dyskusja, czy tak trudno było ustalić 5 czy 10 minut czasu i tylko pilnować tego, by go nie przekraczał żaden z dyskutantów? Sądzi Pan, że tylko jeden Kuroń zdolny był do prowadzenia zebrań KK?

T: — No, potem już było trochę lepiej. To się odbywało w ten sposób: mówili na jakiś temat. W trakcie rozmowy zmieniali temat, po czym wracali znów do tego pierwszego tematu. Ktoś tam zaproponował jakiś wniosek — przegłosowali. Ale ktoś się zerwał i orzekł, że to idiotyczny wniosek, podał zupełnie inny, już po przegłosowaniu tamtego. I zaczynała się od nowa dyskusja jeszcze raz na ten sam temat. Po prostu nie było nikogo, kto by potrafił prowadzić zebranie.

A: — Ale chyba nie temu zawdzięczamy to, co się stało?

T: — No pewno, że nie. Ale teraz, kiedy doszli do głosu organizatorzy, bo grupę mówców i gestykulatorów pozamykano w internatach, Solidarność w warunkach konspiracji jest prowadzona znacznie lepiej niż w warunkach legalnych. Inny gatunek ludzi tym się teraz zajmuje. Jak jest zebranie, to się odbywa bardzo sprawnie, szybko się podejmuje decyzje itd.

Ale wracam do Pani pytania, jak wykorzystać stan wojenny do rozpowszechniania wiedzy. Na tym polega wielkość ludzkiego mózgu, że wiedzę można zdobywać w każdych warunkach, chyba że się jest w więzieniu albo obozie koncentracyjnym. Dopóki ludzie umieją czytać, lub dopóki jeszcze umieją do siebie mówić, dopóty wiedzę można rozpowszechniać. Oczywiście nie jest to wszystko. Przeczytałem bardzo ciekawe opracowanie jednego chyba ze starych generałów akowskich, który wyłożył dla Solidarności metodykę wojny cywilnej — coś, co by rozwijało konstrukcję zaproponowaną przez Kulerskiego — społeczeństwa podziemnego. Są to działania, jakimi może posługiwać się społeczeństwo podziemne pozbawione broni palnej i nie chcące uciekać się do przemocy, ponieważ nie ma szans na zdobycie przewagi. Natomiast jest na swoim terenie i ma do dyspozycji dziesiątki różnych chwytów i zachowań, którymi może całkowicie zatruć życie władzy. I nie tylko władzy jako całości, ale ludziom władzy. Należą do nich ujawnianie i wykrywanie kon-

fidentów i doprowadzanie do tego, żeby konfidenti mieli świadomość, iż są znani. Żeby był pewien kodeks przyzwoitości i żeby ludzie, którzy są nadgorliwi i wykonują działania przeciw społeczeństwu wiedzieli, że łajdaństwo będzie karane. Będzie karane różnymi środkami, bo jak twierdzi autor tej metodyki wojny cywilnej możliwość zatrucia życia komuś, kto żyje nie wśród ludzi, ale w izolowanej twierdzy jest nieograniczona.

A: — No, ale to są wszystko metody na „nie”. A metody na „tak”?

T: — Jesteśmy w stanie wojny, więc trzeba mieć jakąś koncepcję tej wojny. I to jest taka koncepcja wojny, którą może prowadzić rzeczywistość całe społeczeństwo. Jeśli się ten artykuł ukaże w *Tygodniku Mazowsze*, to dla władzy zagrożenie taką wojną będzie przerażające. Przeciwnik jest nieuchwytny i ma przeważającą siłę. Tak więc wszystkie chwytły małego sabotażu, ciągły dialog z okupantem wewnętrznym, ciągłe zaznaczanie swojej obecności przez malowanie napisów, ulotki, nalepki itp. Natomiast jest pytanie, czy ta władza pozwoli na jakiegokolwiek działanie pozytywne. Poza Kościołem nie mamy żadnych instytucji, które by mogły funkcjonować. Założmy, że nam odwieszą Związek Literatów, chociaż jakoś na razie się to nie zapowiada. A gdyby nawet, to i tak nie jesteśmy związkami zawodowymi. Nie będziemy mogli prowadzić takiej działalności jak choćby Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej. Nie pozwolą na działalność Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Zawiesili go także i nie wiem, czy by go chętnie nie rozwiązali. Praktycznie trzeba się porozumieć z Kościołem. Uważam, że w ślad za społeczną doktryną Jana Pawła II powinno iść jakieś świeckie nauczanie Kościoła. To znaczy Kościół powinien spożytkować na użytek tej doktryny doświadczenie wszystkich ruchów demokratycznych, samoorganizacji demokratycznych, ponieważ to jest droga do postępu bez uciekania się do gwałtu. Jeśli Kościół chce mieć coś do proponowania, to w miejsce Chrystusa z karabinem musi proponować Chrystusa organizatora. Nie może być inaczej. Chrystus nie może być tylko tam w górze, musi zejść do ludzi i razem z nimi zasuwać. Chrystus musi być z elementarzem. Był u nas taki Wawrzyniak, na początku naszego stulecia, ale potem Kościół z tej swojej misji zrezygnował, bo we Włoszech były nadużycia w przedsiębiorstwach kierowanych przez ludzi Kościoła i Leon XIII kazał księżom wycofać się z działalności gospodarczej. Ale jeżeli nawet nie będą biznesmenami, mogą upowszechniać wiedzę o tym, jak się ludzie powinni organizo-

wać, jak sobie wzajem pomagać, jak się uczyć itd. Bo to akurat mieści się w misji dzisiejszego Kościoła. Wydaje mi się, że Kościół mógłby coś w tej mierze zrobić.

A: — Sądzi Pan, że Kościół jest do takiej pracy przygotowany?

T: — Oczywiście nie jest przygotowany, co więcej, cała ta doktryna społeczna Jana Pawła II jest dla Kościoła melodią przyszłości, bo on dostał doktrynę, z którą nie wie, co robić, nie ma żadnych receptur na to.

A: — No to co, wobec tego?

T: — Ja myślę, że zwłaszcza środowiska intelektualne są powołane do tego, żeby rozbudowywać tę wiedzę. Tymczasem mamy bardzo mało takich ludzi, którzy mogą społeczeństwo uczyć demokracji. Mamy wspaniałych historyków, ale najciekawszi spośród nich, najbardziej demokratycznie myślący są ci, którzy się zajmują średniowieczem. Im bliżej współczesności, tym więcej fascynacji albo dyktaturą, albo Napoleonem, albo Robespierrem, albo Piłsudskim. Na palcach można policzyć takich jak Marek Drozdowski, którzy się zajmują doświadczeniem demokratycznym. Nie mamy historii jakichkolwiek doświadczeń demokratycznych. Na palcach można też policzyć socjologów stowarzyszeń społecznych, socjologów organizacji samorządu lokalnego. Wśród prawników w ogóle nie ma ludzi, którzy by się specjalizowali w problemach samorządu terytorialnego. Dzisiaj tego, z czego ja zdawałem studiując prawo, już się w ogóle nie uczy. A ponieważ się nie uczy, to nikt się oczywiście tym nie zajmuje, nie ma prac, nie ma publikacji, nie ma specjalistów. Nie chcę tu obrazić starszego pana, pana profesora Bara. To jest jedyny obecnie administratywista. Ale to są popłuczyny po polskim prawoznawstwie, jeśli chodzi o administratywistykę. Mieliśmy Franciszka Roszaka, ale umarł w 1972 roku. I od tego czasu nie mamy już nikogo. Na szczęście ta wiedza jest spisana, ale trzeba się tym zająć. I jeszcze jedna rzecz. Jestem prawdopodobnie z temperamentu romantykiem, z charakteru pewnie też, ale starałem się przyjrzeć naszym romantikom nieco inaczej. Chciałem w nich widzieć nie tylko oszalałych idiotów. Tymczasem dzisiaj mamy znów ciśnienie romantycznego lituanizmu. Na zamach stanu odzywa się triumfalny ryk: no właśnie, jeszcze raz tylko romantyzm jest potrzebny. W środowisku intelektualnym na palcach się policzy ludzi, którzy mają świadomość, że można być romantykiem w sensie ideałów i marzeń, ale że musi to być podbudowane solidną wiedzą, solidną znajomością wszystkich problemów funkcjonowa-

nia społeczeństwa. Nic nie pomoże nam romantyzm, jeśli nie będziemy potrafili, dla przykładu, zaproponować robotnikom formuły samorządu pracowniczego, czy też chłopom zaproponować formuły samorządu terytorialnego, czy samorządu wiejskiego. Ale to budzi niechęć, bo to jest mało romantyczne. Ciągle jesteśmy zdominowani przez nostalgiczny mistycyzm ludzi wypędzonych z błot poleskich. Wie Pani, jeśli wizję tego kraju ma mi zastąpić nostalgia za szuwarami...

...Nawet nie przypuszczamy, do jakiego stopnia bolszewicka mentalność polityczna zdominowała ten kraj. Hasło niezależnych związków zawodowych stało się religią chwili, wyznaniem wiary milionów ludzi, prawda? Ale ludzie, którzy je rzucili, jak się potem okazało, nie mieli w ogóle żadnego programu. Typowe właśnie dla zachowań politycznych o charakterze bolszewickim. Bo socjaldemokraci zawsze mieli program i hasło było wynikiem jakiegoś programu, a bolszewicy rzucali znakomite hasła, którymi wabiono tylko masy. Ten sam Jacek Kuroń, który rzucił hasło wolnych związków zawodowych, nie miał dla nich żadnego programu, kiedy powstały. Chodzi więc o to, żeby nie było drugi raz takiej samej sytuacji.

IOTA

Alfa: — Karl Mannheim w książce „Człowiek i społeczeństwo w dobie przebudowy” pisze tak: w harmonijnie funkcjonującym społeczeństwie neurotyk jest tylko wypadkiem skrajnym; w warunkach dezorganizacji jest on tym, który ustala wzór zachowania. Co Pani jako psychiatra może o tym powiedzieć?

Iota: — Kiedy mówię „neurotyk”, to myślę kategoriami klinicznymi. Dla mnie jest to rozpoznanie, a nie metafora. Myślę, że człowiekowi do ogólnego rozwoju potrzebne są trudności. I takie bardzo harmonijne społeczeństwa, takie bardzo ustabilizowane, rodzą właśnie nerwice. Sądzę jednak, że nie o tym myślał Mannheim. Chodzi raczej o to, że w przypadkach ogólnej dezorganizacji częściej wypływają i dochodzą do władzy ludzie, którzy mają pewne dewiacje charakterologiczne. A to jest coś innego w pojęciu psychiatrycznym. Chodzi o pewne skrzywienia charakteru, pewne bardzo silne ciągi ambicjonalne itd., natomiast nie o to, co się klinicznie rozumie przez nerwice. Naturalnie, że zbyt duże trudności także powodują nerwice. I po to, żeby rozwój człowieka przebiegał prawidłowo musi być zachowane pewne kwantum trudności. Ale nie może być ich za dużo i nie powinno być za mało.

A: — A czy okres ciągłej dezorganizacji w jakiej żyjemy od 37 lat nie wpływa na tego rodzaju zachwiania psychiczne?

I: — Na zachwiania psychiczne — tak, ale myślę, że bardziej na skrzywienia charakterów. Popełniono na narodzie wielką zbrodnię w tym sensie, że systematycznie postępował proces demoralizacji. Załamywały się pewne systemy wartości, nikt w nic nie wierzył, nie wiadomo gdzie jest prawda. I to jest bar-

dzo niebezpieczne. Druga sprawa to stosunek do pracy. Praca jest bardzo ważnym czynnikiem kształtującym osobowość. Doprowadzenie do ogólnej deprecjacji pracy uważam więc za zbrodnię na narodzie.

A: — Jakie na tym tle są najczęstsze przypadki zachorowań?

I: — To nie są ludzie, którzy trafiają do psychiatry. Ja myślę o zjawisku masowym. O postawach ludzi, o stosunku właśnie do pracy, do siebie wzajemnie itd.

A: — Rozróżnia więc Pani dewiacje neurotyczne od charakterologicznych. Dewiacje charakterologiczne nie zajmują psychiatrów-praktyków, nie są leczone, a przecież jest to często choroba społeczna?

I: — Może nie jest to choroba, ale jest to stan. I jest to rzeczywiście znacznie gorsze niż choroba. Bo choroba ma swój początek, przebieg, jakąś swoją dynamikę. W dewiacji charakterologicznej szkoda polega na tym, że jest to stan ciągły i stanowi zagrożenie dla narodu jako zjawisko masowe.

A: — Jeżeli przez 37 lat ludzie żyją pod ciągłą presją, jakiej poddawane są ich charaktery, to kiedyś taki „stan” przechodzi w chorobę.

I: — No tak, jest to powiedzmy pogranicze choroby, z tym jednak, że taki właśnie stan uważam za groźniejszy od choroby. Bo jeśli jest np. sytuacja dramatyczna, np. wojna, wspólny przeciwnik, to natychmiast tworzy się międzyludzka solidarność, ujawnia się bardzo dużo pozytywnych cech i tylko na obrzeżu tego społeczeństwa pojawiają się jakieś zdeklarowane anomalie, które muszą istnieć w każdym społeczeństwie. Natomiast jeśli społeczeństwo żyje w stanie ciągłej dezorganizacji bardzo długo, to dochodzi do upośledzenia narodu właśnie w sensie charakterologicznym, a nie w sensie nerwic. Nerwice jest mniej, bo nerwice powstają wtedy, kiedy człowiek wrażliwy stara się jakoś ustawić wobec powstałej sytuacji. A skoro reakcją na zakłamanie jest konformizm, wtedy ludzie tępieją. I uważam to za znacznie gorszą sprawę. Psychiatra wiedeński, Wiktor Emanuel Frankl, zorientowany zresztą egzystencjalnie, stworzył pojęcie nerwicy neogennej, to znaczy światopoglądowej, i pojęcie problemów światopoglądowych, które nie są patologią. O nerwicy neogennej mówi się wtedy, kiedy problemy neogenne wywołują objawy patologiczne, jak bezsenność, lęki, całą wielką gamę rozmaitych stanów zaliczanych do nerwicy. A tu, mam wrażenie, dzieje się coś bardzo złego, znacznie gorszego niż wywoływanie nerwicy. Dlatego myślę, że takie sformułowanie u Mann-

heima polega na nieporozumieniu terminologicznym w sensie klinicznym. On używa języka potocznego, może lepiej — społecznego, a ja odpowiadam na to pytanie jako psychiatra, używam więc terminologii psychiatrycznej.

A: — Z różnych stron dochodziły do nas informacje o nierównoważonych ludziach w kierownictwie Solidarności. Czyby dewiacje psychiczne omijały ludzi z kierownictwa rządu i władz politycznych?

I: — Właśnie, dewiacje psychiczne są dobrym określeniem. W takim masowym ruchu społecznym muszą oczywiście znaleźć się w kierownictwie ludzie — ja mówię w tej chwili o Solidarności — także nierównoważeni czy z rysami psychopatycznymi. Co nie przesądza przecież o całości. Natomiast jeśli chodzi o rząd, to nie sądzę, żeby było w nim więcej neurotyków, raczej więcej ludzi działających zimno. Czy ten chłód można nazwać dewiacją psychiczną? Myślę, że tak. Wpływają na to pewne cechy charakterologiczne, które decydują o przyjętej postawie, o postępowaniu i konsekwencjach w stosunku do siebie, czy w stosunku do narodu. Przypuszczam, że wśród ludzi ze sfer rządowych mniej jest nerwic. Tam potrzebne było zawsze pewnego rodzaju zawężenie, które w połączeniu z narastającym ciągiem ambicjonalnym powoduje pozbycie się skrupułów. Czy to jest patologia? To jest na pewno zjawisko negatywne, ale niekoniecznie patologiczne.

A: — Obserwując w telewizji Rulewskiego, Wałęsę, Bukaja czy Gwiazdę, a z drugiej strony Rakowskiego czy Obodowskiego, trudno byłoby przekonać kogokolwiek, że dewiacje psychiczne usadowiły się tylko po jednej stronie. A co Pani myśli o tym?

I: — Myślę, że sytuacje były bardzo dramatyczne, ostre, przebiegały szybko i oczywiście mogły być pewne reakcje nerwicowe z jednej i z drugiej strony. Niemniej, powiedzmy szczerze, i Wałęsa jest całkowicie zdrow psychicznie i Rakowski. Natomiast nie jest to sprawa zdrowia i choroby, tylko jest to sprawa różnych systemów wartości. I tu przebiega granica.

A: — Dlaczego właśnie ludzie z dewiacjami psychicznymi dochodzą do tak eksponowanych stanowisk, podczas gdy są obok nich inni, równie dobrze wykształceni, godni zaufania, roztropni i spokojni, ale właśnie oni nie zyskują sobie czy to zaufania władzy, czy też zaufania społeczności, którą mogliby reprezentować?

I: — Dlatego, że jest to z jednej strony sprawa systemu wartości, a z drugiej takich cech osobowości, które pozwalają

na zdominowanie nad tłumem. Np. warunki zewnętrzne, głos, siła przekonywania, umiejętność panowania nad grupą ludzi itp. Myślę, że to są te czynniki główne, natomiast nie jest to związane ze zdrowiem czy chorobą. Ja bym nie wprowadzała takiej klasyfikacji. Oczywiście, że do jednej i do drugiej strony przedostają się także ludzie z pewnymi odchyleniami od normy, czy może w ogóle są to odchylenia od normy, jednak nie w sensie zdrowia i choroby nerwowej. Tak dobrze nie jest. Weźmy np. Rakowskiego, jak on mi się jawi psychiatrycznie. Sądzę, że jest to człowiek psychicznie bardzo zdrowy. Ma bardzo silną dźwignię ambicjonalną i ona jest głównym motorem jego działania. Ambicja go po prostu zaślepia i jest dla niego jedynym miernikiem systemu wartości, którego pełnym arsenałem środków potrafi manipulować w stosunku do innych i w stosunku do siebie. To nawet nie jest związane z inteligencją. Poziom intelektualny nie odgrywa żadnej roli. Może być łąj dak albo prymityw i będzie jeszcze lepiej manipulował ludźmi, niż ten, którego system wartości bardzo nieraz trzyma w ryzach. Bo mogą być przecież różne motywacje działania.

A: — Wobec tego jak się bronić przed takimi ludźmi, którzy obciążeni dewiacjami psychicznymi, albo ze skłonnością do nich, czy też — jak Pani określa: będący na pograniczu takich stanów, chcą przewodzić lub nawet rządzić?

I: — Bezpośrednio po wojnie, na Kongresie Pokoju, jeden ze znakomitych psychiatrów wystąpił z propozycją, by przy ONZ-cie stworzyć taką radę psychiatryczną, która by nie dopuszczała do władzy ludzi o cechach psychopatycznych. Oczywiście była to propozycja utopijna, jakkolwiek w jakimś sensie na pewno słuszna. Wszystko bowiem zależy od motywacji. Ten, dla kogo jedyną motywacją postępowania jest osiągnięcie władzy i tylko władzy, kto potrafi pozbyć się skrupułów, nie jest osobnikiem patologicznym, ale ma rozwinięte cechy pejoratywne. Odwieczna to więc granica dobra i zła, a nie granica zdrowia i choroby. Wydaje mi się, że bronić się można tylko w ten sposób, by starać się o to, ażeby w społeczeństwie nie kształtowały się te właśnie pejoratywne cechy.

A: — Czy w szpitalnictwie psychiatrycznym lata 1980-1982 zaważa w jakiś szczególnie sposób na średniej rocznej zachorowań? Tym razem już pytam o choroby?

I: — Myślę, że nie. Byłam zaskoczona tym, że pomimo dramatycznych sytuacji i dramatycznego ich przebiegu było tak mało reakcji psychotycznych. Natomiast było co innego. Cały naród był w stanie subdepresji, czy depresji. Nie w sensie

patologii, tylko w sensie odpowiedzi na sytuację adekwatną. Sama podlegałam takim reakcjom, widziałam to wśród swoich bliskich, obserwowałam u znajomych dalszych. Wszyscy ci ludzie byli poza murami szpitala, a nie w szpitalu. Do szpitala trafiło bardzo mało osób, bo bardzo mało osób zareagowało na to jakoś ostro.

A: — Czy koniecznie trzeba być w szpitalu, żeby być chorym?

I: — Nie, tylko ja myślę znowu, że reakcja była adekwatna. Zrobię tu takie porównanie. Byłoby sytuacją nieadekwatną, gdyby ktoś nie zareagował na śmierć osoby bliskiej. Tutaj stało się coś podobnego. Reakcja żałoby, czy reakcja depresji — była reakcją adekwatną do sytuacji. Żałoba czy stan depresji po stracie kogoś bliskiego, jeśli się mieści w pewnych granicach, nie jest chorobą, jest po prostu czymś prawidłowym. Nastąpiła pewna katastrofa i naród zareagował tak, jak reaguje pojedynczy człowiek na stratę kogoś bliskiego, czy na jakąś inną osobistą stratę. Gdybyśmy natomiast uważali, że po tym wszystkim, co nastąpiło, nadal wszystko jest w porządku, to byłoby to w moim przekonaniu większą patologią. Pierwszy okres był okresem reakcji głęboko depresyjnych. Objawiało się to w tym, że ludzie nie byli w stanie pracować, wykonywać swoich normalnych obowiązków, że kręcili się z kąta w kąt. Właściwie nie wiedzieli, co począć. Opanowała ich albo apatia, albo uczucie niepokoju. Były też reakcje osobliwe. Pytałam wielu osób, co robiły i jak się zachowały w momencie ogłoszenia stanu wojennego. To była niedziela. Jedna z pań, pracująca w wymiarze sprawiedliwości, zwierzyła mi się, że zaczęła myć okna i sprzątać mieszkanie. W ten sposób rozładowywała swój niepokój. U ludzi z mojej profesji sytuacja była łatwiejsza, bo pojawiło się poczucie odpowiedzialności za innych. Wszyscy znani mi lekarze biegli do swoich chorych. W sumie reakcje były różne. Jedni nie spali, inni znów mieli katastroficzne wizje. Ale w moim przekonaniu była norma w tej sytuacji. Gdyby było inaczej, oznaczałoby to brak wrażliwości i wtedy już nie ma narodu.

A: — A jaki był Pani stosunek do Solidarności?

I: — Mój stosunek do Solidarności był taki, jak mój stosunek do narodu. Dla mnie było to jednoznaczne z obudzeniem się narodu.

A: — Jeżeli już tak, to jaką wagę przywiązywała Pani do tego właśnie ruchu związkowego?

I: — Miałam nadzieję, że może uda się stworzyć państwo demokratyczne, w którym dałoby się naprawić skrzywienia charakterologiczne tego narodu. Wszystko wskazywało na to, że się jakoś wymanewruje w tej bardzo trudnej sytuacji naszego położenia geograficznego i naszych układów międzynarodowych. I dalej sądzę, że to się mogło udać. Ale było brak dobrej woli ze strony rządu i brak rozsądku ze strony Solidarności. To były przyczyny, które doprowadziły do tego, co jest.

A: — Obserwuje Pani społeczeństwo, jego apatię. Co uważa Pani dla tego społeczeństwa, dla tego narodu za najważniejsze zarówno na dziś, jak i na najbliższy okres?

I: — Najważniejsze jest właśnie uchronienie systemu wartości. Bardzo trudno jest przeciwdziałać rozwijaniu się cech, o których mówiłam przedtem, a które doprowadzają do jakiejś psychopatyzacji tego narodu. Trudno przeciwdziałać choćby w sprawie stosunku do pracy, sprawie niezmiernie ważnej. A to są sprawy nieodwracalne. Rosną całe pokolenia, u których mamy do czynienia nie tylko z apatią. To jest coś gorszego, coś, na co w tej chwili nie znajduję określenia w języku literackim. Narzuca mi się tylko określenie potoczne: „tumiwizm”.

A: — A czy Pani nie uważa, że ludzie przestali chcieć?

I: — O, przestali chcieć, oczywiście. Przestali chcieć i zadowolili się minimum.

A: — Ale ja myślę, że przestali chcieć pracować.

I: — Chcieć pracować, to w ogóle czegokolwiek chcieć.

A: — Czegokolwiek to może nie — przede wszystkim nie chęć pracować.

I: — Nie tylko nie chęć pracować, ale tak łatwo sobie to wybacząc mówiąc, że tego robić nie warto, tamtego nie warto, nic nie warto. I to nie jest depresja, ale pesymistyczny stosunek do przyszłości, który jest ogromnie niebezpieczny, bo taki człowiek nie potrafi wykrzesać z siebie niczego twórczego. Nie potrafi się ani przeciwstawić, ani zaoponować, ani niczego stworzyć.

A: — Ten „tumiwizm” obserwujemy od dość dawna, a jednak Sierpień przeżyli ludzie na ogromnej fali emocjonalnej. Więc to tak może zupełnie nie jest. A co Pani myśli o bojkocie radia i telewizji, który prowadzą środowiska twórcze?

I: — Uważam, że bojkot jest potrzebny, bo jest potrzebna jakaś manifestacja w rozsądnych granicach. To odpowiada poczuciu narodowemu, jest powiedzeniem „nie”. My jesteśmy narodem i my chcielibyśmy inaczej.

A: — Ale czy taki bojkot, zdaniem Pani, może trwać w nieskończoność?

I: — On nie będzie trwał w nieskończoność, bo nie może trwać. Jeżeli od czasu do czasu obudzi się takie poczucie tożsamości narodowej, to chyba jest ono potrzebne, bo inaczej naród zginie. Myślę, że w tej chwili przeżywamy jedną z najtrudniejszych sytuacji w życiu narodu.

A: — Uważa Pani, że siła negatywna, siła władzy, zdolna jest zniszczyć narodową tożsamość, choć nie dokonało tego 120 lat niebytu politycznego?

I: — Uważam, że ostre, klarowne sytuacje mobilizują społeczeństwo. A jeśli władza stwarza sytuacje drżące jak kisiel, to demobilizuje obywateli celowo i powoduje pesymistyczny stosunek do rzeczywistości. Ludziom zaczyna być wszystko jedno.

A: — Należałoby się zatem modlić o terror, by ustawicznie mobilizował naród?

I: — Może. Były takie koncepcje, że gdyby wkroczyły wojska sowieckie, to nie byłoby gorzej. Wtedy sytuacja byłaby klarowna.

A: — Mamy więc sytuację nieklarowną, bardzo trudną, ale trudną chyba także dla strony rządzącej. Jak Pani sądzi?

I: — Nie mam osobistego kontaktu z tymi ludźmi, ale myślę, że i dla nich to jest ogromnie trudne. Muszą sobie samym wyjaśnić własną postawę, żeby być w jakiejś takiej zgodzie z sobą, skoro zajmują te właśnie stanowiska, choć nie muszą. Przecież nikt nie musi być premierem. Może powiedzieć: dziękuję, to nie moja rola.

A: — Jeśli twierdzi Pani, że Rakowski ma wielką siłę ambicjonalną, która go do tego pcha, a nie uważa go Pani za choroego, no to jak oczekiwać rezygnacji z urzędu?

I: — Tak, ale po to, żeby zaspokoić tę swoją ambicję musi się pozbyć pewnych skrupułów. Musi sobie wytłumaczyć, że jego działanie jest moralne, więc musi siebie jakoś okłamać.

A: — Otóż w wywiadzie udzielonym przez Rakowskiego włoskiej dziennikarce Orianie Fallaci nasz wicepremier dokonał rachunku sumienia i stwierdził, że ponad wszelką wątpliwość wie, iż postępuje słusznie, i jedynie słusznie. A więc?

I: — No, taką ewentualność też mogę wziąć pod uwagę. Nie chciałabym sądzić Rakowskiego, bo nie znam jego motywacji. Uważam, że jest to człowiek inteligentny. Nie wiem, jak dalece siebie okłamuje, jak dalece jest zdolny do pozbycia się skrupułów. I czy to jest takie jego własne przekonanie, czy okłamanie siebie samego. Bo mnie się wydaje, iż jest to warunek

niezbędny do tego, żeby wykonywać właśnie tę robotę. Człowiek musi uporządkować swój własny światopogląd. Jeśli więc przekonał samego siebie, że to co myśli jest prawdą, wtedy wszystko jest w porządku, wtedy już niczego więcej nie potrzebuje, wtedy już działa myśląc, że ratuje naród przed klęską. Wówczas jego problem neogeny został zlikwidowany, nie ma dewiacji. Ale gdyby uważał, że jest świnią i miał poczucie winy, to wtedy miałyby nerwicę. I byłby chory.

A: — Wobec tego, co ma zrobić naród z przywódcami, którzy nie mają nerwic?

I: — No, na to ja nie mam recepty. Myślę, że naród jest w bardzo trudnej sytuacji, bo bardzo mało może. Naród może powiedzieć, że się nie bardzo zgadza, może różnymi sposobami utrzymać swoją tożsamość.

A: — Proszę podać, dla przykładu, bodaj dwa sposoby.

I: — Przede wszystkim uświadomienie społeczeństwu celowości i konieczności oporu. Mamy ogromne doświadczenia z okupacji i wielu zaborów, i wypracowane metody. Chociażby metoda poznańska, gdzie ludzie starali się jednak robić swoje, nie dopuścić do tego, żeby się wszystko rozpadło, bo wtedy rzeczywiście naród przestanie istnieć. To jest jakaś koncepcja.

A: — Mówiąc „metoda poznańska”, ma Pani na myśli pracę organiczną?

I: — Organiczną, być może. Tylko nie wiem czy naród, w tym stanie apatii, w tym stanie pesymizmu jeszcze na to stać. Bo na to żeby tę metodę stosować trzeba mieć jednak nadzieję.

A: — A Czy Pani tę nadzieję ma?

I: — Trudno mi jest na to pytanie odpowiedzieć. Czasem ją mam. Ale z trudem mi to przychodzi.

A: — Na jak długo oblicza Pani stan wojenny?

I: — Na bardzo długo.

A: — Ja myślę, że nie potrwa on dłużej niż dwa lata. I dlatego mam nadzieję.

I: — Dla mnie dwa lata to też długo. Chociaż ten stan wojenny jest trochę śmieszny, bo w tej chwili — uczciwie mówiąc — mało odczuwalny. W życiu codziennym nawet te widowiskowe elementy już właściwie zniknęły.

A: — W Warszawie dalej ZOMO zajmuje hotele i jest to bardzo widoczne. A tutaj?

I: — U nas już nie. Tego się tutaj nie czuje, nie ma patroli na rogatkach, nie widać ich na ulicach. Ale to w końcu jest czysto wizualna sprawa. To są naprawdę drobnostki. Natomiast pozostały sprawy bardzo dotkliwe, sprawy wymiaru sprawiedli-

wości. I sądzę, że tylko dlatego stan wojenny musi być utrzymany, bo reszta już właściwie przestała istnieć. W czymżesz się on jeszcze objawia? W niczym.

A:— No, jeszcze w kartkach, w utrudnieniach wyjazdowych...

I: — Bez stanu wojennego też mogły być kartki. Nie mieliśmy stanu wojennego, a wyjazdy zawsze były wielką niewiadomą. Ale tutaj najważniejszą sprawą jest sprawa dekretu.

A — Czy Pani koledzy, Pani środowisko są w równie apatycznym usposobieniu?

I: — Różnie to bywa. To zależy od pokolenia, nie od środowiska. Ludzie starsi często akceptują stan wojenny — taka jest moja obserwacja. Ludzie bardzo mocno gniewni to ludzie młodzi, tak gdzieś od dwudziestu do czterdziestu lat. Młodzi, ale już dojrzały. Są gniewni, ale i pełni nadziei. Zdolni do oporu, ale i tacy, którzy myślą, jakby tu wyjechać z tego kraju. Jedni chcą tutaj działać, bo przyjdzie następny Sierpień i coś z tego wreszcie będzie, inni, nawet wyjeżdżając, myślą, że przysłużą się jakoś krajowi i coś dla niego zrobią. Między 45-tym rokiem życia a 60-tym bywa różnie. Ludzie biologicznie młodszy, nie ma to nic wspólnego często z kalendarzem, są bardziej gniewni, a ludzie biologicznie starsi są bardzo ugodowi. Sama nie wiem z czego wynika u ludzi starych taka akceptacja. Z przekonania...

A: — Może z chęci spokoju, ze wszelką cenę spokoju?...

I: — Że wreszcie jest porządek, a jak jest porządek to i lepsza praca.

A: — Ale czy jest ten porządek?

I: — Nie, nie ma porządku. Jest porządek pozorny, co staje się niebezpieczne, bo znów mówimy, że „wszystko jest w porządku”. To są właśnie powtarzające się od lat zakłamania, które paczą charakter narodu i to jest moim zdaniem najbardziej niebezpieczne.

A: — Prosiłam Panią o podanie bodaj dwóch przykładów, jak zachować tożsamość narodu.

I: — Myślę, że trzeba przetrwać ten okres godnie, bo historia operuje wielkimi okresami. To nie jest na miarę życia jednego człowieka. Tak samo życie narodu nie jest na miarę życia pojedynczego człowieka. Mnie ogromnie zależy na tym, żeby naród okazał się godny.

A: — Ale żeby naród mógł być godny, musi być godna każda jednostka. I do tej jednostki trzeba umieć przemówić. Operujemy najczęściej słowami „naród”, „społeczeństwo”, ale

w tym miejscu trzeba raczej mówić o jednym człowieku i dla niego układać program i sposoby działania.

I: — Widzę w tym zadaniu ogromną rolę dla Kościoła. Jest on w lepszej sytuacji, bo oddziałuje na system wartości.

A: — Liczy Pani zatem na rolę, jaką może i powinien odegrać Kościół?

I: — Tak, bo rola Kościoła jest ogromna, tym bardziej, że naród się bardzo do Kościoła zbliżył.

A: — Czy zaskoczyła Panią wiadomość, że Papież nie przyjedzie na obchody 600-lecia Częstochowy?

I: — Nie.

A: — Czy Pani chciała, żeby przyjechał?

I: — Tak, oczywiście chciałam. To znaczy chciałam i nie chciałam. Bałam się.

A: — Dlaczego?

I: — Bałam się o samego Papieża i bałam się, że ta wizyta może być wykorzystana przeciwko społeczeństwu. Cała masa głoszonych półprawd łatwo może naród ogłupić, bo stosuje się tak perfidne metody, że przed tym najtrudniej ludzi uchronić. Naród to nie są wyłącznie jednostki samodzielnie myślące, potrafiące odróżnić kogoś w masie... w tłumie... czy coś na telewizyjnym ekranie. Dlatego uważam za największą klęskę, że ludzie już się siebie boją.

A: — Twierdzi Pani, że zniknęła ufność z okresu Solidarności?

I: — Tak, nie było takiej nieufności w okresie okupacji, a to są właśnie sytuacje dla narodu niebezpieczne.

A: — Co robić, jak temu przeciwdziałać?

I: — Można tu korzystać z doświadczeń przeszłości. Dlatego mówiłam o Kościele, bo przecież Kościół obudził tę świadomość narodową. Odczułam to osobiście bardzo głęboko, kiedy przyjechał Papież. Wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że to nie są tylko pojedynczy ludzie, że jest naród. Ulice zakwitły dywanami, obrazami, ludzie w wielkiej potrzebie wspólnoty stworzyli atmosferę, która rzeczywiście była niepowtarzalna. Wszyscy byli zwrócenii do siebie. Okazało się, ile ciepła i dobroci jest w tym narodzie.

A: — Wspomniała Pani na początku naszej rozmowy o deprecjacji pracy. Czy praca i godność osoby ludzkiej — jak mówi Papież — nie są ze sobą ściśle związane?

I: — Jest to sprawa bardzo delikatna, bo bardzo łatwo się mówi „my nie będziemy pracować dla tego ustroju”. Ale my przecież nie pracujemy dla tego ustroju, pracujemy dla tego

narodu. W czasie II wojny światowej byli ludzie, którzy strzeżli maszyn, różnych urządzeń, żeby Niemcy tego nie zniszczyli albo nie wywieźli, bo to ma zostać dla Polski. Podobna sytuacja powinna być w tej chwili. Naród, aby istniał, musi wypracować pewne wartości i to nie tylko duchowe, lecz także materialne. A sprawa pracy to jest sprawa duchowa i materialna. Trzeba więc podnieść wartość pracy w oczach jednostki, bo ogromnie niebezpieczne jest to, że dziś mówi się: „ja dla Jaruzelskiego czy Wrony pracować nie będę” i uważa się to wręcz za patriotyczny obowiązek. Coś podobnego jak z kradzieżą w czasie okupacji, do której ludzie tak przywykli, że dzisiaj jest to już nie grzech ciężki, ale powszedni. Uświadomienie więc wartości i wagi dobrej roboty, rzetelnej pracy umysłowej czy fizycznej wszystkim Polakom, to druga podstawowa sprawa, która umożliwi temu narodowi przetrwanie.

LAMBDA

Alfa: — Jaki Był Pani stosunek do Solidarności?

Lambda: — Do Solidarności nie należałam; świadomie, bo wierzyłam, że kluczem do tego, aby Solidarność mogła istnieć, jest partia. I że jeżeli się nie przeprowadzi jakichś zmian w partii, to partia Solidarność zgniecie, co się w końcu stało. Miałam nadzieję, że istnieje możliwość przemodelowania kraju, systemu w jakim żyjemy, a nawet — powiedziałabym — jakiegoś przemodelowania ustroju. Bardzo długo wierzyłam, że jest to możliwe, chociaż jednocześnie miałam świadomość, że z punktu widzenia polityczno-socjologicznego stało się coś tragicznego. Żyjemy w systemie jednopartyjnym. Od lat trzydziestu kilku narastała niechęć, dezaprobata, jeżeli nie wręcz nienawiść do partii. Siłą rzeczy wszystko, co było tej partii przeciwne, wstąpiło do Solidarności. I w sposób dla mnie zupełnie naturalny, nie rozumiem dlaczego niepojęty dla polityków, w Solidarności musiały istnieć bardzo rozbudzone elementy polityczne i równocześnie Solidarność musiała być antypartyjna. Ale wierzyłam, że tarcia między partią a Solidarnością, mniej lub bardziej burzliwe, potrwałają dwa, trzy, może pięć lat. Gdyby nasza władza umiała ten okres przetrzymać, to sądzę, że zaowocowałyby on dojrzałością polityczną w Solidarności i w partii. Drogą wzajemnych kompromisów potrafilibyśmy dojść do takiego modelu politycznego, w którym można by żyć. Po prostu można by żyć. Cała moja nadzieja związana z Solidarnością tkwiła właśnie w tym. Rozczarowanie było ogromne, bo mam świadomość, że to było do ocalenia. Były tego pierwsze symptomy. Ale jeżeli nawet stało się tak, jak się stało — bo w końcu nie odrobimy tego, co się stało, nie odrobimy stanu wojennego — to wydaje mi się, że zaistnienie Solidarności przyniosło war-

tości ogromne, poczyniło wielkie przemiany w narodzie, które dalej postępują.

A: — Dlaczego nie doszło do porozumienia między liberalnym skrzydłem partii a Solidarnością?

L: — Otóż stało się wielkie nieszczęście. Solidarność nie zdobyła się na to, na co powinna się była zdobyć: dla ocalenia swego istnienia, dla ocalenia wartości, które przyniosła, powinna była podeprzeć ruch liberalny w partii wiosną 1981 roku. Ale Solidarność jak gdyby nie rozróżniała w partii ludzi, ich osobowości, ich woli. Nie rozróżniała nawet wśród polityków. Możemy to zobrazować chociażby na przykładzie Rakowskiego. Wydawało się, że do rozmów z Solidarnością nie ma właściwszego człowieka. I nie wykluczam, że tak rzeczywiście było. Ale oni go rozwścieczyli. Nastąpił taki moment, kiedy nie uszanowali czy to jego próżności, czy ambicji, czy poczucia godności własnej. Wykazali za mało zmysłu dyplomatycznego i taktycznego.

A: — Ale czy od nich można było tego wymagać?

L: — Nie, ale to ja wiem i Pani wie, natomiast partia na tak daleko posuniętą tolerancję nie umiała się zdobyć, ani jako całość, ani jako konkretne kierownictwo. Tolerancja nie jest wpisana w system jednopartyjny, więc skąd partia miała się zdobyć na taki gest. I to był kolosalny błąd Solidarności, skutkiem którego na zjeździe partii grupa liberalna i grupa dogmatyczna, obie, poczuły się zagrożone. Grupa liberalna nie czuła się w ogóle poparta w tym momencie przez akcje Solidarności. Gdyby zwolennicy daleko idących reform w partii w sposób bardzo wyraźny i zdecydowany poczuli, że mają za sobą Solidarność, ten zjazd byłby inny. I wtedy nie wykluczam, że na zjeździe Solidarności Solidarność poczułaby, że ma za sobą liberalną, reformatorską część partii. I zjazd Solidarności byłby inny. Nastąpiłoby coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego. To sprzężenie niestety nie nastąpiło. Popełniono kolosalny błąd, rzeczywiście nie do odrobienia i bardzo tragiczny w skutkach. Przywódcy Solidarności nie umieli rozróżniać, kto jest kto w partii, ale znakomicie rozróżniali, kto jest kto w Solidarności — kto ma przechylenie endeckie, kto chadeckie, kto socjaldemokratyczne. Natomiast nie umieli czy nie chcieli odróżnić, widzieć różnic poglądów, różnic postaw wśród członków partii. W efekcie liberalowie w partii nie dość, że nie doczekali się poparcia ze strony Solidarności, ale poczuli się postawieni pod ścianą, tak samo jak dogmatycy. Zaczęli wykonywać odruchy samoobronne. Mam na to dowody. Znałem człowieka — nie

wymieniam nazwiska, bo został aresztowany i dostał czteroletni wyrok — który mówił mi: „Jestem antykomunistą. Jak to jest możliwe, że ty jesteś członkiem partii i ja mogę z tobą dyskutować. Powiedz, co ty tam robisz w tej partii. Powinnaś przejść do nas”. Odwrotnie — powiedziałam — jestem bardziej potrzebna w partii, bo usiłuję walczyć o to, ażeby tacy ludzie jak ty, którzy mówią o sobie, że są antykomunistami, nie byli narażeni na aresztowanie. Przecież chodzi o to właśnie, żeby w tym kraju mogli istnieć antykomuniści i ludzie, którzy są członkami partii. Żeby ani jednym, ani drugim nic nie zagrażało. Jednym, mówiąc już całkiem demagogicznie — wieszanie, a drugim — areszty, i żeby mogli współżyć. A będąc skazani na ustrój socjalistyczny, żeby starali się dostosować go do potrzeb człowieka. Na Boga!, w ramach tych możliwości, które są, bo one są daleko większe niż te, które nam tutaj ciągle dają. Ten inteligentny, trzydziestokilkuletni robotnik nie mógł tego pojąć. Nie rozumiał, jak oboje z mężem możemy być w partii, skoro jego zdaniem nasze poglądy są sprzeczne z ideologią partii. Dlatego mówię o tragedii pewnych ludzi w tej partii i o tym, że Solidarność popełniła błąd występując przeciwko partii jako całości, zamiast rozróżnić kogo w niej należy poprzeć, a kogo zwalczać.

A: — Przypisuje Pani winę tylko Solidarności, a winy władzy nie miały tutaj żadnego znaczenia?

L: — Bo winy władzy są szeroko znane...

A: — Ale czy można zapominać, że w Solidarności znaleźli się w ogromnej większości ludzie, którzy mieli przez trzydzieści kilka lat usta zamknięte z konieczności, byli najczęściej nieprzygotowani do sytuacji, w jakiej się znaleźli, w wielu sprawach niedouczeni? Myślę o zwykłych działaczach.

L: — Gorzej, nie mieli żadnych wzorów kultury politycznej, bo jedynym wzorem — negatywnym — była partia. Więc Staniszkis słusznie napisała o ogromnych podobieństwach.

A: — No tak, więc walczyli z partią takimi samymi metodami, jakimi partia walczyła z nimi, bo mieli je zakodowane od lat.

L: — Wszystko to rozumiem, ale jeżeli szukamy obiektywnych przyczyn klęski Solidarności, to one są tu.

A: — A może to nie było realne, bo trudno wymagać, moim przynajmniej zdaniem, więcej od mas solidarnościowych niż od mas partyjnych.

L: — Może to nie mogło nastąpić, bo do tego ruchu, który stał się w całości jak gdyby ruchem opozycyjnym wobec partii,

włało się wszystko, co tej partii nienawidziło. W związku z tym nie było mowy o taktyce, polityce, dyplomacji, kulturze politycznej, o niczym.

A — Zastanawiam się, czy pomogłyby tutaj nawet najbardziej wyszukane modele kultury politycznej. Stronnictwa sojusznice, na których istnienie pozwolił przecież Stalin, zamiast być partiami współtworzącymi parlament są przedłużonym ramieniem partii. Czy sądzi Pani, że działacze ZSL też można posądzić o nieumiejętności taktyczne, czy brak kultury politycznej? Czy Polska musiała być monopartyjna, czy też się taką stała?

L: — W ustroju, który możemy ogólnie nazwać socjalistycznym na wzór marksistowsko-leninowski, nie ma mowy o wielopartyjności, co najwyżej o fikcyjnej wielopartyjności, a ta nie ma znaczenia.

A: — A czy musiała być fikcyjna? Gdyby liberałowie w partii myśleli szerzej, a od nich nawet należało tego wymagać?

L: — Bardzo niewielu ludzi myśli tam szerzej.

A: — No to jak wymagać tego od członków Solidarności, bardzo różnych, bardzo źle poinformowanych, jak Pani sama mówi, nie mających żadnych wzorów poza negatywnymi? Do tego wiedzących, że dobór na stanowiska kierownicze w partii odbywał się tylko na zasadzie selekcji negatywnej — były przeznaczone dla posłusznych. Mieli więc poczuć nagły przypływ miłości do partyjnych? Żąda Pani od nich rozumu politycznego. Rozum polityczny powinna była mieć wtedy partia i wiedzieć, że taka masa — to naród.

L: — Rozum polityczny partii zmierzał tylko i wyłącznie do obrony własnego monopolu władzy. Dlatego uważam, że celem podstawowym było rozbicie tego monopolu i przekształcenie w system pluralistyczny z zachowaniem — powiedzmy — hegemonii partii ze względu na geopolitykę. Rozum w sensie szeroko pojętym nie istniał w partii, bo partia to jest system przekaznikowy, realizujący określoną politykę w ramach określonych bardzo granic. Przekroczenie tych granic związane jest ze strachem — „co powie na to Moskwa”, związane jest z lękiem o własny stołek — co powiedzą towarzysze współpartyjni, może wyrzucą, powiedzą, że jestem zbyt liberalny, itd. W związku z tym jedyną szansą, szansą czysto abstrakcyjną, było założenie, że dziesięciomilionowa masa zdobędzie się, dla celu, o jaki walczy, dla celu dalekosiężnego, na wytrwałość i cierpliwość. Że obliczy, iż to mają być zmiany ewolucyjne a nie rewolucyjne, bo takich nie wytrzyma nerwowy Wielki Brat, nie wytrzymają

Czesi, NRD-owcy. Innymi słowy, mówimy o sytuacji abstrakcyjnej, która nie mogła zaistnieć.

A: — Czyli nikomu nie można przypisywać winy?

L: — Można teoretycznie rozważać, że taka możliwość była i jeżeli czuję żal do Solidarności to dlatego, że miała szansę na to, żeby być rozumną siłą.

A: — A dlaczego nie było nią liberalne skrzydło partii?

L: — Było wątle, a struktury poziome były z góry skazane na niepowodzenie, jako rewizjonizm czystej wody. U nas dokonuje się zmian tnąc po skrzydłach, to znaczy leci jeden liberał typu Fiszbacha i jeden „twardy”. Ale kto jeszcze z liberałów został? Innymi słowy tnę się po skrzydłach, uszczuplając bardzo wątle liczebnie grono liberałów, bo można ich policzyć na palcach. Dogmatyków jest tak ogromna masa, że to nigdy nie jest cięcie po skrzydłach. Liberałowie w partii byli siłą rozpaczliwie słabą. Przebili się tylko w jednej gazecie partyjnej, *Gazecie Krakowskiej*, w związku z tym musiało się to dla gazety skończyć tragicznie. Dla tych, co ją popierali też tragicznie. Nic nie mogli zrobić bez poparcia Solidarności. Na żadnym plenum partyjnym KC, nawet na nadzwyczajnym Zjeździe partii nie mogli powołać się na to, że mają za sobą naród. Nie mieli siły, kim więc byli? Byli Don Kichotami.

A: — *Gazeta Krakowska* była pismem, którego poszukiwano jak *Tygodnika Powszechnego*.

L: — Powiem Pani, jaka była ocena *Gazety Krakowskiej* w kręgach kierowniczych Solidarności regionu Małopolska. Rozmawiałam z jednym z działaczy, który powiedział tak: „ja tej gazety nie lubię, bo ona próbuje uwiarygodnić partię. Nam to jest niepotrzebne. Nam ta gazeta bardziej przeszkadza niż *Trybuna Robotnicza*”. W ogromnej części kierownictwa Solidarności nikt nie wiązał dalszego istnienia Solidarności z palącą wprost potrzebą poparcia szamoczących się rozpaczliwie liberałów partyjnych, których już w partii prawie nie ma. Rzucili legitymacjami albo zostali wydaleny. Zostały szczątki, smutne przyczółki.

A: — Wobec tego jakie rokuje Pani nadzieje ewentualnemu porozumieniu?

L: — Kogo z kim — bo tu się trzeba spytać jak Siwak. Pamiętaj Pani głos Siwaka: porozumienie kogo z nim? Teraz o to trzeba pytać, nie wtedy, kiedy pytał o to Siwak. Wtedy było się z kim porozumiewać. Kto z kim teraz?

A: — W tej chwili słowo „porozumienie” zastąpiło okre-

ślenie „ugoda społeczna”. Coś przecież musi się stać, bo tak nie można dalej żyć, czyż nie?

L: — Nie można dalej tak żyć, zgadzam się. Odczucia takie nasiliły się u mnie w ostatnich trzech dniach. Umarł Gomułka, zrobiono z tego wielkie halo w telewizji. I słusznie, był to przywódca. Miał swoje dobre i złe strony. Więcej złych, ale był to przywódca. W tym samym czasie ginęli ludzie. Gdyby propaganda zdobyła się na ogłoszenie minuty ciszy dla uczczenia zabitych, dając w ten sposób wyraz zrozumienia tragedii, jaka miała miejsce. Tymczasem w suchym PAP-owskim stylu leciała informacja: tu zginęło tyłu, tam strzały i padło tyłu, w prokurator-skim tonie, jak na przewodzie sądowym.

A: — Chyba wszystko ze strachu?

L: — Tak, ze strachu. Innymi słowy, drobne takie kroki powinny być czynione, żeby możliwe było to, co Pani mówi — porozumienie. W co ja już nie wierzę, odkąd ta ekipa ma na rękach krew, bo ma.

A: — Ale każda miała...

L: — Każda miała. Ale mówimy o tej. Ma na rękach krew i nie czyni nic, żeby pokazać, że to jest dla niej prawdziwym dramatem. Niechby to była tylko propagandowa poza, ale niechby była. Nawet na to nie umieli się zdobyć. Z drugiej strony oświadczają, że nie będą się porozumiewać z internowanymi i aresztowanymi i robią proces KOR-u. Z kim się więc mają porozumiewać? Dla ogromnej części tego narodu, bez rozróżniania czy to jest inteligencja czy robotnicy, nie jest możliwe porozumienie w sytuacji ciągłych aresztowań i internowań. No więc kto z kim, chyba że ta władza zmieni raptownie stanowisko i stworzy okoliczności bardziej nadające się do rozmów.

A: — Co Pani przez to rozumie?

L: — Trzeba zastanowić się, czy istnieje możliwość czegoś takiego, jak odwieszenie Solidarności. Wydaje mi się, że Wielki Brat na to nie pozwoli. Czesi, NRD-owcy również nie. Ale załóżmy, że odwieszą za aprobatą sojuszników, na zasadzie, że to będzie zupełnie coś innego. Internowani traktowani jak ekstrema pozostaną w ośrodkach odosobnienia, aresztowani będą dalej w więzieniach, a Solidarność będzie, ale ta „dobra”, która nigdy w życiu nie tupnie nogą na władzę. Czy Pani by do takiej Solidarności chciała należeć? Bo ja nie.

A: — Odwiesić Solidarności bez Wałęsy nie można, bo to by już nie była dla ludzi Solidarność. Nie można też nie zwolnić Mazowieckiego, redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*. Oni dwaj wypuszczeni będą domagać się zwolnienia innych.

Inaczej być nie może. To, że robią proces KOR-u, no cóż, robią też proces KPN-u i na szczęście procedura trwa już dość długo.

L: — Myślę, że robią to pod określonymi naciskami zewnętrzными. Są to gesty spektakularne. Jeżeli do porozumienia usilnie wzywał Kościół, liberałowie w partii, a nawet zdobyła się na to część posłów sejmu, i nie umiano do tego doprowadzić, aż władza ogłosiła stan wojenny, to powrót do porozumienia miałby być powrotem do czego, do jakiej sytuacji? Władza mówi, że nie będzie powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia. Czyli to powinien być powrót do jakiegoś rozsądku politycznego.

A: — Czy Pani uważa, że Solidarność przekroczyła swoje kompetencje statutowe?

L: — Przekroczyła kompetencje nie tylko statutowe. Ale partia na przestrzeni trzydziestu kilku lat swoje kompetencje statutowe przekraczała po wielokroć i będzie przekraczała dalej. Chodzi o to, że Solidarność przekroczyła swoje kompetencje w dziedzinie rozumu politycznego i nie uwzględniła faktu, że Polska znajduje się w określonej sytuacji. Słowo geopolityka jest tutaj kluczem wcale nie nadużywanym, ani nie demagogicznym. Tylko mnie się wydaje, że stało się coś bardzo dziwnego z ludźmi z chwilą ogłoszenia stanu wojennego. Rozmawiałam z kilkoma osobami wypuszczonymi z internowania. Oni nie byli w Jaworzu, nawet nie w Białołęce, lecz w bardzo ciężkich obozach, w normalnych więzieniach. Niektórzy powychodzili dopiero w czerwcu. Otóż teoretycznie internowanie miało być kubłem zimnej wody wylanej na głowę przywódców Solidarności. Tymczasem ten kubek wody stał się kubłem wrzątku. Zamiast ostudzić nastroje, podbechtął je. Nienawiść stała się nienawiścią omal patologiczną. Jeden z moich kolegów, który był właśnie w takim obozie, człowiek z wyższym wykształceniem, naukowiec, umysłowość chłodna, racjonalistyczna, powiedział mi po wyjściu: „Jeżeli nas nie lali wodą, to tylko dlatego, że wody nie było”. On władzy po prostu nienawidzi. W tłumach wychodzących na ulicę, obojętne czy jest to młodzież szkolna, wyrostki, szczeniaki, czy zgodnie z tym, co pisze propaganda „ludzie nigdzie nie pracujący”, obojętne kto tam jest — tam jest nienawiść. W wielu domach polskich jest nienawiść. Stan wojenny, internowania miały być jakimś czynnikiem — przynajmniej mam nadzieję, że takie były zamiary władzy — który by ostudził, wyhamował emocje, żeby nastąpił powrót do realizacji umów sierpniowych, powrót do statutowej działalności Solidarności. Tymczasem stało się zupełnie ina-

czej. Stan wojenny nie spełnił tych pobożnych zamierzeń władzy, tylko wręcz przeciwnie. Z nastrojami społecznymi stało się coś takiego, że nawet ludzie, którzy tak jak ja widzieli w Solidarności bardzo wiele błędów i mówili o tym głośno, w tej chwili o Solidarności będą mówić publicznie tylko dobrze. Taka reakcja zaszła w umysłach bardzo wielu ludzi, czyli w efekcie cel jaki miał spełnić stan wojenny nie został spełniony. Jakie teraz może być porozumienie? Wydaje mi się, że ludzie, którzy mówią o sytuacji patowej mają wiele racji.

A : — A czy partia jako siła społeczna i polityczna istnieje?

L : — Nie, w tej chwili nie istnieje. Istnieją, jak mi się przynajmniej wydaje, pewne grupki, wierzchołki organizacji partyjnych trochę przestraszone, nie wiedzące, co robić. Istnieje Komitet Centralny, który w sumie nie wykonał żadnego pozytywnego ruchu, który uprawia ten sam bełkot. Partia wyszła po tych 16 miesiącach równie mocno osłabiona, jak Solidarność. Było to rozpaczliwe starcie dwóch potężnych sił. Jedna była potężna, bo zbrojna była w poparcie Związku Sowieckiego, dysponowała wojskiem, milicją, druga była potężna nawet nie ilością członków, ale ogromną nadzieją, sentymentem, ambicjami, marzeniami. Końcówka tego starcia była dramatyczna. Okres ją poprzedzający było to życie jak na wulkanie. Były momenty rozpaczliwe. Ciągłe domniemania: wejdą nie wejdą, będzie powstanie czy nie będzie, będzie strajk generalny czy nie będzie. I nawet przyłapywałam się na myśli, że tak już dłużej nie da się żyć, że my sobie wszyscy odbieramy po jakiejś dziesięć lat życia, bo te półtora roku pracy dziennikarskiej od sierpnia 1980 do grudnia 1981, to było jak dziesięć lat przepracowanych przedtem. Cała się spalałam, a tak się spalało mnóstwo ludzi. I nastąpiło to rozpaczliwe zderzenie czołowe, z którego obie organizacje wyszły potwornie osłabione.

Istnieje podziemie, Solidarność żyje, działa, ale to jest taki sam słaby żywot, jak żywot partii. To są w tej chwili dwa słabe, do pewnego stopnia fikcyjne żywoty. Solidarność manifestuje swoje istnienie wychodzeniem na ulicę, co jakiś czas, kompartia daje znać, że żyje, bo Biuro Polityczne się spotyka i raz na jakiś czas Komitet Centralny. Są to dwa tragiczne żywoty, które na bieg wypadków zaczynają mieć coraz mniejszy wpływ, bo sytuacja wymknęła się totalnie wszystkim spod panowania.

A : — Ale młoda generacja partyjna? Przecież ciągle jeszcze młodzi ludzie, tak podaje prasa, wstępują do partii. Czego należy się po nich spodziewać?

L: — Porusza Pani straszny temat. Straszny nie dla mnie, straszny dla tego kraju, pośrednio więc i dla mnie, bo ja już w partii nie jestem. Dam przykład człowieka, który do partii wstąpił teraz, po wojnie. Jest to młody chłopak, który od czterech czy pięciu lat chciał zostać dziennikarzem. Z powodu nikomego talentu, chociaż czy ja wiem, czy to talent zadecydował, może małe protekcje, nie dostał etatu. W stanie wojennym natychmiast wstąpił do partii i płakał na ramieniu naszego wspólnego kolegi, że zrobił to dlatego, żeby dostać wreszcie etat. Wydaje mi się, że w tej chwili do partii wstępują już tylko tego rodzaju ludzie. Jest to więc nadal selekcja negatywna, ale już teraz negatywna do n-tej potęgi. Przykładem tego jacy to są ci młodzi ludzie jest Jaskiernia. Grupa jaskierniowców to grupa potworów z pomysłami dogmatycznymi, strasznymi, najbardziej ciasnymi. Partia w tej chwili jest stara. Odeszła grupa młodych, z którymi można było wiązać nadzieje. Odeszli, wypalili się, zmęczeni, bo byli pod ścianą. Byli pod ścianą w partii, ale postawiła ich pod ścianą także Solidarność. Jedni mieli siłę, żeby to wytrzymać, inni nie. Liberałów pokolenia 40-latków, pokolenia Kubiakowego, już nie ma. Nie wykluczam, że kiedyś taka grupa w partii się wykształci, ale kiedy to będzie?

A: — A co według Pani zostało z Sierpnia?

L: — Została unikalna wartość, „unikatowa”, mówiąc poprawnie. My, jako naród, byliśmy bardzo skłócenii ze sobą. Całe lata nas dzielono. Władza robiła to szalenie skutecznie. Opozycja też próbowała wygrywać konflikty. Robotnicy — inteligencja, Żydzi — Polacy, endecy — chadecy, chłopci — robotnicy. Byliśmy jako naród tak rozpaczliwie podzieleni, że istotnie niewiele można było działać. Wartość, którą dała Solidarność i którą o dziwo stan wojenny zwielokrotnił, to prawie całkowity zanik tych właśnie podziałów. W stanie wojennym próbowano na nowo rozdmuchać podział Polacy-Żydzi, wyciągając pochodzenie części działaczy Solidarności, doradców czy KOR-owców. Jakoś to nie trafia, to nie jest 1968 rok, nie udaje się; próbowano poróżnić ludność miast z chłopami, że ceny, że nie odstawiają żywea i dalej się próbuje, sącząc w ucho propagandę, że chłop teraz cudownie żyje. Też nie chwytą. I chyba po raz pierwszy na przestrzeni tych trzydziestu kilku lat można mówić o narodzie, że jest złączony wspólną myślą, a jest nią po prostu demokracja, wolność, niepodległość autentyczna, a nie sprowadzona do takich granic, że się je czuje na co dzień. Tylko w polityce międzynarodowej niech będą ograniczenia, bo

tam są zawsze i to potrafię zrozumieć. W sferze życia umysłowego, kulturalnego, społecznego czy gospodarczego nie muszę tego odczuwać. I wydaje mi się, że zjednoczenie narodu polega na samouświadomieniu potrzeb, które do tej pory były potrzebami nieuświadomionymi. Proszę sobie przypomnieć, co było w latach 70-tych. Propaganda pchała nas w model, którego hasłem była stabilizacja ekonomiczna każdej polskiej rodziny. Wydawało się, że jak do tej stabilizacji dojdziemy — to kompletnie wyjałowujemy. I ten szok był nam, narodowi, potrzebny. Sprawiała go Solidarność, ale nigdy by się to Solidarności nie udało, gdyby nie cała nielegalna literatura, ona bowiem dała znakomite przygotowanie. Bo chociaż przed Sierpniem nielegalna literatura była dostępna tylko znikomym grupkom, kupowała te książki część inteligencji i podawała je do czytania znajomym, to po Sierpniu nielegalna literatura stała się jakby „paralegalna” i zaczęła masowo funkcjonować na rynku czytelnictwym. To już nie były pojedyncze egzemplarze, ale setki tysięcy egzemplarzy. One pomogły temu narodowi zdobyć wiedzę historyczną o sobie. Powiem otwarcie, właśnie z tej nielegalnej literatury dowiedziałam się rzeczy, o których nie miałam zielonego pojęcia. Gdybym o nich wiedziała, nie byłabym członkiem partii. Byłam w niej tak długo, jak długo trwałam w przekonaniu, że jedynym kluczem do tego, żeby w kraju coś drgnęło pozytywnie jest partia i póki wydawało mi się, że jedynym warunkiem do ocalenia Solidarności też była partia. A w tej chwili, gdy wojewódzka komisja kontroli usunęła mnie, sugerując, że mogę się odwołać, powiedziałam: „Dziękuję, mnie to już nie interesuje. Ta organizacja już nie jest moją organizacją i rzeczywiście macie panowie rację. Jestem rewizjonistką, mam inne poglądy”. Pewne więc przemiany, które zaszły w narodzie, zawdzięczamy Solidarności, cokolwiek by o niej nie sądzić. Czy widzieć ją z całym bagażem dobra i zła, czy tylko z bagażem dobra, czy, jak chciałyby władza i dogmatycy partyjni, tylko z bagażem zła. Cokolwiek by o niej nie powiedzieć, to ona doprowadziła do tego, że społeczeństwo ma o wiele większą świadomość narodową. Do tego dołączył się wzrost samoświadomości jednostki, jej potrzeba realizowania wolności własnej, prawa do wyrażania własnych poglądów publicznie, nie tylko w kuchni przy herbacie, ściszym tonem. Chęć zlikwidowania tego podwójnego języka, jakim się mówiło do tej pory, mówienia jednym językiem, jakim się mówiło i mówi do tej pory, mówienia jednym językiem, tym, którym się myśli. I to są te wartości, które dla władzy są

groźne. Przeszaną być groźne, gdy znajdzie ona jakiś klucz na porozumienie, którego, jak mówią, ja nie widzę. Zwłaszcza po 31 sierpnia, po kolejnych represyjnych ruchach władzy. Wydaje mi się, że znalezienie tego klucza jest coraz bardziej tragicznie oddalane.

A: — A co Pani myśli o bojkocie, który trwa już ósmy miesiąc?

L: — Myślę, że jest potrzebny. Wydaje mi się, że jest to jedyna forma protestu na jaki może sobie pozwolić inteligencja, z natury słaba, nie mająca szans na taki protest, na jaki mogą się ważyć robotnicy. Inteligencja takich szans nie ma, bo gdy próbowała, to kończyło się tak jak w 1968 roku. Jest to więc jedyna forma, dzięki której naród może się dowiedzieć, że określone grupy inteligencji czy to profesjonalne, czy społeczne, nie aprobują tego, co się stało, co się dzieje. I jest to zarazem szansa dla władzy. Tylko ona tego nie wie. Bo gdyby wykonała kilka pozytywnych ruchów i kilku czołowych artystów z różnych dziedzin zjawiliby się równocześnie na antenie, byłby to znak, że coś drgnęło w układzie władza-społeczeństwo, na korzyść społeczeństwa.

A: — A co jeszcze dziś partia ma do zrobienia?

L: — Partia jest wielką fikcją. Właściwie liczy się jedynie polityka międzynarodowa, a ideologia jest tylko kilkoma pustymi hasłami do niej dopisanymi, żeby tę wielką międzynarodową politykę prowadzić. Wstępowałam do partii w przekonaniu, że coś można będzie jeszcze zrobić. Irytuje mnie jednak postawa ludzi, którzy uważają, że zawsze mieli czyste ręce, bo nigdy nie byli w tej partii. Otóż wydaje mi się, że pojęcie czystych rąk w ogóle u nas, w tym systemie, w tym ustroju nie istnieje. Tak czy owak każdy je sobie zabrudził. Obojętne jak, ale zabrudził. Według mnie istniał wybór nie tyle między mniej czy bardziej czystymi rękami, co między przekonaniem, że jeśli już jesteśmy skazani na to, żeby żyć w socjalizmie, to spróbujmy cokolwiek zrobić, żeby zmienić czy to mentalność współtowarzyszy, czy mieć wpływ na jakiś cień decyzji albo przeświadczenie, że nie chcemy mieć nic z tym wspólnego. Tragiczne postacie partyjnych, ludzi, którzy wstąpili do partii z przekonania, tkwili w niej bardzo długo, nie rzucali legitymacji, chociaż okazji było aż nazbyt wiele — 1968, 1970, 1976, właściwie każdy rok, każdy dzień był do tego sprzyjającą okazją — ale postawa tych ludzi, którzy uważali, że jeżeli klucz tkwi tu, to należy nim jednak próbować obracać a nie pozwolić, żeby znajdował się tylko w rękach dogmatyków, wydawała mi się waż-

niejsza w sensie cyniczno-pragmatycznym. Wiara w ideologię opuściła mnie gdzieś w 1972-73 roku, przeżywałam fiasko kolejnej odnowy, decydującej dla mojego pokolenia, bo w 1956 roku byłam zbyt młoda, żeby zdawać sobie sprawę z tego, o co chodzi. Wtedy powinnam była tę legitymację złożyć. Lecz jej nie złożyłam, bo wydawało mi się, że trzeba mimo wszystko próbować walczyć dalej. Na swój sposób cały czas usiłowałam, nawet nie tylko usiłowałam, ale się rzeczywiście sprzeciwiałam złu czy głupocie w sprawach, w których mogłam współdecydować... Nigdy nie było sytuacji, w której nie wyraziłabym sprzeciwu z powodu wygodnictwa czy strachu. Takie cechy były mi obce. Natomiast wracając do członków partii, którzy byli w tej partii z powodów cyniczno-szlachetnej wiary. Cynizm polega na świadomości, że się wstępuje, czy nadal trwa z legitymacją partii, w której ideologię się nie wierzy, bo jest ta ideologia wyłącznie fasadą, a system do niej wymyślony przez Marksa i Lenina jest fikcją, utopią, niemożliwą do realizacji nigdzie. Jest to całkiem cyniczne, bo się nie powinno akceptować czegoś jeśli się w to nie wierzy, a wierzyć w to nie można, bo trzeba by wtedy być chorym umysłowo. Nie wierzę więc w istnienie członków partii, którzy wierzą w tę ideologię, bo musielibyśmy na nich patrzeć jak na ludzi ciężko chorych, jak na przypadki patologiczne. Możemy mówić tylko o ludziach cyniczno-szlachetnych, których cynizm polega na tym, że mają świadomość fikcji i utopii ideologicznej, a szlachetność na tym, że wiedząc, że jesteśmy skazani, chcąc, na rany Boga, coś robić, żeby dało się w tym żyć. A robić coś można tylko tam w środku, w partii, bo na zewnątrz, to co ja mogę? Kontestować? Nic z tego nie wynika.

A: — Wobec tego nie należy występować z partii?

L: — Tak, tylko w tym momencie pojawia się coś takiego, jak cezura 13-go grudnia.

A: — Ale wcześniej też występowano z partii.

L: — Ale ja mówię o pewnym typie człowieka, ciągle mówię o typie pasjonata, z jednej strony idealisty, z drugiej cynicznego, bo ma tę samoświadomość ogromną, a nie że coś chce mieć z tego dla siebie. Mówię o typie człowieka cały czas żywo zainteresowanego tym w czym żyje, krajem, ludźmi, rozwojem społeczeństwa, przebudową ustroju, troską o przyszłość swych dzieci. Dlatego cezura 13-go grudnia jest cezurą dla niego decydującą. Bo właśnie człowieka, który rozpaczliwie próbował w coś wierzyć, walnęło się siekierą po głowie. Udowodniło się,

że to nie jest *reformowalne*, że moja obecność jest tam niepotrzebna.

A: — Wspomina Pani, że w gorących dniach posierpniowych w kołach partyjnych liczone się z wkroczeniem Rosjan. Czy jest to w tej chwili ulga czy tragedia dla ludzi z legitymacjami?

L: — Ja myślę, że pewni partyjni już od dawna marzyli, żeby Rosjanie tu wkroczyli. Po prostu mnie się wydaje, że resztki wiary stracili ci, którzy wierzyli w reformowalność partii. Z tego samego punktu widzenia możemy popatrzeć na Solidarność. Ona na tym etapie rozwoju też była niereformowalna, ale z innych przyczyn. O wiele szlachetniejszych. Z przyczyny żywiołowości tego ruchu, tak że teoria procesów żywiołowych jest tutaj zgodna z rzeczywistością. Musiałoby upłynąć kilka lat potrzebnych na przetarcie się. A w partii może minąć wiele lat i nic się nie zmieni. Gdybym była w Solidarności to bym się szamotała, ponieważ setki razy ta organizacja, jako całość, wykonywałaby ruchy, z którymi nie godziłabym się, których bym nie aprobowała. To jest także dylemat członka partii. Tylko Solidarność była na fali wstępującej i przed nią była przyszłość. Był czas na to, żeby się zorientować czy ona się zmieni, czy nie, co z niej będzie. Natomiast partia jest w stagnacji tragicznej, bo ona się nigdy nie zmieni. Dlatego pozostanie w niej stało się dla tylu ludzi już nie tylko balastem, ale tragedią osobistą. Nagle człowiek sobie uprzytomnił, że włożył siebie całego w coś, czego nie było. Pracował nad zreformowaniem tej partii, co jest niemożliwe. Czyli, że byłam utopistką, wariatką, typem patologicznym. I w tym momencie zaczyna się tragedia. Trzeba było zacząć życie jakby od nowa. Już mnie nie ma w partii, ale jeszcze mnie nie ma gdzie indziej. Jak to pięknie określa ksiądz Tischner, mówiąc o Leszku Kołakowskim, że to był kiedyś marksista, który stał się czołowym krytykiem marksizmu i choć nie jest zwolennikiem żadnej doktryny chrześcijańskiej, jest „w drodze”. Bardzo pięknie to powiedziane. Założmy, że i ja jestem „w drodze”, tylko, że dla człowieka w moim wieku jest tragedią zaczynać zupełnie od nowa. Od nowa próbować formować swój światopogląd, zastanawiać się nad tym, w co ja właściwie wierzę. Ja bym powiedziała, że w tej chwili właściwie w nic nie wierzę... Byłam człowiekiem czynnym, społecznym, ale wiem, że nie zaangażuję się w podziemie, w konspirację. Rozumiem potrzebę takiej działalności, ale tylko do pewnych granic. Poza tym jestem typem, który się do takiej działalności nie nadaje. Jestem pierwszą osobą, którą by natychmiast, na drugi

dzień, rozszyfrowano, że konspiruję. W sumie nigdzie mnie nie ma. Nie ma mnie w grupie środowiskowej, z którą szłam ręką w rękę i która to grupa niesłuchanie się skonsolidowała po Sierpniu. Była to właśnie grupa ludzi działających na rzecz reform w partii. Bardzo zwarta, bardzo wspaniała. To może dziwne dla bezpartyjnych, ale była to grupa rzeczywiście umysłowo wspaniała.

A: — Wcale nie dziwne, Pani się to tylko wydaje, albo dają znać o sobie partyjne kompleksy.

L: — Wydaje mi się jednak, że ludzie, którzy byli wiodącą grupą reformatorów partyjnych, a którzy są w tej chwili poza partią, znaleźli się w gorszej sytuacji niż członkowie Solidarności. To, że związek jest zawieszony jest pewnym rodzajem psychicznego oparcia, że nie wiadomo jeszcze do końca jak i co, że jest jakaś podziemna grupa kierownicza, że część kierownictwa jest internowana, ale duchowo obecna, więc w sumie jest się przynajmniej do czegoś, co jeszcze istnieje. A grupa moich kolegów stanęła przed problemem zmiany profesji, a więc i środowiska, odbudowania na nowo życia. Chodzi więc o poszukiwanie celów społecznych dla takich ludzi.

A: — Czy drogi ludzi, którzy przewodzili ruchowi liberalnemu w partii nie powinny się zejść z drogami ludzi z Solidarności?

L: — One się zeszyły. Tego nie trzeba stawiać jako postulatu, bo to jest. Cała ta grupa była głęboko zaangażowana po stronie Solidarności.

A: — Była po stronie, ale nie działały przecież wspólnie?

L: — Tak, ale z tego nie wyniknie nic praktycznego. Nic. Pragmatycznie nie będzie z tego żadnej korzyści, bo nasza była grupa nie ma w tej chwili wpływu na nic.

A: — Ale życie przed nami, może przyjść dzień słoneczny i nagle otworzy się możliwość działania. I wtedy co? Każdy wraca znów do siebie, na swoje podwórko?

L: — Są pewne typy ludzkie, które zrażone niepowodzeniem kolejnej odnowy mówią, że do następnej już nie przystąpią. Ja jestem tym typem ludzkim, który przystąpi do każdej kolejnej odnowy, tylko obawiam się, że do następnej, bo ona oczywiście będzie, bo kraj nasz toczy się w błędnym cyklu odnow, wypaczeń, odnow, wypaczeń, więc do tej następnej, do której przystąpię na pewno, przystąpię z przekonaniem, że i ona się również nie uda. Ja już złudzeń mieć nie będę. Jeżeli stan wojenny pozabawił mnie czegoś, to wiary w możliwość reformowalności tego,

w czym żyjemy, w sens działalności na niwie polityczno-społecznej, z przechyłem na słowo „polityczny”. Będzie następna odnowa. Może za lat siedem, może za lat dziesięć, może za lat piętnaście, sądzę jednak, że szybciej, bo naród nie wytrzymuje takiego długiego cyklu, raczej go skraca. Ja do tej odnowy przystąpię i przystąpię do niej oczywiście po tej stronie, którą reprezentuje Solidarność; to jest naturalne. Ale będę miała pełną świadomość, że to jest przegrane. I jedyne, co będę robić, to wyhamowywać działania zbyt żywiołowe i przypominać o istnieniu rozumu politycznego, którym się brzydzę, bo jest to pojęcie sprzeczne z naszymi wszystkimi nadziejami. Czyli walka na przekór własnymi nadziejom.

A : — Czy istnieje więc szansa na prawdziwą niepodległość?

L : Nie ma jej na długie lata.

OMIKRON

Alfa: — Co to jest za wojna, o której się mówi: wojna polsko-jaruzelska?

Omikron: — Nie mam jasnego obrazu tej wojny, jeszcze tego okresu myślą nie ogarnąłem. Natomiast mogę powiedzieć, że stan wojenny przeżywam negatywnie, przeżywam jako ból. Usłyszałem tę wiadomość zupełnie przypadkowo, bo otworzyłem telewizor i nic nie było. Zdziwiłem się, że albo aparat zepsuty, albo coś innego i nagle plansza i pokazał się ten pan generał, a na sztandarze przekrzywiony orzeł. Zrozumiałem, że ten upadający orzeł to znak, iż dzieje się coś złego dla ludzi i ten ból z pierwszych chwil towarzyszy mi przez cały czas. Co dla mnie znaczy stan wojenny: przychodzi ktoś i mówi, że kogoś, kogo wspólnie znamy, zamknięto. Albo kogoś wyrwano z domu dzisiaj w nocy. Przychodzi człowiek bliski z bólem, dzieli się nim, i ja, ponieważ go znam, cierpię razem z nim. Przychodziło także wielu ludzi, których nie znałem, ale oni mnie znali i chcieli tylko swój ból wypowiedzieć. Nie żeby otrzymać jakąś pociechę nawet, tylko żeby wypowiedzieć, bo nie mieścili tego bólu we własnym sercu. Więc to się we mnie tak gromadziło. I kiedy postawiono mi zarzut, że źle się odnoszę do dekretu o stanie wojennym i do samego stanu wojennego, to powiedziałem tak: rzeczywiście nie zgadzam się z tym dekretem i potępiam stan wojenny. Podkreśliłem to mimo wcześniejszego uprzedzenia, że takie negatywne reakcje są karalne. Nawet wyjaśniłem, dlaczego potępiam stan wojenny. Powiedziałem, że przyniósł on wiele cierpienia i ja nie mogę milczeć. Mnie nie obchodzą inni księża, ja za nich nie odpowiadam, nie wiem, czy mówią o tym i co mówią, sądzą jednak, że tak jak ja i oni żyją tym,

czym żyje Kościół. A Kościół ma najświętszy obowiązek bronić człowieka. I choćby tylko jeden człowiek cierpiał z racji stanu wojennego, to ja mam obowiązek go bronić. Potem włączyłem się w pracę w Komitecie charytatywnym, gdzie znowu ocierałem się o sprawy bardzo bolesne, znowu pełno ludzkiej biedy, ludzkiego cierpienia, metod stosowanych wobec ludzi. Pojawił się jakby nowy aspekt mojego wewnętrznego cierpienia, z którym nie mogę się pogodzić. Nawet z Panem Bogiem rozmawiam sobie nieraz tak bez tej pokory. Staram się raczej, żeby to była modlitwa, a nie obrażanie Pana Boga. Myślę dlaczego tak jest, dlaczego ci milicjanci i wojskowi są tacy brutalni. Oczywiście nie wszyscy. Niektórzy stali z założonymi do tyłu rękami i palca nie przytknęli do sprawy, którą im zlecono wykonać. Ale wiem też, że inni z wielką brutalnością wdzierali się do mieszkań, ustawiali ludzi pod ścianą, robili rewizje, no i jeżeli znaleźli kogoś, to wyciągali także w sposób brutalny. I to jest drugi stopień tego bólu we mnie: ta deprawacja ludzi przez danie im okazji, przez stworzenie im takiej sytuacji, czy przez przymus. W wielu wypadkach byli to bardzo młodzi ludzie.

A: — Jaka winna być rola Kościoła w obecnej sytuacji?

O: — Nie chciałbym wydawać werdyktu, bo to nie moja sprawa, ale uważam, że komunikatu wydanego na początku przez Radę Główną nie powinno się było wycofywać. Na szczęście w naszym środowisku ludzi młodych komunikat w wielu parafiach miasta i poza nim został odczytany, choć arcybiskup poinformował o jego wycofaniu. Wiadomość przyszła za późno. Wielu dziekanów już zabrało ten komunikat do przeczytania. Dla mnie był to dokument bardzo logiczny i stawiający rzecz na właściwych nogach. Dlatego też szkoda, że nie wszędzie był znany, bowiem do niedawna jeszcze, nawet przed 26 sierpnia, wielu ludzi mówiło z żalem, że Kościół jest taki ostrożny... Jeśli więc już wyrokować, jaka ta rola powinna być, to wydaje mi się, że Kościół powinien zmanifestować swoje poparcie dla tych ludzi, którym dzieje się krzywda, bez rozróżniania czy to są robotnicy, chłopci, Solidarność czy nie. Trzeba uznać fakt: są ludzie niesprawiedliwie potraktowani przez władzę i Kościół nie może tutaj milczeć. Kościół jest zobowiązany do obrony krzywdzonych. A jeśli chodzi o obecną sytuację to uważam, że to, co powiedział Prymas na uroczystościach jasnogórskich, 26 sierpnia, to były słowa, które wszystkim przyniosły dużo ulgi, na które czekano. Nie uważam, choć jest to myślenie może niedyplomatyczne i niepolityczne, nie uważam więc, że Kościół powinien być partnerem w rozmowach z rządem. W tej

sytuacji, jaka jest, gdy wszyscy doskonale wiedzą, że grupa okiełznała cały naród w brutalny sposób, być partnerem z nimi do rozmów, nie wydaje mi się ani celowe, ani owocne. Zabieganie o to ostrożnością i dyplomacją jest bezsensowne. A chyba jest też i nieewangeliczne. Kościół powinien być tą stroną, która bierze uciśnionych w obronę, nawet licząc się z tym, że to się nie będzie rządowi podobać, że rząd uzna, iż Kościół nie chce być stroną w rozmowach. Nawet za cenę tego. Mówi się w środkach masowego przekazu, a i w dokumentach kościelnych także, że Kościół jeszcze nie został zaatakowany. Przecież to jest brednia. Kościół to nie tylko Prymas i biskupi. Ludzie pobici i poniżeni w swojej godności ludzkiej, między innymi dlatego, że byli wierzący, to jest Kościół. Zgoda władz kościelnych, żeby nie występować zbyt drastycznie, bo władze ruszą na Kościół jest bezsensowna, bo to się już stało. Kościół już spoliczkowano, zbito i poniżono, atakując jego wyznawców. Rola Kościoła to w dalszym ciągu nieustępliwa obrona ludzi, którzy zostali uderzeni. Dzisiaj, w przededniu delegalizacji Solidarności, nie ma już wątpliwości, że cały stan wojenny i wszystko było zrobione przeciwko temu związkowi, żeby go zniszczyć. A więc bronić trzeba Solidarności. Trzeba było od początku, trzeba i dzisiaj. To, co Prymas powiedział najpierw, że Kościół będzie Solidarności bronił, że ostrzega władze, a potem, że jeśli ustawa będzie ogłoszona, będzie upominał się o jej zniesienie, jest fajne. Dobrze też, że nie pojechał do Rzymu. Oczywiście, ktoś mógłby mi powiedzieć, że jednak Kościół to jest pewien partner, że jest to pewna dyplomacja, że jednak trzeba ostrożnie. Ale uważam, że według Ewangelii aspekt duszpasterski musi być pierwszy. Przed dyplomatycznym, przed zachowawczym czy jakimś tam innym jeszcze.

A: — Jak powinniśmy się zachowywać wobec wydarzeń sprowokowanych?

O: — Te wydarzenia przynoszą dużo cierpienia bardzo niesprawiedliwego, a ogromnie dotkliwego. Cierpienia te rozszerzają się na rodziny pobitych i zatrzymanych, a także na ludzi nie związanych z nimi. Ci niekiedy nawet boleśniej cierpią duchowo. Wielu ludzi decydowało się na ofiarę: płacili mandaty wymierzone studentom, przynosili pieniądze nie podając nazwisk — proszę, to jest na mandaty. I w kopercie było 50 tys. złotych, 20 tysięcy. Nie wyglądali na takich, którym się przelewa. Tego może nie można nazwać cierpieniem, ale taki człowiek przecież musiał sobie czegoś odmówić. A bywało i tak, że apelowaliśmy o pieniądze potrzebne nam szybko i na taki apel

z ofiarami spieszyli nawet ci, którzy musieli odjąć sobie — i odejmowali. Trzeba też powiedzieć o odpowiedzi społeczeństwa na prowokację przez włączanie się do manifestacji. Tego być nie powinno. Z drugiej strony nie mogą odmówić tym manifestacjom sensowności. Skoro zastopowano wszelkie środki przekazu myśli, manifestacje stały się ostateczną szansą dla obrony Solidarności, dla okazania, że Solidarność istnieje. Z tym tylko, że trzeba znaleźć sposób, *modus in rebus*. Musi to być manifestacja pokojowa, aby nie narażać ludzi. Teoretycznie to jest łatwe, czy praktycznie się to uda — nie wiem. Nie wiem jak oceniać te manifestacje, gdzie ludzie szli spokojnie i w ten sposób wyrażali swoje poparcie dla idei, dla ruchu Solidarności, nie tylko dla organizacji, i spotykali się z prowokacją, z agresją służb porządkowych. Chyba się nie da jasno powiedzieć, kto winien, czy organizatorzy, czy późniejszy rozwój sytuacji, ale chyba potępić nie można. Wiadomo do czego doprowadziła władza: nabożeństwa w katedrach czy kościołach już były uważane za manifestacje. Sama modlitwa. Gdyby nie zła wola, każda z tych religijnych manifestacji odbyłaby się zupełnie pokojowo. A tak rzeczywiście są ofiary. Ale w żaden sposób nie dałoby się ich uniknąć przy tak złej woli władzy.

A: — Czy nie były to jednak manifestacje polityczne, tyle tylko, że miejscem ich był kościół a nie ulica?

O: — Z moich dotychczasowych uczestnictw w tych nabożeństwach mogę powiedzieć, że na pewno jest to religijność prawdziwa, na pewno jest to modlitwa. Oczywiście, nie przeczę, że przychodzi sporo ludzi niewierzących, ale oni między innymi przychodzą po to, żeby jakoś jednoczyć się z wierzącymi we wspólnej postawie. Stoją spokojnie, przychodzą posłuchać kazania, chcą tam być, to jest także ich sprawa. Nie przychodzą po to, żeby po wyjściu z kościoła pokrzywić sobie. Myślę, że takich jest bardzo mało, jeżeli się jeszcze odliczy od tego prowokatorów. Frekwencja na nabożeństwach w czasie „wojny” zwiększyła się. Nie sądzę, żeby była to pobożność wymuszona i taka trochę o podkładzie politycznym. Wymuszona może sytuacją, gdzie okazuje się, że bez Boga człowiek staje się bezradny. I gdy już nie może pomóc temu, kto został zamknięty czy internowany, to chociaż wyrażę mój żal czy jakąś z nim wspólnotę przez modlitwę. Czy można wymagać, żeby ci ludzie przychodzili tak gromadnie każdego dnia? Chyba nie. Żeby się z całego miasta skrzykiwali. Ale jeżeli jakaś część z nich komunikuje się częściej w eucharystii niż przedtem i korzysta z konfesjonatu intencjonalnie, dla ratowania ojczyzny, czy

zwolnienia bliskiego człowieka, jeżeli takie odczucia towarzyszą ludziom i inspirują do udziału w mszy św., do modlitwy, to myślę, że to jest bardzo dobre.

A: — A więc albo manifestować na ulicy, albo się modlić w kościele, bo tak rozumiałam odpowiedź na pytanie, jaką postawę ma przyjąć społeczeństwo. Jest to postawa wyczekująca, bierna, jest tylko odpowiedzią na działania władzy; w tym nie ma ani programu, ani myśli.

O: — Sam się spotykam z pytaniami, jak się zachować i zwykle umiem odpowiedzieć konkretnemu człowiekowi, którego znam i wiem, jaka jest jego sytuacja. Czy się da z tego wyciągnąć jakąś regułę wspólną, nie wiem, a nawet boję się, że się nie da tak, by to pasowało jako program dla społeczeństwa. Tylko jednak bym bronił tego, co dotychczas powiedziałem o manifestacjach. Jest to jednak postawa. Manifestowanie świadomości jest ważne, dlatego że władza wszystkimi dostępnymi jej kanałami propaguje zupełną odwrotność zdarzeń i sytuacji, używając do tego między innymi środków masowego przekazu i wykorzystując błędy, ułomności czy pomyłki drugiej strony. Chcąc nie chcąc niektórzy ludzie nie bardzo zorientowani albo też słabi przyjmują te sugestie władzy i jej łopatologicznej propagandy. Trwałość więc i dbałość o zachowanie własnej świadomości i przekazywanie jej innym, to jest postawa społeczeństwa. Pytanie zaskoczyło mnie, to prawda, bo jak odpowiedzieć: jaką postawę powinno przyjąć społeczeństwo? Mogę powiedzieć, jak tę postawę widzę. Jest wielki antysowietyzm w myśleniu, działaniu i w reagowaniu. Jest także wyzwalenie uczuć antywronek. Czy to wymaga jakichś postaw? Czy ja wiem? Widzę jeszcze moralny aspekt całej sprawy. W rozmowach z ludźmi usłyszałem zdanie, które mnie zastanowiło, że zło osobiste dodawane do drugiego zła osobistego poszerza zło ogólne, czyli coś, co zaraża i trawi społeczeństwo. Czy wobec tego nie istnieje i odwrotna płaszczyzna, że dobro pojedyncze, wzbogacane przez pojedyncze dobra innych ludzi, moralne dobro, tworzy nową wartość dobra dla całego społeczeństwa? Jeżeli tak, a myślę, że to jest właśnie tak, że istnieje jakiś taki krwiobieg dobra w całym Kościele. Jeżeli tak, to trzeba by wypracowywać postawy ludzi, którzy poprzez pracę nad sobą, poprzez wewnętrzne urabianie siebie, wytwarzanie dobra w sobie, stawaliby się, każdy z osobna, ludźmi lepszymi. Polska stanie się wtedy krajem lepszych, dojrzalszych wewnętrznie ludzi. Nie wiem więc, czy można mówić o postawie całego społeczeństwa, co tak gremialnie może ono robić. Natomiast

można mówić, co pewne środowiska powinny robić. Np. dużo zrobiło środowisko szeroko pojętej inteligencji twórczej. Okazali się bardzo solidarni wobec siebie, a przecież mnóstwo z nich pozbawiono pracy. Szukanie dla nich pracy, organizowanie zajęć, warunków i szans dalszej pracy twórczej, żeby nie pozostali wyrzuceni na bruk i rozbici psychicznie. Myślę, że to jest postawa i można taką postawę powielać w każdym innym środowisku. Słyszałem też, że środowiska rzemieślnicze, a więc ludzie, którzy mieli zakłady większe czy mniejsze, angażowali zwolnionych z pracy albo organizowali pewne zapomogi. Co można powiedzieć o innych środowiskach? Trzeba je znać. Uważam, że np. duchowieństwo powinno być bardzo solidarne i nieustępliwe w tym, żeby nie pozwolić ludziom zapomnieć, że to jest czas krzywdy, że ludzie wciąż cierpią i jeżeli nie można mówić takich kazań, za które zamykają, bo to też sensu nie ma, to jednak trzeba bardzo jasno określać, za kogo się modlimy, dlaczego się modlimy i po co jest ta modlitwa potrzebna. Bo musi istnieć pamięć o ludziach, którzy zostali wyrwani ze środowiska, o których najpierw pamiętał cały zakład czy całe biuro, potem tylko niektórzy przyjaciele, potem tylko rodzina, a dzisiaj zostało tylko jedno: mąż, żona, a inni już o nich zapomnieli. Duchowieństwo ma obowiązek o tym nie zapominać i nie pozwalać ludziom zapomnieć. Mówię to niestety z pewnym bólem, bo jeżdżę i widzę, że gdzieś tam zapominają. Mówią, że nie można ciągle tylko o tym samym, o tym samym, o tej Solidarności. A ja uważam, że trzeba. To nie znaczy, że innych tematów nie ma, ale trzeba pokazywać co się dziś dzieje, w aspekcie duszpasterstwa, w aspekcie odpowiedzialności za bliźniego. Miłość bliźniego wymaga tej ciągłej pamięci, dobrej, a więc tej modlitewnej, ale i tej praktycznej, to znaczy organizacji pomocy dla tych ludzi.

A: — A w jaki sposób możemy uchronić młodzież z jednej strony przed upokorzeniem, jakie niesie z sobą system, a z drugiej — przed fizycznym wyniszczeniem i społeczną degeneracją?

O: — Tu zwłaszcza pedagodzy i księża mają dużo do zrobienia. Uważam, że młodzież trzeba chronić. Niekiedy przed jej własnym nastawieniem. Jest bardzo antyrządowa, bardzo antypaństwowa, bardzo antysowiecka. Chronić, żeby się nie narażała, nie w imię obrony własnej skóry, nie dlatego, że czekają ją wielkie zadania w przyszłości, no za kilka lat. Chronić przed takimi niedojrzałymi pomysłami jak choćby butelki z benzyną itp. Ale z drugiej strony pomyślmy sobie, że przecież młodzież

w czasie okupacji też w taki sposób walczyła. Ale wtedy było harcerstwo i potrafiło ująć i zorganizować młodych ludzi do walki, która miała sens. Też narażała się najlepsza młodzież i sporo jej w czasie okupacji utraciliśmy. Czy można powiedzieć, że to było złe? Jest jakaś konieczność ofiary.

A: — Ale przeciwnikiem w czasie okupacji był Niemiec, a teraz urodzony na tej samej ziemi — Polak. To jest tragedia.

O: — Tragiczne jest to, że to jest Polak zswietyzowany. Polak, który kocha nie swój kraj.

A: — Chłopak wzięty z poboru i wcielony bez własnej zgody do ZOMO, to Polak zswietyzowany?

O: — Nie myślę o tych. Myślę o tych, którzy dobrowolnie, w pierwszych dniach wstąpili i którzy byli o wiele wcześniej przygotowywani i kształceni. To byli ludzie, którzy zgłosili się dobrowolnie, świadomie przyjęli swoją rolę. I o tych myślę bardzo niedobrze, z bólem ogromnym. Nie skończyłem o młodzieży jednak. A więc chroniłbym ją przed aktami terrorystycznymi, w rodzaju takich jak zabójstwo milicjanta. To nie ma sensu i poza tym jest nieewangeliczne na przemoc odpowiadać przemocą. Natomiast nie odsuwałbym młodzieży od problematyki, którą niesie stan wojenny i obecna sytuacja. Powinni być informowani i powinni mieć bardzo szerokie naświetlenie spraw, których są świadkami czy uczestnikami. Myślę, że to ich uchroni. Jeżeli ktoś w danym środowisku ma autorytet i właśnie tak przedstawi im sprawę, to ich powstrzyma. Przeraza mnie ostatnia uchwała sejmu, która w zasadzie władzę nad młodzieżą przyznaje milicji i służbie bezpieczeństwa. Wystarczy, że kogoś zatrzymują i już go można zawiesić. Wystarczy wytoczyć mu proces, osądzić i można go relegować z uczelni. To jest obezwładnienie od strony prawnej. Ale z drugiej strony nie można chyba młodzieży akademickiej zupełnie odsuwać od walki o demokratyzację, o sprawiedliwość, o prawdę. Przecież „tam”, w szkole, w TV, w radio jest propaganda, tam spotyka się młody człowiek z nieprawdą. Gdy się ma kontakt z uczelniami, tak od kuchennych schodów, to widać rzeczy wspaniałe. Profesorowie na swoich wykładach są fantastyczni. Bardzo pięknie rzeczy przedstawiają, jak gdyby mimochodem; robiąc co należy według programu, jednocześnie formują świadomość, uczą patrzeć na to, co się dzieje. Dzisiaj np. spotkałem się z takim zachwyconym studentem po wykładzie z zakresu historii nauki. Profesor przedstawiał sylwetki wielu uczonych i jednocześnie wskazywał, jak wielkimi byli oni Pola-

kami, w czasach niewoli rosyjskiej. To jest kapitalna robota: formować świadomość tych ludzi, a nie posyłać ich gdzieś, żeby się bili. Z drugiej strony jest w młodzieży dużo energii, bardzo dużo animuszu, bardzo dużo pomysłowości i przecież ogromna ilość pracy ulotkarskiej, plakatowej, malowania napisów, to jest ich robota. Myślę, że dobrze zorganizowana w tym względzie robota musi istnieć. To jest ważne. Trzeba powiedzieć, że ci młodzi są w pełni świadomi, są w pełni dojrzałymi ludźmi i trzeba im zostawić wybór. Pewnie, pchać nikogo pod pancerne wozy, pod czołgi, pod pałki nie można... Ale czy można powiedzieć: nie idź tam, gdzie jest niebezpiecznie. Siedź w chałupie, bo ci tutaj najbezpieczniej? Nie można.

Pani zadała pytanie, jak można ich uchronić. Czy we wszystkim trzeba chronić? Czy tutaj jest ktoś władny uchronić kogośkolwiek? Nie wiem, jestem za młody, żeby analizować, a przecież ciągle uciekamy się o pomoc do historii. Za młody więc, żeby analizować wydarzenia, jakie się działy w czasie okupacji hitlerowskiej. Ale z tego, co się wie z literatury, z prasy, z opowiadań ludzi, z filmu, istniała ta sama troska rodziców, nauczycieli, żeby uchronić młode pokolenie. A ono nie słuchało.

A: — Mówiąc o uchronieniu myślę o tym, jak ustrzec ich przed prowokacją, denuncjacją, bo te rzeczy mają miejsce.

O: — To chyba prosta sprawa, żeby ich jakoś doszkolić, doinformować, albo doprosić się u nich większej ostrożności w działaniu, bo tych prowokatorów jest wszędzie na pęczki. Jest zrozumiałe samo przez się, że jeśli ktoś idzie na akcję wspomagającą podziemie, to powinien wiedzieć, że liczy się nie tylko doniesiona ulotka, lecz także on sam, że jest bardzo potrzebny, ale że liczy się też jego kolega, który dostał ileś tam tysięcy, żeby go zadenuncjować. To wszystko trzeba mieć w jednej płaszczyźnie myślowej. Ludzie, którzy młodych wychowują i im radzą muszą im to wszystko powiedzieć. I chyba mówią, chyba radzą, to i owo podpowiadają. W ostatnich miesiącach wycierpiałem trochę od służby bezpieczeństwa, ale z drugiej strony nawet się z tego cieszę, bo poznałem pewne mechanizmy, pewne niebezpieczeństwa i ból jaki oni mogą zadać. Np. ilu tam jest młodych ludzi! Strach pomyśleć, ilu młodych ludzi oni zdobyli za mięso bez kartki, za mieszkanie bez kolejki. To mnie przeraża. Siedziałem godzinami na korytarzu i widziałem jak przechodzą tacy młodzi, zupełnie młodzi ludzie. Rozmawiałem nawet z jednym i kiedy mi pokazał legitymację, czystą, nowiutką, z jedną pieczęcią, a więc jeszcze nie przedłużaną, spytałem: pan się nie wstydzi tutaj pracować i tak niedawno pan do tego

wstąpił? On na to, że legitymacja, choć nowa, może być legitymacją drugą. Wtedy ja mu powiedziałem: panie, pięć lat temu toś pan koszulę w zębach nosił. I teraz człowiek się zastanawia, ilu takich młodych jest tam zatrudnionych.

A: — Więc jaką perspektywę mają młodzi w tym kraju?

O: — Obawiam się, że powtórzą się czasy stalinowskie. Jesteśmy w tej chwili w wielkiej pułapce, w wielkim potrzasku, no nie wiem jak to nazwać. Bo z jednej strony nie będzie tej perspektywy, a z drugiej nie można dopuścić do tego, żeby ludzie wyjechali z kraju. A przecież młodzież bardzo myśli o tym. Ilu ludzi związało jeszcze przed „wojną”. Takie trudności z mieszkaniem, z pracą, z rozwojem własnym, zawodowym. Wyjeżdżają nie dla chleba, nie dla pieniędzy, tylko dla takich ważnych spraw jak rozwój. Np. lekarz wyjeżdża bo tam, mówi, czegoś się nauczy, będzie kimś, tam będzie miał narzędzia, tam będzie miał wszystko i będzie rzeczywiście służył ludziom. Tutaj tego nie można. W takich rozmowach indywidualnych staję bezradny. A z drugiej strony, czuję podskórnie, że nie powinniśmy opuszczać kraju. Nie powinien lekarz wyjeżdżać mimo, że tak jest ciężko i że tam w Szwecji czy gdzie indziej będzie za kilka lat słynnym chirurgiem, bo jest zdolny. Ale naprawdę to boję się, że rysuje się perspektywa dla ludzi miękkich, małych, słabych, kolaborantów, którzy dlatego będą forowani, że będą popierać kurs partii, hegemonię partyjną, a ci, którzy naprawdę coś reprezentują czy coś w sobie mają, ci ludzie będą odsuwani. Chociaż może nie trzeba by tak patrzeć defetystycznie, bo zawsze, nawet w czasach stalinowskich, prawie w każdym zakładzie, prawie na każdej uczelni znajdowali się ludzie mądrzy, którzy do partii nie należeli, nie popierali reżimu i których partia szanowała. Czyli chyba potrzebne jest jakieś bohaterstwo, żeby mimo wszystko, w trudnych warunkach chcieć być wielkim człowiekiem, chcieć być dobrym w swoim zawodzie, chcieć być wielkim moralnie czyli człowiekiem dobrym w sensie społecznym, zdobywać wartości człowiecze, także patriotyczne, mimo że to wcale nie będzie pociągało za sobą kariery. Czy to jest perspektywa? Może być. Bo jeżeli się karta odwróci to ci ludzie, tak przygotowani wewnętrznie i zawodowo, od razu pójdą na te miejsca, które się im będą należały. I od razu dobrze poprowadzą. Myślę, że tak trzeba wychowywać, ku temu prowadzić. Ale to jest strasznie teoretyczne.

A: — Czy mamy prawo żądać od ludzi takiego bohaterstwa?

O: — To chciałem powiedzieć dalej. Czy mamy prawo żądać takiej bohaterskiej postawy. Chyba jest takie prawo: w imię ojczyzny. Gdy się karta odwróci, ty będziesz potrzebny, mimo że teraz pocierpisz, mimo że teraz będziesz tym drugim, trzecim czy ostatnim w swoim zakładzie pracy, zamiast być pierwszym, a jakaś lebiega będzie tobą kierować i nad tobą się zęcać. Ale jest taka potrzeba i tutaj wytrzymaj. To tak, jak Kościół. Pewnie, że nie można bohaterstwa nakazać. Można je pochwalać, wynosić na ołtarze jako świętość, wskazywać jaka to jest piękna droga, ale nikt — i Kościół też — nie może powiedzieć nikomu bądź bohaterem, żeby on nie miał odwrotu.

Ale załóżmy, że część wyjedzie. Nie zawsze będą to najlepsi, najzdolniejsi. Będą tu też najsprytniejsi, często ludzie nie najwyższych lotów. Nie sądzę, żeby należało się obawiać, że zostaniemy bez zdolnych młodych ludzi. Poza tym przychodzą nowe roczniki. Młodzież średnia jest ogromnie obiecująca, wręcz kapitalna, rokuje duże nadzieje. O przyszłość więc bym się nie obawiał. Zastanawia mnie ta młodzież średnia, bo to jaka jest dowodzi, w jakim duchu wychowywali ją rodzice, albo pokolenia jeszcze starsze. Także i nauczyciele mieli swój wpływ. Mam natomiast pewien żal do środowiska akademickiego. Kiedy się tworzyło Niezależne Zrzeszenie Studentów, to niestety udział był mały, w niektórych uczelniach nie przekraczał 20% studentów. Mam jakieś dziwne niepokoje. Nie wiem dlaczego tak jest. Gdybyśmy zanalizowali wychowanie studentów przez rodziców, wpływ reżimu w szkole średniej i rolę osiągniętego statusu studenta dla chłopca, który mieszkał na wsi czy w małym miasteczku i ma przed sobą jakąś nieokreśloną, ale chyba karierę, to można by pewne rzeczy zrozumieć. Natomiast tyłu tych zahamowań nie ma młodzież średnia. Jeżeli jednak, po trzydziestu kilku latach tego reżimu, to się objawiło, jeżeli Solidarność znalazła w każdym zakładzie ludzi, którzy mieli zaufanie załogi i chcieli poprowadzić ten związek, to dowodzi to, że ogólnie ludzie byli dobrze przygotowani na tę chwilę — choćby od strony negatywnej, przez niezgodę na to, co reżim przynosił. To jest pewien znak, że społeczeństwo nie spało, że nie poddawało się reżimowi, że swoje myślało i tworzyło wartości, które zamknęło w programie związku: samorządny i niezależny. Zjazd, to co na nim już zrobiono, co chciano zrobić i to, co potem wdrażano w zakładach poprzez tworzenie samorządów robotniczych, miało doprowadzić do niezależności i samorządności społeczeństwa. Czyli usiłowano odrzucić to wszystko, co przeszkadzało ludziom być sobą i pracować efektywnie

dla siebie i kraju. Myślę, że był to program, jak na pierwszy rok czy kilka pierwszych lat — wystarczający. Z tego co oni mówili na Zjeździe zapamiętałem taki fragment, żeby stworzyć komisję, która będzie kontrolowała nawet najwyższą władzę partijną, bo społeczeństwo nie ufa tej władzy. Ludzie nie tylko nie mają zaufania, ale wiedzą, że tego zaufania mieć nie mogą, bo ta władza zawsze będzie kręcić. Ale też na tym się Solidarność potknęła, bo partia zrozumiała, że to jest zamach na władzę. Potem rząd przejął te trzy „S” i całkowicie zaprzepścił ideę, jaką propagowała i chciała wprowadzać Solidarność.

A: — Czy działanie Solidarności było demokratyczne?

O: — Nie jestem skłonny dać wiary temu, co mówią środki masowego przekazu o jakichś machlojkach i sądzę, że wybory przeprowadzone były demokratycznie. No, wszyscy wiemy, że w Polsce od 37 lat wybory nie odbywały się tak, jak by tego pragnęło społeczeństwo. Solidarność była demokracją rodzącą się, uczyła się jej i myślę, że mimo jednorocznego stażu bardzo dużo się nauczyła i bardzo dużo tej demokracji wprowadziła. Jeżeli w powojennej Polsce była gdzieś demokracja, to w Solidarności. I było widać, jak ludzie tego pragnęli. Między innymi dlatego, że to był ruch demokratyczny, ludzie garnęli się do Solidarności.

A: — Wynikało to raczej z pragnień, bo na realizację działań, postaw czy wreszcie rządów demokratycznych trzeba było trochę czekać.

O: — No tak, jeżeli jednak ludzie sobie pomyślą, że wszystkiego trzeba się uczyć... Taki Frasyniuk, 28 lat, robotnik, albo Bujak, przecież oni muszą się uczyć wielu rzeczy. To jest wkład Solidarności w demokratyzację życia społecznego w kraju.

A: — Czy istnieją drogi wyjścia i jakie są realne ich szanse?

O: — To jest straszne pytanie, straszne, bo ciągle przychodzą do mnie ludzie i pytają: kiedy się to skończy i jak się to skończy? To jest pytanie, którego nie powinno się stawiać.

A: — Ale ja nie pytam kiedy, ani jak się to skończy. Pytam o realne szanse wyjścia.

O: — To by trzeba zapytać: wyjścia z czego? Ze stanu wojennego?

A: — Nie, wyjścia z kryzysu moralno-społeczno-politycznego i gospodarczego.

O: — Jeżeli już muszę na to odpowiedzieć, to zacznę od kryzysu gospodarczego. Nie widzę wyjścia w granicach zamknię-

tych systemem RWPG. Nikt nikomu nie jest w stanie pomóc, bo sam nie ma. Żeby ten kryzys jakoś rozwiązać czy przełamać i wyjść na swoje, trzeba wychylić się na Zachód. Jeżeli się czegoś nie ma, to trzeba iść tam, gdzie mają i trzeba zadbać o odpowiednie warunki, żeby się nam to opłacało. Wydaje mi się więc niezbędne wejście tu rynków zachodnich czy zachodniego sposobu gospodarowania, danie więc iniejątywie prywatnej pełnego zielonego światła, a nie migacza, który zapala się i gaśnie. To tak ogólnie, bo na sprawach gospodarki się nie znam... Tak samo mało się znam na sprawach politycznych, ale jest jedna rzecz, o której wszyscy wiemy, Zachód także wie. Nie mamy szans łatwo się pozbyć Wielkiego Brata, a może nigdy nie będziemy ich mieli w układach geopolitycznych, w jakich obecnie jesteśmy. Więc trzeba szukać sposobów współistnienia z tym Bratem i koalicją, do której jesteśmy włączeni. Ale z drugiej strony musi nastąpić i w ZSSR i u naszych sąsiadów jakaś zmiana na skutek dogadania się politycznego Zachodu ze Wschodem. Myślę o takim ułożeniu wzajemnych stosunków, wymuszonych na ZSSR przez Zachód, żeby stosunek do Polski czy do innych krajów obozu był bardziej liberalny, bardziej partnerski, żeby nie traktować tych krajów jak nowych sowieckich republik. Musiałoby się zatem zupełnie zmienić myślenie Zachodu i Wschodu, i wtedy byśmy się jakoś tutaj ostali. A tak, czy to będzie tak nazwane czy nie, stajemy się coraz bardziej jakąś tam republiką, bo jesteśmy coraz mocniej uzależnieni gospodarczo, ideologicznie i politycznie. Więcej o tej polityce nie nie umiem powiedzieć.

Natomiast kryzys moralny... Nigdy tak mocno nie była powiązana moralność z gospodarką i polityką. Sprawy zewnętrzne, polityczne i społeczne, czyli ta wielka orbita, wpływają na małe orbity osobowościowe, jednostkowe. Moralność jakoś zależy od warunków zewnętrznych. Potwierdzam w ten sposób marksistowską tezę. Nie chcę jednak potwierdzać żadnej tezy, tylko chcę powiedzieć, że łatwiej jest człowiekowi być dobrym, gdy mu nic nie dokucza, gdy nie spotyka się z sytuacjami krańcowymi. Po prostu człowiek może się nigdy o sobie nie dowiedzieć, kim naprawdę jest, jeżeli go nie spotka jakaś sytuacja graniczna. Niedawno natknąłem się przy lekturze Pisma Świętego na taką modlitwę: „Panie, nie daj mi głodu, bym Cię nie przeklinał; nie daj mi za dużo, bym o Tobie nie zapomniał”. W tym sensie mówię, że sprawy zewnętrzne, a więc gospodarcze i polityczne, wpływają na morale jednostki ludzkiej. Kryzys

moralny w Polsce polega chyba między innymi na rozbudowaniu pewnych zewnętrznych form religijności katolickiej z zaniechaniem np. w duszpasterstwie troski o chrześcijańskie wnętrze, zarówno gdy chodzi o postawę umysłową, jak i woli-tywną. Na kryzys moralny zwracano w Polsce uwagę już od dawna, kiedy statystyki wykazywały, że jesteśmy w czołowiec ludzi pijących alkohol, w czołowiec ludzi zabijających nienarodzone dzieci. W tym były nie tylko symptomy kryzysu, ale już się zaczynała tragedia. Wyjść z kryzysu moralnego można budując dobro w jednostkach, dobro każdego w sobie i trzeba mocno trwać przy Kościele. Przy Kościele jako nauczycielu współczesnym, nauczycielu wieków, nauczycielu narodów. Starać się być bardziej ludźmi, którzy nie tylko umieją słuchać Ojca św., gdy przyjedzie do Polski i mówi, ale jeszcze o tym, co mówi pamiętać. Bo przecież On dał maksymalny program odnowy moralnej.

A: — Czyż nie jest to prawdziwy twórca Solidarności? Czy w homiliach papieskich nie można by się doszukać, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej najważniejszych punktów Porozumienia Gdańskiego?

O: — Mało. On dał fundament dla Solidarności, bo przecież tam jest fundament chrześcijański, mimo że połowa chyba osób we władzach to są ludzie niewierzący.

A: — Ale chrześcijaństwo to przecież wartość ogólnoludzka, są to więc chyba wszyscy?

O: — Dlatego właśnie mówię o wypracowywaniu dobra przez jednostkę, o kształtowaniu świadomości i postawy chrześcijańskiej, a przez to wartości takich, jak ludzka godność, zachowanie praw, uszanowanie człowieka, prawo człowieka do wolności. Gdybyśmy umieli według tego żyć i wychowywać młode pokolenie, to byłaby to nie tylko recepta na wyjście z kryzysu moralnego, ale droga po prostu dla narodu jako mądrego narodu, dobrego narodu, daleka droga. Bo potem połączyłaby się tak właśnie wypracowana moralność i dobroć z gospodarką. Moralny człowiek na stanowisku będzie wzbogacał naród swoją pracą, a więc gospodarka będzie mogła się podnosić. Dzisiaj obserwujemy np. dużą demoralizację środowiska robotniczego, sprowokowaną sytuacją. Ludzie nie chcą pracować, choć nawet nie mają wielkich uzasadnień. Nie będą popierał komunizmu, mówią niektórzy, a kryje się pod tym zwykłe lenistwo. I tutaj nasi reżimowi panowie mają rację mówiąc, że nie jest to u wielu ludzi żadne działanie patriotyczne, tylko zwykłe nierób-

stwo. Doprowadzenie przez odnowę moralną do odpowiedzialności każdego za to, co robi i jak robi, uświadomienie, że robi to dla drugiego człowieka, to właśnie ma ogromny sens w kontakcie z Panem Bogiem, daje chrześcijaninowi najgłębsze uzasadnienie. Nawet niewierzący musi uznać, że jeżeli w działaniu znaleźć można głębsze uzasadnienie niż tylko relacja człowiek a człowiek, to podstawy przetrwania są silniejsze, czas owocowania dłuższy. A więc tą drogą chyba można będzie nie tylko wyjść z kryzysu, ale potem jakoś rządzić tym krajem, żeby to wszystko diabli nie wzięli.

A: — Konkludując, doszliśmy wspólnie do wniosku, że nie tylko należy manifestować pokojowo?

O: — No przecież, że nie. Nie tylko musiałem, ale chciałem bronić tych manifestacji. Z przeróżnych rozmów wiem, ile kosztowało wielu ludzi wyjście na ulicę. Mówili: nie wyjdę, bo to nie tędy droga, ale kiedy zobaczyłem przez okno tych ludzi tak godnie maszerujących i śpiewających, nie mogłem się do nich nie dołączyć. To mówiła starsza osoba, która wcześniej swojej córce, dorosłej, młodej osobie, powiedziała: nie pójdziesz. Oczywiście, ona poszła. Jeżeli więc formuje się taka piękna, godna manifestacja, to nie można powiedzieć, że to nie ma sensu, że to jest na „nie” i że to jest to tylko, do czego jesteśmy zdolni. To chyba jednak jest wielka sprawa.

Pamiętam taką rzecz z mojej młodości, proszę sobie pomyśleć, ile to lat. W czasach stalinowskich problemy wiary były tabu. Mówiło się, że jest to sprawa czysto osobista, a do tego jeszcze człowiek współczesny nie wierzy, bo to jest zacofanie. Swojej wiary broniłem w ten sposób, że byłem wierny moim zasadom, mojej religii, Chrystusowi, ale nikt o tym nie wiedział. Nie było komu powiedzieć, a przede wszystkim nie było pokarmu z zewnątrz, żeby tę swoją wierność umacniać. I kiedyś zrobiono nam spotkanie na Jasnej Górze. Już sama oprawa była tajemnicza: ponieważ organizować takich rzeczy nie było można, trzeba było jechać pojedynczo. Miało to dodatkowy urok dla młodego człowieka. I tam zobaczyłem siebie w masie ludzi, którzy myśleli tak samo jak ja. Było to odkrycie, że w Polsce jest tak wielu ludzi głęboko wierzących, modlących się w ciszy, przy ołtarzu, i pięknie formułujących modlitwy. I chociaż byłem trochę zagubiony, bo przyjechałem z małego miasteczka, promieniałem ze szczęścia. Pamiętam, później, jak kiedyś dyrektor kazał mi wyciągnąć wszystko z kieszeni, bo jakąś rewizję robili. Wyciągnąłem różaniec i nic się nie bałem. A nie wiem,

czy przedtem umiałbym pokazać ten różaniec, bo to moja prywatna sprawa i nie ma się co afiszować. A na tamtym spotkaniu zrozumiałem, że to nie jest moja prywatna sprawa i poczułem się silny. Dlaczego o tym teraz wspominam? W maju była u nas kopia obrazu Matki Bożej i jeden dzień przeznaczono dla młodzieży średniej. Przyjechało ich ogromnie dużo i nagle zrozumiałem, że oni tu przyjechali umocnić swoją wiarę i upewnić się, że dzisiaj wierzyć nie jest ani źle, ani głupio, ani niewspółcześnie. Byli siłą. I tę siłę może chcieli sobie uświadomić i nawzajem przekazać. Podobnie się chyba działo z młodzieżą i starszymi, gdy wyszli na tę manifestację. Będąc razem poczuli się godnie, solidarnie. Dawali świadectwo zomowcom, żołnierzom, milicjantom i nieumundurowanym tajniakom — jesteśmy. Przecież to, co ci funkcjonariusze mówią w tych komisariatach, czy urzędach służby bezpieczeństwa, a sądzę, że jak mówią tak i myślą, to przechodzi ludzkie wyobrażenie i nie mieści się w głowie. Np., że Solidarność to jest nic, bo tam jest Michnik, Kuroń, kilku wariatów i tyle. To tego się boicie, zapytałem trzech ludzi? Zamknijcie, osądźcie i po problemie. A przedtem ten sam człowiek mówił, że Solidarność stworzyła takie zagrożenie, że trzeba było ogłosić stan wojenny. Takie nonsensy. Zupełna kalka dziennika TV. Oni się tym karmią.

A: — Mówiąc o manifestacjach w tej chwili — podkreślam: w tej chwili — musimy pamiętać, czym one grożą. Nie ma już manifestacji spokojnej, bo władza do takiej manifestacji nie dopuści. Marsz pokoju może przejść przez całą Europę, nawet przeszedł ulicami Moskwy, a Polakom w ich własnym kraju nie wolno pokojowo manifestować. Obecny sposób reakcji społeczeństwa na akcję władzy uważam za odzew, a ten sposób wyrażania protestu za błąd, bo potęguje on represje, a na tym nam chyba nie powinno zależeć.

O: — Myślę, że trzeba rozważyć dwa etapy. Groźba potęgujących się represji powinna teraz wpłynąć na zmniejszenie ilości tych manifestacji czy nawet całkowite zaniechanie ich w drugim etapie, troszeczkę później. Natomiast na samym początku było to bardzo spontaniczne i nie łączyło się wtedy z takim ryzykiem. Milicjanci nie byli wtedy jeszcze tacy aktywni.

A: — Od samego początku otrzymywaliśmy z różnych miast informacje od osób wiarygodnych, bezpośrednich uczestników zajęć, nawet od księży i zakonnic, jak wszystko przesiane było prowokatorami. Prowokatorzy byli w kościele, wyciągali młodzież ogłaszając jakieś zbiórki. Widać było, jak milicja łapała

jakichś cywilów, którzy uwalniali się pokazując legitymacje służby bezpieczeństwa. Jeżeli to wszystko wiemy, to uważam za niemoralne i nieodpowiedzialne utrzymywanie młodzieży w przekonaniu, że robi słusznie.

O: — Teraz dopiero rozumiem. Oczywiście, gdybym był programatorem pewnego działania społecznego, gdybym miał możliwość społeczeństwem kierować, stymulować to nie kładłbym nacisku i nie stawiałbym za pierwsze zadanie: idziemy wtedy a wtedy, albo: każdego 13-go składamy kwiaty. Skoro pobito tyłu a tyłu ludzi, trzeba powiedzieć: dość! Nie idziemy, nie składamy! Bo to jest przecież narażanie, a wiadomo czego potrzeba władzy. W pewnych sytuacjach władza potrzebowała tych manifestacji, żeby powiedzieć, że jest anarchia i trzeba przykręcić śrubę. Tak, z tym się zgadzam, ale nie zgadzam się na potępienie tych, którzy wychodzili manifestować. Jednym z czynników postawy powinno być dawanie świadectwa swoim myślom, swoim uczuciom. Nie podkreślam pierwszorzędnej wagi manifestacji, ale myślę o dawaniu świadectwa. I tak absolutnie wszyscy księża nie powinni pozwolić społeczeństwu zapomnieć o tych, którzy ponieśli ofiary najcięższe. Nie wolno zapomnieć, że jest stan wojenny, że są represje, że są cierpienia, że dzieje się ogromna krzywda ludziom i to przez nich niezawiniona. To jest dawanie świadectwa: nie zapominać o tym, co się dzieje i jak się dzieje. I o tym, co jest sprawiedliwe i demokratyczne. I że o to trzeba, okazuje się — walczyć. Jeśli nie wywalczymy, to nie będziemy mieć. A czy wyjdziemy na manifestację? Jeżeli okaże się, że można spokojnie manifestować, to oczywiście. Ale jeżeli potem będziemy mieli pełne „suki” dowożonych i maltretowanych na komisariatach czy gdzie indziej, no to nie można.

A: — A bojkot radia i TV stosowany przez środowiska twórcze?

O: — To jest kij, który ma dwa końce. Pokazuje wspaniałość, odważną postawę twórców, ale z drugiej strony my, szarzy odbiorcy programu telewizyjnego czy radiowego, musimy zadowalać się jakąś miernotą. Okazuje się jednak, że telewizor nie jest do szczęścia potrzebny i kiedy pokazują jakieś głupstwo, zamykamy bez żalu i nie czujemy, że jesteśmy przez to ubożsi. Uważam ten bojkot za coś fantastycznego, bo okazało się, że świat kulturalny nie popiera WRONy. To było chyba potrzebne robotnikom i ludziom z innych kręgów.

A: — A na zakończenie rozmowy: co jeszcze niepokoi albo leży na sercu?

O: — Męczy mnie to, że Kościół, że Kościół jako hierarchia nie jest jednoznacznie ustosunkowany do stanu wojennego. Nie można powiedzieć, żeby Kościół to akceptował, nie, ale — nie krzywdąc tych, którzy siedzą w wysokich czapkach — trzeba powiedzieć, że Kościół dołów, to znaczy społeczeństwo katolickie oczekuje większego zainteresowania dla robotników, chłopów i inteligentów, tych wszystkich, którzy przede wszystkim cierpią. A tego, uważam, było za mało.

A: — W czym za mało?

O: — Za mało mi było w dawaniu świadectwa społecznego. Nie było żadnego programu, który polecałby wziąć pod opiekę tych skrzywdzonych ludzi. Czy pani wie, że wszystkie komisje charytatywne powstały z oddolnego ruchu ludzi, i to nie zawsze katolików, nie zawsze ludzi wierzących, czasami, w niektórych większość była niewierzących. W pewnych diecezjach księża, którzy cokolwiek powiedzieli o tej krzywdzie, dostali po uszach od swoich ordynariuszy. Wiem to. Znam takie diecezje. Wiem jeszcze i to, że kłody, a jeśli nie kłody to dość duże przeszkody czy utrudnienia stwarza organizacja diecezjalna czy kurialna, tym ludziom, którzy naprawdę spontanicznie, dobrowolnie, bez płacenia im za to, poświęcają swój czas, swoje serce, swoje siły i mimo wszystko wykonują to, co trzeba. Uważam, że ci ludzie tam na górze nie byli zdolni od razu chwycić w swoje ręce pomocy dla skrzywdzonych. A to powinno być od razu.

A: — W Warszawie pomoc powstała natychmiast, potem, o ile wiem, we Wrocławiu. Trudno mi powiedzieć, jak szybko powstawały te komitety w miastach wojewódzkich, ale wiem też, że w Krakowie komitet taki działa znakomicie. No, co do Kościoła, to rzeczywiście nie był do tego przygotowany, ale jest nadal nieprzygotowany do wielu innych zadań, jakie na niego spadły.

O: — Ale Kościół ma bronić skrzywdzonych, biednych, uciśnionych, cierpiących.

A: — Czyżby tego nie robił? Wywiązuje się chyba jak umie najlepiej. Nie ma personelu, nie może do tej pracy przeznaczyć księży, bo księży brakuje.

O: — Nie księży, bo Kościół to nie księża. Kierunek tych prac jest odwrotny: to ludzie przyszli do Kościoła i ofiarowali swój czas, a mogli przecież pójść pod inne skrzydła, do PCK i tam zacząć jakąś taką pomoc. Ale oni czuli, że trzeba tutaj i czasem doznawali zawodu. Proszę wziąć diecezję poznańską, żeby już konkretnie. Cokolwiek się robi w tej materii, to poza

ordynariuszem. Robią to dominikanie i to — w ukryciu. Wiem, bo jeździmy tam w sprawach ludzi uwieczonych. Trudno dostać się do kurii, a jeśli już się wejdzie, to rozmawiać na ten temat nie chcą.

A: — Kościół czy duchowieństwo to przecież ludzie, a ludzie są różni.

O: — Tak, ale ja mówię o hierarchii, że ona powinna stać na czele wiernych i ogłosić momentalnie, że w sytuacji, jaka jest robimy to a to. Kto chce, niech się zgłosi.

A: — Tak jak władza państwa, tak i hierarchia kościelna jest widocznie źle informowana i złymi otacza się ludźmi.

O: — No, to doszliśmy do źródeł.

A: — Ale mimo to trudno nie docenić ogromu pomocy, jaka płynie drogami kościelnymi, prawda?

O: — To, co się dzieje naprawdę jest fajne. W życiu Kościoła jest tak, że jak jest niby źle, to okazuje się, że to jest dla Kościoła dobrze. Nie ma co się tak bać, że przestaniemy być partnerem do rozmów z władzą. Bo partia, jeżeli okrzepnie, to takiego da kopa Kościołowi, jak nigdy. A jeżeli Kościół okrzepnie i tak ludzi zmobilizuje, że będą w nim czynnie uczestniczyć, to zawsze będzie wartością i siłą. Hierarchia nie musi się bać, że Kościół straci możliwość jakiegokolwiek działania w tym kraju, gdy rząd nie będzie się z nim liczył.

A: — Wypada chyba zakończyć tę rozmowę apelem do społeczeństwa o rozwagę, a do hierarchii kościelnej o odwagę.

RHO

Alfa: — Czy wprowadzenie stanu wojennego było dla Pana zaskoczeniem?

Rho: — Kiedy włączyłem radio i usłyszałem o ogłoszeniu stanu wojennego, byłem zaszokowany. Uważałem, że została popełniona jakaś zbrodnia na narodzie. Chwilami jeszcze wydawało mi się, że jest to niemożliwe, że to się jednak nie stało, i dalej myślę, że tego nie wolno było zrobić w żadnym wypadku. Nikt nie dał tym ludziom prawa, żeby tak postępować...

A: — Jak Pan ocenia okres działania Solidarności?

R: — Myślę, że wszystko szło w dobrym kierunku. Rząd celowo robił zamieszanie, żeby doprowadzić właśnie do tego, co 13 grudnia uczynił. Oni już byli przygotowani wcześniej i prawdopodobnie w marcu, przy Bydgoszczy chcieli to zrobić, wykorzystać tamtą sytuację. Taka jest powszechna opinia. Co więcej, wśród moich znajomych i kolegów panuje przekonanie, że szkoda iż reakcja nie nastąpiła w marcu, bo wtedy byliby chyba nie wygrali. Ustępstwo Wałęsy spowodowało, że władza uzyskała przewagę.

A: — A pamięta Pan, jak nas wtedy straszono rozlewem krwi, wojskiem sowieckim? Czy w Komisji Krajowej nie brano właśnie tego pod uwagę?

R: — Związek Sowiecki miał wtedy trudną sytuację międzynarodową i kto wie, czy byłby się zdecydował. A poza tym jak wróg to wróg, niech będzie oficjalny wróg, jeśli by doszło do wkroczenia.

A: — Czy uważa Pan, że ta groźba istnieje dalej?

R: — Myślę, że tak.

A: — Czy należy wobec tego dążyć do konfrontacji z władzą, żeby to wreszcie nastąpiło?

R: — Nie, powinno się w ogóle zacząć działać innymi metodami. Nawet i w poprzednim okresie. Zbyt jawnie określaliśmy swoje stanowisko. Po prostu zbyt ucziwie, a trzeba było przyjąć metodę przeciwnika, bo z ludźmi fałszywymi nie można postępować inaczej. Po prostu teraz trzeba cofnąć się i zmienić taktykę.

A: — Czy Pan był członkiem Solidarności?

R: — Byłem.

A: — A jakie wiązał Pan nadzieje z tym ruchem?

R: — Liczyłem na to, że ta władza padnie i że naród będzie mógł wybrać naprawdę swoich przedstawicieli. Po prostu powiem szczerze — raczej ze względów politycznych, a nie związkowych.

A: — Czy Pan sobie w ogóle wyobraża rozwiązanie problemu związkowego po ogłoszeniu przez sejm ustawy o związkach, a jeżeli tak, to w jaki sposób?

R: — Przecież to nie będą żadne związki zawodowe. Z tego, co wczoraj mówił Rakowski wynikało raczej, że będą to jakies rady zakładowe, a nie związki. Z takim związkiem na szczeblu przedsiębiorstwa można wszystko zrobić. Nie ma nic do powiedzenia. Będzie tylko partnerem dla dyrektora, bo będzie mu napędzał ludzi do roboty, do czynów społecznych, a nie do współzarządzania.

A: — Jak według Pana powinno się zachowywać społeczeństwo wobec wydarzeń, które — jak wszystko na to wskazuje, chociaż nikt nie wie tego na pewno — są inspirowane przez różnej maści organa ucisku czy porządku, jak kto woli to nazwać.

R: — Społeczeństwo nie powinno ulegać prowokacjom, ale to jest sprawa trudna. Obawiam się, i tak też myślą moi koledzy, że dojdzie do jakiejś sytuacji niekontrolowanej, której nikt nie jest w stanie przewidzieć, nawet ci, którzy prowokacje będą organizowali. I może się to dla nich skończyć źle, bo zanim przyjaciele im pomogą, już ich nie będzie.

A: — Wierzy Pan w gniew ludu?

R: — Wierzę. I on przybiera na sile.

A: — Czy z tego należy się cieszyć? Gniew ludu, podobnie jak tłum — bywa niekontrolowalny.

R: — Ja się z tego nie cieszę i nie oceniam tego pozytywnie, ale wydaje mi się, że do tego dojdzie.

A: — A czy należy do tego zwarcia dopuścić?

R: — Władze robią wszystko, żeby do niego doszło. Może nawet nieświadomie, ale same do tego doprowadzają. Mnie się wydaje, że tak jak nie mogliśmy przewidzieć, że w Sierpniu 1980 roku strajki mogą ogarnąć całą Polskę, tak i teraz może do czegoś takiego też dojść.

A: — W organizowanych demonstracjach typu pokojowego, które od jakiegoś czasu stają się regularnymi potyczkami milicji i ZOMO z bezbronnymi ludźmi, największy udział ma młodzież. Co robić, by tych młodych ludzi uchronić przed pałką, gazem czy kulą z jednej strony, a przed wyrzutami natury moralnej, gdy nie popierają tego rodzaju protestów, z drugiej?

R: — Mam syna, już dorosłego, pracującego, ale gdybym miał takiego 14-letniego czy 15-letniego, starałbym się go skłonić, by nie brał udziału. Z tym, że przedstawiałbym mu rzetelnie, jak to wygląda i dlaczego musi przeczekać.

A: — Ale muszą być jednak i tacy, którzy zaświadczą o nieakceptacji. Czy wśród Pana znajomych i kolegów są ludzie przeciwni tego rodzaju manifestacjom?

R: — Tylko jednostki. Większość uważa, że jest to postępowanie słuszne, zgodne z ich odczuciami. Jeśli ktoś nie bierze udziału, to najczęściej dlatego, że nie pozwala mu na to sytuacja rodzinna, poczucie odpowiedzialności za małe dzieci czy kogoś chorego. Jeżeli natomiast ktoś działa w tym względzie hamująco, wzbudza podejrzenie, że poszedł na współpracę, albo że go zastraszone do tego stopnia, że myśli inaczej niż społeczeństwo.

A: — A czy ci młodzi, których Pan zna i którzy wychodzą manifestować wiedzą, dlaczego to robią?

R: — Mnie się wydaje, że młodzież bardziej odczuwa niesprawiedliwość niż dorośli. I to jest chyba przyczyna tych manifestacji. Np. mój znajomy opowiadał mi, że nie wie jak swojego syna odwieść od tego rodzaju protestów. Kiedy starał się pewne rzeczy mu wyjaśnić i naświetlić, chłopak powiedział po prostu: „Zobaczysz tato, że oni będą wisieć stąd aż do Warszawy”. Bo młodzież jest ostra, porywcza.

A: — Nie wiem, czy gdyby tak przyszło co do czego, Polacy zrealizowaliby swoje porywcze obietnice. Polacy szybko wybaczą, zapominają. Nie wiem nawet, czy nie za szybko. Nie wiem też, czy gdyby tak zniesiono kartki, zapełniono półki sklepowe — czy ludzie by się nie uspokoili.

R: — Może chwilowo, ale później znów by się zaczęło, bo

ludziom chodzi przede wszystkim o wolność, osobistą i narodową.

A: — Na jak długo przewiduje Pan stan wojenny?

R: — Trudno powiedzieć. Większość wypowiada się, że nie wie ani jak, ani kiedy się to zakończy. Część oczekuje, że może nastąpić wojna, reszta, można powiedzieć większość, nie ma na ten temat swego zdania.

A: — A jak Pan myśli: należy sobie życzyć wojny?

R: — Wojna byłaby ostatecznością, ale ja osobiście jestem przeciwko wojnie i uważam, że można to rozładować bez wojny.

A: — Co by zatem musiało nastąpić?

R: — Sądzę, że cały nasz obóz państw socjalistycznych przechodzi ewolucję. My, Polacy, jesteśmy na początku, może najbardziej w przodzie tej ewolucji. Ale za nami pójdą inni. Tak być musi, bo to wszystko nie jest naturalne, a wszystko, co nienaturalne, musi zginąć.

A: — Ma Pan rację, że coś ewoluuje, bo na Węgry wkroczyli Rosjanie, do Czechosłowacji przyjaciele z obozu socjalistycznego razem z nami, a do nas niby nikt nie wkroczył. Wkroczyliśmy sami do siebie, stawiając Polaka przeciwko Polakowi. Czy to lepiej, czy gorzej?

R: — Jeżeli sięgniemy pamięcią dalej, to jednak ewolucja jest na plus. Weźmy okres stalinowski. Coś się od tego czasu jednak zmieniło: czy w okresie stalinowskim byłaby do pomyslenia Solidarność? To nie powstało w ciągu jednego dnia, ale narastało, narastało i wyraziło w ten właśnie sposób ludzkie marzenia. I władza długo zbierała siły, żeby się temu przeciwstawić. Myślę, że u naszych przyjaciół też coś się dzieje. Tylko, że tam jest trudniej, bardziej takie ruchy tępią, ale mimo to pojedyncze sprzeciwy też są. Myślę też, że w Związku Sowieckim przyjdą kłopoty wewnętrzne, tak że i nami przestaną się zajmować.

A: — A czy nie sądzi Pan, że kłopoty, i to jak Pan mówi wewnętrzne, mogą być powodem rozpoczęcia przez Związek Sowiecki wojny światowej?

R: — Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że na tyle to oni naiwni nie są, bo wiedzą, że by tę wojnę przegrali. Dlatego myślę, że wiedząc o tym, skłonni będą raczej do jakichś ustępstw, do jakiejś ugody. Do tej pory dużo winy ponosi Zachód, bo im pozwalał na rozszerzanie wpływów. W tej chwili zdaje mi się, że Zachód wreszcie przejrzał. Restrykcje Reagana uważam za potrzebne, chociaż bezsprzecznie nas to bardzo dotyka i nasza stopa życiowa znacznie się przez to obni-

za. Ale jestem za znacznie ostrzejszymi sankcjami. Skoro ma być kiedyś lepiej, musi być kiedyś też i gorzej.

A: — A jak Pan ocenia rolę Kościoła?

R: — Uważam, że Kościół powinien głosić prawdę, nie może nie widzieć tego zła, które się szerzy. I jak dotąd Kościół wywiązuje się z tej swojej roli, z tego swego zadania. Od przyjazdu Papieża aż do wybuchu Solidarności obserwować można było coraz większy zwrot ludzi ku Kościołowi.

A: — Czy uważa Pan, że był to powrót do źródeł wiary, czy szukanie w religii innych nadziei?

R: — Jedno i drugie. I nadzieja większej swobody i nawrót religijności. Dużo ludzi nie wgłębiało się w siebie, a dopiero później nastąpiło jakieś oprzytomnienie. Bardzo w tym duża zasługa Papieża.

A: — A jak Pan ocenia Polaków pod względem pracy?

R: — Pracujemy źle, ale w tej sytuacji trudno twierdzić, że jest to wina narodu. W tej chwili ludzie faktycznie nie pracują i nie chcą pracować, bo uważają, że się pracuje dla obcego, na swoją szkodę. Takie jest powszechne mniemanie i dlatego trudno oceniać dziś naszą pracowitość. Bo skoro Polacy jeżdżą za granicę, tam pracują i uważani są za pracowitych, to myślę, że i w kraju też byliby pracowici, gdyby byli rzetelnie oceniani i wiedzieli, że pracują dla siebie.

A: — Czy nie można podnieść rangi pracy nawet w tych warunkach, w jakich żyjemy? A wtedy efekty musiałyby być chyba inne?

R: — Jest powszechne mniemanie, że korzyści z tego płynące nie pójdą dla nas. Może to być przeświadczenie częściowo fałszywe, ale takie jest. I to jest właśnie przyczyną złej pracy.

A: — Proszę Pana, jeśli więc będziemy pracować źle, produkować mało i drogo, to nie może być towaru dużo, taniego i dobrego. Jak wobec tego wyjść z tego zakłętego koła kryzysu polskiego?

R: — Te władze nie wyjdą z tego i nie wierzę, żeby były w stanie pociągnąć naród do pracy. Polacy chcą pracować, ale chcą też coś mieć za tę pracę.

A: — Drugą klęską, która dotknęła Polaków jest alkoholizm. Ta sama władza, której nawoływań do pracy Polacy nie słuchają, produkuje nieprzeliczone ilości litrów alkoholu. I tu Polacy są władzy powolni. Wykupują wszystko, domagają się zniesienia kartek właśnie na alkohol, pomagają władzy w ubezwłasnowolnieniu narodu. Dlaczego?

R: — Sądzę, że ludzie szukają pewnego zapomnienia. Nie mogą niczego zdobyć. Nie można powiedzieć, że wszyscy Polacy piją nagminnie. Są tacy, co wypijają większe ilości i tę statystykę podwyższają.

A: — Chyba jednak tak nie jest. W domu polskim, jak otworzy się butelkę, to trzeba ją wypić do dna. Jeśli Pan odmówi, to posądżają Pana, że albo Pan nimi gardzi, albo ma się za kogoś lepszego. Tego, że Pan jest chory, że Pan pić nie lubi, nie przyjmują po prostu do wiadomości. Panuje jakaś niezdrowa presja społeczna, a narodem pijanym bardzo łatwo jest rządzić, prawda?

R: — Tak, jest coś takiego, takie przymuszanie jest.

A: — Czy nie sądzi Pan, że forma protestu społecznego powinna ukierunkować się raczej na tego rodzaju bojkot?

R: — Wydaje mi się, że ogromną rolę może w tym względzie odegrać Kościół, ale jest to rzeczywiście bardzo trudna sprawa. Niełatwo znaleźć receptę.

A: — Nie chodzi o receptę, ale o to, by zastanowić się nad stanem rozpicia Polaków. Wódka jest dzisiaj towarem, za który wszystko można kupić. W czasie okupacji Niemcy za dostarczony kontyngent płacili wódką, za kopanie rowów dawali wódkę, i nasz rząd też karmi nas przede wszystkim wódką. Jest to towar, którego nie brakuje. Ekipy, które szły bić studentów w 1968 roku dostawały kanapki z szynką i wódkę. Teraz ZOMO rozgrzewano wódką. Czy społeczeństwo nie powinno jakoś się przed tym bronić?

R: — Ma Pani rację, Kościół, o którym wspomniałem, powinien mieć w tej pracy sojuszników. Nie wiem, czy ich ma i czy się o nich w jakiś sposób stara, bo nie wystarczy powiedzieć z ambony: „nie pijcie”, trzeba jeszcze pokazać, jakie to przynosi skutki społeczne.

A: — Nie wiem, czy się Pan orientuje, że produkcja alkoholu daje gigantyczne zyski. 10 lat temu wyprodukowanie 1 litra czystego spirytusu kosztowało 25 zł. Czy zdaje Pan sobie sprawę, ilu ZOMO-wców, urzędników służby bezpieczeństwa i innego aparatu ucisku można opłacić za te pieniądze? I to trzeba ludziom powiedzieć, i nie z ambony, ale kolega koledze, ojciec synowi, brat bratu, sąsiad sąsiadowi.

R: — Ma Pani zupełną rację, to jest też forma oporu przeciwko władzy, która nam każe w czynie społecznym budować szpitale, a sama za nasze pieniądze z „monopolówki” hoduje aparat ucisku, który bije nasze dzieci, dla których potem potrzebne są te szpitale.

A: — Bo wie Pan, czasem w tej negatywnej, bezsprzecznie słusznej ocenie władzy, która ani nie jest z narodem ani temu narodowi nie służy, a jest przeciwko narodowi, zapominamy o własnych słabościach, które tej władzy pomagają bardziej, aniżeli jej szkodzą podejmowane często akty protestu. Idziemy za porywem serca, za chwilą, narażamy siebie i innych na różnego rodzaju represje, które wynikają z naszego zaangażowania. Brakuje nam chłodnej oceny posunięć przeciwnika. Przecież było oczywiste, że cała telewizyjna propaganda prowadzona na tydzień czy więcej przed każdą akcją zapowiedzianą przez Solidarność miała na celu zdenerwowanie społeczeństwa i wyprowadzenie tłumów na ulicę. Na kimś trzeba wypróbować te japońskie gazy zakupione za dolary!

R: — Przyznaję Pani rację. Coraz częściej ludzie się nad tym zastanawiają. Ale, z drugiej strony czują się tak obrażeni, że trudno się dziwić takiej właśnie ich reakcji.

A: — Także co do pracy posprzeczaląbym się trochę z Panem. Uważam, że jeśli nie zmienimy stosunku do pracy i własności społecznej, to jeśli nawet coś się w tym kraju zmieni, nikt nie będzie umiał nagle dobrze pracować i nagle nie przestanie kraść. Myślę, że właśnie w tych sprawach mamy dużo rzeczy do zrobienia. A co Pan o tym sądzi?

R: — Ale to jest chyba najtrudniejsze. Łatwiej wyjść na ulicę, bo to o czym Pani mówi trzeba rozłożyć na lata.

A: — Tak, to jest praca długofalowa, natomiast ekscesy, których dopuszcza się władza na manifestantach mogą społeczeństwo zmęczyć. A jak już poza tym nic nie będzie, to bardzo łatwo społeczeństwo uspić, a do tego nie wolno dopuścić. A jaki jest nastrój w Pana zakładzie pracy?

R: — Ludzie pracują. Robią to, co muszą. Wystarczy byle przyczyna i robotnik pracę przerywa. Nie stara się sam usunąć usterki, bo to, jak mówi, do niego nie należy. Ludzie ponadto mówią, że jeżeli zostanie zatwierdzona przez sejm ustawa o związkach zawodowych, to w poniedziałek wychodzą na ulicę, by zaprotestować. Nie wiem, czy to coś da, raczej myślę, że nie. A giną ludzie najbardziej wartościowi, odważni i to ich szkoda. Ale nie sądzę, byśmy się mogli uchronić przed tego rodzaju akcjami protestu. Zbyt duże jest rozgoryczenie i musi ono znaleźć jakieś ujście. Mimo wszystko wydaje mi się, że jest w tym jakaś opatrność. Są rzeczy, które trudno wytłumaczyć w sposób naturalny. Chociażby sam wybór Papieża. Przecież trudno się nie dziwić, że właśnie w takim okresie i właśnie Polak został

wybrany na stolicę Piotra. I jak to się jeszcze dzieje! Wybrany jest Jan Paweł I i w krótkim czasie, po kilku tygodniach, umiera, żeby jeszcze bardziej zwrócić uwagę na znaczenie i dramatyzm tego drugiego wyboru. Zostaje wybrany Polak. Następna sprawa Solidarność. Też trudno wytłumaczyć to w sposób naturalny, bo ani czegoś takiego nie było nigdzie na świecie, ani nie było organizowane, powstało spontanicznie, w ustroju, który niszczy wszystko, łącznie z ludzką godnością. I mimo tych 35 czy 37 lat usilnego starania władzy godność ludzka odrodziła się w jednym niemal dniu; to było coś niewyobrażalnego. Dalej — zamach na Papieża. Jakby był po to, ażeby zwrócić oczy całego świata na Rzym. I Papież żyje, mimo że powinien był umrzeć, bo został przecież tak raniony. Tak samo liczę, że będzie się coś takiego działo, czego nikt nie przewidzi, a stanie się.

A: — Dziękuję Panu za tę nadzieję.

SIGMA

Alfa: — Jaki jest stopień nasilenia procesów wynikających z naruszenia dekretu o stanie wojennym?

Sigma: — W wymiarze sprawiedliwości zmieniała się sprawa jakościowo. Mamy sprawy doraźne i wszystkie inne z dekretu z 12 grudnia. Przed wprowadzeniem stanu wojennego nie było tego typu procesów w ogóle od roku 1968. Pojawiły się dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego, a w ciągu tego czasu były procesami wyjątkowymi. Obecnie istnieją permanentnie. Jedne się kończą, zaczynają się następne. Poszerza się krąg osób sądzonych z tego dekretu, a jeśli chodzi o wyroki, to najsurowsze zapadały w styczniu i lutym, później była — moim zdaniem — tendencja do łagodzenia, a teraz się znów zaostrza, z tym, że bardzo często zaostrzenie jest wynikiem zmiany wymiaru kary w Sądzie Najwyższym w Warszawie, w drugiej instancji, w trybie rewizji zwyczajnej bądź nadzwyczajnej. Tam kary zaostrza się zdecydowanie.

A: — Kim są oskarżeni i w jakim są wieku?

S: — Raczej młodzi, ale nie wyłącznie. No tak powyżej dwudziestu na pewno, bo poniżej to są najczęściej „zajścia uliczne”. W procesach, o których mówię oskarżeni mają dwadzieścia kilka, trzydzieści kilka, czterdzieści kilka lat, pracują lub studiują. Nie miałam ani jednego niepracującego, ani jednego tak zwanego pasożyta. Ani jednego.

A: — A o co tych ludzi najczęściej się oskarża?

S: — Oskarża się ich z paragrafu 46 o działalność związkową, z paragrafu 48 o druki, ulotki, drukarnie itd., ewentualnie z paragrafu 50, na kolegium do spraw wykroczeń, o nieopuszczenie zbiegowiska, wywoływanie zajść ulicznych. Wszystkie te paragrafy są z dekretu o stanie wojennym.

A: — Jakie wymierza się najsurowsze kary no i jakie grzywny?

S: — Jeśli chodzi o pozbawienie wolności, to w moich procesach najsurowszymi wyrokami były trzy, cztery lata. W innych słyszałam o pięciu latach. A grzywny obecnie 20 albo 25 tysięcy zł, poprzednio 8 tysięcy, a do czerwca tego roku kwoty były jeszcze mniejsze.

A: — Czy Pani zdaniem zastosowany system kar odnosi skutek, to znaczy czy wpływa zastraszająco, a tym samym uspokajająco na resztę społeczeństwa?

S: — Nie mogę się jednoznacznie wypowiedzieć, ale w zasadzie wydaje mi się, że surowość sankcji nie powoduje oczekiwanych skutków. Nie przekonuje do władzy, nie zniechęca do oporu.

A: — Czy przeważa tryb doraźny czy zwykły?

S: — Wydaje mi się, że do tej pory było mniej spraw w trybie doraźnym niż zwykłym. Nawet na pewno, bo tam są bardzo krótkie terminy, niewygodne również dla strony oskarżycielskiej. Trzeba w ciągu 15 dni zrobić akt oskarżenia, względnie za zgodą prokuratora nadrzędnego w ciągu 30 dni — to jest bardzo krótki okres. Potem też są krótkie terminy w toku postępowania. W niektórych wypadkach, np. w przypadku podejrzenia o chorobę psychiczną, nie można stosować trybu doraźnego, w związku z czym wiele spraw, zaczynanych w trybie doraźnym, przechodzi na tryb zwykły. I na pewno tych było więcej. Natomiast teraz, w ostatnim okresie, znowu nasilają się tryby doraźne, głównie po wypadkach 31 sierpnia.

A: — A jeśli chodzi o kolegia, czy jest ich dużo?

S: — Bardzo dużo, to jest masówka.

A: — Czy występując w obronie oskarżonego ma Pani przekonanie, że sąd będzie się liczył z Pani argumentacją?

S: — Nie zawsze można do swojej tezy obrończej przekonać sąd w pełni, ale zawsze można pomóc. Jestem zdania, że przy dużej staranności i obowiązkowości można pomóc. Dlatego moi przyjaciele i ja staramy się robić to możliwie najsolidniej, w miarę sił, a nieraz ponad siły. Są to sprawy bardzo trudne, ale nie są beznadziejne. Mimo całej surowości sądów i bezwzględności dekretu można zawsze pomóc, jeśli nie zmniejszeniem kary, to przynajmniej moralnie, i to nieraz bardzo.

A: — Jak rysuje się Pani rozwiązanie problemu związków zawodowych?

S: — Nie mam pojęcia, jak to będzie wyglądało w praktyce i czy będą to związki bojkotowane, czy też związki, które robotnicy będą chcieli uczynić jakoś ludzkimi, znośnymi. Nie ma jednak większego znaczenia to, co się nam wydaje. Decyduje wielkoprzemysłowa klasa robotnicza i oni tutaj mają głos, a nie inteligencja, która tylko może patrzeć na to wszystko. Oni są siłą, a nie my.

A: — A co Pani myśli o pokojowych manifestacjach?

S: — Nie umiem powiedzieć, czy to ma sens; nie wiem też, co powinno robić społeczeństwo; nie wiem czy to jest żywioł, czy jest to organizowane. Ja mogę powiedzieć, że każdy z nas do jakichś obowiązków się poczuwa i powinien je spełniać jak najlepiej, nie z myślą o sobie, a o innych. Naprawdę, czy taki, czy inny kształt przybierze cały ten spór społeczny, to nie my będziemy decydować. My możemy zgadywać. Chcielibyśmy wszyscy, żeby się oszczędziło ofiar, na pewno. Z drugiej strony jest na to odpowiedź, że jeśli będzie się tak bardzo oszczędzać ofiar, to się poniesie wielkie szkody w zakresie moralności społecznej, w zakresie duchowym, i zmarnotrawi się bezcenny kapitał nzebierany przez te dwa lata. Że to też jest jakiś skarb narodowy. Problem wyboru wartości, które należy ratować jest więc ogromny. Wszystkie układy są niestabilne — społeczne, polityczne. Zwłaszcza u nas są niestabilne. Przecież za naszego życia wielokrotnie się to przekształcało w przeróżny sposób i dziś głoszone prawdy po dwóch latach są już nieaktualne. Raz jest bardzo mądry Gierek, przedtem był mądry Gomułka, teraz znowu ktoś inny chce nas ocalić, to są ciągle układy niestabilne. Czy którykolwiek z tych układów pozwoli polepszyć sytuację ogólną, nie wiem, ale wierzę, że tak.

A: — A jak długo Pani zdaniem może trwać ta dziwna wojna?

S: — Ach, nie mam pojęcia, skąd ja to mogę wiedzieć. Byłoby arogancją z mojej strony nawet to przewidywać. Moim zdaniem zaważą na tym problemy ekonomiczne. Kładziemy się ekonomicznie kompletnie i sędzę, że to nas przydusi i zmusi pójść z garnuszkiem na Zachód po prośbie. To jest nadzieja. Bo osiągamy już trzecie albo nawet piąte dno, więc tylko w tym jest nadzieja i z tą nadzieją oczekiwać będę szybkiego odwołania stanu wojennego.

TAU

Alfa: — Czy uważa Pan, że wprowadzenie stanu wojennego było jakąś specyficzną cezurą dla społeczeństwa polskiego?

Tau: — Nie, nie uważam. Cezurą były lata 1944-1945, a to, co się działo później, było konsekwencją tego wcześniejszego faktu. Wiele racji mają studenci, którzy mówią, że można przegrywać raz, dwa, cztery, trzydzieści razy, tak jak zapaśnik przegrywa pierwszych czterdzieści walk, później jednak zaczyna odnosić sukcesy na ringu czy na macie. Cała nasza sprawa, to, czego chciała Solidarność, nie została jeszcze przegrana. Jestem optymistą pomimo tego, co się dzieje, bo tak jest absurdalne i nie mieści się w głowie normalnym ludziom, że może być tylko materiałem dla Mrożka. Władza posuwa się do takich kroków, które są bezsensowne z punktu widzenia i jej samej, i społeczeństwa, no bo to, co robi jest normalnym pluciem w twarz wszystkim środowiskom. Dlatego uważam, że mamy teraz okres przejściowy, który może się zakończyć — nie chciałbym tego, ale może się zakończyć — rewoltą. Rewoltą za rok, za dwa, za trzy, trudno powiedzieć. Tego nikt nie wie, kiedy gniew narodu wybuchnie w takiej formie, jak w Sierpniu 1980 roku.

A: — Jakie nadzieje wiązał Pan z ruchem Solidarności?

T: — Dla mnie to była możliwość prawdziwego działania i samorealizacji. Uważałem, że ruch Solidarności może w końcu doprowadzić do uzdrowienia stosunków w polskiej oświacie. Dla mnie był to okres walki nie tylko o podniesienie autorytetu, bo o autorytecie zawsze się mówiło, ale raczej prestiżu nauczyciela, i o przebudowanie stosunków w szkolnictwie polskim. Pracowaliśmy nad tym i była to rzeczywiście tylko kwestia czasu, a mogliśmy załatwić wiele spraw.

A: — Jak wyobraża Pan sobie rozwiązanie problemu

związków zawodowych po uchwaleniu przez sejm ustawy związkowej?

T: — Nie ma żadnego rozwiązania tego problemu. Ustawa i rozwiązanie dotychczasowych związków nie rozwiązują w żaden sposób problemu związków zawodowych. Owszem, będą związki prowadzone za rączkę przez partię, ale to nie będą związki autentyczne. Partia rządząca w kraju — to znaczy pewna grupa ludzi, bo to jest ekipa mała — stworzy sobie związki zawodowe, które moim zdaniem trochę mogą nawet przypominać związki CRZZ-towskie, ale to nie będą prawdziwe związki.

A: — Czy sądzi Pan, że członkowie Solidarności wejdą do nowych związków?

T: — Nie sądzę, żeby wpisywali się gremialnie. Może część ludzi z Solidarności pójdzie do tych związków z różnych przyczyn, ale nie sądzę, żeby Solidarność chciała odbudowywać swój związek w działaniu frakcyjnym w związku, który stworzyła partia. Tego nie będzie. Najważniejsza sprawa nie została spełniona. Nikt nie zapytał robotników o to, jakich związków chcą, nikt nie przedyskutował tego z nimi. Nie wiem czy ktoś, kto był autentycznym działaczem Solidarności będzie chciał działać w nowych związkach, ale trzeba pamiętać, że w Solidarności byli różni ludzie. O samorządzie robotniczym chyba także nie ma co mówić, bo nie będzie spełniał swoich zadań, dopóki nie przeprowadzi się prawdziwej reformy gospodarczej, a na razie nic się w tym kierunku nie dzieje.

A: — Jak Pana zdaniem powinno się zachować społeczeństwo i jak odpowiadać na inspirowane działania oporu z jednej strony, a na prowokacje z drugiej?

T: — To jest bardzo trudne pytanie. W tej chwili naprawdę nie jestem w stanie na nie odpowiedzieć. Musiałbym się dłużej zastanowić i przemyśleć pewne sprawy.

A: — Czy wyjście na ulicę odpowiada Panu jako forma protestu?

T: — Na pewno nie jest to odpowiedni wyraz protestu, ale nie widzę innych możliwości. Władza czułaby się zupełnie bezkarna, gdyby nie widziała, że społeczeństwo się z nią nie zgadza, więc to jest właśnie forma wypowiedzenia swojego „nie”. Wiem, że to się może skończyć bardzo źle dla ludzi, ale nie widzę innych możliwości, bo żadne inne formy nie skutkują. To też na pewno nie skutkuje, ale władza widzi, że ma do czynienia z pewną siłą.

A: — W manifestowaniu tego protestu na ulicach udział młodzieży jest bardzo duży i to przede wszystkim młodzieży

szkół średnich. Co można zrobić, żeby w jakiś sposób uchronić to, co dla narodu jest najcenniejsze, to znaczy młodzież? Mam na myśli nie tylko ochronę biologiczną, ale również psychiczno-moralną.

T: — Niejednokrotnie rozmawiałem z młodzieżą na te tematy. Uważają, że nie mają żadnych perspektyw na przyszłość w naszym kraju. Są rozgoryczeni tym, że się ich bije, traktuje w sposób często brutalny. Są przekonani, że trzeba działać, bo jest stan wojenny. Nie rozumieją i nie chcą przyjmować do wiadomości argumentów, że należy manifestować swą postawę sprzeciwu w inny sposób, to znaczy nie wychodzić na ulicę, lecz stosować bierny opór i przekonywać tych, którzy mniej wiedzą na temat tego, co się w Polsce wydarzyło i co się dzieje teraz. Oficjalna propaganda przesadnie podkreśla sprawę młodzieży, nie tak dużo ludzi młodych uczestniczyło w tych wydarzeniach, jak to podawano. Ale rozumiem reakcję młodzieży, bo to się wiąże z wiekiem, z buntem i sprzeciwem wobec tego wszystkiego, co się dzieje.

A: — Jak należałoby chronić tych ludzi z jednej strony przed takim zniszczeniem, jakie może spowodować aresztowanie czy pobicie, a z drugiej przed zniszczeniem moralnym? Jaką widzi Pan rolę dla pedagogów w tym względzie, żeby tę młodzież chronić, a jednocześnie nie zubożyć o pewne wartości?

T: — To jest bardzo trudne. Przez długi czas wytwarzała się jakaś próżnia, spowodowana tym, że młodzież nie miała możliwości angażowania się w różne sprawy. Były organizacje państwowe typu ZSMP, ZMS, ale nie wiem czy młody człowiek mógł się tam wyżyć w sposób autentyczny w działaniu społecznym. Nie było nic poza tym i po Sierpniu próbowaliśmy organizować coś, co by pociągnęło młodzież. Powstawały kluby dyskusyjne, takie małe „forum poglądów”. Poza tym zalew literatury przez długi czas zakazanej spowodował, że młodzież zaczęła sięgać do niej i dyskutować. Nauczyciele będący w Solidarności chcieli upowszechniać nowe formy pracy pedagogicznej. A w tej chwili nie ma nic. Środowiska nauczycielskiego nie można oceniać pozytywnie. Jest mało osób, które mogłyby skutecznie chronić młodzież przed skutkami tego, co się w Polsce dzieje i przed degeneracją moralną. Jest mało ludzi, których na to stać, którzy są do tego przygotowani, którzy po prostu chcą. A istotnie nauczyciele mogliby odegrać dużą rolę, gdyby na te tematy z młodzieżą rozmawiali, dyskutowali i wyjaśniali. Oczywiście nie na lekcjach. Dlatego trzeba by wprowadzić pewne formy pracy pozalekcyjnej, ale to nie może być znowu na-

rzucane z zewnątrz, jak gdyby na siłę. Młodzież musi się wypowiedzieć całkowicie, nie można jej niczego narzucać i niczego wy tłumiać. Trzeba dopuścić do prawdziwej krytyki. Być może w takich dyskusjach, w takich rozmowach z młodzieżą, których powinno być więcej, a których nie ma niestety, udałoby się powstrzymać młodych przed lekkomyślnym często szafowaniem swoją wolnością czy nawet życiem. Nie perswazją czy zakazem — „nie wychodźcie na ulicę, bo to nic nie daje” — ale tłumaczeniem, że rozwój świadomości naszego społeczeństwa jest ważniejszy niż rzucanie kamieniami. Na takiej zasadzie oparte kontakty z młodzieżą można by było wprowadzać. Z tym, że musi być na to aprobatą administracji szkolnej i ośrodków władzy państwowej. Bez tego trudno to robić; inaczej tworzyć by trzeba jakieś formy podziemne, a z podziemiem to różnie bywa...

A: — A jak Pan ocenia przedsiernpniową pracę TKN? Była to taka półlegalna forma i mniej więcej na tym samym polegała rola organizowanych wykładów. (TKN — Towarzystwo Kursów Naukowych).

T: — Tak, właśnie o takiej formie myślałem, bo uważam doinformowanie społeczeństwa dorosłego i młodzieży za rzecz podstawową.

A: — A jakie zadania stoją przed pedagogami w tym szczególnym okresie?

T: — Zadania, które dziś stoją przed pedagogami, stały przed nimi zawsze. I nigdy niestety nie byli do tego przygotowani. To była nie tylko ich wina i nie oni ponoszą odpowiedzialność, że nie chcieli się do tego specjalnego zawodu przygotować. Często nie mieli możliwości lepszego przygotowania się do pracy w nauczycielstwie, bo już pracując w tym zawodzie, obarczeni rodzinami i swoimi problemami, musieli dbać też o własne sprawy. Do tego szkolnictwo indoktrynowano przez tak długi okres czasu, że jest to, według mnie, środowisko najbardziej zniewolone. Stosowano różne formy zniewalania umysłów. Przeciwdziałać temu jest bardzo trudno dlatego, że szkoła od szkoły jest oddalona, każda szkoła jest samodzielną wyspą, nie ma kontaktów międzyszkolnych. Próbowaliśmy robić organizacje międzysamorządowe, ale władza od razu powiedziała „nie”, bo to stwarzało zagrożenie, że będzie uczniowska organizacja obejmująca uczniów wszystkich szkół i wtedy może być źle.

Najważniejszym zadaniem pedagoga jest być z uczniem, a nie po drugiej stronie tej sztucznej granicy, jaką, niestety, wytworzono między ławką a katedrą. W naszym systemie oświa-

towym traktuje się ucznia jak przedmiot. Jest zmuszany do nauki. Poddany obróbce wychowawczej: „nie rób tego”, „nie rób tamtego”. To oczywiście nie skutkuje. Chodziło o to, żeby nauczyciel stał się nie tyle kolegą, co autentycznym partnerem ucznia. Znałem takich nauczycieli, którzy potrafili nawiązać z uczniem bezpośredni kontakt. Wyjeżdżano na sesję naukową w góry, przy ognisku dyskutowano o różnych problemach, nauczyciel potrafił tak bezpośrednio kierować procesem nauczania i wychowania, że nie czuło się dystansu i uczeń się otwierał. Dar pedagogiczny polega na umiejętności stworzenia atmosfery, w której uczeń „otwiera się”, jest autentycznie sobą. Bo uczeń na lekcji nie jest autentyczny, gra pewną rolę społeczną; on jest inny w domu, inny wśród rówieśników, a na lekcji często nie powie tego, co tkwi w nim głęboko, co chcielibyśmy słyszeć. Drugie zadanie, które stoi przed nauczycielem, to likwidacja tego zakłamania i obłudy, jakie istniały w szkole. Mnie się wydaje, że Solidarność troszkę to zmieniła. Teraz obłuda wynika ze stanu wojennego, bo nauczyciel boi się mówić o pewnych sprawach, nie może czegoś powiedzieć, bo wie, że to jest zakazane i że grożą za to konsekwencje. Jeżeli powie, że jest przecież stanowisko wojennemu dlatego i dlatego, to go mogą aresztować albo wyrzucić ze szkoły. Ale to już jest obłuda innego typu. Dawniej mówiło się inaczej, a robiło się inaczej. To znaczy głosiło się piękne słowa na lekcjach, hałała patriotyczne ozdobiły ściany i tablice klas, a w praktyce nie miało to żadnego znaczenia. Słowem, problem zadań nauczyciela jest olbrzymi. Kto te zadania ma formułować, to jest też ważna sprawa. Czy nauczyciel sam sobie formułuje zadania, czy mu je narzucają z góry. A jak mu narzucają, to czy je zaakceptuje i uzna za własne. U nas niestety nauczyciela traktowało się jak urzędnika państwowego i chyba tak będzie nadal. Cała kadra nauczycielska szła w tym kierunku. Myśmy się nie zgadzali, żeby nauczyciel był tylko urzędnikiem i żeby dyrektor mówił do niego np. tak: „może pan, panie kolego, mieć swoje poglądy, ale na lekcjach musi pan mówić to, czego się od pana wymaga”. I tu się zaczyna kłopot, bo jeżeli nauczyciel nie jest autentyczny, nie jest sobą i mówi, co mu każą, to uczeń też nie będzie autentyczny. Taki nauczyciel nie ma z kim dyskutować, taka lekcja jest przegraną lekcją. Zadania, jakie nauczyciele powinni spełniać to przede wszystkim zadania wychowawcze. Są one olbrzymie, ale niestety w tej chwili nie do spełnienia. Wychowania w szkole nie ma, bo do tego potrzebna jest atmosfera wychowawcza. Jak to Kotarbiński kiedyś powiedział: w szkole musi być ład, po-

rządek, żeby każdy uczeń wiedział, gdzie jest jego miejsce i żeby wiedział, że to, co robi, jest sensowne. A tymczasem w szkołach, gdzie jest doskonała, dobrana młodzież nie ma żadnej atmosfery wychowawczej. Po prostu wypełnia się pewne polecenia, które zostały narzucone z góry. Uczeń się w takiej szkole źle czuje, zresztą sam często mówi, że musi chodzić do szkoły, bo mu rodzice każą, i pójdzie na studia, bo musi mieć swój zawód, pozycję w społeczeństwie, musi zarabiać pieniądze. Więc musi przez tę szkołę przejść. Ale szkoła jest dla niego z reguły czymś nudnym.

A: — Myśli Pan, że w innych warunkach można by stworzyć w szkołach inną atmosferę?

T: — Myślę, że tak, bo atmosfera nie zależy od nauczyciela czy ucznia, tylko od warunków, w jakich szkoła egzystuje. To znaczy w warunkach stanu wojennego atmosfery wychowawczej nigdy nie będzie.

A: — Ale nie było stanu wojennego i tej atmosfery, jak Pan sam powiedział, nie było. Idealnych warunków nie będzie przecież nigdy, a o atmosferę wychowawczą trzeba się jednak starać.

T: — Rzeczywiście nie było, ale trudno stworzyć coś od razu. Jeżeli szkołą rządził dyrektor przyzwyczajony do pewnych nakazowych, apodyktycznych metod sprawowania kierownictwa, jeżeli nie umiał się przestawić, część nauczycieli też nie chciała ryzykować. Albo nie umieli, albo było im wygodniej robić to, co robili. Lepiej i łatwiej postawić ucznia na baczność i nie dyskutować z nim, to jest już sprawdzony środek wychowawczy...

A: — Zna Pan na pewno z literatury opisy szkół, które, mimo iż nie działały ani w okresie stanu wojennego, ani w państwie totalitarnym, pozbawione były atmosfery wychowawczej. Nie wiem więc, czy to o czym Pan mówi i myśli nie jest utopią.

T: — To, co mówiłem nie jest utopią, lecz ideałem; zawsze uważałem, że powinno się zmierzać ku temu właśnie ideałowi.

A: — A czy wychowywać nie powinien przede wszystkim dom, a szkoła przede wszystkim uczyć?

T: — Ja bym nie dzielił ról w ten sposób. Ten spór trwa od dłuższego czasu. Uważam, że i dom powinien wychowywać i szkoła, a najczęściej jest tak, że nie wychowuje ani jedno, ani drugie.

A: — Jeśli nawet wychowuje po trosze i dom i szkoła, to

jest to wychowanie dwuwektorowe i każdy z tych wektorów biegnie w przeciwnym kierunku.

T: — Dlatego wydawała mi się interesująca koncepcja szkół „autorskich”, gdzie doszłoby do zetknięcia rodziców ze szkołą i ułożenia wspólnego programu.

A: — A co Pan sądzi o postawie Kościoła w konflikcie między władzą a społeczeństwem i jaką w tym względzie przypisuje Pan rolę Kościołowi?

T: — Uważam, że Kościół miał, ma i będzie miał autorytet moralny. To jest ta siła społeczna, która się nie skompromitowała. Bo widzimy, że nie pozostało już nic, w co by Polak mógł wierzyć. Kiedyś wojsko miało jakiś autorytet. Mały, bo mały, ale zawsze. Na wojsko się patrzyło jak na grupę społeczną związaną z narodem. Tak też chcielibyśmy patrzeć na nasz parlament, który jednak skompromitował się w oczach społeczeństwa podobnie jak wojsko. Pozostał tylko Kościół jako jedyna ostoja moralna. Sądzę, że Kościół w tej chwili postępuje słusznie, chociaż niektórzy go krytykują, że za mało jest rewolucyjny, za mało aktywny, za mało zdecydowany w wystąpieniach przeciwko władzy. Myślę jednak, że robi tyle, ile trzeba, z tym, że nie wiem, jak to się potoczy dalej.

A: — Czy widzi Pan dla Kościoła jakąś rolę w wychowywaniu młodego pokolenia?

T: — Kościół zawsze pomagał w wychowywaniu. Głosił z ambony hasła i myśli, które miały olbrzymi ładunek wychowawczy, ale nie zawsze to skutkowało, bo wychowanie nie zawsze kończy się oczekiwanym efektem. Wychowanie moralne, wychowanie w duchu prawdy, wychowanie człowieka otwartego, człowieka, który potrafi współżyć z drugim człowiekiem, to wszystko jest także zadaniem Kościoła. Jest to rola olbrzymia i niewątpliwie Kościół nieraz zastępuje inne instytucje, nawet państwowe, w wychowywaniu młodego człowieka. Rola Kościoła w tym względzie jest niezwykle pożyteczna w tej chwili i zawsze tak chyba było. Tak to widzę.

A: — Czy uważa Pan, że ogłoszenie stanu wojennego przez ekipę generała Jaruzelskiego było krokiem lepszym aniżeli wkroczenie wojsk sowieckich do nas?

T: — Wolałbym już, żeby wkroczyli Rosjanie, bo lepiej bić obcych niż swoich. Wkroczenie Rosjan całkowicie wyjaśniłoby sytuację, a tak Rosjanie posłużyli się rękami Jaruzelskiego. Coraz częściej słyhać takie głosy, że Wałęsa popełnił błąd w marcu, kiedy nie dopuścił — on sam, czy może pewna grupa,

a może okoliczności — do strajku generalnego w związku z Bydgoszczą. To była prowokacja, oczywiście, ale nie było wyjścia.

A: — Wina Wałęsy? Przecież głosowano, prawda?

T: — Oczywiście, to zostało przegłosowane, ale Wałęsa się z tym zgodził, przyjął to.

A: — Bardzo trudno nie uznać wyniku głosowania. Dla Wałęsy nie było wtedy do pomyslenia, żeby efektem Sierpnia było wkroczenie wojsk sowieckich.

T: — Nie mogę powiedzieć, co by oznaczało wkroczenie wojsk sowieckich, ale nie można też stwierdzić, czy rzeczywiście by nastąpiło i jak by to wyglądało...

A: — Myśli Pan, że wybuchłaby wojna światowa?

T: — Naprawdę nie wiem.

A: — Jeśli Pan uważa, że wkroczenie wojsk sowieckich byłoby lepsze, to jest jakiś powód, dla którego Pan tak sądzi. Musi Pan wiązać z tym jakieś nadzieje. Więc dlaczego byłoby to lepiej?

T: — Nie chciałbym nigdy, żeby doszło do wojny w Polsce. Ale do wojny doszło i jest to dziwna wojna. Właściwie nie jest to wojna, lecz gra, ale ta gra doprowadzi do tego, że znowu przez ileś tam długich lat będziemy narodem... podbitym.

YPSILON

Alfa: — Słyszysz się narzekania na postępującą u nas degradację kulturalną. Czy Pan się z tym zgadza?

Ypsilon: — Czy była Pani kiedyś w Związku Sowieckim?

A: — Nie.

Y: — Widzi Pani, to jest przykład, jak z pokolenia na pokolenie ludzie zachowują się gorzej. Ja oczywiście nie znam tego kraju przed wojną, ale każdy z nas ma z literatury jakieś o nim wyobrażenie. Natomiast mówili mi ludzie tamtejsi, którzy usiłują utrzymać się na poziomie tzw. kulturalnego życia, że jest to niesłychanie trudne, bo ustrojowa zasada zrównania wszystkich doprowadziła do tego, że ludzie się sprymitywizowali, zbarbaryzowali. Do jakiego stopnia zbarbaryzowania doszli, trudno mi ocenić, aczkolwiek możliwości istnieją. Każdy, kto był za granicą, zna trochę Rosjan białych, czy jak ich tam nazwać, no, emigrantów. To są ludzie o zupełnie innym sposobie bycia niż Rosjanie sowieccy, którzy są tak na co dzień brutalni. Nie można powiedzieć, żeby to byli w ogóle ludzie brutalni, prywatnie, w swoich uczuciach. Nie, ale w zachowaniu na ulicy, w miejscach publicznych itp. są brutalni. My w tym kierunku idziemy. Powiedziała mi to Rosjanka, która wyszła za mąż za Polaka i która odwiedza Rosję. Otóż ona widzi, jak powoli w Polsce dochodzimy do tego stanu, który oni już osiągnęli.

Przebywam w dość szczególnym środowisku ludzi tzw. kulturalnych, ale widzę ludzi różnych. Obserwujemy ogromny wpływ elementu wiejskiego, który stracił swoją wiejską obyczajowość, a nabiera innej, tej nowej właśnie. To, że się ludzie notorycznie pchają. Przecież jak na wsi zajeżdża autobus, to tłoczy się jeden przez drugiego. To samo jest już w mieście.

A: — Jest tłoczno, bo kursuje za mała ilość środków lokomocji. Zle funkcjonuje więc komunikacja. To wszystko można jakoś usprawiedliwić. Ale są rzeczy, których usprawiedliwić nie można. Niszczą stare miasta, stare wnętrza i to nie dlatego, że przestały się podobać. A dlaczego?

Y: — Ja bym do tego podszedł z innej strony. Socjologowie określają to jako kształtowanie się wzorców. Niewątpliwie zmieniono wzorce. Wzorce bolszewickie są wzorcami brutalnymi, twardymi. Nawet jest takie rosyjskie powiedzenie: „towarzyszu, to wy tak, rozumiecie, po bolszewicku”, to znaczy — pięścią. I to jest pewien wzorec, pochodny od ustroju, że trzeba przebojem, twardo, nie wnikając w sprzeczności. Jest to wzorec walczący. Mówię o celowo wykształconym w Rosji Sowieckiej wzorcu walczącego bolszewika. To jest wzorec brutalny. I ten wzorec tam w jakiś sposób na pewno działa.

A: — Ale czy tutaj także?

Y: — W mniejszej mierze, ale troszkę też. U nas nie było rewolucji, ale mimo wszystko to, co byłem w stanie zaobserwować w latach 50-tych, w latach ZMP-owskich, było właśnie takie.

A: — Ale ten ustrój przechodził przez różne fazy, na naszych oczach jak gdyby rozpadał się i cała tkanka kulturalna rozpada się razem z nim. Powiem więcej, jest to rodzaj rozkładu jednocześnie moralnego i fizycznego. Jak Pan to widzi?

Y: — Mnie się zdaje, że ludzka osobowość jest chwiejna i że ten sam człowiek w różnych sytuacjach zachowuje się różnie, że są sytuacje, które rodzą w człowieku zachowania niegodne i takie, które rodzą zachowania szlachetne. Ten nasz stan wojenny nie generuje zachowań dodatnich. Ten stan zmierza do tego, aby nas rozłożyć. Oczywiście, tak. Ale z drugiej strony ta nagła eksplozja dobrej woli po Sierpniu była czymś spektakularnym i szalenie ujmującym, aczkolwiek była to jednocześnie eksplozja wielkiej głupoty. Nagle ludzie poczuli się czyści, cała masa ludzi poczuła, że można się ulepszyć zbiorowo. Nie byłbym więc takim pesymistą, że ten ustrój nas już dorzwał. Natomiast na przestrzeni tych trzydziestu kilku lat widać niewątpliwą, stopniową dekadencję tego, co się przywykło uważać za kulturalny sposób bycia. W naszym społeczeństwie zwalczą się z jednej strony wzorec inteligencki, który był wzorcem kulturalnym, z drugiej strony zwalczą się też wzorec wiejski, związany z religijnością. Jeżeli się więc walczy ze wszystkimi dotychczasowymi wzorcami kulturowymi, to skutki są takie, że ludzie, którzy stają wobec nicości zaczynają zachowy-

wać się w sposób instynktowny, tj. brutalny. Bo w końcu zachowanie kulturalne polega na panowaniu nad instynktami, czy to będzie klasowe motywowanie czy inaczej, to wszystko jedno. Jest to wyrobiony sposób panowania nad swoimi instynktami. Jeżeli to wszystko tak się „zruca”, jeśli się powiada, że to wszystko są przeżytki burżuazyjne, że to zacofanie, to człowieka się obnaża. Jeśli się go przy tym programowo materializuje, jeżeli się go ustawia zawsze w kategorii walki klas, to on się w końcu zaczyna zachowywać w sposób właśnie instynktowny. I to wszystko ma wpływ także na Polaków, nie tylko na Rosjan. Ale Polacy są pod tym względem odporniejsi, proces ich „obnażania” trwa dłużej, a poza tym Polacy — wydaje mi się — mają naturalny, ogromny pociąg do kultury, tak że kultura ma w Polsce szanse.

A: — Całe szczęście dla Polaków!

Y: — Tak, mnie się zdaje, że tak. A może nie tylko Polacy, może to jest w ogóle ludzkie. Kultura jest dla ludzi nie zawsze rzeczą zrozumiałą, zresztą ona jest różna, ale jest zawsze rzeczą atrakcyjną. Polacy chcieliby być kulturalni. Nawet są snobami. Pragną być kulturalni, tylko nie zawsze wiedzą, na czym to polega. Bo jeżeli w końcu wzorcami stają się te straszliwe telewizyjne spikerki z lokami! Siedzą takie lale, odgrywają i cedzą słowa wymodelowanymi głosami — „damy”. Potem widzę takie same damy z Zielonki, Sieradza czy z Liszek, jak wsiadają do autobusu, pociągu czy do tramwaju. To są zjawiska śmieszne, ale świadczące ciągle o tym, że tzw. kulturalność jest atrakcyjna, że ludzie by jej chcieli, tylko że wzorce są zniszczone, a te które się propaguje są czwartorzędne. Niektórzy np. mówią o chamstwie Amerykanów. Wierutna nieprawda. Albo że Amerykanie to nie są ludzie kulturalni; nie wiem, czy to nazwać kulturą czy nie, ale są to na pewno ludzie grzeczni.

A: — Myślę, że Polaków razi u Amerykanów i u Niemców ich hałaśliwy sposób życia. Nie wiedzą, że sami także są już społeczeństwem bardzo hałaśliwym.

Y: — Pani na pewno spotyka się coraz częściej z takim nedorzecznym przeproszaniem, albo że ciągle Panią zapraszają do wszystkiego „serdecznie”.

A: — Z Polakami jest tak, że jak Panu ktoś nadepnie na odcisk i Pan go przeprosi, to on sam nie wie, co ma z sobą zrobić. Ale gdy mu Pan zwróci uwagę, to jeszcze Pana zwymyśla zamiast przeprosić.

Y: — Marcin Kromer napisał, że nieprawdą jest, jakoby

Polacy byli krnąbrni, buntowniczy i nieokiełznani; są łagodni i potulni, tylko trzeba z nimi postępować bardzo grzecznie i łagodnie. Tymczasem WRONa postępuje z nami akurat na odwrót. Jestem przekonany, że ten rząd, że ci sami ludzie, choć nikt ich nie kocha, gdyby potrafili stać się przyzwoitsi, oni nie mogą, ale gdyby naprawdę, tak jak nie mogą, chcieli i umieli wyciągnąć rękę do zgody, nawet dzisiaj, po wszystkim, co się stało, to społeczeństwo by tę rękę podało. Bo naprawdę Polacy są raczej łagodni. Są zawzięci, jeżeli im ciągle robić na przekór. A oni — rząd — ciągle robią na przekór. Zamiast próbować podejść do ludzi... Tak, ale musieliby zrobić to rzetelnie, a nie umiają. Oni są też w kozim rogu.

A: — Twórcy wystawy pt. „Polaków portret własny” potrafili spojrzeć na społeczeństwo w ogromnej skali czasowej — od średniowiecza aż po *pop art*. Dzięki temu wystawa ta uzyskała nieoczekiwaną nośność historyczną, polityczną i społeczną. Jak w tej skali wygląda historia Polski powojennej? Co ten okres znaczy? Czy się jakoś liczy?

Y: — Myślę, że musi się liczyć. Stało się to, o co walczyli ludzie, którzy są na ustach narodu od XVIII wieku, a wyznacza temu rangę słowo „Polska Ludowa”. Od Kościuszki począwszy, przez cały XIX wiek do różnych Wyspiańskich tłukł się ciągle problem specyficznie polskiego zacoferania społecznego. Kraje Europy Zachodniej nie były aż tak w tyle, jeżeli chodzi o te wszystkie państyczyny. Obiektywnie więc trzeba stwierdzić, że został dokonany kolosalny awans społeczny w Polsce. To jest fakt. Jak to teraz zaowocuje, to jest właśnie ogromny dylemat. Bo komuniści, którzy w jakiś sposób do tego doprowadzili, zmierzają, jak się wydaje, w fatalnym kierunku. Sam fakt awansu istnieje, lecz goły fakt nie posiada zupełnie wymowy. Oceniać trzeba go chyba pozytywnie, z tym tylko, że został on dokonany sposobami jednocześnie niszczycielskimi psychicznie. Między 1939 a 1945 rokiem leży cezura całej historii Polski. Nastąpiło prawie masowe zrównanie startu życiowego wszystkich warstw społecznych. Ale komuniści wyzyskali tylko negatywne siły, które ten proces wyzwolił. Miałem nadzieję, że Solidarność zdoła wyzwolić siły pozytywne. Obraz społeczeństwa powojennego u nas jest bardzo interesujący, ale bardzo trudny, dlatego trzeba by go pokazać na wielu płaszczyznach. Wałęsa powiedział, że z Polski można zrobić Japonię. Nie było to aż tak absurdalne. Nie chodzi o to, żeby naprawdę można było z Polski zrobić Japonię, ale o to, że z Polski można dużo zrobić, bo to jest społeczeństwo łatwe do ukierunkowania. W tym

widziałem szansę Solidarności. No, przyszło to, co przyszło, ale nie myślę, żeby szansa była już poza nami.

A: — Ale Solidarność nie przestała istnieć, nawet z prawnego punktu widzenia jej działalność została jedynie zawieszona dekretem o stanie wojennym.

Y: — Tak, na papierze nie przestała istnieć. Ludzie są, ale jako ruch istnieć przestała. Konspiracja jest zupełnie czymś innym, to jest nieporównywalne. Mnie się Solidarność szalenie podobała dlatego, że była publiczna, masowa, że działała otwarcie. Nie wiem czy jaki naród przeżył w ciągu XX wieku tak ogromny zbiorowy ruch całego społeczeństwa. W czasie okupacji były rzeczy podobne, ale cóż AK, to były przede wszystkim sprawy wojskowe, i na tym się kończyło. Niemożliwa była jawność, ale było to także porozumienie narodowe, bo przecież prawie wszyscy należeli do AK. Natomiast Solidarność była otwartym ruchem publicznym. Mam wielki respekt dla tych wszystkich ludzi, którzy działają i próbują teraz kierować Solidarnością z ukrycia, ale to już jest zupełnie coś innego.

A: — A gdyby tak spróbować oceny 16 miesięcy działania Solidarności?

Y: — Te 16 miesięcy to było coś, co mnie pasjonowało. Uwierzyłem, że wyjdziemy jakoś z tego ogromnego bałaganu. Zdawałem sobie sprawę z niedostatków Solidarności na wielu polach. Strasznie mnie irytowało to — co się mówi teraz w złej wierze — lekceważenie spraw związkowych, socjalnych. Szalenie mnie to irytowało. Nie wszyscy w Solidarności lekceważyli te problemy, byli jednak tacy, i to ci, którzy mieli największy głos. Bo wbrew pozorom nie Wałęsa miał największy głos, lecz jego przeciwnicy. Wałęsa był znacznie mniej owładnięty pasją polityczną, nie narzucał działania natychmiastowego, nie oczekował zwycięstwa politycznego. Była jednak duża grupa ludzi, którzy manią tą byli owładnięci. Byłem przekonany, że działalność Solidarności musi być pracą od podstaw, że to nie jest wielka polityka ani wygrana ze Związkiem Sowieckim, tylko że Solidarność powinna być właśnie pozytywistyczna, bo miała na to ogromne zadatki. Poza tym ludzie mówili wszystko, co myślą, politycznie, i pletli głupstwa niestworzone. Ale to jest cechą parlamentaryzmu niedojrzałego. Mnie i tak zdumiewało, jak dużo było ludzi, którzy mieli coś do powiedzenia i to nie spośród inteligencji, bo inteligencja zawsze coś tam miała do powiedzenia, ale z innych warstw. To właśnie budziło mój optymizm. Wyobrażałem więc sobie, że Solidarność okrzepnie, że się wykrzyczy, że się wyszumi i oprzytomnieje i zrozumie, że

nie można zmieścić Związku Sowieckiego. Jednym słowem, że będzie to ruch reformistyczny. Niestety tak się nie stało, trudno powiedzieć z czyjej winy, bo nie mamy na to perspektywy. Kto więcej nabroił, kto się bardziej dołożył do tej katastrofy. Czy bardziej dołożył się Związek Sowiecki, a na pewno się dołożył, czy się dołożył nasz rząd, czy się dołożyła sama Solidarność przez swoje postępowanie? Bo wszystkie elementy były w tym czynne. Ale ciągle jestem przekonany, że gdyby zostawiono Solidarność wolną drogę, to po jakimś czasie by oprzytomniała. Nie ubliżam Moczulskiemu czy innym ludziom, których uważam za patriotów, ale byli to ludzie nieprzytomni. Oni mieli niestety duży posłuch, bo Polacy uwielbiają frazesy. Frazesy kwitły więc w Solidarności, ale miałem nadzieję, że i one szybko się skończą. Zdawałem sobie sprawę, że w czasie tych trzydziestu kilku lat zgłupieliśmy bardzo, bo społeczeństwo polskie straciło horyzonty. Za to zyskało realizm w zrozumieniu własnej sytuacji. Polacy stali się w swoim własnym życiu — nawet w sposób trochę nieprzyjemny — realistami, to znaczy każdy dochodził swojego interesu i dość realistycznie umieliśmy grać jako całość społeczna. Przypuszczam, że element tego realizmu wyszedłby na wierzch także w Solidarności, po jakimś czasie. Bredzenia Rulewskiego, za które dostawał oklaski, ale nie dostawał głosów, były tego dowodem. Ten realizm w głosowaniach ujawniał się wśród wielu Polaków. Pyskować pyskują, najgłupiej jak tylko można. Natomiast jak dojdzie do działania, to nie zrobią głupstwa.

A: — A czy nie uważa Pan, że gdzieś musiał tkwić błąd, który doprowadził do konfrontacji? Było mnóstwo ludzi, którzy pomagali Solidarność swoimi umysłami, a jednak nie mogli zatrzymać tej rozszalałej lokomotywy.

Y: — No, niektórzy ludzie bardzo pracowali nad tym, żeby ta lokomotywa szalała. Nie mówię już o prowokacjach, które oczywiście były, na które nie mamy zupełnie ścisłych dowodów, choć cała afera bydgoska wyglądała na typową prowokację. Według mnie Gwiazda był złym duchem Solidarności. Od początku tak uważałem. A to był człowiek ogromnie aktywny. Szalenie rył w Komisji Krajowej, organizował właściwie całą opozycję przeciwko Wałęsie. Gwiazda, człowiek zdolny, umiejący coś składnie powiedzieć, ale zupełnie szalony jeżeli chodzi o koncepcje. Przypuszczam, że to człowiek czysty i dobrej woli, ale ci ludzie nagle sobie wyobrażili, że mogą Związek Sowiecki rzucić na kolana... Przecież to dziecinada. Najgorszym elementem w Solidarności byli delegaci. Wybierani

delegaci. Pracowałem w związkach zawodowych jeszcze w latach 50-tych i wiem jak wyglądają wybory związkowe. To jest pewien mechanizm, który się powtarza. Wybiera się nie ludzi do roboty, tylko ludzi do pyskowania. I tak też zostali wybrani delegaci Solidarności. Pysk ma w Polsce kolosalne szanse. Zawsze tak było, w szlacheckim parlamentarzystwie też. Polacy bardzo lubią pyskować. Kiedy ktoś ostro postawił sprawę — to już był dobry. Słowo „kompromis” jest u nas równoznaczne ze zdradą. Takich katastrofalnych polskich zbitok myślowych jest wiele. W moim przekonaniu delegaci i główne władze Solidarności były znacznie głębsze niż tzw. masy Solidarności. Nie mówię o Komisji Krajowej. Wałęsę uważam za bardzo mądrego człowieka i wielu jeszcze ludzi mądrych było koło niego, ale mnóstwo też pyskaczy, krzykaczy, ludzi zupełnie nieprzytomnych. Tego była większość. Natomiast masy Solidarności, co jest charakterystyczne, były związane z Wałęsą.

A: — Po dziś dzień?

Y: — Tak, po dziś dzień. Natomiast ci wszyscy gębacze to byli ci, których te masy wybrały. Instynkt realizmu polskiego społeczeństwa, o którym mówiłem gdzieś się stracił, a głupota w głowie doprowadziła do tego, że wybierano ludzi nieodpowiednich. Bojowość ma szalone szanse. W Polsce koniecznie trzeba być bojowcem.

A: — Napisał Pan nie tak dawno, że „prawdziwy ruch umysłowy ma rzeczywistość pociągnąć za sobą. I że sztuka jest tego objawem. Jej stagnacje świadczą o nieobecności ruchu, a jej rozkwity towarzyszą myśleniu i karmią się nią”. Czy Pana zdaniem w Polsce po 1945 roku ruch taki miał miejsce?

Y: — Mam wątpliwości. Mam wątpliwości. To znaczy byli ludzie, ale ruchu nie było.

A: — Sztuka jest własnością narodu. Pozbawianie społeczeństwa kontaktu z dziełem twórcy jest, jak twierdzą niektórzy, zbrodnią kulturalną. Czy zawsze?

Y: — O, proszę Pani, ja do sztuki jestem bardzo sceptycznie nastawiony. Wcale nie uważam sztuki za wartość samą w sobie. Piedestał, na którym się u nas stawia artystę i sztukę, jest piedestałem bardzo zmurszałym, właściwie piedestałem romantycznym, kiedy artyści występowali w imię wartości. Natomiast później... Nie chcę powiedzieć, że artyści zdradzili wartości, ale tak *petit à petit* to się bardzo zmieniło. Zaczęła Pani od tego, że sztuka jest własnością narodu. Typowo romantyczne sformułowanie. Ja myślę, że sens leży nie w terminie sztuka.

Można karmić ludzi czymś, co sztuką nie jest, ale nazywać to sztuką. Ale gdybyśmy zaczęli definiować czym jest sztuka, to możemy zejść do bardzo górnolotnych i transcendentnych sformułowań. Natomiast jeżeli potraktujemy to empirycznie i powiemy, co ludzie nazywają sztuką i co przejmują jako sztukę, to cóż... Oczywiście, że odebrać ludziom twórczość artystyczną to byłaby zbrodnia. Tego zresztą nikt nie chce robić. Wszystkie, nawet najbardziej zbrodnicze reżimy hodują swoją sztukę. Hitler hodował swoją sztukę. Do tej perfekcji nikt jeszcze nie doszedł, żeby okastrować ludzkość programowo i sztukę jej odebrać. Natomiast sztuka została zdetronizowana. Bo niby jaka sztuka...

A: — Obroniła się chyba najbardziej muzyka?

Y: — Sztuka awangardowa też. Jest to sztuka, która była uprawiana w Polsce, nawet lansowana, totalnie nie rozumiana przez samych artystów, którzy ją uprawiali. To znaczy nie totalnie, było kilku, ale tych kilku sprawiedliwych wprawdzie sytuację ratuje, ale nie ratuje jej socjologicznie. Dlatego, że ludziom prezentowano zupełny chłam pod nazwą sztuki. To „kultura”, masz to „konsumować”. Walczy się z kiczem, a ja myślę, że rola kiczu jest nieraz lepsza niż takiej pseudosztuki.

A: — A czym wobec tego jest dla Pana bojkot radia i telewizji, stosowany od miesiący przez środowiska twórcze, a przede wszystkim przez aktorów? To, co teraz pokazują w telewizji, to właśnie ten „chłam”, jak Pan powiedział.

Y: — A kto udowodni, co jest sztuką? To jest zbrodnia na wolności i ta zbrodnia na wolności ujawnia się we wszystkim, po kolei we wszystkim. Jak się człowiekowi odbiera wolność, to mu się odbiera po kolei wszystko. Można go nakarmić, ale okazuje się, że i o to trudno...

A: — Ale wracając do bojkotu. Czy uważa Pan, że jest to działalność słuszna i może być kontynuowana przez długi okres czasu?

Y: — Nie wiem, jak długo może być kontynuowana. Nie jestem aktorem, ale dla mnie jest rzeczą oczywistą, że póki Wałęsa siedzi, ja się nie pokażę w telewizji tego rządu, który go trzyma w więzieniu. Po prostu tylko tak to rozumiem. Jeżeli ludzie, z którymi jestem związany siedzą, zadają sobie pytanie, dlaczego ja nie siedzę. On siedzi, to ja też mam wszelkie szanse po temu. Odpukam jednak w drzewo. Ale jeżeli się zamyka moich kolegów, bo uważam ich za swoich kolegów, jeżeli ich się zamyka za to samo, co i ja robiłem, to nie mogę się produkować w środkach masowego przekazu, które są narzędziem

ucisku — bo są! I tak, sędzę, rozumują ci właśnie aktorzy, malarze czy pisarze. Bo ta sama telewizja co trzy dni nam nadaje wiadomości, jacy to byli złodzieje, jacy okropni ludzie w tej Solidarności, co oni robili, do czego by nas doprowadzili; noże na nas ostrzyli. Zbrodnię popełnił rząd i nie można żonglować tą zbrodnią i odsyłać piłeczkę na inne podwórko. Jeszcze Rzymianie powiedzieli: *inter arma silent Musae* — mamy stan wojenny, nie ma rady.

A: — Kilkanaście miesięcy przeżyliśmy w euforii, a teraz czekają nas chyba lata — ale jakie?

Y: — Prognoza jest szalenie trudna. Można by powiedzieć, że to zależy od tego, co się będzie działo. Przecież jest to sytuacja polityczna. Nie można sytuacji politycznej Polski rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji w Związku Sowieckim, to jest niemożliwe. A co się tam będzie działo, nie wyobrażam sobie. Można oczywiście różne rzeczy przypuszczać. Nic nie jest wieczne. Albo reżim się zmieni, albo dojdzie do wewnętrznych zmian w tym olbrzymie, albo do kraksy zewnętrznej — tego nie wiem. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że nasza sytuacja polityczna jest częścią tamtej sytuacji, że nikt nas z tamtej sytuacji nie wyjmie, tak jak to sobie wyobrażali Gwiazda i Rulewski. To, co ludzie opowiadają, że Związek Sowiecki robi z Polski, być może, poligon liberalnego socjalizmu, no nie wiem, ale coś mi to wygląda na pobożne życzenia. Rosjanie nie ufają Polakom i są przekonani, że Polacy pójdą dalej, niż oni by chcieli. Polityka Związku Sowieckiego jest polityką ciągłą i konsekwentną. Ludzie się zmieniają, a polityka pozostaje w zasadzie taka sama. Jest też ogromnie napięta sytuacja międzynarodowa. Wróżyć wojny — czy będzie czy nie będzie — nie jesteśmy w stanie. Tak, że jedyną rzeczą, z którą moim zdaniem należy się liczyć jest dalsze tkwienie w obozie sowieckim. Wypaść z niego możemy tylko drogą jakichś kataklizmów. Nie można liczyć na kataklizmy.

A: — Czy Pan bierze pod uwagę wejście Rosjan tutaj?

Y: — Nie, myślę, że jeżeli to się nie stało, to już się nie stanie. Okazało się, że Polska jest na tyle podporządkowana, że udało się zlikwidować ruch solidarnościowy bez wchodzenia do nas. Nie wiem, jak będą u nas rządzić dalej. Czy to będą bardzo przedłużone rządy wojskowe, czy jakaś próba powrotu do rządów partyjnych, czy też to, co mówią ci, którzy chcieliby właśnie tego poligonu liberalnego socjalizmu. Trudno coś przewidzieć. Myślę, że trzeba się liczyć ze stopniową sowietyzacją. Trzeba się zastanowić, co wtedy robić. Okazało się, i to zupełnie

jawnie, że jedyną realną i wielką siłą w Polsce jest Kościół. Ale Kościół traktowany przez komunistów *al pari*, jako druga siła podobna do nich, jest siłą do nich niepodobną. W sytuacji kiedy się nas wprowadza na drogę materializmu organizowanego, stotalitaryzowanego, no to jest właśnie tak jak w tym zdaniu, które Pani zacytowała, że prawdziwy ruch umysłowy ma rzeczywistość pociągnąć za sobą. Nie pamiętam z jakiej okazji było to pisane, ale jestem przekonany osobiście, że jest akurat odwrotnie niż sobie to wyobrażał Marks. Bo nie byt materialny określa świadomość, lecz świadomość określa byt materialny ludzi. Gdyby było inaczej, nie można by mówić o postępie. Ludzie siłą swego umysłu i swoich pomysłów kształtują swój byt. Tak, jestem przekonany, że to psychika ludzka kształtuje byt człowieka, a nie na odwrót. Tylko w tej dziedzinie widzę solidną domenę, w której się można umacniać. Politycznie nic nie zdziałamy. Co można zrobić w totalitarnym państwie, gdzie jak się tylko coś bąknie na ulicy, to najeżdża zaraz armatka wodna? Można jakiś czas konspirować, ale jak długo i w końcu z jakim skutkiem? W żaden strajk generalny nie wierzę — bzdury. Nigdy nie był realny — no, raz był realny i skończyły się katastrofą, to znaczy w marcu zeszłego roku. Potem już nigdy nie był realny. Marzec to był moment, w którym Polska byłaby zastrajkowała i skończyłoby się to katastrofą.

A: — Czy wtedy wkroczyliby Rosjanie?

Y: — Na pewno. Nikogo teraz nie można przekonać, że byłoby inaczej, bo rzeczywistość jest jedna i nie ma drugiej wersji. I za to miano tak wielką pretensję do Wałęsy... Tak, że nie widzę szans dla działania politycznego. Czy powstanie jakaś forma upublicznienia autentycznych wartości? Mam nadzieję, że po jakimś czasie jednak tak. Musi się coś dokonać. Bo dopóki rząd będzie trzymał internowanych to tylko Przymanowscy i Koźniewscy będą dochodzili do głosu. Jak długo będą uprawiać terror, tak długo nie będą mieli publicznego życia, bo jedno z drugim jest nie do pogodzenia.

A: — Jak więc przeżyć godnie to, co nas czeka?

Y: — Takiego panaceum dla wszystkich nie mam. Każdy ma swój łąb.

A: — Na początku naszej rozmowy sam Pan powiedział, że w masie ludzkiej nie ma zbiorowej mądrości. Każdy z nas myśli może rozsądnie, ale jak się znajdzie w tłumie to albo ucieka, albo porywa go fala. Czy więc od inteligencji nie na-

leży oczekiwać wzorców postępowania, wskazówek, drogowskazów?

Y: — Słowo „inteligencja” znaczy wiele i nic.

A: — Na Zachodzie inteligencję twórczą określa się słowem „intelektualiści”, ale często wydaje mi się to określenie dużo ponad stan.

Y: — Nieraz bardzo ponad stan. Cóż z tego, że ktoś pisze, że ktoś gada. Ale co pisze i co gada!? To jest taka niewyraźna kategoria. Wszędzie, i w komunizmie też, ludzie kierujący rekrutują się z inteligencji, poza wyjątkowymi indywidualnościami. Komunizm jest tworem typowo inteligentkim. Rozpaczliwie inteligentkim. To jest właśnie ustrój, który inteligenci wymyślili dla robotników. Tylko że inteligencja jest bardzo różna. Inteligencja lubi siebie stawiać na piedestale moralnym. Tymczasem świadome i celowe wdrapywanie się na piedestał moralny to zajęcie bardzo trudne, a jeśli już ktoś cel ten osiągnie, automatycznie się dyskredytuje. Tak, że to nie jest łatwa sprawa. Tubami inteligencji były tygodniki kulturalne. I cóż reprezentowały? *Tygodnik Powszechny* reprezentował Kościół, to wiadomo, a tamte wszystkie *Kultury*, *Literatury* reprezentowały inteligencję, a były bezideowe o różnych odcieniach. Czy można powiedzieć, że kogoś wychowała *Kultura* czy *Polityka*, *Literatura*, *Pismo* lub *Twórczość*? Realizowały ten „pluralizm polski”. Ale jeżeli Pani pyta o wartości, o to, co ważne, to można ludziom proponować różne rzeczy. Można np. zaproponować zwykły, zdrowy rozsądek. Zwykły, zdrowy rozsądek w totalitarnym państwie nakazuje słuchać...

A: — I prowadzi najczęściej do kolaboracji, a mnie chodziło o to, co jest na tyle ważne, że należy to ratować.

Y: — Masę rzeczy. Mówiliśmy o religii, ale oczywiście trzeba mówić także o literaturze polskiej, o historii polskiej, o wszystkim tym, co się w najszerszym tego znaczeniu składa na pojęcie kultury, to znaczy to, co zaczęto robić jeszcze przed Solidarnością. Były latające uniwersytety, były różne próby głoszenia autentycznych poglądów, zaznajamiania z faktami.

A: — Przez kilkanaście miesięcy ludzie dowiedzieli się więcej niż przez 37 lat PRL. I nagle wszystko zostało ludziom odebrane...

Y: — Ale jak to reaktywować, skoro leży pod ręką WRONY?

A: — Właśnie o to Pana pytam, czy nie ma sposobu?

Y: — Myślę, że tu należy sobie odpowiedzieć nie w makroskali, tylko w mikroskali. Bo w makroskali to nie wiem, jak

można sobie to wyobrazić w totalitarnym państwie. Nie możemy działać w makroskali w ogóle. Tę ma w rękę tylko Kościół, bo mówi z ambon i robi, co może. Trzeba powiedzieć, że nie dał się jeszcze przytłumić. Prymas Glemp dyplomatyzuje, a księży głoszą pociechę ludowi. Natomiast w mikroskali każdy może odpowiadać tylko za swoje podwórko. Jeśli się uda jakąś książkę uczciwą wydać, to *à la bonne heure*, trzeba ją wydać.

A: — Cykl wydawniczy trwa u nas trzy a nawet pięć lat. Prawie każdy może spokojnie zawrzeć umowę z wydawnictwem, jeśli naturalnie ono z nim umowę podpisać zechce. Może więc pozwolić sobie na komfort rzetelnego pisania, bo jaka będzie cenzura za lat pięć, tego nikt nie wie. Ale jak ustosunkować się do życia, które następuje nam na pięty?

Y: — Na to, co nam następuje na pięty można odpowiadać w prasie.

A: — A można?

Y: — Można, od czasu do czasu, wydrukować jakiś artykuł w *Tygodniku Powszechnym*, który zostanie przeczytany przez czytelników *Tygodnika Powszechnego*, bo poza tym nie ma takiej prasy.

A: — A gdyby taki artykuł podpisany przez kogoś z Pana przyjaciół ukazał się w *Rzeczywistości* albo w *Polityce*, czy Pan by się zdziwił?

Y: — Zdziwiłbym się, ale bym go przeczytał i ustosunkowałbym się do tego, co tam jest napisane, a nie tylko do samego faktu, że mój znajomy czy przyjaciel ulokował się w *Rzeczywistości*.

A: — Pytam dlatego, bo sprawy zaczynają nabrzmiewać. Kilka dni temu zobaczyłam w telewizji perorującego Kantora i Turowicza, na którym złośliwe oko kamery spoczywało niemal przez cały czas. Wszyscy, którzy to obejrzel, zastanawiali się, kiedy to było filmowane.

Y: — To było teraz, niedawno, w teatrze „Cricot”.

A: — To było teraz robione?

Y: — Teraz.

A: — Kilku aktorów i ludzi piszących zapytało mnie drugiego dnia: to pan Turowicz odwiesił bojkot?

Y: — Nie, pan Turowicz nie odwiesił bojkotu, tylko przyszedł na zebranie do „Cricotu”, na którym pojawiła się telewizja, która go fotografowała. Mnie też kiedyś pokazano, nie wymieniając zresztą mojego nazwiska, z tym że ja nie wiedziałem w ogóle, że jest tam telewizja. Nie ma to większego zna-

czenia. Wiemy doskonale, że ani Kantor ani Turowicz nie są kolaborantami.

A: — W Warszawie była wielka konsternacja.

Y: — Bo Warszawa jest troszkę chora na głowę. Ludzie tam doprowadzeni są do większej hysterii, bo Warszawa jest stale czymś niepokojona. Trwa ciągle walka na Placu Zwycięstwa.

A: — Słyszałam, że u was chcą skończyć bojkot?

Y: — Nie wiem, nie latam po ludziach więc nie wiem, czy chcą kończyć bojkot czy nie chcą.

A: — Tym bardziej interesuje mnie więc; co Pan na ten temat myśli?

Y: — Jeszcze bym trochę wziął na wstrzymanie. Gdyby tak się zastanowić, po jak długim czasie abstynencja stanie się paraliżem... Ale nie mamy, że tak powiem, inicjatywy. Inicjatywę ma rząd. Zależy, jak długo będzie nas trzymał w tym potrzasku. Nawet jeżeli zostaną zrobione pewne kroki, to przecież cenzura i cały profil czasopism będzie ukierunkowany.

A: — Chodzi mi o publicystykę, o reportaż. Mówi Pan abstynencja, potem paraliż. Jest to więc taki kij, który ma dwa końce. Uderza we władzę, ale dosięga też społeczeństwa.

Y: — Tak, ale jesteśmy w ręku władzy. Nie można podjąć istotnego problemu, bo nie wydrukują. Wydrukują coś, co będzie może w dwóch miejscach aluzyjne, ale bardzo mocno ograniczone autocenzurą, no i wtedy właśnie ludzie powiedzą: no, napisał, podłożył się. Z drugiej strony w *Tygodniku Powszechnym* czytamy wiele artykułów, które z powodzeniem, bez jednego skreślenia cenzora, mogłyby się ukazać w każdym innym tygodniku kulturalnym czy społecznym, gdyby je autorzy tam zanieśli. Tak więc ludzie, którzy nie chcą pójść na współpracę zamykają się w tym jednym, małonakładowym piśmie. Jest to więc jakieś samobójstwo.

A: — Istnieje chyba jakaś więź między piszącym a czytającym. I teraz proszę pomyśleć, ilu ludzi zwolniono, ile przeszło na wcześniejsze emerytury. Można nas posądzać o wygodnictwo, mamy względnie dostatnie, ułożone, spokojne życie, nie musimy walać rąk jak nasi koledzy, nawet nie bardzo mamy ochotę na pisanie. Ale czy to jest zdrowe? Władzy to przecież na rękę? A może nie?

Y: — To straszny problem, ale znam bardzo wielu ludzi, którzy na takie włączenie się zareagowałyby bardzo negatywnie.

A: — A dlaczego — Pańskim zdaniem — bojkot należy jeszcze utrzymywać?

Y: — Przemawia za tym moje osobiste doświadczenie. Przygotowałem do druku książkę. Oddałem wydawnictwu w 1980 roku. Wszystko było klawo. I teraz mnie piłują, męczą, a to wyrzucić, a tamto wyrzucić. Ja się zwijam, kłócę, jak to w takiej sytuacji. Gdzieś trzeba ustąpić, gdzieś nie. Ale mnie to dysgustuje, bo gdyby to nastąpiło wcześniej, od razu po oddaniu książki, ale nie, to się zaczęło równo ze stanem wojennym. Zaczniemy więc myśleć nie ideologicznie, tylko pragmatycznie. Po co jest ten bojkot? Między innymi po to, po co są sankcje Reagana. To jest samobójcze i to jest samobójcze. Ale jedno i drugie jest szantażem wobec władzy, aby zmieniła swój sposób postępowania. Co do bojkotu literackiego można sobie zadać pytanie, czy jest to rzeczywiście szantaż, czy też władza jest z tego właśnie zadowolona. Być może myślą: to bardzo dobrze, są to w gruncie rzeczy nasi wrogowie, niech cicho siedzą. Po co nam ta cała zgniła inteligencja. Gdyby tutaj decydował Siwak, to by tak powiedział.

A: — Może, ale jeszcze nie jesteśmy na tym etapie.

Y: — Olszowski!... Akurat wyszedł z tego okresu, ale nie wiem, czy był daleki od takiego myślenia. A Rakowski? Ten jest dla mnie postacią tak obrzydliwą, że dostają gęsiej skóry, kiedy go widzę. Bo to jest właśnie ten niby „inteligent”. Więc rozumiem milczenie jako tę formę szantażu, na jaką nas stać. Jeśli to jest szantaż. Pytanie też, czy dla tego rządu fakt, że inteligencja zamknęła usta, że ją stracili jest w ogóle problemem czy nie. To że stracili młodzież jest dla nich problemem.

A: — Ale oni stracili także klasę robotniczą i nie wiem, czy zdają sobie sprawę z tego, że stracili też przeważającą część członków partii.

Y: — Utrata klasy robotniczej jest mniej sprawdzalna. Bo cóż, ludzie przychodzą do fabryk, coś tam robią. A utrata inteligencji jest sprawdzalna. Nie ma ich, nie ma ich nazwisk. Oni rzeczywiście strajkują. Właściwie to jest strajk, nie bojkot. Więc w tej chwili robotnicy nie mogą strajkować, no bo nie mogą, bo dostaną pałą w łeb — strajkuje inteligencja. Czy skutecznie? Oczywiście nie jest to szantaż w żadnej mierze porównywalny do szantażu, którym jest strajk robotniczy, ale chyba taki jest sens tego wszystkiego.

CHI

Alfa: — Co się stało w nocy z 12 na 13 grudnia ubiegłego roku? Jak by Pan to dzisiaj ocenił?

Chi: — Upewniłem się, że to, czemu poświęciłem kilkanaście miesięcy było najszlachetniejsze w świecie. Ogłoszenie stanu wojennego osobiście nie zrujnowało mnie ani nie przeraziło. Potwierdziło mi to natomiast w tym właśnie momencie stałą praktykę władzy, mianowicie zabieranie wszelkiej nadziei i przede wszystkim uniemożliwianie społeczeństwu samouformowania się. Tak się złożyło, że kilka miesięcy przedtem miałem ostre starcia wewnątrz naszego związku. Nie zgadzałem się z wieloma rzeczami, ale miałem jedyny raz w życiu możliwość dyskutować o tym z ludźmi, od których zależały późniejsze decyzje kierunkujące działania w kulturze. Cele się nie zmieniły. Jestem, nazwijmy to, na wolności, więc siła tego zła i ślepotą ciągle potwierdza pewność, że cele były dobre, kierunki dobre, o metodach nie mówmy, bo to była sprawa taktyki drugiej strony. Wobec tego trzeba zobaczyć, co się będzie działo, no i próbować dalej te cele realizować.

A: — Czy uważa Pan, że pozbawienie społeczeństwa kontaktu z dziełem twórcy jest zawsze zbrodnią kulturalną?

Ch: — Zawsze.

A: — To czym według Pana jest obecny bojkot radia i telewizji?

Ch: — Jest potworną zbrodnią, pytanie tylko czyją? Na naradzie zwołanej w listopadzie 1980 roku a poświęconej ochronie języka, kultury i oświaty uznaliśmy, że największej zbrodni na kulturze polskiej dokonuje pośrednik, albo jak nawet określono dosadniej — przeżuwach! A więc ten, kto przeżuwa wartości i podaje je społeczeństwu w formie papki, kto stoi

między twórcą a społeczeństwem. Przeżuwacz chciał w dalszym ciągu przy pomocy dekretów przez siebie ustanowionych ten kontakt regulować, według kryteriów zarówno ideologicznych jak i personalnych. Obroną przed takim wcieleniem do armii przeżuwaczy było odsunięcie się od udziału w propagandzie. Bojkot nie jest wycofaniem się z obowiązku służenia swojemu społeczeństwu, natomiast jest wycofaniem się z udziału w cudzej propagandzie, która z kulturą, z transmisją, a w związku z tym i z istnieniem dzieła nie ma nic wspólnego. Dlatego uważam, że jest to zbrodnia, tylko pytam, kto jej winien. Najbardziej zdumiewającą cechą tego trwającego tyle miesięcy bojkotu jest jego spontaniczność. Coś, co się rodzi samo oznacza zgodność z naturą. Chcąc temu przeciwdziałać, musielibyśmy oskarżać naturę tego zawodu, naturę istnienia i funkcjonowania dzieła sztuki oraz odbioru. Natura odbioru czy odbiorcy dowodzi, że społeczeństwo natychmiast zorientowało się, o co tutaj chodzi. Widząc poparcie, tak negatywne — przez wyklaskiwanie, jak i pozytywne — przez różnorakie sygnały sympatii, jakich nigdy dotąd nie mieli, artyści upewnili się o słuszności swojego sprzeciwu.

A : — Jak długo może trwać bojkot?

Ch : — Nie widzę wyjścia. Póki nie usunie się przyczyn, nie da się opanować bojkotu. Nikt nie może przeprowadzać negocjacji z kimkolwiek w tej sprawie, dlatego że nikt się nie czuje upoważniony. Nikt nie ma na to mandatu środowiska, w każdym razie nikt rozsądny nie czuje się mandatowany. ZASP także nie chce tego robić, o czym poinformowano członków natychmiast po odwieszeniu. A gdyby podjęły się tego komórki partyjne — no to co? Podejmą zobowiązanie, które jest natury organizacyjnej, a cała sprawa rozstrzyga się w kategoriach moralnych.

A : — Ale można przepłacić ludzi. O aktorach, w ogóle o artystach mówiło się, że łatwo ich kupić. Zasadnicze pensje np. aktorów są ciągle bardzo małe.

Ch : — Bardzo się tego boję. Boję się w imieniu tych ludzi, którzy już ponieśli olbrzymie wyrzeczenia różnej natury, nie tylko materialne, ale także zawodowe, ambicjonalne. Boję się ich dramatu i tego, że właśnie dadzą się przekupić. Boję się, bo przy tej postępującej inflacji głód zagładnie ludziom do oczu! Wbrew pozorom albo wbrew plotkom, nigdy to nie było bogate środowisko, no ale w tej chwili, jak wiem z rozmów, są to sprawy naprawdę gardłowe. Natomiast nie wierzę, aby

determinacja ludzi znanych miała skończyć się z tego powodu, że nie będą mieli co jeść. Będą wtedy robić co innego i wiem, że procent ludzi, którzy pójdą w tej sprawie do końca będzie większy, niż mogłoby nam się w tej chwili wydawać. Został przekreślony model artysty, który miał prawo być w życiu byle kim. Jak się mówiło „aktor”, to już myślało się, że to moralnie podejrzana osoba. W tej chwili w odczuciu społecznym wyraźnie wzrósł autorytet aktorów protestujących poprzez bojkot telewizji i radia. A jeżeli ktoś swojego zawodu w tej chwili używa, niszczy się jako człowiek i jako artysta.

A: — Czy uważa Pan, że tego rodzaju bojkot mógłby czy nawet powinien być rozszerzony na inne środowiska twórcze?

Ch: — To inna sprawa. Zawód aktora czy piosenkarza estradowego oprócz swojego bardzo głębokiego, mądrego i skutecznego posłannictwa ma także coś z popisu, a więc coś, co jak gdyby zawsze pomniejsza i aktorzy to znakomicie odczuwają. Nawet wypowiadając najwyższe racje, wciągając widza w rozumowanie o naszym bytowaniu myślą: no dobrze, ale ja przy tej okazji i siebie pokazuję, siebie przedstawiam, popisuję się. Dwuznaczność tego zawodu, do którego natury należy publiczne popisywanie się była szczególnie ważnym elementem uczucia, że oto nadszedł czas, w którym nie ma miejsca na własne popisy i w ogóle na własną osobę, na jednostkowy interes. To uczucie było jedną z przyczyn bojkotu. Tylko tam, gdzie można było wystąpić w sposób czysty — tylko dla sztuki, dla myśli, dla idei — tam, gdzie nie było zakłócenia między odbiorcą a nadawcą można było siebie schować za ideę, czyli służyć sztuce. Zupełnie więc czym innym jest bojkot telewizji czy radia przez aktora, a zupełnie czym innym bojkot środków masowego przekazu przez plastyka, malarza, rzeźbiarza czy literata. Wszyscy ci twórcy też nie występują w telewizji ani w radio, natomiast nie można nie pisać, nie można nie publikować. Pytanie, czy jest możliwość publikacji i gdzie. To już nie jest sprawa ani literatów, ani malarzy, tylko społeczeństwa, które powinno się zorganizować, żeby te rzeczy były publikowane, oglądane itd., itd. Uważam, że bojkot jest analogiczny, ale tylko do momentu brania udziału w środkach przekazu. Natomiast nie może to dotyczyć tworzenia. Dlatego robię to rozróżnienie. Wkrótce będziemy mieli w teatrze, który nie jest objęty bojkotem olbrzymie problemy repertuarowe. Kto wie, czy nie będzie on w jakiś sposób narzucany, a w każdym razie wymuszany, czyli będą konieczne jakieś kompromisy. Wtedy sytuacja aktora czy reżysera stanie się analogiczna do sytuacji pisarza. Czy wobec tego

w teatrze, który nie jest objęty bojkotem, można tylko ustępować? Wtedy, sądzę, usubtelni się bojkot wprowadzając następne decyzje. W tej chwili dla wszystkich było jasne, że nie należy brać udziału w propagandzie. Natomiast brać udział we własnej twórczości jak dotąd było obowiązkiem. Nikt nie mógł zrezygnować z udziału w „Nocy listopadowej”, choćby jego prywatne przekonanie było w tym momencie przeciwko temu spektaklowi. Nie mógł się z tego wyłamać. Natomiast nie wiem, czy zaistnieje prawo wyłamywania się ze współuczestnictwa w tworzeniu, dajmy na to, pozycji narzucanych.

A: — Słyszałam, że telewizja otrzymała ogromne fundusze na stworzenie teatru specjalizującego się w klasyce. Czy teatr telewizyjny uważa Pan za twórczość czy za dalszy ciąg propagandy, słowem, czy bojkot w tym względzie należy podtrzymać?

Ch: — Wydaje mi się, że trzeba pamiętać o tym, co się dzieje tuż tuż przed i po teatrze. Są dwa dzienniki. Ten kontekst decyduje, że chcąc czy nie chcąc jednak bierzemy udział w propagandzie. Mówiąc to nie chcę oceniać ewentualnego faktu stworzenia w naszej telewizji takiego teatru klasyki.

A: — A jak by to zostało ocenione przez środowisko twórcze?

Ch: — Myślę, że co znaczniejsi nie wejdą do telewizji. Gogolewscy się zawsze znajdują, ale to nie będzie obciążało środowiska.

A: — Jaki był Pański stosunek do Solidarności i co w tym ruchu związkowym, bo od takiego zaczęła się Solidarność, Pana zainteresowało, a co w nim drażniło? Na początku naszej rozmowy napomknął Pan o różnych starciach...

Ch: — Nie przeceniałem czysto związkowych spraw, które były u podstaw tego ruchu. Problemy analogiczne do wysuniętych w Gdańsku były wszędzie, także w fabryce, biurze, nawet w teatrze. Ale ich nie lekceważyłem. Wybrany do tymczasowej komisji zakładowej, poznać musiałem nieraz najdrobniejsze szczegóły, które wprowadzały nas od razu w zagadnienia wielkiej problematyki godności pracy, godności pracownika no i godności pracodawcy, o czym się też na początku dużo mówiło. Chęć ułożenia prawidłowej godnej relacji między tym, kto kieruje, a tym, kto jest kierowany i szacunek dla kierującego były tematem naszych zebrań wtedy, kiedy było naprawdę trudno — przy strukturach horyzontalnych — utrzymać zasadę jednoosobowego kierownictwa. Wiedzieliśmy doskonale, w jakie

moce trzeba wyposażyć każdą władzę, żeby cały organizm funkcjonował sprawnie. Ale środki masowego przekazu chciały widzieć we wszystkim jedynie zamach na władzę. W Bydgoszczy też o co innego chodziło. Bezskuteczna zebrana o ustalenie relacji między władzą a społeczeństwem nie była zamachem na godność władzy. Ta część działań związkowych mnie fascynowała.

Wszystko to było już przedtem, przed Solidarnością. Podjąłbym się na podstawie wydawnictw, i to oficjalnych, i na podstawie słów wypowiedzianych przez różnych ludzi zrekonstruować program, który się uformował później w te przedziwne postulaty gdańskie. Jak te kilkadziesiąt kazań Papieża uformowało się w punkty porozumienia gdańskiego... To też było coś niesamowitego: dzień po dniu śledzić, jak to dochodziło do świadomości. Nie byłem w Gdańsku, ale z tych informacji, które docierały można było sobie wyobrazić, że to jest tak, jakby było coś z tyłu głowy, a do przesunięcia do przodu brakowało tylko jakiegoś parametru. To słowo „godność”, które było przez Papieża wciskane prawie w podświadomość. Komputery powinny przeliczyć, ile razy przy każdej okazji to słowo padało. Tak się formowały te postulaty. Żądanie 20 zł więcej dla pielęgniarki wynikało z tego, co się mówiło o szacunku dla życia i pierwszeństwa życia przed śmiercią. To jest powszechne odczucie i żyje w dalszym ciągu w obszarze fascynacji i współudziału. W całym ruchu zobaczyłem niezwykle szansę dla kultury. Ale na obszarze, który, o dziwo, nie dotyczy samej istoty sprawy, to znaczy nie twórczości. Uważałem, że byliśmy już dawno gotowi w sztuce i to w każdej dziedzinie: i w literaturze, i w filmie, i w teatrze, i w muzyce, do podjęcia jeszcze większych zadań niż te, jakie sztuka faktycznie wykonywała. Szanse, które Solidarność wniosła widziałem w tym samym, czego spodziewałem się w życiu, to znaczy, że nastąpiłaby epoka prawdy. To, co ma być drukowane, ma być drukowane jedynie z powodu jakości — w każdym sensie, i artystycznym i ideowym — a nie z innych powodów. Żeby nie było wznowień cegieł, gdy poprzednie wydania tego samego autora szły na przemiał, albo dzieł zebranych, ale żeby zaczęło się normalne funkcjonowanie, to znaczy, żeby całe społeczeństwo miało dostęp do tego, co wytworzyła nasza kultura. Władza manipulowała kulturą do prezentowania własnych osiągnięć. Płyty Pendereckiego nie ma, natomiast chwaliło się na całym świecie Pendereckim z powodu jego sukcesu. To było podpisywanie się pod sukcesem, czyli mechanizmem piłki nożnej: my, naród, jesteśmy np. drużyną

piłki nożnej, która w 1974 roku zdobyła któreś tam miejsce w mistrzostwach świata. I to był „nasz” sukces. Tak też było z nazwiskami twórców: pisano o ich sukcesach tak, jakby któryś wygrał konkurencję w skoku wzwyż czy też strzelił bramkę.

Tak było choćby z Gombrowiczem, którego „Dzienniki” nigdy się u nas nie ukazały, ale do którego Polska Ludowa w pewnym momencie zaczęła się przyznawać. Używanie nazwiska Gombrowicza miało pokazać, jak jesteśmy liberalni. W czasach Solidarności zdarzył się bardzo podobny wypadek. Mianowicie Miłosz był wszędzie: w radio, w telewizji, na estradach, na scenie. Natomiast były kolosalne problemy aby można było wystawić Herberta. Kłopoty z cenzurą, która się potem tego wypierała. Ten mechanizm zasłonięcia jednym nazwiskiem problemu działał także w tamtej epoce. Mówił o tym ktoś w radiowej rozmowie chyba z panem Kubiakiem, prowadzonej zresztą przez wspaniałego dziennikarza. I to były także moje zarzuty wobec publicystów kulturalnych, którzy przyzwyczaili się do tego kieratu i do takiego systemu popisywania się liberalizmem. Wystarczył im jeden Miłosz! A ta masa rzeczy nie drukowanych w oficjalnych wydawnictwach dalej pozostawała w cieniu. Starałem się więc współpracować z ludźmi, którzy rozumieli, że musi nastąpić czas faktycznej znajomości tego, co się tworzy. To kojarzyło się ze szkołą. Chcę wyrzucić słowo „upowszechnienie” a zastąpić je zwrotem: „dać do poznania”. Bo „dać do poznania” można tylko przez szkołę. Jeżeli nie zrobimy dobrego programu szkolnego i nie przyjrzymy się, co naprawdę jest w metodzie Orffa, co np. zrobili Czesi dla umuzykalnienia swojego społeczeństwa i dla znajomości muzyki i temu, co zrobili nasi pedagodzy i dydaktycy przed wojną, za dwadzieścia lat, w 2000 roku nikt nie będzie wiedział, kto to jest Wyspiański. Czyli szkoła decyduje o tym, jak dawać do poznania. A co za tym idzie: kto będzie dawał poznać. Chcieliśmy usunąć „przeżuwacza”. I dlatego jakieś 95% artystów przystąpiło do Solidarności. To nie był akces na fali, ale przekonanie, że to właśnie chcemy robić, aby mieć łatwiejszy kontakt z odbiorcą. To była szansa nieprawdopodobna. Jestem przekonany, że to by się udało.

A: — To była szansa dla odbiorców oraz prawdziwych artystów. Natomiast nie była to już szansa dla wyrobników z każdej dziedziny. Może to właśnie oni przeciwstawiali się takiemu sposobowi poznawania i odbierania dzieł kultury?

Ch: — Tak, oczywiście, co więcej: myślę, że były także rozgrywki czysto związkowe, nie zawsze piękne. Rozumiałem

tych ludzi, którzy się bali. Nie byli to tylko przeciętniacy, tylko właśnie wyrobnicy, chałturnicy. Oni się tego szalenie bali; były więc napięcia ogromne, bo konkurencja byłaby wielka, gdyby doszło do prawdziwej weryfikacji wartości przez odbiorcę.

A: — Wymienił Pan właściwie jeden błąd Solidarności, to znaczy niezdolność czy też nieumiejętność sprecyzowania zadań na dziś...

Ch: — Chciałbym odsunąć słowo „błąd”, bo gdyby się to utrwaliło jako zasada działania, to byłby błąd, ale ponieważ było to wszystko *in statu nascendi*, trzeba też zrozumieć tych chłopców. Ich nastawienie było troszkę inne, a może to było nastawienie czasu. W tej epoce żądano mówienia wprost. Czas rewolucji jest czasem bardziej publicystyki niż jakiegokolwiek uogólniania. Chciano nawet by teatr stał się gazetą. Ktoś spisał ścieżkę dialogową z filmu „Robotnicy” i chciał zrobić z tego spektakl. Przyznam się, że uważałem to za zbrodnię na samej substancji teatru, bo jeżeli się nie uzyska tego stopnia ogólności, który dotyczy losu człowieka, to tego do teatru wprowadzać nie można. Na poziomie faktu przegramy zawsze z filmem.

A: — Dlaczego nie doszło do porozumienia między Solidarnością a władzą?

Ch: — Najłatwiej rzecz uprościć i obciążyć tylko jedną stronę. Niemniej ja tę stronę tzn. rząd, o wiele bardziej bym obciążył niż drugą. Była propozycja Solidarności, aby pokojowymi metodami, dialogiem, przeprowadzić zmiany w systemie. Nie było w tym naiwności. Zawsze było wiadomo, że nikt tu nie chce wyrzucić ustroju, bo jest to niemożliwe. U podstaw konfliktu leżało, moim zdaniem, diametralnie różne wyobrażenie o systemie, w jakim społeczeństwo może się poruszać. Począwszy już od Bydgoszczy metodą strony rządowej były drażnienia. To są fakty. Nie mówię niczego, czego nie byłbym pewien. Ze zszywek oficjalnej prasy można przekonać się, jak po każdej aferze takiego typu pokazywało się, kto był odpowiedzialny ze strony rządowej za kolejną prowokację. Trzeba było tylko odczekać dwa, dwa i pół miesiąca. Czasem dłużej. Na niektóre nigdy się nie doczekamy. Afera w Bielsku, która trzymała w napięciu całą Polskę, została przez kogoś celowo przetrzymana. A chodziło o kogo? O kryminalistę, którego później uwięziono, postawiono w stan oskarżenia, i dokonały tego władze... Niemniej jednak zrobiono wszystko, aby oskarżyć Solidarność, że rozrabia. Czyli każde upomnienie się o dialog, o rozwiązywanie konkretnych spraw stawało się punktem honoru. Jak np. reagował pan Rakowski, mąż stanu, wicepremier,

w czasie tej autobusowej afery... Niechby ona była jeszcze głupsza z każdego punktu widzenia, jeszcze bardziej bezsensowna. Najbardziej pewnie była bensenowna z punktu widzenia pana Rakowskiego, który nie rozumiał nigdy, dlaczego ludzie protestują. Zawiodłem się — powiedział. Cała klasa jest niegrzeczna, a najniegrzeczniejszy jest ten w drugiej ławce. Premier, który się osobiście zawiódł, bo rozmawiał, a oni mu robią takie ziazia. Ten poziom... Język między bezpośrednimi rozmówcami zniżył się do poziomu pogróżek, demonstrowania siły; przy czym piękne, ale i smutne jest to poczucie siły Solidarności, która nigdy tej swojej siły nie organizowała na taką miarę, o jakiej mówiła. Przedstawiciele nasi mówili: mamy siłę! Ale ona jest w innym wymiarze.

A: — Winą za to, co się stało obciąża Pan władzę. Czy to oznacza, że Solidarność była bez winy?

Ch: — Nie, nie była bez winy. Myślę, że kardynalny, historyczny błąd to była ta kolosalna różnica między sprawnością, polotem, inwencją w momentach wzlotów a nieumiejętnością zebrania i stworzenia programu na działania między wzlotami. Nasze działania między wzlotami były po prostu amatorskie i nie chciało się to kleić. Pomijam fakt, że były one ciągle torpedowane. Natomiast taka prosta rzecz jak zorganizowanie wspólnych działań między dwiema-trzema różnymi jednostkami administracyjnymi od razu wносиła straszliwe indywidualizmy — nawet nie chodziło o kariery i nie o szukanie korzyści. To się też tu i ówdzie zdarzało, ale myślę, że był to margines, o którym nie warto mówić. Natomiast straszliwa ambicja, żeby to był „mój program”, a nie „program”. Zaraz dam przykład. Otóż widzę, że ktoś wspaniale działa, ale nagle torpeduje, bo to już się staje własnością ogólną z małym zaznaczeniem mojej osoby. Z czego to wynika? Nigdy nie mieliśmy życia społecznego. Taki był brak kultury politycznej, kultury dialogu, że bardzo często po „krwawej walce” trwającej przez siedem-osiem godzin, kiedy rzucali się ludzie na siebie, w pięciu ostatnich minutach dochodzili do wniosku, że: „ludzie, nam o to samo chodzi”. A tyle tracono czasu! Opracowanie jednego punktu, który byłby dla wszystkich zrozumiały, budziło ogromną nieufność, wynikającą także z kompletnego braku techniki dyskusji. Nie uznawano też w związku kompetencji. O co mu chodzi? — pytano. Argumenty też się nie liczyły. Argument mógł być obalony bardzo demagogicznie: to jest interes takiej a takiej grupy, pan reprezentuje taką a taką grupę! Uważam, że był to grzech podstawowy, niezależnie od jego przyczyn, i nie o nich

chęć mówić, bo są tak rozliczne i tak zakorzenione, że to nie temat na rozmowę. Natomiast kardynalnym błędem w wytwarzających się strukturach Solidarności było to, że struktura nie gwarantowała ochrony argumentów. Np. gorsza jakość mogła przejść z powodu większej ilości głosujących, a ponieważ ambicją nas wszystkich było, żeby to był system idealny, to chciało się, żeby metody działania na co dzień też były idealne, to znaczy, żeby wymyślać takie struktury i takie gwarancje w przepisach, w formułach, które wyeliminowałyby jakiegokolwiek interesy grupowe.

A: — Nie można było tego zrobić przez 9 miesięcy, teraz jest stan wojenny i także nie można tego zrobić, a tymczasem któregoś dnia „zaświeci jutrzeńka swobody” i co — będziemy w tym samym punkcie?

Ch: — Nie, nie będziemy w tym samym punkcie, skoro trwa ta gorzka refleksja odzywająca się w codziennych rozmowach, kiedy ludzie zastanawiają się, kiedy i jak mogliśmy to czy tamto załatwić, dlaczegośmy tego nie załatwili, jak się to stało, że wiedzieliśmy wszyscy, że trzeba się uchronić przed możliwością wejścia ludzi bez autorytetu zawodowego czy moralnego, a nie wymyśliliśmy ustawy, która by eliminowała taką możliwość? Chodzi nie tylko o rzeczy personalne, chodzi także o momenty w rejonie najbardziej drażliwym. Inny błąd, o którym mówiłem w komisji regionalnej, to że jeżeli nie będzie jasno postawionych interesów branżowych, zrobią wam związki branżowe. I wykrakałem, pewnie nie ja jeden, bo to była dziura, w którą musiały wejść związki branżowe, to się samo narzucało. Pomysł był dobry, interes rolnika i górnika jest wspólny, ale nie udało się tego nigdy naprawdę przedyskutować. Tak powstała wzajemna nieufność Solidarności chłopskiej i robotniczej. Nigdy nie przystąpiono do określenia zasad konkretnego współdziałania.

A: — Mnóstwo nie ruszonych problemów. Ale myśleć nam nikt nie zabrania. Czy nie należy już w pewnych środowiskach wypracować metod przyszłego działania?

Ch: — Gdyby była możliwość jakiejś szerszej publikacji... Ale że o tym się dzisiaj mówi, że jednak analizuje się te błędy, że każdy wierzy i że nie spotka Pani człowieka, który by nie powiedział: przecież to trzaśnie, to musi trzasnąć, i żebyśmy się nie obudzili znowu w tym samym miejscu, z nieumiejętnością sformułowania tego, na czym potknęliśmy się przedtem, więc skoro tak jest, uważam, że nie jest źle.

A: — Ten optymizm nie jest tak wielki, jak Panu się wydaje. Uważam, że jest konieczny, zawsze też szukam jaśniejszych punktów, bo przecież nie można żyć bez nadziei, prawda?

Ch: — Ja mam trochę urzędowy optymizm, to znaczy uważam, że wartości takie nie mogą ginąć.

A: — A co sądzi Pan o sposobach demonstrowania przez społeczeństwo swego niezadowolenia i o sposobach reakcji władzy na te demonstracje?

Ch: — To już powiem zupełnie mój własny pogląd, dlatego że z koncepcji, które słyszę przekonuje mnie każda z osobna, więc wiem, że są wszystkie nieprawdziwe. Dlaczego nieprawdziwe...

A: — Ale jakie są te koncepcje?

Ch: — Myślę o koncepcji Kościoła i o koncepcji Solidarności, głównych ośrodków dyspozycyjnych, których opinię można bardziej wyczuć niż odczytać z dyspozycji. Myślę, że są nierealne, bo nie ma między nimi związków. Nie zdają sobie sprawy z faktycznego stanu zastraszenia czy stopnia odwagi. Myślę, że tu ani Kościół (a przynajmniej hierarchia) nie ma zbyt dobrego wyczucia, ani nie mają go ośrodki dyspozycyjne Solidarności. Myślę, że opór rzeczywisty jest o wiele prymitywniejszy, na niższym poziomie, niż bym tego chciał. Mianowicie jest to opór... na zasadzie reakcji. Czyli inicjatywę ma ciągle strona przeciwna, władza. Opór rodzi się tylko na zasadzie „odreagowania”, ale to za mało. Spodziewałem się, że te półtora roku wytworzyło w świadomości więcej wspólnoty a więc nie tylko zdolności odreagowania, ale i ochrony tego, czegośmy się dorobili. W szerokich kręgach społeczeństwa jest bardzo mała świadomość tego, co było wspólne i czego nie wolno naruszać. W bojkocie stopień świadomości tego, do czegośmy doszli, był większy. A potrafiliśmy odróżnić służbę prawdzie od sprzeciwu wobec kłamstwa. Natomiast stan społeczeństwa można by określić jako żal za czymś, co było i niezgodę na to, co jest, ale te cele wcale nie są takie...

A: — O jakich celach Pan myśli i czego zdaniem Pana należy chronić?

Ch: — Myślę, że z działania związkowego mógł powstać prawdziwy ruch samorządowy. A ten problem nie istnieje i robotnicy w dużych zakładach fabrycznych zgadzają się na przywrócenie dokładnie takiego samego systemu zarządzania i planowania, jaki był. Z tego wynika dyktatura cen, warunków pracy, relacji z klientem. Myślę, że gdyby ogłoszono strajk prze-

ciw systemowi rozdzielczemu, gdyby przeciw temu podniósł się główny sprzeciw, gdyby wiedza o samorządzie przeniknęła wszędzie, organizując podstawy materialne naszego bytu i naszą wolność w ogóle, to rozumiałbym wtedy powód „oporu do krwi”. W tej chwili nie jest to opór skoncentrowany na jednym zagadnieniu, lecz opór w ogóle na „nie”, a więc opór niekonstruktyny. W tym sensie mówię, że jest reakcją na gwałt. No, nie chcę tak zupełnie oskarżać własnego społeczeństwa, ale ten opór nie jest kierunkowy.

A: — A ja myślę, że Solidarność, w dobrej wierze, chciała wszystko zagarnąć pod siebie, zupełnie jak partia. Chciała więc zmonopolizować życie w kraju, tyle tylko że w odwrotnym kierunku i pod swoim sztandarem. Skoro bowiem samorząd jest tak istotną dla wolności jednostki sprawą, należało pracować nad tym i wyjaśnić ludziom jego dobrodziejstwa przez wszystkie lata od 1956 roku, kiedy to samorzady robotnicze powstawały a potem znikwały jak kamfora. W literaturze mamy pełno pięknych myśli i wzniosłych haseł. Ułudą karmiono to społeczeństwo nie od dziś, ale lata całe. I jeżeli mam jakieś pretensje do tego ruchu, w którym uczestniczyłam całym sercem i umysłem, to tylko takie, że był niestety tylko kolejną ułudą. Może był potrzebny, może nawet nieodzowny dla społecznego bytu, ale był tylko ułudą.

Ch: — Solidarność musiała wybrać metody działania licząc się ze stopniem świadomości i z poziomem kultury politycznej społeczeństwa. Teraz możemy dyskutować, czy to było słuszne czy nie. Czy nastawienie na posunięcia legislacyjne, walka o gwarancje w postaci ustaw, rozporządzeń, o wpływ bezpośrednio na prawo — były błędem czy nie. Jaka by nie była ustawa o cenzurze, była jednak triumfem olbrzymim, ponieważ ustępstwa tamtej strony były wyraźne. Na podstawie tego układu mogliśmy, przez pewien czas, powoływać rzeczownika prasowego rządu przed sąd. Czyli było coś, co było prawdziwym osiągnięciem tej metody.

A: — Ale sprawdziło się to tak znakomicie dlatego, że urząd cenzury działał. Gdyby działał również samorząd, czy to robotniczy czy wiejski, i została wprowadzona ustawa o samorządzie, mieliśmy też na pewno z czego się cieszyć.

Ch: — Więc jeśli się chciało robić szybko, trzeba było robić od góry, z akceptacją w dole. Nie było czasu na wychowywanie społeczeństwa. Wobec tego wydaje mi się, że była to metoda słuszna. Gdzie ona się zgubiła, to inna sprawa. Słuszne byłoby też ustanowienie odgórnej struktury samorządu, bo przez

praktykę ludzie nauczyliby się brać w tym udział. Trzeba ludzi nauczyć samorządu, bo ci, którzy dziś chcą samorządu, w ogóle nie wiedzą, na czym on polega.

A: — Ale idei samorządu nie wymyśliła Solidarność. Korzeni tego trzeba szukać w ruchu chłopskim, u Witosa, w stronnictwie „Piast”. Podobnie i ruch spółdzielczy nie zaczął się u nas z nastaniem PRL. Ale czy nie sądzi Pan, że wiele błędów Solidarności powstawało dlatego, że działała ona tymi samymi metodami co władza oraz że w związku prym wiedli działacze, a nie fachowcy?

Ch: — Chciałem dojść do tego, na czym Pani skończyła. Solidarność jako ruch 10-milionowy nie mogła zmienić metody. To znaczy nie mogło skończyć się wiecowanie. Nie można od tego stałego kontaktu odejść, gdy jeszcze nic nie osiągnięto. Bo praktycznie aż tyle, że nie. W tych istotnych punktach, takich jak samorząd. Nastąpiło to, co nastąpiło, to była dywersja. Gdyby nie ta dywersja, to by ten ruch sam zrozumiał, że demokracja polega właśnie na hierarchii kompetencji. Ze jeżeli nie może być demokracji typu greckiej agory, to musi być demokracja typu hierarchicznego. Jedynym kluczem wyznaczania przedstawicieli jest kompetencja. Tak się to zaczynało i dlatego budziło nadzieję, zachwycało. Nie wiedzieliśmy jeszcze, kto tam jest, ale byli eksperci. To że obok Wałęsy, chłopaka-elektryka jest ekspert, to nie tylko zabobon, że wiedza daje możliwość rozwiązania wszelkich spraw, ale że to się razem złączyło. Natomiast później, na Zjeździe, rzeczywiście powiało grozą: mianowicie brakiem zaufania do ludzi kompetentnych. Czyli wytworzyło się olbrzymie niebezpieczeństwo partyjne, generalny brak zaufania do ludzi kompetentnych. Zabrakło równowagi między działaniem faktycznie związkowym a działaniem politycznym. One się nigdy nie powinny były rozdzielić, ale w pewnym momencie Solidarność została wciągnięta na podwórkę polityczne.

A: — Wciągnęła się też chyba sama jak ryba w sieci. Ale czy to rzeczywiście było nie do uratowania, jak Pan sądzi, czy to się musiało tak skończyć?

Ch: — Jakie błędy były w działaniu związku, a jakie błędy w ruchu społecznym? To, co Pani powiedziała, jest ewidentną prawdą: pod koniec związek nie był związkiem. Nawet jeśli tematem obrad KKP były zagadnienia czysto związkowe, to tylko dlatego, że były polem gry politycznej. Czyli już się przesuwały gdzie indziej, a nie były rozwiązaniem problemu związkowego. Ale mnie interesują błędy i osiągnięcia w ruchu spo-

łącznym, z tym że przyznają, że sprawy związkowe są pierwszoplanowe, bo dla nich było te 10 milionów.

Czy to się musiało tak skończyć? Z punktu widzenia rządowego tak. Może nastąpiłyby jakieś inne prowokacje... Ja bardzo doceniam tego przeciwnika. Wiem, że system nie może się zmienić tak, aby wypaść z naczyń połączonych całego bloku. Tymczasem w odczuciu naszego społeczeństwa te zasady systemowe były bardzo kwestionowane. Może nie ustrojowe, natomiast systemowe na pewne. Dla mnie kluczem do tej całej sprawy jest okres między podpisaniem porozumienia a rejestracją. Uważam, że wtedy się wszystko rozegrało. Między sierpniem a listopadem. Nie wiem kto był Machiavellim, ale to, że z samej rejestracji związku zrobiło się główny moment napięcia i istnienia wszystkich dążeń ludzi, którzy chcieli o czym innym mówić, może o tych 20 zł dla pielęgniarki. Ten dokument był zbyt bogaty, żeby się przypiąć na przykład do 19-go punktu. Z rozmów zrobiono pojedynek: zarejestrujecie, czy nie zarejestrujecie. A więc już się uruchomiły ambicje, a tym samym rozgrywki i batalie na temat punkcików i już zginął z pola widzenia ten najważniejszy moment: to znaczy otwarcie. A w otwarciu było uznanie wszystkiego przez drugą stronę — tak jak jest. W tym pierwszym momencie zgubiło się też metodę rozwiązywania problemów. Jedna strona straszyla i druga też. Strajk generalny na temat rejestracji był wspaniale wymyśloną bronią. To nie mogło być inaczej, bo by to zawracało historię do sprzed Sierpnia. W tym momencie postanowienie o strajku generalnym było prawdziwym atutem. Forma w sztuce nie lubi powtórzeń, w życiu tym bardziej. Argument dwa razy używany jest żadnym argumentem.

A: — Czy uważa Pan okupację jaką nam zrobił tutaj generał Jaruzelski za lepsze wyjście niż gdyby tutaj wkroczyły wojska sowieckie?

Ch: — Nie mam cienia wątpliwości, że największym nieszczęściem jakie istnieje jest obecność cudzych wojsk na terenie własnego kraju. Ale jeszcze gorsza jest ta ilość quislingów jaka się znalazła, bo to jest to samo, tylko zdegenerowane jeszcze o stopień: kierowane przeciwko własnemu bratu, siostrze, matce. Nie mam wątpliwości, że to jest największe nieszczęście jakie mogło się stać, ze szkodami moralnymi, których miary nie chcą sobie nawet wyobrażać. Bo fakt, że to zaistniało, że można przeciw własnemu społeczeństwu znaleźć mówiących tym samym językiem ludzi, z tej samej ziemi, to to są szkody na przyszłość i wyrwy w tym, co oni śmiały nazywać jednością naro-

dową. Przecież nie ma większej zbrodni przeciw jedności narodowej jak zdrada. W czasie okupacji wiadomo było, czym to grozi. Polak, który zdradzał naród, sam się eliminował z tego społeczeństwa. A teraz my mamy wyeliminować... tu nawet nie chcę powiedzieć dalej, bo przecież byli chłopcy z wojska, których przymuszano do wyjścia na ulice, a jeżeli ktoś wychodzi na ulicę z karabinem, to ma strzelać. Gadanie, że wojsko było w odwodzie, a tylko ZOMO. A kto to jest ZOMO? Zrobiono to z pełną świadomością. Jaruzelski wiedział, kogo wprowadza. To uważam za najstraszniejszą rzecz, jaka się mogła stać.

A: — Niektórzy moi rozmówcy twierdzili, że jest to jednak lepsze wyjście, niż wprowadzenie wojsk sowieckich. Co Pan o tym myśli?

Ch: — Różne były plany. Sam czytałem w jakimś wydawnictwie, chyba ze Śląska, że jeżeli wejdzie armia sowiecka, to schowamy się w domu. Bo metoda zamknięcia się w stoczni dała tak znakomite efekty. Jeżeli jesteśmy na swoim terenie, w swoim domu, w swoim zakładzie pracy, nie tak łatwo się atakuje. Na ulicy łatwo się atakuje. Niechby więc wjechała ta armia i przejechała pustymi ulicami. Oczywiście byłyby aresztowania, zsyłki na Sybir. A co, nie stało się to w tej wersji?

A: — No, nie mamy jeszcze własnego Sybiru!

Ch: — Wielka różnica!

A: — A wychodzenie teraz na ulicę ma sens? Bezbronni ludzie przeciw uzbrojonym ZOMO-wcom?

Ch: — A, to już jest nie w kategoriach sensu. Myślę, że jest to w kategoriach takiego odruchu, jak gdy bity pies gryzie.

A: — A czy biliby, gdyby nie było nikogo na ulicach? Przyznam się, że miałem bardzo podobny projekt, żeby w przypadające rocznice nie wychodzić z domów. I ZOMO biłoby się chyba z ZOMO? Ale stało się inaczej, sytuacja jest patowa i niestety znów są ofiary. Co wobec tego robić dalej?

Ch: — Myślę, że w tej chwili nie można mówić o organizowaniu się; opór istnieje, brak zgody na tę rzeczywistość jest ewidentny i powszechny. A ponieważ nie ma organizacji, to niech ten żywioł ocali godność. Nie przypuszczam, żeby cokolwiek złego wynikało z poświęcenia się ludzi. Są straszne straty... Nasz koszmarny los polega na tym, że zawsze najlepsi są wytrzebieni. Jak co do czego przychodzi, to czuje się ogromne braki, a z drugiej strony, kto wie, czy odradzanie się — nie jestem katastrofistą ani mesjanistą — więc czy odnawianie się ofiary nie daje tego ducha? Z kontaktów z młodymi ludźmi wiem, jak

myślą: jeżeli teraz nie wyjdę, to jestem taki i taki, i siebie epitetem obrzuca. Nie chodzi tu o rozumowanie, ale o to, co każdy z nas w pewnej chwili czuje: no, dalej już nie mogę. Każdy sobie ten pułap określił. Dlatego tych ludzi, którzy czują konieczność wyjścia na ulicę doskonale rozumiem. Gdyby akcje były ukrywane, ale akcja jest zapowiedziana. I najpierw jest pokaz siły. Jeżdżą. Pomijam jakiś procent tych, którzy szukają przygody, chociaż do tego też mają prawo. Ale są ludzie, którzy uważają, że jest to zasadniczy zamach na ich wolność. Naprawdę żal mi tych, którzy idą do więzienia. Ale myślę, że z tych więzień wyjdą bardzo świadomi ludzie. Nie twierdzą, że więzienie jest w tej chwili jedynym miejscem kształcenia, ale wiem też doskonale, że są to dorośli ludzie, którzy wiedzą, co robią. Społeczny efekt jest jednak nie tak jednoznaczny, jakby się wydawało. Jest poczucie, że aktywny sprzeciw to jedna z wartości tego oporu, który istnieje. Rozwiązanie problemu jest tylko jedno: organizacja podziemna.

A: — Jest Pan chyba za organizacją podziemnego społeczeństwa, bo podziemnego państwa, do którego nawołują niektóre ulotki, paralelnego do państwa złe, ale jednak funkcjonującego, stworzyć się nie da?

Ch: — Oczywiście, mamy przecież wzorce: latający uniwersytet, zasadę kompletów. To jest wręcz nakazem chwili. Jeżeli ktoś czuje, że może coś przekazać, to powinien natychmiast organizować. Państwo nie powstanie, bo to po prostu jest niemożliwe. System kontroli, jaki jest, likwiduje wszelkie takie możliwości. Jeśli mówię „organizacja”, to myślę „społeczeństwo”, a społeczeństwo może się organizować w enklawach. To może być kiedyś decydująca siła. Co więcej, uważam to za najpilniejszy obowiązek. Nie zaczynać od robienia programów. Program tutaj jest prosty, tylko od razu próbować, co kto może; a zapotrzebowanie wiem, że jest, szczególnie wśród młodzieży. Czasem cel zastępuje program, program jest zawsze na dłuższą metę niż doraźność, która bardziej kuszących młodych ludzi...

A: — Czy nie sądzi Pan, że rola inteligencji w ciągu tych 16 miesięcy Solidarności była zbyt mała?

Ch: — Inteligentów mówiących językiem prostym jest tak mało, to choroba wewnętrzna inteligencji, więc istnieje przedział, pewna wobec inteligencji nieufność...

A: — A prawdziwa inteligencja polega przecież na tym, że się mówi i pisze tak, by każdy przeczytał i zrozumiał tyle, na ile stać jego szare komórki, czyż nie?

Ch: — I ile tego potrzebuje, proszę Pani.

A: — Gdy się czyta publicystykę tamtych pełnych wrzenia miesięcy z perspektywy dnia dzisiejszego, uderza to, że wszyscy jakby wypluwali z siebie to, czego nie było im dane napisać czy powiedzieć przez minione lata. Programu nie wypracowano żadnego. Czy nie należałoby się tutaj doszukiwać winy inteligencji, od której wymaga się przede wszystkim formułowania myśli na tyle jasnych i szerokich, by mogły zachęcić do działania wszystkie warstwy społeczeństwa?

Ch: — Zbyt mało mówiliśmy o zasadach. To była olbrzymia szansa, żeby działać w imię pewnych zasad. Nie w imię polityki, nie w imię taktyki ani korzyści ustawiania się w rządzie państw tak czy inaczej rozwiniętych; należało pokazać, że wszystkie nasze programy są z powodu jakichś zasad, dla jakichś zasad. Właśnie w świecie, który uważa, że mówienie o zasadach to prowincjonalizm.

A: — Pan uczestniczył w Kongresie Kultury Polskiej?

Ch: — Tak.

A: — Pytałam kogoś, jak wyglądały wnioski. Tragicznie wręcz — w moim przynajmniej odczuciu — był fakt, że zupełnie zabrakło konkretnych wniosków. Zebrała się tam elita kultury polskiej, przyjechali nawet niektórzy nasi intelektualisci z zagranicy. O tym myślę, mówiąc, że nie było programu, bo już kto jak kto, ale Kongres Kultury Polskiej nie tylko powinien się być odbyć, ale powinien być coś po sobie zostawić. Zostało parę przemówień.

Ch: — Myślę, że to było źle przygotowane. Nie można tego robić bez programu zadanego dużo wcześniej. Myślałem, że Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Twórczych przygotuje go w postaci konstruktywnej. W przeciwnym wypadku to są kolejne rozliczenia. Tam po prostu występowali w większości ludzie, którzy ustawiali siebie. A jak wracałem z Warszawy, pomyślałem, że było coś żałostnego w tym, iż kwiat umysłów polskich nie wiedział, co się stanie za pół godziny.

A: — No, ale wie Pan, kwiat umysłów polskich żył i żyje nadal w państwie totalitarnym.

Ch: — Właśnie, żałostność tego, że na nic nigdy nie będziemy mieć wpływu, jeżeli takie państwo zostanie. Że w pewnym momencie ktoś w koszarach może przerwać cokolwiek, co by mogło decydować o czymkolwiek. Ale myślę, że Kongres Kultury wyglądał prawdziwie.

A: — Niestety i ja tak myślę.

Ch: — Stan rozproszenia. Najdziwniejsza rzecz, że jeżeli

spotykają się ci sami ludzie, ale w trójkę, to doskonale wiedzą, jaka jest hierarchia rzeczy. Coś się dzieje później. Ambicje tworzenia planów globalnych, a jednocześnie ciągłe rozproszenie, brak skupienia czyli pewności w działaniu. Tu się to gubi. Uznaliśmy np., że to co się dzieje z książką, to jest po prostu coś strasznego. W kulturze celowo sterowanej w stronę rozrywki, telewizji i tego wszystkiego, co łatwo podawać jako papkę nie na uczestnictwa, jest tylko konsumpcja. A jeżeli stawiamy na udział indywidualny, z wyboru, to jest oczywiście książka, oczywiście teatr, sala koncertowa. Jeżeli się więc opowiadamy po stronie modelu, którym nie można tak łatwo manipulować, to musimy także wyciągnąć pewne konsekwencje związkowe i dokonać wyboru. Powiedzmy, że muzycy, malarze, architekci przez dwa lata nie będą żądać podwyżek. Idziemy więc do resortu, mówimy, że nasze dzieło możemy uprawiać, nie ginąc z głodu na dotychczasowym poziomie płac, natomiast dajcie wszystko czym dysponujecie w resorcie dla bibliotekarzy, na biblioteki, na wydawnictwa itd. Tak rozumowałem zawsze, może zbyt naiwnie, ale mówię o zasadach. A ludzie tego nie chcieli i mówili np. o zasadach wolności, natomiast nie o tym, jaki z niej użytek robić, jak z zasady wyprowadzić działanie. Nie usłyszałem nigdy żadnej propozycji mniej albo równie naiwnej, ale po prostu tak do konkretności idącej. Dobra, ja nie chcę więcej, niech moje stawki zostaną takie, jakie są, dajcie bibliotekarzowi. Wtedy rozumiałbym, jak działają mechanizmy społeczne, a więc związkowe, i jak rzutują na wyzwolenie poczucia wolności, na rozszerzenie poczucia wolności czyli przemodelowanie tego państwa.

A: — Solidarność chciała natychmiast tworzyć radę społeczną, aby nie dać jeszcze jednego pełnomocnictwa więcej ministerstwu, bo była przekonana, że ministerstwo znów będzie potentatem manipulującym tymi funduszami.

Ch: — Musiałaby to kontrolować organizacja związkowa, może na szczeblu regionu, nie wiem, i Solidarność musiałaby mieć na tym rękę, sprawdzać że tych pieniędzy, z których myśmy zrezygnowali nie daje się na leczenie szkorbutu, tylko że szkorbut musi być leczony z innych pieniędzy. Może znów na jakiś czas chirurdzy zrezygnują z podwyżek, a ich pieniądze dostaną pielęgniarki. Ale ciągle myślę o tym, że to powinno być przedkładanie zasad nad bezpośrednie rozwiązania. Wtedy to jest widoczne. Wtedy nasze całe społeczeństwo uzna to za przykład, zrozumie ten akt poświęcenia, który w związku musi przecież istnieć.

A: — Jeżeli słowo „solidarność” ma być treścią pracy związkowej a nie tylko szyldem związku, to musi być czynnie dokumentowane, czyż nie?

Ch: — Oczywiście, i wtedy podwyższa się poprzeczkę myślenia społecznego.

A: — Czy sądzi Pan, że w warunkach stanu wojennego, w jakich znaleźliśmy się obecnie, tej solidarności, powiedzielibym „na parterze”, nie możemy uprawiać? Bez udziału władz, tylko tak, by ludzie nadal czuli, że inni są z nimi solidarni?

Ch: — Myślę, że z tym jest bardzo kiepsko. Tu jestem pesymistą. Bardziej wierzę w tej chwili w coś zorganizowanego w małych enklawach, natomiast rozbitcie właśnie ducha solidarności jest związane... no, nie chcę mówić o ontologii, wolałbym to poprzeć jakimś faktem społecznym. Ludzie mogą sobie tak w ogóle dobrze życzyć, ale jakoś teraz Polak Polakowi jest wilkiem wszędzie: w autobusie, w sklepie; podejrzliwość, nieufność, co drugi człowiek o swoim bliźnim mówi „ubek”. Jest po prostu taka niewiara, takie rozbitcie zaufania, że wtedy taki kwiat jak poczucie solidarności nie ma gleby...

A: — A roli Kościoła w tym Pan nie widzi?

Ch: — Polacy nigdy nie byli narodem bardzo sobie życzliwym, co więcej, nigdy nie byli narodem bardzo religijnym w takim sensie, żeby cnoty ewangeliczne miały decydować o ich sposobie życia. Tutaj jest, moim zdaniem, kolosalna droga do przebycia dla Kościoła. Bo tego się nie odrabia tak łatwo, zwłaszcza, że ta świadomość nie dotarła jeszcze do wszystkich. Prymas Wyszyński miał świadomość, że to nie może być takim skokiem zrobione...

A: — Prymas Wyszyński musiał liczyć na masy, ponieważ nikt go nie popierał. Musiał mieć ilość. Dziś Kościół ma tę ilość i może pracować nad jakością. Chyba tak?

Ch: — To się musi stać, bo pod tym względem jesteśmy jeszcze pogańskim społeczeństwem. Oczywiście, system jeszcze narzucił relatywność wszelkich cnót, tak że jest to dodatkowe utrudnienie. Myślę, że Kościół może oddziaływać również jako organizacja. W imię swoich prawd może działać tylko wtedy, kiedy działa charyzma Papieża. To jest ten cud dziewięciu Jego dni, kiedy każdy dla każdego na ulicy był po prostu bratem i wszystkim. Z tej nauki mamy także Solidarność. Ten kwiat solidarności mógł zakwitnąć, bo ludzie mieli do ludzi uczucie jak do najbliższych. W tej chwili wydaje mi się, że Kościół ma program, którego nie przyjmuje żadna ze stron, ani rząd, ani Solidarność, nie mówiąc już o społeczeństwie.

A: — Ten program Kościoła czy też tej Rady Społecznej jest bardzo skromny, ale może tylko on jest realny. Co Pan o tym sądzi?

Ch: — Właśnie, czy to, że jest jedynie realny i logiczny nie jest jego największą wadą?

A: — Jeśli już coś jest logiczne i realne, to wadą może być albo zbyt wąski zakres, albo zbyttnia ogólnikowość. Ale to nie są wady rzeczywiste. Inaczej wygląda program spisany i odczytany, a inaczej realizowany. Przecież mamy doświadczenie, że tak czy tak nie honoruje się nawet podpisanych umów?

Ch: — A w jaki sposób nasze społeczeństwo może być przyciągnięte do tego programu...?

A: — Wydaje mi się, że nasze role się odwróciły, to nie Pan mi odpowiada, ale Pan pyta. Skoro jednak przyjęliśmy sposób rozmowy — to dobrze, odpowiem. Moim zdaniem społeczeństwo może być przyciągnięte do programu Rady Społecznej świadomością, że w przeciwnym wypadku nastąpi społeczne samozniszczenie.

Ch: — Boję się jednak, że społeczeństwo nasze tej świadomości nie ma. Kiedy przeczytałem ten 10-punktowy program, uważałem że jest to otwarcie, że jedna i druga strona mówi: no, jest z czym się do stolika.

A: — A mnie się wydawało, że to nie jest nic nowego, że raczej chodzi o to, aby władza coś wspólnie z Kościołem ustaliła, właśnie o ten pierwszy krok. W tym programie może się przecież mieścić bardzo wiele spraw istotnych i ważnych dla narodu. Kościół ma przecież drugą telewizję: ambony i możliwość bezpośredniego, równie szybkiego co telewizja kontaktu z wierzącymi.

Ch: — Każdy program zgłoszony, każdą platformę mierzy się ich skutecznością. Siłą tego programu polega na tym, że Kościół daje rządowi szansę rozpoczęcia rozmów, czyli powrotu, dość dużym łukiem, do Sierpnia. Gdyby chcieli zrobić taką propagandową woltę, niech by sobie zrobili, bo jednak nie wolno im się wycofać z Porozumień Gdańskich, więc mieli wszystkie szanse. Z propozycji jednak nie skorzystano...

A: — Niektórzy twierdzą, że władza wtedy mięknie, kiedy ma nóż na gardle. Myślę więc, że rozmowa ojca Bocheńskiego z porywaczami w Bernie spowoduje, że rząd nawiąże znów rozmowy z Kościołem. Kręci Pan głową przecząco, jest Pan więc innego zdania?

Ch: — Nie zgadzam się, to nie tak. Ja myślę, że ze strony Kościoła musi być szantaż: zerwiemy rozmowy, nie będziemy rozmawiać. Jestem całkowicie za Glempem, żeby się nie wykrwawić. Od tej strony uważam, że wszystko jest w porządku. Natomiast nie mogę się zgodzić na to, aby komisja rozmawiała z panem Kuberskim albo ks. kardynał siadał do jednego stolika z panem odpowiedzialnym za przeprowadzenie rusyfikacji szkolnictwa! Wprowadzali dziesięcioletkę i tylko nie wiem jaki cud, czy opór nauczycieli, czy tępota wykonawców sprawiły, że do pełnej katastrofy nie doszło. Tamta strona decyduje o tym, kogo chce mieć w rozmowach, tymczasem nasi, Kościół, siada z kimkolwiek, kogo im posadzą. Wyznaczają go, Kuberskiego, w dodatku teraz do rozmów ze Stolicą Apostolską. Tego nie rozumiem.

A: — Ależ Kościół nie ma na to wpływu. To jest funkcjonariusz w randze ministra. Pomimo wszystko musimy rozmawiać. Władza nie może zdrzeć z Kościołem, chyba że chcą ten kraj zniszczyć.

Ch: — Oczywiście tak, niemniej jednak Kościół za mało wyzyskuje pokojowe, jemu przynależne sposoby działania. Nie musi organizować sprzeciwu, ale może odmówić udziału w pewnych rzeczach. Przecież Prymas Wyszyński innej polityki nie uprawiał, tylko mówił: nie, w tym wam nie pomożemy. Wystarczyło tylko tyle, że się nie udzielało swego poparcia w sprawie np. rolników. I to jest dla nich najgorsze.

A: — Kościół się bardzo boi, żeby nie zabrano mu punktów katechetycznych, nie wznowiono poboru kleryków do wojska...

Ch: — Brak rozeznania! Przepraszam, że atakuję tak ostro. Powiedziałem kiedyś pewnemu dostojnikowi kościelnemu, żeby się nie bał o punkty katechetyczne. My je obronimy. Niech mi ktoś spróbuje zlikwidować punkt katechetyczny dla mojego dziecka! To otworzę go w domu! I będzie może pięcioro czy sześcioro dzieci przychodziło do mnie do domu, a do sąsiada następne pięcioro. To jest żadne ryzyko. Co więcej, druga strona też doskonale wie, że nie może zrobić zamachu na to, na czym społeczeństwo bezpośrednio ma rękę. To jest właśnie siłą Kościoła.

A: — Czy jednak Pan nie sądzi, że Kościół robi rzeczy, do których w ogóle nie był przygotowany i że to, co i jak robią, to po prostu cud. W tej chwili weszli w pełnię życia społecznego tego kraju, a przecież jeszcze dziesięć lat temu nie wiedzieli i nie orientowali się w meandrach naszego zawiłego ustroju.

Ch: — Tak, obserwujemy rzeczywiście niesamowitą wprost wolę, są to nieraz rzeczy zdumiewające...

A: — A trzeba pamiętać, że nikt z nas i z naszych najbliższych znajomych nie posłał swych synów do seminariów, nie słyszałam o jakichś znaczących ilościowo powołaniach kapłańskich wśród dzieci inteligentnych. Do seminariów idą najczęściej dzieci z rodzin chłopskich. Ciągłe jeszcze ten stan zasila Kościół.

Ch: — Teraz się to trochę zmieniło. Zaszokowany byłem, ilu chłopaków wśród znajomych wybiera się do seminarium.

A: — Nie chciałam tego nie doceniać, ale czy nie jest to ucieczka przed życiem, a chęć zrobienia czegoś konkretnego w spokoju, w zgodzie z sumieniem?

Ch: — Ale powołanie, wie Pani, jest tak skomplikowaną rzeczą, że kto wie czy nie wartościowsze mogą okazać się właśnie takie decyzje.

OMEGA

Alfa: — Zaczęliśmy dwunasty miesiąc stanu wojennego. Czy mogłabym Pana prosić o dokonanie bilansu strat i zysków, jakie ten okres przyniósł władzy i społeczeństwu?

Omega: — Pierwszym efektem jest właściwie pogłębienie przepaści. Punktem wyjścia kryzysu w okresie poprzednim, który doprowadził do buntu sierpniowego i wszystkich dalszych konsekwencji, był właśnie brak zaufania. W wyniku ogłoszenia stanu wojennego i dalszego jego przebiegu to zaufanie zniknęło całkowicie. Wydaje mi się, że jest to najcięższa strata dla całości, jaką jest Polska, ponieważ w istocie obydwie strony są skazane na wzajemną konfrontację, każda ze stron na płaszczyźnie, która jest dla niej najwygodniejsza. Dla władzy jest to represjonowanie społeczeństwa, zmasowana inwigilacja, sianie strachu i terroru, jednym słowem, obezwładnienie. Dla społeczeństwa walka toczy się właściwie na dwóch płaszczyznach, to znaczy kontrterroru, ale wykonywanego środkami pokojowymi i sygnalizowania niezgody na to, co się dzieje, przez tworzenie struktur podziemnych. Są to kolejne terminy, akty przypomnienia, że wewnętrzna dyspozycja do obrony własnego stanu posiadania istnieje, jak i w szerszym pojęciu, przez odsuwanie się i pogłębianie izolacji władzy, przez nową świadomość, znacznie bardziej wystrzoną, niż nawet w okresie Solidarności. Władze traktują struktury podziemne jako jedynego przeciwnika i orientują się na odniesienie zwycięstwa metodą represyjną. Natomiast tym rzeczywistym przeciwnikiem jest masowa świadomość narodu w nieaprobowaniu wszystkiego. I zbliża się moment, kiedy władza będzie musiała uświadomić sobie, że walka zewnętrzna, walka na ulicach była jedynie wierzchołkiem góry lodowej, wierzchołkiem całej niechęci i całej odmowy, która

tkwi głęboko w świadomości najszerszych mas polskiego społeczeństwa. Nie chcę wkraczać w dziedzinę kryzysu gospodarczego, który, jak wiemy, również się pogłębił przez koszty bezpośrednie stanu wojennego. Te bezpośrednie są już dostatecznie zatrważające w swoich wymiarach, natomiast pośrednie, między innymi, odnoszą się również do postawy całego społeczeństwa. I na takim tle wszystkie problemy, które wywołały kryzys, a których władze nie rozwiązały, lecz zastąpiły stanem wojennym, nadal czekają na rozwiązanie. A są to rzeczywiście zagadnienia w kategoriach „być albo nie być” Polski.

A: — W ostatnim tygodniu zwolniono z Arłamowa Lecha Wałęsę. Czy Pańskim zdaniem można się w tym doszukiwać jakiejś chęci porozumienia ze społeczeństwem, czy jest to tylko gest dobrej woli w stosunku do Zachodu?

O: — Sądzę, że bardziej to drugie, ale również jakby w sensie wtórnym. Główną rzeczą, jaką chciano osiągnąć, kierując się doraźnym interesem politycznym, było utrzymanie ciągłości sukcesu. Najpierw społeczeństwo musiało przyjąć fakt rozwiązania Solidarności przez zuniformizowany sejm, potem nie udał się strajk w skali, którą proponowała Tymczasowa Komisja Krajowa. Przedłużeniem tej koniunktury sukcesu miało być również zwolnienie Lecha Wałęsy. Podobno w ciągu ostatnich tygodni, czy nawet dłużej, z Wałęsą prowadzono rozmowy bez udziału Kościoła, a nawet z wykluczeniem Kościoła do tego stopnia, że jeden z przedstawicieli hierarchii z Warszawy, który utrzymywał z Wałęsą kontakt, nie został do niego dopuszczony właśnie w niedzielę, dwa tygodnie temu. Rozmowy nie dały oczywiście oczekiwanych rezultatów, ale napisanie do Jaruzelskiego listu i jego opublikowanie wywarło przynajmniej krótkotrwałe wrażenie. Władze chciały, ażeby w jakimś stopniu wszyscy przeżywali te dni w przeświadczeniu, że właściwie najgorsze już się kończy i że ze stanu wojennego wychodzimy, bo opór się rozpadł. Wydaje mi się, że był to jeszcze jeden względ taktyczny. Chodziło o ukazanie, czym jest Wałęsa na wolności, jakie może być jego znaczenie jako człowieka wolnego, człowieka zwolnionego z internowania. Chodziło o oswojenie opinii z tym faktem, i o to, aby wszystkie elementy odwołania stanu wojennego nie zbiegły się jednocześnie. Ale działał oczywiście także motyw uzyskania pewnych korzyści na Zachodzie. Choć jest naiwnością uważać, że sam fakt uwolnienia Wałęsy może kogośkolwiek przekonać, że coś się w Polsce ważnego stało. Można powiedzieć tak: są trzy cele, które postawił sobie stan wojenny; pierwszy to rozwiązanie Solidarności jako partnera władzy, z

którym władza musiała się liczyć; drugi to przywrócenie władzy monopolistycznej i niekontrolowanej przez społeczeństwo — bo skoro partner znika, a on był jedyną siłą konkurencyjną, to cel jest osiągnięty; i trzeci — przeforsowanie, przy pomocy wszystkich stosowanych środków przymusu, szantażu itp., zaaprobowania przez społeczeństwo tych dwóch faktów. Po rozwiązaniu Solidarności i zrealizowaniu przez władzę założonych celów stanu wojennego ten stan staje się właściwie niewygodnym szyldem. Jego zawieszenie czy nawet zniesienie jest w interesie władz, ponieważ robi złą krew i podburza pewną ilość naiwnie myślących mieszczan zachodnioeuropejskich. Tu natomiast kontrola jest całkowita, tak że właściwie można wykonać każdą represję bez brzydkiego szyldu i zawsze przywrócić porządek, ponieważ złamanie praworządności, które to za sobą pociąga, nie spowoduje już żadnej reakcji społeczeństwa. Społeczeństwo powróciło do stanu rozsypania, do stanu atomizacji, a zatem zdarzyć się mogą najwyżej lokalne czy jednostkowe akty protestu, a z tymi władze doskonale potrafią sobie radzić.

A: — Powiedział Pan, że z Wałęsą prowadzono rozmowy poza Kościołem, a zatem i list, który napisał, też nie był konsultowany z Kościołem?

O: — Sądzę, że nie.

A: — Była to więc niespodzianka dla władz kościelnych?

O: — Przypuszczam, że tak.

A: — A co Pani sądzi o tym liście?

O: — List jak list. W stylu Wałęsy. Na pewno jest różnica w stosunku do tego, co deklarował za pośrednictwem żony. Że nie będzie rozmawiał bez doradców i całej Komisji. W tej chwili zmienił zdanie i może słusznie. Napisał list otwierający niewątpliwie jakąś nową kartę w jego aktywności. Nie w tym liście złego nie ma, jest zachowana dwustronność, warunek wszelkiej przyzwoitości, jeśli się prowadzi rozmowy. Widocznie przecenił sytuację, myślał, że będzie mógł więcej zrobić na zewnątrz i podjął sam decyzję, łącznie z tym „kapralem”, na którego już, jak wiemy, reagują transparenty przed jego domem, ogłaszając: „Lechu, naród mianuje cię generałem, żebyś rozmawiał jak równy z równym”. Więc wszystko się zgadza, społeczeństwo ten przekorny jego humor odczytało właściwie.

A: — A sprawa nieopublikowanego wywiadu?

O: — No właśnie, to jest z tego wszystkiego najbardziej tajemnicza historia. Urban właściwie stara się przedstawić Wałęsę opinii publicznej w podejrzanym świetle, twierdząc, że ja-

koby nie chcą mu w tej chwili szkodzić daniem tego wywiadu w telewizji, bo uznano by go za kolaboranta.

A : — Sądzi Pan, że społeczeństwo temu wierzy?

O : — Społeczeństwo na pewno temu nie wierzy, natomiast myślę, że wstrzymanie tego wywiadu jest dowodem maestrii i finenzji Wałęsy, to znaczy, że na najbardziej podstępne pytania potrafił odpowiedzieć. A pytania przygotowywał zapewne jakiś sztab i to przy pomocy psychologów, którzy przecież obserwowali tego człowieka i rozmawiali z nim przez 10 miesięcy. Ta cała nauka i te kolektywy stały naprzeciw jego samotności. Widocznie i w wywiadzie nie zdołano go „podprowadzić” tam gdzie chciano, zdecydowano więc posługiwać się samym faktem, bo to daje pewne korzyści, ale treści wywiadu nie przekazano, bo jest dla władzy niewygodna. Tak to po prostu należy rozumieć. I dokładnie to w tej chwili robią.

A : — Czy Pańskim zdaniem wyjście z kryzysu gospodarczego w Polsce zależy od skuteczności wprowadzonej reformy, czy od ustępstw na rzecz społeczeństwa?

O : — To są rzeczy całkowicie ze sobą zespolone. Nie ma mowy, żeby tego typu reformę przeprowadzić bez udziału społeczeństwa. Społeczeństwo zaaprobuje wyrzeczenia i może je znieść, jeśli równocześnie znajdzie motywację do pracy w perspektywie jaśniejszej przyszłości, która za tą reformą się kryje. Bez tego zrealizowanie reformy okaże się niemożliwe. Wydaje mi się, że ten typ polityki izolowania społeczeństwa, a w wyniku tego samoizolowanie się władzy, przekreśla najlepsze jej intencje w sprawie reformy, którą traktuje ona jako pewną rehabilitację w stosunku do stanu wojennego. To jest ten honorowy punkt.

A : — Powiedział Pan, że władza osiągnęła wszystko — społeczeństwo jest rozsypane, wszelkie środki represyjne są w rękach władzy. A czy wykonania reformy nie można wymusić?

O : — Można zrobić wszystko, co dotyczy obłożenia nas zakazami, natomiast nie można zrobić nic z naszym zaangażowaniem, a reforma wymaga naszego zaangażowania. Zakazami nie pozytywnego się nie zyska. Nigdy terror nie dawał chęci do pracy, do życia, do współdziałania w tworzeniu przyszłości; raczej tworzył chęć do rzucenia tego wszystkiego, co blokuje każdą perspektywę dla osoby ludzkiej, dla rodziny, dla całego społeczeństwa. Niczego dobrego przy pomocy przymusu uzyskać nie można. Osiągnięto wszystkie cele negatywne, nie osiągnięto żadnego pozytywnego.

A : — Jaką swobodę manewru ma Pańskim zdaniem ekipa rządząca? Na ile jest samodzielna?

O: — To są dwie zupełnie różne rzeczy. Władza sama ogranicza w pewnym sensie swą samodzielność. Gdyby ta ekipa chciała się oprzeć na samoorganizowaniu się społeczeństwa, na realizmie Kościoła, gdyby chciała równocześnie, reprezentując wszystkie struktury władzy, wszystkie te trzy wartości, przystąpić do dialogu ze Związkiem Sowieckim i wytłumaczyć mu, co jest dla niego mniejszym złem, zamiast tłumaczyć to własnemu narodowi, wówczas mogłaby osiągnąć dwa cele: wygrać sprawę polską i nie pogrzebać sojuszu. Bo jest rzeczą lekkomyślną, jest rzeczą zbrodniczą, gdy się całą rację stanu Polski ogranicza do wymogów geopolitycznych. To jest absolutnie niedopuszczalne. Wtedy jest w pełni usprawiedliwione twierdzenie, że ta ekipa bardziej reprezentuje interes socjalistycznej wspólnoty wobec narodu niż interesy narodu wobec wspólnoty socjalistycznej. Otóż wiadomo, że trzeba wielkiej odwagi i charakteru, żeby tego rodzaju decyzje i tego rodzaju linię postępowania przyjąć. Natomiast gdy ktoś mówi, że to niemożliwe, od razu zaczyna się „martwe pole”. Nie można tak mówić, ponieważ raz się to udało. Przyjechał tu Chruszczow z całą ekipą i czołgi nie zza granicy nas straszyły, ale szły na Warszawę i, jak wiemy, co godzinę do Belwederu, gdzie Chruszczow konferował z Gomułką, wchodził sowiecki pułkownik i meldował, na którym kilometrze są od Warszawy. I w pewnym momencie Gomułka przerwał to wszystko i oświadczył, że wydał generałowi Komarowi rozkaz, aby na tym a na tym kilometrze zatrzymał zbliżające się czołgi. Wtedy zmienił się nastrój rozmowy. Trwało to potem jeszcze 11 godzin i wyszli z niej z Chruszczowem „zaprzyjaźnieni”. I wszyscy doradcy sowieccy stąd odjechali. Czyli jakiś krok w kierunku suwerenności zrobiono. Przed ekipą roku 1981 też stały dwie drogi: albo zrobić następny krok w kierunku suwerenności, co było możliwe, gdyby się wszystkie trzy wartości dodało: siłę struktur władzy, wpływ Kościoła na społeczeństwo oraz rozum Solidarności, która wbrew temu co się teraz pisze nie uprawiała awantur i bez zbitej szyby realizowała powstanie narodowe. Z tych pozycji można było spokojnie rozmawiać z Rosjanami, dowodząc im na przykładach, że albo będą mieli takich sojuszników jak w Afganistanie, do których trzeba strzelać, albo takich jak na Kubie, do których trzeba dopłacać. No, ileż czasu można tak prowadzić własną politykę! To przecież rozpacz!

A: — Czy uważa Pan, że tego rodzaju ustępstwa ze strony ZSSR są w ogóle możliwe?

O: — Trzeba im tłumaczyć, że to jest mniejsze zło. Nie

zrobią tego z miłości do Polaków czy na skutek apeli o miłosierdzie czy humanizm, ale w wyniku dobrze skalkulowanego realizmu własnej racji stanu. Trzeba tłumaczyć im konkretnie, że w sytuacji, w której tak dojrzała świadomość obywatelska nie można cofnąć tego wszystkiego, i to nie do sytuacji sprzed Sierpnia, bo wtedy trzeba by się cofnąć do sytuacji sprzed Października 1956 roku. I że oznaczałoby to wejście drugą nogą w bagno polskie. W obydwu wypadkach trzeba by ponieść gigantyczne straty. Jeżeli się będzie do Polaków jako do „sojuszników” strzelać, to nie wystarczy 100 tysięcy jak w Afganistanie, ale to musi zrobić milion Rosjan, a jak się będzie dopłacać, to nie te 5 czy 7 milionów dolarów dziennie, jak na Kubie, tylko 30 czy 40 milionów dziennie. Jeśli więc partia dezinformowała Rosjan co do tego, że Polacy są nieodpowiedzialnym, obłąkańczo antysowieckim narodem, który tylko myśli, jak tu sprofanować pomniki i groby tych 600 tysięcy żołnierzy sowieckich, no to Rosjanie uwierzyli, skoro w taki sposób informowały ich własne służby, opierające swoją wiedzę głównie na kontaktach z ludźmi polskiego aparatu władzy. A ci z kolei tak mówili, żeby sobie ten monopol przyjaźni polsko-sowieckiej zachować jako podstawę swojej władzy. Więc Rosjanie uznali, że interesy ZSSR są zagrożone i sądzili, że mniejszym złem jest tutaj wejść. Cała polityka powinna była polegać na wytłumaczeniu im, że to jest właśnie większe zło, bo istnieje alternatywa ułożenia stosunków w inny sposób.

A: — Mówiąc krótko, ekipa rządząca, chcąc utrzymać się u władzy, nie zrobiła tego, co było możliwe.

O: — Tak. Wydaje mi się, że chcieli również uniknąć rozliczenia, którego nie można było ograniczyć do tych 200 osób. Tego też zresztą nie zrobiono, a nawet jeśli procesy te zrobią, to i tak społeczeństwa tym do siebie nie przyciągną, o czym świadczą dobitnie wierszyki krążące po Warszawie. W tej chwili, w sytuacji, gdy nie odpowiadają inni, rzucanie tego prominenckiego ochłapu gierkowskiej ekipy zakrawa na kpiny. A można było, wchodząc poważnie w porozumienie z rzeczywistymi podmiotami społecznymi, jakimi była Solidarność przez masowość i młodość i jakim jest Kościół katolicki jako historyczny symbol tożsamości narodowej, w ogóle wyeliminować rozliczenia personalne. Zapominamy, zapominamy, nie chcemy już o tym mówić; nie, nie, koniec. Wy się zgodzicie na to, że będzie inaczej, a my nie wchodzimy w całą przeszłość. Niech Gierek, Jaroszewicz i pozostali osądzeni będą przez własne sumienie, ale niech chodzą, niech sobie ci, którzy strzelali,

też chodzą. Jest absolutna amnestia, tylko dajcie na litość Boga żyć. A oni odwrotnie, wybrali paru, usiłują ich rzucić na porzarcie tym niskim instynktom zemsty czy odwetu, a faktycznie biorą odwet na całym narodzie. No, przepraszam, to jest odwrócenie porządku.

A: — Śmierć Breżniewa, choć od dawna przez wszystkich oczekiwana, była chyba jednak jakimś zaskoczeniem. Jak w świetle tego wydarzenia rysuje się Panu przyszłość Polski na najbliższe lata?

O: — Decydującą sprawą jest oczywiście osoba następcy. Już z tych paru dni nominalnej władzy Andropowa — bo władzę faktyczną sprawował, jak się to słyszy, od wielu miesięcy — widać, że umacnia swą pozycję. Jest człowiekiem nowym, dopiero w maju przeszedł z KGB do Sekretariatu i podobno jest materiałem na nr I. Czernienko był zawsze doskonałym wykonawcą szefa, ale przeważnie ludzie nawet bardzo wybitni na stanowisku drugiego, na stanowisko pierwszego już się nie nadają. Otóż w tej chwili narasta opinia, że Andropow tworzy własny styl. Nie wiem, skąd biorą takie informacje zachodnie agencje, ale ponoć KGB wypowiadało się przeciwko agresji w Afganistanie. O samym Andropowie mówi się, że ma nastawienie bardziej pragmatyczne niż doktrynerskie, które z kolei przypisywano Czerniencie i bardziej elastyczne niż Breżniew, który w ostatnich latach zaczynał właściwie płacić rachunki niedotrzymanych zobowiązań, chociażby w Helsinkach. Pozytywnym faktem może być to, że Andropow chyba nie jest z tego ethosu kombatanckiego. Nie jest to ważne ze względów psychologicznych, tylko ze względu na powiązania z *lobby* marszałkowskim, które jest szalenie silne. Dalszą wskazówką polityki Andropowa może być rozliczenie za klęskę w Libanie. Może ono być dwojakie: marszałkowie mogą przyjść i powiedzieć: mamy za mało pieniędzy, popatrzcie, jak Amerykanie wyprzedzili nas w technologii militarnej. Ale może Andropow powiedzieć marszałkom np.: dajemy wam tyle pieniędzy, a nie potrafiliście tego wyścigu wygrać. Znamienne, że w komisji pogrzebowej był właściwie tylko Ustinow, cywil przyszyty do wojska, a więc nie było żadnego marszałka i żadnego nie pokazywano. Wybór tej drugiej ewentualności byłby przełomem w skali międzynarodowej. Jeszcze nie wewnętrznym, bo wydaje mi się, że w polityce wewnętrznej wojskowi nie odgrywają takiej roli. Teraz przykład Jaruzelskiego będzie ich zastanawiał: czy by przypadkiem nie zrobić grup operacyjnych i nie zacząć... oczywiście żartując.

A: — Przecież oni wiedzą, że operacja wojskowa w Polsce nie powiodła się — chyba, że są dalej źle informowani.

O: — No, ona się oczywiście powieść nie mogła, bo stan zaniedbania i demoralizacji kadr partyjnych jest okropny.

A: — A czy według Pana wojsko w ogóle się do czegokolwiek nadaje? Przecież to jest siła destrukcyjna, oni tylko umieją strzelać...

O: — I wydawać pieniądze. Do gospodarki zupełnie się nie nadają. Wojsko konsumuje dochód narodowy, a nie wytwarza. Dostali dobre posady, ich miejsca zajęli młodszy, więc muszą się tego trzymać. Teraz podtrzymują władzę stanu wojennego. Bo partia nie potrafiła w okresie stanu wojennego skonsolidować ośrodka władzy. Aparat jest tak skorumpowany, że go nie można pokazać i awansować dalej, a poza aparatem cała masa członkowska to emeryci, którzy na stare lata nie chcą zmieniać orientacji życiowej i chcą jeszcze wierzyć w ideały młodości. Natomiast cała reszta z partii odeszła i wpływ trwał nadal. Padają różne liczby: 20, 40 tysięcy osób miesięcznie oddaje ponoć legitymacje.

A: — Ale dalej nie wiem, jak Pan sobie wyobraża przyszłość Polski na najbliższe lata. Jeśli oczywiście Andropow się utrzyma, a tego nie jestem pewna, bo pośpiech, z jakim dokonano wyboru sekretarza generalnego nie wróży nic dobrego dla Andropowa, którego nie stać było na tyle delikatności, by nie górować nad trupem Breżniewa.

O: — To jest rozumowanie w kategoriach zależności osoby wybranej od nastroju społeczeństwa. Tam oczywiście te rzeczy nie istnieją i nikogo one nie poruszyły, a gdyby nawet, to żadnego znaczenia mieć to nie może. Wydaje mi się, że Andropow jest bardzo wysoko wykwalifikowanym człowiekiem na tę funkcję. 15 lat w KGB, to znaczy że on wie wszystko o kadrach Związku Sowieckiego i krajów socjalistycznych i wszystko o reszcie świata.

A: — Trzeba też pamiętać, że to on był ambasadorem na Węgrzech od 1953 do 1957 roku.

O: — Tak, miał taki krótki okres dyplomacji, która mu się chyba także przydała, bo przyglądał się temu wszystkiemu z zewnątrz.

A: — Ładnie z zewnątrz, skoro był chyba reżyserem węgierskiej tragedii.

O: — O, na pewno, to nie ulega wątpliwości, że był tym człowiekiem, który taki wniosek musiał postawić.

A: — Więc on żadnych oporów miał nie będzie. Ale sytuacja Związku Sowieckiego jest dziś inna, zatem jak się to może mieć do sprawy polskiej?

O: — Sprawa polska oglądana z wierzchołka władzy Związku Sowieckiego musi być rozpatrywana w kontekście globalnych interesów Związku Sowieckiego, jest ich funkcją. Nie myślmy o jakichkolwiek względach sentymentalnych, ani czy Andropow jest człowiekiem uczuciowym, czy wyrachowanym. Jest absolutnym eksponentem globalnych interesów swojego kraju. Tym się będzie kierował i na tym tle oceni sprawę polską. Tak samo i my, jeśli chcemy cokolwiek ze Związkiem Sowieckim dla sprawy polskiej załatwić, musimy w naszych kalkulacjach uwzględniać globalne interesy Związku Sowieckiego. Jeśli więc mówiłem o tłumaczeniu przywódcom sowieckim, co jest mniejszym złem dla ich kraju w stosunkach z nami, to właśnie globalne tło miałem na myśli. Wejście do Polski oznacza zlikwidowanie ruchów pacyfistycznych na całym świecie, kryzys w całym Trzecim Świecie, dalej: uzbrojenie Japonii, modernizację broni chińskiej i rozbudowę zaplecza gospodarczego dla tego wszystkiego. Trzeba by więc przeznaczyć następne dziesiątki czy setki miliardów dolarów na zbrojenia i wzmóc wyścig technologiczny, czyli ułatwić kompleksowi przemysłowo-militarnemu otrzymanie największych funduszy, a więc podnieść i jego znaczenie. Jest to sprawa nieopłacalna, bowiem Związek Sowiecki i tak wydaje na zbrojenia więcej niż może. Nie wiem, jaki procent dochodu narodowego przeznaczają na ten cel, ale wszystko się wali, a i tak w stosunku do partnera amerykańskiego pozostają w tyle. Nie mogą więc pozwolić sobie na tego rodzaju politykę. Sprawa polska przez te dwa lata została wyeksponowana w opinii światowej i stała się również symbolem dla oceny działań politycznych Związku Sowieckiego. Moja wiara i optymizm, jeśli chodzi o Związek Sowiecki, w kontekście osoby Andropowa, wynikają z tego, że on to wie. Byłby biurokratycznym doktrynerem, gdyby tego nie wiedział. Otóż on to wie! Bo wywiad z całego świata mu to przynosi. Jest najlepiej poinformowanym człowiekiem i nie musi tych swoich starszków z Biura Politycznego tym faszerować, ale sam wie. On zna prawdę i równocześnie wie, że ruchy społeczne wszelkich odmian mogą masę zepsuć, jeśli się je dla takich inicjatyw reaganowskich odpowiednio uruchomi. Natomiast jeśli się je obezwładni, no, to one, będąc czynnikiem decydującym, nie wybiorą Reagana. Jeśli Andropowowi uda się przedstawić światu Związek Sowiecki w roli anioła pokoju, to po prostu Reagan

przegra wybory. Tak że te strategiczne interesy również mogą zaważyć na postępowaniu Andropowa, ponieważ on wie, że na Zachodzie opinia rzeczywiście decyduje o kierunku polityki wybranych władz.

A: — Pan sądzi, że jest to człowiek tak inteligentny...

O: — No, poinformowany, poinformowany...

A: — Niech będzie. Więc także wie, albo się domyśla, jak daleko Zachód może posunąć się w swoich reakcjach i że wystarczy, jeśli ustąpi z Afganistanu, przestanie pomagać Kambodży, bo tego domagają się Chińczycy, lekko uniesie rękę znad Polski, to w Polsce nie musi zmieniać, zmieniając na Wschodzie. Dowodem tego półtoragodzinną rozmowa przeprowadzona przez Andropowa z chińskim ministrem spraw zagranicznych. Ale ustępstwo tam nie oznacza ustępstwa w Europie. Dlatego pytam Pana raz jeszcze, czy coś dla nas może z tego wynikać, czy nie?

O: — Przede wszystkim w tej chwili całkowitą kontrolę uzyskały same środki władzy represyjnej w Polsce i one wystarczą, żeby utrzymać stan względnego spokoju wewnętrznego.

A: — Przepraszam, że przerywam, ale przed zapowiadaniem na 10 listopada strajkiem generalnym telewizja poinformowała, że w każdym większym zakładzie przemysłowym jest doradca wojskowy, a więc... nie muszą chyba wkrazać rosyjskie wojska, prawda?

O: — Wiem tylko, że do tej pory jedynym argumentem, którym operują nasze najwyższe instancje, Jaruzelski, Rakowski i reszta, jest to, że jeśli czegoś nie zrobimy sami, to wkroczą Rosjanie i będzie dużo gorzej. Otóż wydaje mi się, że przy Andropowie ten argument słabnie. Władza szantażowała tym argumentem całe społeczeństwo, uległy mu również, w najlepszych intencjach, bardzo wyraźnie pewne koła kościelne — aby nie wystawiać na ryzyko setek tysięcy istnień polskich. Przy pomocy tego argumentu skonsolidowano ośrodek władzy działający na rzecz stanu wojennego. Jedyne sposoby nagradzania społeczeństwa w okresie stanu wojennego polegały na tym, że się wyliczało to, czego się nie zrobiło, a zrobić się mogło. Nagradzano Panią, mówiąc, że mogła Pani być bita tu i zaraz, a nie jest Pani bita i powinna się Pani z tego cieszyć. Mogliby Panią wyrzucić z Warszawy, ale nie wyrzucili, więc już dobrze — nie zrobili czegoś, co mogli zrobić. Otóż w tej chwili dokonuje się pewna psychologiczna zmiana, bo wiadomo, że facet nie zaczyna swojej władzy od wojny polsko-rosyjskiej. Sądzę więc, że będzie

chciał wyjść z tych wszystkich kryzysów, w które jest wciągnięty Związek Sowiecki. Praktycznie ryzyko wkroczenia zmalało w tej chwili do nieliczącego się minimum. Tym się kieruję, ale niczego rzeczywiście tutaj przewidzieć nie można. Natomiast wiadomo, że gdybyśmy chcieli w tej chwili usunąć partię, wystąpić z bloku i przyłączyć się do agresywnych działań przeciwko ZSSR, wówczas wkroczenie Rosjan byłoby z punktu widzenia bezpieczeństwa ich państwa mniejszym złem niż dopuszczenie do przekształcenia naszego terytorium we wrogą bazę wojskową. W tym zawężeniu między Karpatami a Bałtykiem, będącym drogą do Europy, i przy tych interesach imperialnych trzeba oczywiście utrzymywać kontrolę. Ale myśmy tego nigdy nie chcieli. Wmawiano nam, że to kontrrewolucja, że to, że tamto, że cały naród jest antysowiecki, wmawia się nam to wszystko, aby uzasadnić swoje partykularne interesy. A prawda jest zupełnie inna. Naród wcale nie jest taki antysowiecki, a przede wszystkim nie jest taki głupi politycznie, żeby brać na siebie zmianę struktur międzynarodowych, które są dla Polski niesprawiedliwe. Postanowienia jałtańskie są niesprawiedliwe, a Związek Sowiecki zdeformował je dodatkowo. Sprawa granic była jasna, natomiast w tych granicach miała być Polska niepodległa, choć oczywiście nie antysowiecka. Tymczasem zrobiono z nas kraj satelicki. Niemniej byłoby dowodem głupoty ze strony Polaków, gdyby w tej chwili chcieli wziąć na siebie zmianę tego układu. Mieliby bowiem od razu wszystkich przeciw sobie: Francuzów, Niemców, Włochów, Austriaków, gdyż naruszenie stabilizacji międzynarodowej zagraża ich wygodzie, ich bezpieczeństwu, ich dobrobytowi, więc tego nie chcą. Żadne ideały im tego nie zrównoważą. Trzeba znać ten zachodnioeuropejski sposób myślenia i wiedzieć, że aby zyskać ich sympatię, nie można narażać ich poczucia bezpieczeństwa. Czyli nie można dokonywać zmian, które by odwracały układ powiązań międzynarodowych. I to jest ta granica, poza którą mniejszym złem może być wkroczenie. Ale to nie grozi. I gdyby Jaruzelski miał na względzie dobro tego kraju, a nie interes grupy rządzącej, mógłby powiedzieć: towarzysze radzieccy, jest taki a taki stan, musimy powiększyć polską normę niepodległości i demokracji. Stan świadomości społecznej jest tak wysoki, że coś tu trzeba zrobić. I mniejszym złem jest znaleźć rozwiązanie kompromisowe. Socjalizm realny musi być, ale dostosowany do polskiej tożsamości i do tradycji polskiej demokracji. Nie ma natomiast żadnej groźby, abyśmy uzyskawszy zwiększoną niepodległość, zwrócili się przeciwko wam. W takich zasadach jestem

w stanie dogadać się ze społeczeństwem, a dla was jest to mniejszym złem. Gdyby w Polsce była rzeź komunistów, gdyby atakowano bazy sowieckie i linie kolejowe, gdyby tu była wielka kampania za wyjściem z Układu Warszawskiego i RWPG, za wprowadzeniem baz amerykańskich na to miejsce itd., to wtedy rzeczywiście ktoś, kto by pojechał z taką tezą do Moskwy, już by stamtąd nie wrócił. Wtedy z punktu widzenia interesów sowieckich mniejszym złem byłoby wypić ten kielich goryczy do końca i zrobić tutaj rzeź Polaków, bo ich zdaniem Polaczki zawsze są niesforne i trzeba im troszeczkę krwi upuścić, to przynajmniej na 30 lat się uspokoją, jak między Powstaniem Listopadowym a Styczniowym. Więc nie można wobec nich posługiwać się sloganem propagandowym, bo tam nikt na sloganach daleko nie zajędzie. To musi być rzeczywista prawda zaczerpnięta ze stanu faktycznego, jaki w Polsce istnieje.

A: — Wierzy Pan w to, że demokratyzacja kraju, jego faktyczne uspołecznienie może go utrzymać w uległości wobec Związku Sowieckiego? Jeżeli się zdemokratyzujemy i uspołecznimy, zaczniemy prowadzić normalną gospodarkę, będziemy żądać tyle za nasze produkty, ile powinni zapłacić, a za to, co nam przysyłają płacić tyle, ile to jest warte, wówczas przestaniemy być satelitą. I nie tylko my. Tak samo będą się starać o to Czesi, Węgrzy, nawet Niemcy. W ten sposób Rosjanie stracą Europę Środkową. Czy mogą pójść na tego rodzaju ustępstwa? Przecież zdają sobie sprawę, że to są reakcje łańcuchowe?

O: — Konstrukcję takiego porozumienia — jak to mówiono w głośnej swego czasu koncepcji — powinny były tworzyć podstawowe podmioty życia społecznego: Solidarność, która dysponowała poparciem i ogromnym zapleczem społecznym z jednej strony; partia razem ze stronnictwami sojusznymi, rządem i bezpartyjnymi, sejm razem z grupami katolickimi, wojskiem, milicją itd., czyli wszelkimi strukturami władzy — z drugiej. Jeśli są dwie siły tak dramatycznie podzielone, musi się znaleźć czynnik mediacyjny, arbitrażowy, nie zaangażowany po żadnej stronie, stojący ponad polityką, wyrastający z tysiącletniego pnia polskiej tożsamości i stąd czerpiący swój autorytet moralny. I to jest tak zwana aktywna obecność Kościoła. Treścią porozumienia skonstruowanego w tym gronie powinno być określenie koncepcji realizowania niepodległości, demokracji i reformy. Mówię o koncepcji niepodległości, a nie o niepodległości, bo to jest niepodległość ograniczona sojuszem ze Związkiem Sowieckim, Jałtą, Układem Warszawskim. O koncepcji demokracji, bo to jest demokracja uwarunkowana, nie-

pełna, z uwagi na przewodnią rolę partii i wszystkie wynikające z tego konieczności. O koncepcji reformy, bo to reforma też mieszcząca się w pryncypiach upaństwowienia środków produkcji i gospodarki planowej. Osobną sprawą jest kryzys, który warunkuje pewne posunięcia. Istotą porozumienia byłaby więc odpowiedź na te trzy wielkie problemy, w obliczu których stanął nasz kraj. I dopiero wtedy można by było powiedzieć, że ten, kto nie zaaprobuje takiej platformy porozumienia, jest opozycją i opowiada się za jednostronną konfrontacją. Mogłaby się ta opozycja ujawnić po jednej i po drugiej stronie, bo jedni chcieliby narzucić swoją dominację z pozycji struktur władzy, a inni w utopijnym zapale szukania ideału w ogóle te struktury wyeliminować, czyli mówić o całej demokracji, całej reformie itd., co jest niemożliwe. Przy tak sformułowanych nowych zasadach polskiej racji stanu można by nawet ogłosić stan wojenny, gdyby się okazało, że nieodpowiedzialność polska jest aż tak wielka, że trzeba na nią nałożyć ograniczenia. Ale wówczas stan wojenny nie byłby instrumentem dla utrzymania swej uprzywilejowanej pozycji przez struktury władzy, tylko dla obrony polskiej racji stanu, narodu i państwa. Ja się nie lękam siły, tylko nie widzę potrzeby jej stosowania. Nasz naród jest nieprawdopodobnie mądry. Do tej pory wydawało się, że jest tylko dzielny, odważny, heroiczny, teraz okazało się, że jest piekielnie inteligentny politycznie. Zastanawiam się, skąd ci ludzie to wzięli.

A: — 120 lat niewoli.

O: — Tak, to wysublimowało myślenie do końca. Oni instynktownie wybrali drogę Gandhiego. Od jego czasów nie było takiego ruchu pokojowego, który osiąga swoje cele... Ale wracając do Pani pytania, czy Rosjanie się na to zgodzą: nie ulega wątpliwości, że chodzi o zgodę dotyczącą jakościowych zmian modelu polskiego. Tego nie ukrywam. To byłaby zmiana rzeczywistości, dlatego należy rozpatrywać wszystkie jej elementy z punktu widzenia globalnego interesu Związku Sowieckiego, który stoi nadal przed tym problemem. Dylemat polski jest przecież nadal nie rozwiązany. Czy to będą sprawy dotyczące wprowadzenia reformy, czy jakieś inne, jestem pewien, że ludzie znajdą poza-kodeksowe sposoby wyrażania swojej opinii bez wychodzenia na ulicę i robienia strajków. Znajdą takie metody, które będą wprowadzały w stan osłupienia cały świat, że tak można, i nieustannie będą tym zwierciadłem odbijającym samotność władzy, jej nieprawdziwość, nieautentyczność tego, co na życie publiczne się w Polsce składa. I tak będzie ze wszyst-

kim. Gdziekolwiek się ta władza zwróci, to jak w lustrze będzie się przeglądała w krytycznej reakcji społeczeństwa, a na to lustro będzie zwrócona cała opinia świata.

A: — Ale czy zgoda na autentyczność władzy w Polsce nie jest jednocześnie podjęciem nóg władzy we własnym kraju? Myślę naturalnie o Związku Sowieckim.

O: — Jeśli powiedziałem, że utrzymujemy przewodnią rolę partii, ale nie zgadzamy się na monopol władzy, to znaczy, że istota dotyczy tego, aby nie interpretować przewodniej roli partii w kategoriach monopolu władzy. To musi ulec zmianie. Władza się dostatecznie skompromitowała i musi w jakimś sensie uznać konieczność kontroli ze strony społeczeństwa. Gdyby świetnie rządziła, gdyby ten totalizm nieustannie się rozwijał, to by trwał, bo nie byłoby tego, co było. Czy oni się zgodzą? To musi potrwać. Nie wiem, czy są jakieś przykłady historyczne dowodzące, że może to się udać w drodze jednego szturmu czy ataku. Myśmy wykuli stopień do niepodległości. I tego nikt nie cofnie. Ale to nie znaczy, że już możemy zatknąć na szczycie chorągiew zwycięstwa. W takim trybie to jest nieosiągalne. Czas skonsumowania nowej, wytworzonej rzeczywistości przez ten biurokratyczny, hamujący aparat jest bardzo długim procesem. Nie można porównywać Polski ze Związkiem Sowieckim, gdzie tradycją jest despotyzm i nikt tam nie odczuwa braku demokracji w taki sposób, w jaki my to odczuwamy. Od ruchu naszych dysydentów do 10-milionowej Solidarności upłynęło zaledwie 5 lat. Tam od dysydentów do 50-milionowej Solidarności trzeba będzie 50 lat. Taki to jest dystans, jeśli w ogóle coś takiego u nich będzie.

A: — My jesteśmy narodem. Może poróżnionym, ale jednym narodem. Oni są zlepkiem republik, których interesy są różne.

O: — To jest prawda. Ale nawet z Czechami nas nie można porównywać. Były dwie wojny i dwa razy Czesi nie oddali strzału, gdy wchodziły obce wojska. Ktoś mówił dowcipnie, że to jest szczyt biurokracji, bo Czesi prosili o pomoc w 1938 roku, a dostali ją 30 lat później, w 1968 roku. To jest zupełnie co innego. Nie mówmy więc o całym obozie socjalistycznym. Albo zajmujemy się rewolucją światową, albo niepodległością Polski. Tych dwóch spraw nie da się połączyć. Otóż ja opowiadam się za realnym poszerzeniem niepodległości Polski i ani kroku dalej. Uważam, że chcąc ten cel osiągnąć, nie należy rozmawiać z dysydentami sowieckimi, tylko z przywódcami państwa sowieckiego. Bo 10-milionowy ruch społeczny organi-

zujący się oddolnie nie jest organizacją dysydencką, tylko organizacją całego narodu, więc musi rozmawiać z przywództwem tamtego państwa.

A: — Czy istnieje według Pana możliwość powstania w Polsce partii chrześcijańskiej albo chrześcijańskich związków zawodowych?

O: — Jestem przeciwny powstaniu partii chrześcijańskiej. Tu mogłaby powstać partia chrześcijańska tylko na wzór CDU w NRD. To znaczy partia, która będzie wtłoczona w ramy socjalizmu realnego, będzie głosem ośrodka władzy, a nie poszerzeniem jej o nowe siły społeczne, będzie instrumentem nacisku na Kościół, jak to się dzieje w wypadku istniejących małych stowarzyszeń chrześcijańskich. Samodzielność w ustroju takim jak nasz jest bardzo ograniczona, jeśli się nie operuje zapleczem właśnie w postaci potęgi Kościoła katolickiego. Natomiast Kościół katolicki spełnia tak wielką rolę dzięki dystansowi do polityki, wtedy zaś musiałyby podejmować decyzje polityczne. Czyli albo byłaby to partia przy Kościele i wciągała Kościół w politykę i zawsze by Kościół przegrywał, albo partia w dyspozycji państwa i wówczas byłaby dodatkowym straszakiem, jeśli chodzi o zachowanie czy linię Kościoła.

Druga sprawa, czy robić podział światopoglądowy w związkach zawodowych. Inspiracja jest powszechna. Te związki będą mocniejsze, jeżeli będą klapą bezpieczeństwa dla Kościoła. Państwo wtedy nie będzie mogło zaostrzyć polityki wyznaniowej, eksterminacyjnej czy ograniczającej w stosunku do Kościoła. Natomiast nie wiem, czy chrześcijańskie związki zawodowe, w tym momencie, tutaj...

A: — Chrześcijaństwo to formuła bardzo szeroka. Kościół, jak wiemy, otworzył się dla wszystkich.

O: — Obawiam się, że wytworzyłaby się sytuacja równoległa do sytuacji partii chrześcijańskiej. Kościół musiałby brać odpowiedzialność. I władze w ogóle przestałyby rozmawiać ze związkami zawodowymi, a rozmawiałyby tylko z Kościołem. Kościół się na to nie zgodzi, jak i nie zgodziłyby się też na to te związki.

A: — To co będzie ze związkami zawodowymi?

O: — To jest pytanie tak szerokie jak to: co z Polską? Nie może się utrzymać tak jak jest. Nie można korka z butelki szampana włożyć z powrotem, nie można świadomości społecznej ociosać tak, żeby pozwoliła się w sposób bezwolny, cichy i pokorny umieścić w sztucznie stworzonych dla niej strukturach. Coś tu musi zostać skorygowane. Władza wikła się w sprzeczno-

ściach. Uczępili się umów z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia jako słusznego wówczas jeszcze protestu robotników wobec deformacji socjalizmu i błędów władzy i zapewniają, że chcą je realizować. Ale podstawową w tych umowach sprawą był przecież pluralizm związkowy. Jak władza sobie z tym poradzi? Powiedziano już, że przez 3 lata go nie będzie, dopiero potem może być. To może być tak, jak z przyjazdem Papieża. Ustala się termin wizyty na pół roku wcześniej, ale na miesiąc przed terminem można powiedzieć „niestety”, czy w ogóle „pomóc sytuacji” i odłożyć sprawę na parę miesięcy. Tak może być i ze związkami. Po trzech latach może nastąpić takie wyniszczenie woli stworzenia jakiejś niezależnej, samorządnej organizacji, że już nawet pluralizm będzie możliwy, bo też będzie pluralizmem nadanym odgórnie. Myślę, że władze na to liczą. I dlatego wszystkie opcje są otwarte. Nie wszystko zależy od władzy, bardzo dużo zależy też od postawy społeczeństwa. Kościół nigdy nie wiązał się z podziemiem, ale teraz dał publiczne świadectwo „rozvodu” z podziemnymi strukturami organizującymi strajki, bo się wypowiedział przeciw 10 listopada. To znaczy, że nie chce oporu lokować w niepewnych strukturach konspiracyjnych.

A: — Zapowiedziana na 13 grudnia sesja sejmowa może przynieść nam zniesienie, zawieszenie czy określenie terminu zniesienia stanu wojennego. Założmy, że będzie to zniesienie i wtedy pewne rzeczy wymykają się władzy. Nie będzie można wejść do naszych mieszkań w nocy, łapać ludzi na ulicy...

O: — Będzie można. Po jednej stronie jednostka — po drugiej wszechpotężny, zintegrowany aparat władzy, sam siebie kontrolujący. Kto zareaguje na głos protestu? Jeśli napisze dziennikarz, to mu skonfiskują. W sądzie też pierwszeństwo otrzymają racje polityczne przed formalnymi. Stan wojenny był potrzebny na to, żeby rozbić strajk generalny, którym grożono, i zrealizować te cele, o których mówiliśmy. W momencie ich zrealizowania wraca *status quo ante*. Przepisy będą coraz bardziej liberalne, konstytucję mamy wspierać, prawa obywatelskie, wolność zrzeszania, słowa, sumienia, wszystko, czego Pani chce. Tylko niech Pani spróbuje z nich korzystać!

A: — Ale wróćmy do związków — co z nimi będzie?

O: — W tej chwili, wydaje mi się, jakąś taką infrastrukturą jest Kościół. Mamy fazę przejściową.

A: — Można więc przewidywać, że na te 3 lata władza zostanie z garstką związkowców z grup inicjatywnych, dopóki nie będzie można założyć innego związku. Sami przyznają, że nabór idzie jak po grudzie.

O: — Tak, ale życie wyegzekwuje swoje prawa. Sądzę, że nowe związki otrzymają ogromne beneficja. Będą dawać buty, żłobki, przedszkola. W proteście wytrwają ludzie młodzi, samotni, bezdzietni, ale nie wielodzietne rodziny, mało zarabiający czy chorzy. Będą dawali wszystko, to będzie niemal druga pensja, żeby tylko być w związkach. Przecież to można zrobić, można skorumpować i wtedy głęboka bruzda będzie przebiegać między tymi, którzy będą korzystać, a tymi, którzy wyrzeczeniem swoim i swych najbliższych będą nadal protestować. Nie zmieni to jednak faktu, że bojkot nowych związków stał się nieoczekiwanie negatywną formą samoorganizowania społeczeństwa, ukazującego siłę protestu przeciw wydziedziczeniu ze związków, które klasa robotnicza, rolnicy i inteligencja polska wybrała jako swoje związki, wstępując masowo do Solidarności w 1981 roku i którym dochowuje wierności, bojkotując nowe, stworzone w okresie stanu wojennego.

A: — Ale z czego to zapłacą, z czego dadzą, kto to wypracuje?

O: — Na to pieniądze się znajdują, jak znalazły się na sprowadzenie z Japonii ogromnej ilości armatek, pocisków gazowych, jak się znajdują na to, żeby utrzymać 700 tysięcy służb specjalnych, zajmować dla nich hotele, karmić ich bardzo dobrze, płacić powyżej średniej.

A: — Więc skąd Pana optymizm, że władza, która tutaj korumpuje ludzi, żeby utrzymać się przy sterze, wytłumaczy Związkowi Sowieckiemu, że temu narodowi potrzebna jest większa swoboda?

O: — Tu jeden musi to zrozumieć, bo nikt poza pierwszym sekretarzem nie może się tego zadania podjąć.

A: — A czy on jest zdolny to zrozumieć?

O: — Trzeba mu wytłumaczyć, że to jest jego misja dziejowa.

A: — A nie rogiatki?

O: — Przekonać będzie trudno. Niech więc ta partia dokonuje rotacji na szczycie, póki się taki człowiek nie znajdzie. I koniec. Dwie rzeczy naraz trzeba załatwić: dobro Polski i nienaruszalność sojuszu. Nie tylko sprawę polską, bo to się nie uda z uwagi na interesy Związku Sowieckiego, i nie tylko sojusz, bo to się nie uda ze względu na opór i dojrzałość narodu. W tej chwili załatwiamy tylko sojusz, bez narodu. Sprawa polska jest w odwrocie i wszystko, co możemy zrobić, to uruchomić czynniki opóźniające odwrót sprawy polskiej. To jest dokładnie to, co się robiło między rokiem 1945 a 1956. Ale dzisiaj jest

inna baza wyjściowa — materialna i duchowa. To znaczy, że już nikt nie ma żadnych złudzeń co do realiów systemu, natomiast istnieje świadomość tego, co było, i tego co się stało.

A: — Czy nie sądzi Pan, że stała i potęgująca się presja społeczna może którąś z kolejnych ekip zmusić do takiego, jak Pan proponuje, dialogu z ZSSR?

O: — Już nie istnieje presja społeczna. Ona się już nie da wyartykułować. W tej chwili każda forma presji społecznej jest impulsem dla czynnika represyjnego, czyli opóźnia uświadczenie sobie przez władzę, co jest jej rzeczywistym problemem. Rzeczywistym problemem dla władzy nie są struktury konspiracyjne, tylko opór niezadowolonego narodu. Ale jak naród ma, według Pani, tę presję wywierać?

A: — Nie wiem jak powinien, wiem co robi od 37 lat z górą, gubiąc w tym jednocześnie własną godność i moralność. Polacy nie pracują, więc można powiedzieć, że jest to forma strajku...

O: — Wszystko jest tak ze sobą połączone. Presja na władzę przez samookaleczenie, zupełnie jak ci mnisi buddyjscy, którzy oblewali się benzyną. I to jest cały dramat.

A: — Ale bojkot radia i telewizji przez środowiska twórcze jest też jakąś formą presji. Jeden z moich rozmówców powiedział, że twórcy strajkują, bo nie mogą strajkować robotnicy, których potem wyrzucają z pracy. Jest to więc odruch solidarności.

O: — Troszkę tak, jak kiedyś robotnicy za inteligencję.

A: — Wspaniały rewanż. Zastanawia mnie, że uważa Pan społeczeństwo za rozłożone. Na czym Pan to opiera?

O: — Społeczeństwo nie, społeczeństwo jest w doskonałej kondycji, tylko nie odbudowało jeszcze formy nacisku na władzę, nie wytworzyło formy artykułowania swojej woli. Jest to trudne, wiem, bo dotychczas wszystko szło przez struktury podziemne i 31 sierpnia osiągnęło swoje apogeum. I wtedy pomyślałem, że teraz odczuwać będziemy tendencję spadkową. Nie ma co oczekiwać czegoś dzisiaj, skoro to było niemożliwe przed 13 grudnia ubiegłego roku, a przecież determinacja była absolutna. Natomiast w chwili obecnej nikt nie wie, w jaki sposób objawić rzeczywistą wolę społeczeństwa zarówno na użytek wewnętrzny, jak i dla zagranicy. Być może tę parabolę buduje prymas Glemp myśląc o przyjeździe Papieża. Do tego czasu coś się takiego pojawi, coś pozwoli znaleźć sposób artykulacji nie podpadający pod żaden kodeks, a równocześnie o niezwykłej wymowie. Problem polski już wszedł na wokandę świata i z

niej nie spadnie. Ale musi być na niej utrzymany aż do jakiegoś bardziej zasadniczego rozwiązania międzynarodowego. To nazywam tym stopniem, który osiągnęliśmy. Pytanie, jak teraz osiągnąć następny, jak się do tego zabrać. Chwilowo wytrącono nam narzędzie, wytrącono wszystko, pośluzono nas, musimy się pozbierać, otrząsnąć i nowy sposób wymyśleć, bo już się nie da do końca odtworzyć tego, co było. Ale przecież istnieją chyba jakieś inne możliwości; to już jednak trzeba powierzyć geniuszowi narodu, który je znajdzie. Tego się nie wymyśli. Ten instynkt, to pragnienie, ta wola, połączona równocześnie z roztropnością, wytworzą jakiś stan faktyczny, który musi wreszcie przemówić do świadomości Rosjan. Wspólna granica z supermocarstwem może być tragedią, ale może też być korzyścią. Kontakt z takim rynkiem jak rynek sowiecki może prowadzić do wyzysku, ale może też stymulować rozwój przemysłu lekkiego. Przecież tradycją kupiectwa polskiego był przed I wojną światową handel z Rosją.

A: — Wystarczy powiedzieć nazwisko „Wokulski”, a już wszyscy, począwszy od dziatwy szkolnej, wiedzą gdzie Polacy robili majątki.

O: — Oczywiście. I to wszystko tak znowu może być. bo jest odbiciem komplementarności obu krajów. Byliśmy tradycyjnym partnerem i to wszystko może doskonale współgrać. Sojusze władzy nie zastąpią zbliżenia narodów, szczególnie że są osnute mrokiem tajemnicy. Ściskają sobie dłonie rządzący, całują się pierwsi sekretarze, premierzy, marszałkowie i inni aktywiści. Natomiast nie ma drożności między jednym a drugim społeczeństwem. Otóż sprawa urealnienia sojuszu z ZSSR jest w tej chwili sprawą numer jeden. Trzeba więc oczekiwać, że partia znajdzie człowieka, działacza politycznego, który byłby to w stanie zrozumieć i w tym upatrywałby swoje posłannictwo, a nie w tłumieniu narodu, nie w cofnięciu go w jego rozwoju, bo to są już rzeczy nie tylko niesłuszne, ale także niewykonalne. Tylko łączne rozwiązanie sprawy polskiej i sprawy sojuszu będzie arcydziełem sztuki politycznej. Wówczas to rozsądnie kontynuowany protest, rozsądnie kontynuowany opór, odmowa będą koniecznymi elementami takiego właśnie rozwiązania. Bo jak jest dobrze, jak jest spokojnie, to po co zmieniać. Ale jak jest źle i stosowane metody nie wystarczają, to trzeba się zastanowić. I wtedy istnieje alternatywa; albo dogadać się z narodem, ale nie tylko przez przedstawicieli, którzy wydawali nam się najlepsi, lecz także przez przedstawicieli, których naród sam wytypuje, albo rzeczywiście odrzucić pokój i rozpocząć

krwawą awanturę. Zapłacić cenę w polityce światowej i zyskać za to 30 lat władania przy pomocy terroru i represji. Na horyzoncie takiego wyboru nie ma już żadnej nadziei — musi on oznaczać stoczenie się świata na dno powszechnej katastrofy.

A: — Czy tego szaleństwa nie należy się obawiać?

O: — Obawiać by się należało, gdybyśmy nie mieli zaufania do mądrości naszego narodu. Gdyby istniał stan, w którym nikt nie wiedziałby, że trzeba się ułożyć, bo wygrać się nie da, wówczas tego rodzaju dążenia należałoby osłabiać. W biografii starszego pokolenia pierwszy okres po II wojnie to była przede wszystkim obrona biologiczna. Wtedy stanowiła ona zasadę absolutnie nadrzędną. Nie można było podjąć wojny w całym kraju. W lasach biło się może 50 tysięcy ludzi, a nie 5 czy 10 milionów, bo wtedy wolno im było zrobić wszystko. Istniała zasada tzw. spokojnego zaplecza, mogli wszystko pod to podciągnąć i wywieźć nie pół miliona, ale 4 czy 5 milionów ludzi i nikt by tego nie zauważył, bo wtedy była moda na wielką wiarę, że zmieni się świat i że Związek Sowiecki jest jednym z gwarantów tej zmiany na gruzach pokonanego faszyzmu hitlerowskiego. Polska była wówczas czymś śmiesznym z tym wierzaniem grup partyzanckich wobec wyroku dziejowego, który zapadł. Natomiast teraz jest zupełnie coś innego. Władza zniewala naród do posłuszeństwa, używając środków przymusu, naród stosuje, jak to się mówi, gandhizm w małej postaci. Polacy przy tej dysproporcji sił, przy tej ociążałości i wygodzie, otłuszczeniu wszystkich nerwów, uczucia i woli, jakie jest w krajach zachodnich, znaleźli drogę pokazania do czego dążą, czego pragną, bez narażania układu sił. Droga proklamowana przez Solidarność była pokojowa, a zatem nie zagrażała nikomu. Była dalszym ciągiem Października.

A: — Ale wtedy, w Październiku, rewolucja dokonywała się na szczytach władzy i w aparacie, a nie w społeczeństwie. Teraz była ogromna rewolucja społeczna i nie dziwnego, że władza poczuła się zagrożona.

O: — Wtedy był również Poznań i nie wiadomo było, czy się nie zrobi 100 Poznaniów, i zrobiliby się, gdyby ta zmiana nie nastąpiła.

A: — Ale kierowali tym ludzie z aparatu partyjnego; rok 1956 to była w większości rewolucja aparatu partyjnego.

O: — Tak nie można powiedzieć. Część aparatu umiała przyłączyć się rzeczywiście do spontanicznego ruchu, który się objawił, do ruchu protestu. Jeszcze wtedy jakieś względy ideowe, jakieś niepokoje duchowe ożywiały tych ludzi. Po-

dobnie i ostatnio — ruch struktur poziomych. Tamci byli wychowankami starej, rzeczywiście ideowej, choć dość prymitywnej grupy, ale z charakterami. Przeszli przez więzienia i wierzili w tę sprawę. Produkcja aparatczyków, dosyć ograniczonych w sensie ideowym, lecz już wykształconych, biurokratów politycznych, bardziej obytych w świecie, natomiast absolutnie cynicznych, zaczęła się potem. To oni właśnie w Sierpniu niczego nie byli w stanie zrozumieć. Dla nich, jak to Urban w artykule polemicznym odpowiedział Micewskiemu, wszystko to, co się stało było lewacką rewoltą. Robole się na nich rzuciły. I nie wiadomo dlaczego inteligencja nie zrozumiała, że stan wojenny wziął ją w obronę. Dla tych ludzi władza stała się nowym bogiem, któremu oddali wszystko. Kiedyś jeszcze władza była służbą, była instrumentem do realizacji jakichś wyższych celów. Teraz nie. Teraz i tutaj władza jest celem samym w sobie.

A: — Ale to o czym Pan mówi było bardzo dawno, aż trudno sobie przypomnieć.

O: — No tak, byli jeszcze pewni ludzie, którzy tak myśleli. Potem to się wszystko załamało. Pierwszym załamaniem było niedotrzymanie przez Gomułkę obietnic danych narodowi. Wyniesiony przez naród, stał się eksponentem interesów aparatu, które były antagonistyczne z interesem narodu i to posiadało ziarno cynizmu. Sam Gomułka został jako relikwiarz tego myślenia, ale już wszyscy się z niego śmiali. Już jego słabości przejrżeli, że np. lubi liczyć; więc żeby się nie wtrącał do rządzenia, podsuwali mu materiały, na podstawie których dokoonywał obliczeń statystycznych.

A: — Pańskim zdaniem mamy czekać na kogoś, z tej czy następnej ekipy, kto wytłumaczy Związkowi Sowieckiemu to, co starał się Pan tu nakreślić. Kto to ma być, bo przecież trudno sobie wyobrazić, że Werblan, Olszowski, Lamentowicz czy Kubiak nie rozumieją tego wszystkiego. Są to przecież ludzie o pewnym poziomie umysłowym. Na kogo więc mamy czekać, skoro tym ludziom, mniej lub bardziej cynicznym, nie udało się! Może nie umieli tego zwerbalizować?

O: — Zwerbalizować to oni umieli, bo poziomowi intelektualnego im nie brakowało. Natomiast, jeżeli mówimy np. o Werblanie... Był w nim nawyk manipulacyjny człowieka integralnie wychowanego w aparacie, który ten aparat przerastał i poszedł w kierunku odrodzenia partii przez struktury poziome. Tam się zaangażował i tam się spalił. Olszowski to jest człowiek, którego rozpiera przede wszystkim ambicja władzy i za bardzo

jest *papabile*, za długo mówi się o nim jako o kandydacie na pierwszego i dlatego cały czas zachowuje się pod tym kątem, że kiedyś tym pierwszym może zostać. Co by on rzeczywiście zrobił, tego nie wiem. Widocznie uważał, że trzeba grać przeciw Kani, który się nie utrzyma i że on będzie tym następnym, który wygra. Rzecz potoczyła się inaczej: Jaruzelski również go nie lubi. Kubiak to naukowiec, człowiek uczciwy, ideowy, tylko zupełnie nie jest działaczem zdolnym uchwycić ster tej partii. Z tych osób, które tutaj wymieniamy, żadna nie ma rozwiniętego instynktu przywódczego. Lamentowicz to finezyjny intelektualista, słuchać go to ogromna przyjemność. Natomiast nie wiem, czy i on już nie jest wylany z partii.

A: — O ile wiem, został usunięty. Jaka więc jest perspektywa przed tą przywódczą partią — skoro Pan uważa, że tę rolę partii trzeba zachować?

O: — To jest konieczne ze względu na układ geopolityczny. Nie dysponujemy na moment przesilenia innym argumentem uwiarygodniającym wobec Związku Sowieckiego naszą dobrą wolę polegającą na tym, by zachować zasadę sojuszu i dać wyraz poszanowaniu interesów mocarstwowych naszego wielkiego sąsiada. No cóż, trzeba coraz precyzyjniej wypowiadać potrzebę społeczną, czy mówiąc szerzej potrzebę narodową. Na tle tej potrzeby narodowej, po jakimś czasie, kiedy nastąpi przesyt izolacją, będzie się dokonywał wewnętrzny ruch w tej partii. Chwilowo na tę izolację nie zwraca się uwagi, bo przesłoniła ją działalność likwidatorska w stosunku do podziemia i akcji demonstracyjnych. Kiedy to się skończy, przyjdzie pora na obserwowanie tego, co dzieje się w narodzie, który już nie demonstruje, czy który nie demonstrował nigdy. Zaczyna się odczytywanie stanu jego świadomości i z uzyskanego obrazu trzeba wyciągnąć wniosek, że jeśli środkiem kontaktu z narodem nie ma być pałka milicyjna, czy inna akcja represyjna, wówczas staje się nieodzowny jakiś element dialogu. Pod kątem tego dialogu muszą się kształtować nowe kadry. Nie wiem czy taki przywódca, jaki jest potrzebny Polakom istnieje, ale potencjalnie istnieje, i jeśli ma ku temu predyspozycje, to kiedy zaczyna się wsłuchiwać w głos własnego narodu, zaczyna być wyrazicielem dążeń narodu i z tą myślą niejako dokonuje wewnętrznych zmian w partii, jeśli oczywiście starczy mu osobowości, woli i tego wszystkiego, co tworzy cechy przywódcze. Jest to proces długotrwały, ale tylko po tej linii może się kształtować. Natomiast jeśli społeczeństwo zamilkłoby, jeśli by zrezygnowało, zdecydowało się na akt kapitulacji, byłaby to szkoda

równie wielka jak akt desperacji, jak akt gigantycznej awantury, jak coś, co mogło sprowokować właśnie to najgorsze. Tak że ratunkiem nie jest ani konspiracja, ani kolaboracja, lecz wyjściem z tego dołka może być przewyciężenie zniechęcenia i poczucia bezwyjściowości, formowanie frontu porozumienia przeciw powstaniu impulsów służących odtwarzaniu służb i metod represyjnych oraz tworzenie wielkiego zapotrzebowania na jakieś przekształcenia w ośrodkach władzy, które zaczną coś wreszcie z tego wszystkiego rozumieć. W każdym razie, jeśli się nie chce tylko mówić hasłami „będziemy walczyć”, albo: „już wszystko przegraliśmy”, to pozostała nam tylko ta droga. Podobne intencje odczytuję z posunięć Prymasa, który nagle dokonał dosyć bolesnego i dramatycznego odwrotu. Przestał wiązać nadzieje osiągnięcia czegokolwiek z nasileniem ruchu oporu w takich formach, w jakich już nie były do tego zdolne, ponieważ nie było przekonania, że są skuteczne, że mogą się przeobrazić w coś bardziej generalnego. Poza tym wszyscy dobrze wiedzą, że nawet doprowadzenie do strajku generalnego, co w warunkach Polski jest nierealne, ale nawet gdyby było realne, byłoby nierealne z punktu widzenia celów, jeśli nie byłoby skoordynowane z jakąś ogólną, międzynarodową akcją, kiedy cena inwazji byłaby tak wysoka, że by się nie opłacała. A wszystko to jest w ogóle nierealne z punktu widzenia i sytuacji zewnętrznej, i stanu obecnych nastrojów społeczeństwa. Trzeba zatem szukać czegoś nowego, strzegąc się przed poczuciem, że nic takiego nie istnieje, że to, cośmy przeżyli było jedyne i że jeśli przegraliśmy na tym polu, to już przegraliśmy w ogóle. To jest nieprawda. Optymizm mój czerpię z wielkości egzaminu, który naród polski zdał. Przede wszystkim młode pokolenie, fenomenalne młode pokolenie, które ma wszystkie cechy heroizmu i dzielności, tylko że w porządku walki cywilnej, które ma wspaniałą świadomość, a jednocześnie zrozumiało swój czas i nie odtwarza przygód, w których ja brałem udział, tylko potrafi je wcielić w nowy kształt, dla tej samej sprawy, dla której moje pokolenie walczyło w innych warunkach.

A: — Czy dla siebie widzi Pan jakieś miejsce, jakieś zadanie?

O: — No, na to pytanie Pani nie odpowiem, ponieważ zaczęłyby to rozdział zupełnie już innej książki.

SPIS TREŚCI

ALFA: <i>Wprowadzenie</i>	7
BETA	11
GAMMA	26
DELTA	36
EPSILON	55
ZETA	73
ETA	82
THETA	102
IOTA	123
LAMBDA	134
OMIKRON	149
RHO	167
SIGMA	175
TAU	178
YPSILON	186
CHI	200
OMEGA	221
	245

KATALOG KSIĄZEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka (Poezje)</i>	64	9,00
Bierezin, J.: <i>W a m (Poezje)</i>	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące (1978-1979)</i>	256	75,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty (eseje literackie)</i>	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne (Poezje)</i>	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point (Poezje)</i>	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty (Poezje)</i>	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980), Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawni- cza (1973-1980)</i>	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ” t. I, <i>Ferdynand</i>	296	55,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie</i> . — <i>Wędrowki po Argentynie</i>	256	50,00
<i>G ł o s</i> („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herbert, Z.: <i>Raport z obłożonego miasta</i> (Wiersze)	88	40,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januskiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kozeliwek, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotrus</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne katalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00

	Stron	F.
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrozek, Si.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym II</i>	96	40,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13. 12. 1981 - 31. 12. 1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konfe- rencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Worozyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 65 sierpień 1983). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>	60,00	

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

Prenumerata *KULTURY* na rok 1983:

rocznie — F. 340,00; półrocznie — F. 175,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1983:

rocznie — F. 240,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 60,00
(dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 220,00).

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 9 SEPTEMBRE 1983
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 3^e trim. 1983

Imprimé en France.

F. 75.